

Dobraczyński Jan

Niezwyciężona Armada



calibre 0.9.27

JAN DOBRACZYŃSKI

NIEZWYCIĘŻONA ARMADA

1966

INSTYTUT WYDAWNICZY • PAX •

„...Czym mogłem ją obrazić? Do tej winy nie poczuwam się.. To są moje ostatnie słowa, więc powinniście mi wierzyć: modliłem się i modlą za nią, za Elżbietę, królową waszą i królową moją, której życzę długiego, spokojnego panowania i wszelkiej pomyślności...”

bt. Edmund Campion

.. Zapewniam waszą królewską mość, że gdyby kiedykolwiek ktoś miał zamiar wystąpić zbrojnie przeciwko waszej królewskiej mości, wolałbym, aby nasze serca były przebite przez nieprzyjacielskie miecze, niż:

aby nasze miecze miały rozlewać krew naszych braci...'*

bt. *Robert SouthoeU*

„...Każdego poddanego życie należy do króla, Każdego poddanego dusza należy do niego samego...”

Szekspir („Henryk V” a. IV, «c. 1)

CZEŚĆ PIERWSZA I

Zatrzymali się przed katedrą. W ciasnej uliczce trzeba było dobrze zadzierać głowę, by zobaczyć trójkątny fronton i sterczącą spoza niego spiczastą wieżycę, która bodła roziskrzone niebo. Tuż obok przysiadł drugi kościół. Był niższy, o świeżych tynkach. Zdawał się tulić do urwistej ściany katedry. Jego ciężkie dołem mury wyżej nabierały lekkości krągłych, miękkich kształtów, obcych otaczającym je budowlom.

Na schodach kościoła siedziało kilku żebraków okutanych w łachmany. Zabelkotali na widok wchodzących.

Oczy kłuły, gdy opuściwszy rozbłyszczaną zimowym słońcem ulicę zanurzyli się w głąb ciemnego przedsionka. Musieli się zatrzymać i poczekać, aż pod powiekami przestaną wirować złociste plamy. Obok wejścia stały dwie kamienne figury zwierząt: lwa i niedźwiedzia. Potem były drzwi prowadzące do kościoła. Przyklęknęli na chwilę na progu, pochylili głowy. W głębi przedsionka odnaleźli niską furtę, a przy niej małe okienko. Gdy zapukali, wyjrzała stamtąd ostrzyżona głowa.

— A co tam? Skąd Bóg prowadzi?

— Laudetur Jesus Christus. Jesteśmy braćmi zakonnymi. Przyjechaliśmy...

— In saecula. Zaraz otwieram.

Drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem. Przez chwilę jeden drugiemu ustępował pierwszeństwa.

Hugh w końcu uległ i wszedł pierwszy. Na jego widok braciszek odźwierny cofnął się, zaskoczony. Tu, w Polsce, ludzie nie nawykli do oglądania zakonników z brodą przystrzyżoną po hiszpańsku w szpic. Za ojcami wcisnął się chłopak, który niósł ich rzeczy. Stłoczyli się w ciasnym korytarzyku. Ale brat furtian otworzył spiesznie drzwi do małego wyiębionego parlatorium. Schyliwszy się do ojca Konstantego, powiedział:

— Proszę ojca tutaj. Idę zaraz powiedzieć ojcu superiorowi. A wolno wiedzieć, skąd ojciec

przybywa? I ten... — dorzucił ciszej, wskazując ruchem głowy na Hugh'a.

— Powiedźcie, bracie, że przyjechał ojciec Kraszewski z Krakowa. A to jest ojciec Palmer, także z naszego zgromadzenia. Cudzoziemiec. Nie zna naszego języka.

Przybywa z Rzymu...

Oczy furtiana utkwione były w Hughu. Przez chwilę wahał się, lecz posłuszeństwo zakonne wzięło górę i schylił się także do ręki tego tak dziwnie wyglądającego ojca. Ale i dalej przyglądał mu się ciekawie. Przybyły był młody, wysoki, delikatny z wyglądu. Miał jasne włosy, błękitne oczy, różowe policzki.

— Aż z Rzymu?... — powtórzył z podziwem braciszek.

Skłonił się i wyszedł. Grube mury zadzwoniły echem oddalających się kroków. Potem cisza zamknęła się na nowo.

Ojciec Kraszewski usiadł na ławie. Był młody, dobrej tuszy. Wyciągnął daleko przed siebie zmęczone nogi. Jego towarzysz spacerował wolno po parlatorium i rozglądał się. Sklepienie zwisało nisko, zdawało się przygniatać czoła. Od ścian wiało chłodem. Było mroczno — wstawione w gruby mur okno o malutkich szybkach przepuszczało niewiele światła. Na jednej ze ścian wisiał krucyfiks, a pod nim palił się olejny kaganek. Po przeciwnej stronie połyskiwał obraz malowany na blasze. Z przodu nie było na nim nic widać i dopiero gdy się spojrzano z boku, widziało się, jak z mrocznego tła wynurza się łysa czaszka, a pod nią półprzykryte powiekami oczy i usta o zaciśniętych mocno wargach. Założyciel i tu także — w tej miejscinie między lasami — czuwał nad stworzonym przez siebie dziełem.

Nie czekali długo. Znowu zadzwoniły kroki na kamiennej posadzce. Braciszek odźwierny uchylił drzwi i w progu stanął niski zakonnik. Był to superior. Stąpał prędko, miał ru chy nagle; witając się przysiadł i obracał gwałtownie, aż furkotała sutanna. Objął ojca Konstantego i ucałował go w ramię.

— Co za gość! Cieszę się, że ojca widzę. A tak wypatrywaliśmy kogoś z Krakowa. Zaraz będzie nam musiał ojciec o wszystkim opowiedzieć. Nasi ojcowie prawie chorzy z ciekawości. Książę już jest?

— Właśnie przyjechał z Piotrkowa, gdyśmy wyjeżdżali...

— A Maksymilian?

Kręci się, szuka sojuszników... Ale ojciec superior pozwoli, że o tym za chwilę. Chciałem wpierw przedstawić...

— Słusznie, słusznie... — wyciągnął obie ręce do :Hugh'a. Przyciągnął go do siebie i także pocałował w ramię.

- Już mi mówił brat furtian, że mamy gościa aż z Rzymu. A w jakim języku mogę do ojca?

— zapytał po łacinie.

Palmer uśmiechnął się uprzejmie. Starał się tym uśmiechem pokryć swą nieumiejętność odpowiadania w sposób równie wylewny na serdeczność tutejszych ludzi.

- Możemy po łacinie, możemy po włosku lub francusku. Bo angielskiego ojciec pewno nie zna...

— To ojciec Anglik? Ano po angielsku rzeczywiście ani w ząb. I po włosku nietęgo... To już niech będzie mowa Wergiliusza.— Zwrócił się po polsku do Karszewskiego: — Ojciec jest Anglikiem, ale przybywa z Rzymu?

— Z angielskiego kolegium w Rzymie.

— Do nas?

— Nie. Przejazdem tylko. Wysyłają go tam, do nich... Superior spojrział na młodszego zakonnika. W jego wzroku

błysnęły równocześnie podziw i współczucie. Znowu przeszedł na łacinę:

— Ale tu u nas znajdzie się ktoś, kto potrafi mówić z ojcem w jego rodzinnym języku.

Ojciec Jakub...

— Wiem. — Płynna tutejsza łacina miała odmienne brzmienie i odmienny akcent. — Ja właśnie do niego. Przełożeni rzymscy polecieli mi, bym za pozwoleniem ojca superiora mógł z nim porozmawiać.

— Oczywiście! Naturalnie! Rozmawiajcie sobie, ile chcecie! A to się ojciec Jakub ucieszy.

Biedaczek, odkąd wrócił, nikogo ze swoich nie widział. Ale o nowinach rzymskich musi i nam ojciec coś niecoś powiedzieć. Dobrze? — Na nowo zwrócił się do ojca Konstantego.

— Jakżeście ojcowie tu do nas przyjechali?

— Szły wozy na dwór wojewodzica Kiszki, tośmy się z nimi zabrali. Wygodnie i szybko. Ale ja tu mam list do ojca od naszego superiora. Wyjaśnia w nim powód przybycia ojca Palmera i prosi o opiekę nad nim...

— Dziękuję. Zaraz go przeczytamy. A jak się tam czuje ojciec Piotr? Nie tęskni tu do nas?

— Bogu dzięki, czuje się dobrze. A tęskni — na pewno. Tylko że jak zawsze tak zapracowany, że na tęsknoty czasu nie ma. Zresztą, może niezadługo zobaczą go tu ojcowie.

— Co też ojciec mówi? W jaki sposób?

— Ano tak się składa, że ojciec Piotr złoży swój urząd...

— Bójcie się Boga, ojczy Konstanty! Dlaczego? Niedawno dopiero wybrany. Stało się co?

— Nic złego, proszę ojca, wszystko dobrze. Po prostu młody książę tak się zachwycił jego kazaniami, że prosił władze zakonne, by go przydzieliły do jego boku.

— Nie dziwię się. Nikt tak nie potrafi mówić jak ojciec Piotr. Ale dlaczego mówi ojciec, że przyjedzie tutaj?

— Chodzą pogłoski po Krakowie, że książę zaraz po koronacji do Warszawy chce się z

dworem przenieść. Pragnie być bliżej morza i Szwecji.

- To pięknie. Ale gdzie tu miejsce dla króla i jego dworu? Zamek ciasny i jak rudera! Ale ja tu gadu gadu, a ojcowie zmęczeni. Pozwólcie, zaprowadzę was do cel. Już kazałem zapalić. Umyjcie się, odpoczniecie. Na obiad będą zaraz dzwoniли, ale wy nie schodźcie. Osobno was polecę zawołać. Wieczorem dopiero zapoznam was ze wszystkimi.

Cela, do której Hugh został zaprowadzony, nie różniła się od tej, w której spędził ostatnie lata w Rzymie. Tamta była tylko jaśniejsza. Słońce wdzierało się do niej i jeśli nawet nie świeciło wprost w okno, rozżarzało okoliczne mury, a one przekazywały dalej gorący, pomarańczowy blask. Często gdy pracował w celi, spostrzegał, jak wędrujące po posadzce słoneczne plamy wyławiają na pokrywających ją płytach jakieś stare, na wpół zatarte malowidła. Tak bywało i w innych celach. Nowe mury rosły kamieniami wyrwanymi ze starych ścian. Czasami także na kamiennym ciosie dostrzec można było zarys wygładzonej przez czas płaskorzeźby.

Tutaj ściany były ciemne, jakby naszłe wilgocią. Słońce nie potrafiło się przebić do wnętrza. Spływało po murach jak woda. Za to na kominku buzował ogień. Stojąc przed nim Hugh zatarł z przyjemnością dłonie. Otaczała go cisza, w której tylko pomrukiwał ogień niby głaskany kot. Czasami trzasnęło przypieczone i rozpadające się w żarze bierwiono. Ciepło i widok tego ognia rozmarzały. Hugh przysunął sobie zydell. Usiadł. Zmęczenie zaczęło dawać o sobie znać. Podróż z Krakowa trwała długo. Spóźniająca się zima nie ścięła dróg ani nie przykryła ich śniegiem. Wozy grzęzły w błocie. Wędrowali lasami, które zdawały się nie mieć końca. Nocowali po dworach. Przyjmowano ich wszędzie gościnnie, karmiono, usiłowano zatrzymać jak najdłużej. Nawet gdy raz trafili na szlachcica należącego do braci czeskich, nie odmówił im gościny, a jedynie próbował z Karszewskim dysputy teologicznej. Tu było całkiem inaczej niż w krajach, które znał — inaczej niż we

Francji, w Tyrolu, w cesarstwie. A także inaczej niż w Rzymie.

Było tak cicho. W Rzymie krzyżowały się niezliczone sprawy; zbiegały się nici wiążące stolicę apostolską z całym światem. Życie pulsowało żywo. To była niby siedziba dowództwa armii prowadzącej wojnę z wieloma naraz nieprzyjaciółmi. Stamtąd szły zabiegi o zorganizowanie wyprawy przeciwko sułtanowi. Toczyły się pertraktacje z cesarzem, z królem polskim, z wysłannikami moskiewskimi. Tam zjeżdżali się posłowie francuscy i hiszpańscy. Stamtąd także płynęły rozkazy, kierujące walką z herezjami, które tak bardzo zalały Kościół, iż wydawało się jeszcze niedawno, że nigdy się spod tych fal nie wydobędzie. Również do Rzymu spływały wieści z dalekich, niedawno odkrytych i wciąż jeszcze odkrywanych ziem: z Indii Wschodnich i Zachodnich, z Japonii, z cesarstwa Kitaju. Tam narastały i stamtąd wyruszały na podbój armie misjonarzy. Tam szukał sobie towarzyszy ojciec Ricci. Tam wreszcie kłębiły się i ścierały ze sobą nowe idee, nowe kierunki, formowało się nowe oblicze świata, spoglądającego z zachwytem na starożytność...

Drgnął usłyszawszy dzwonięcie. Ktoś szedł korytarzem i bił w duży dzwonek. Słysząc potem było, jak się otwierają drzwi cel. Rozległo się stąpanie wielu nóg. Bracia szli na obiad. Ale Hugh przypomniał sobie, że to wezwanie jego nie dotyczy.

Wrócił znów myślą do Rzymu. Wśród wielu spraw, które młodego zakonnika oblegały w wiecznym mieście, jedna wydawała mu się najciekawsza, najbardziej godna uwagi: sprawa odkrycia na nowo starożytności. Palmer od wczesnych lat czuł w sobie skłonność do studiów naukowych. Z tym pragnieniem przybył do Rzymu. Jego nauczyciele podsunęli mu myśl, że filozofia starożytna ujrzana oczami chrześcijanina jest najmocniejszym potwierdzeniem chrześcijaństwa, tego, które konsekwentnie, od piętnastu stuleci promieniowało z Rzymu. To odkrycie porwało go. By móc tę myśl rozwinąć w sobie i przekształcić twórczo, wstąpił do Towarzystwa Jezusowego. Z Towarzystwa rekrutowali się

nauczyciele i Hugh w tym młodym, lecz potężnym zgromadzeniu miał nadzieję znaleźć spokój do pracy i opiekę. Od najwcześniejszych lat czuł dotkliwie swoją samotność. Rodziców zabrakło, rodzina została na wyspie. Z właściwym młodości rozmachem ułożył sobie z góry całe swoje życie. Widział siebie zanurzonego aż po starość w dziełach Platona, Arystotelesa... Nie liczył się z jednym: z twardą wolą założyciela, który postawił posłuszeństwo nad wszystkie inne cnoty. Nagle jak grom spadł na Hugh'a rozkaz, który zniszczył od razu wszystkie plany...

Oderwał się od tych rozmyślań. Wstał, podszedł do miski z wodą. Zdjął sutannę. Umył się. Rozwiązawszy podróżną sakwę wyjął z niej czystą bieliznę. Stojąc przed lusterkiem, opartym o komin, wziął się do golenia. Nie mógł się przyzwyczaić do swojej twarzy, na której przełożeni kazali mu zapuścić modny zarost. Jasna, lekko kędzierzawa broda nadawała jej dziwnie wojowniczy wyraz. Gdzie się podział blady kleryk o zamyślonym spojrzeniu? Niechętnie wziął się do podgalań policzków, usiłując nie zniszczyć dzieła rzymskiego cyrulika.

Zajęty wertowanymi przez siebie dziełami, myśląc o książkach, które miał zamiar napisać, mało zwracał uwagi na wydarzenia polityczne. Była w tym także chęć odejścia od tego, co wydawało się ostatecznie stracone. Był jak człowiek, który pali za sobą okręt, na którym przyплыł na nowy ląd. Zresztą — co tam zostało? Wujka prawie nie pamiętał, zaledwie kilka razy otrzymał od niego list. Innych członków rodziny nawet nie znał. Odwieziono go na kontynent, gdy był dzieckiem. To, co było przedtem — pozostało w pamięci jak dokuczliwy sen. Trzeba żyć szerzej, tłumaczył sam sobie, żyć całym chrześcijaństwem. Przecież Rzym pełen był ludzi z rozmaitych krajów, którzy opuścili swoją ojczyznę i wcale nie mieli zamiaru do niej powracać.

To prawda, że inni studiujący w angielskim kolegium młodzi księża nie myśleli w ten

sposób. Chcieli powrotu, marzyli o nim. Żyli nadziejami, które zdawały się stwarzać wydarzenia polityczne. Wysłuchiwali z bijącym sercem wieści, przywożonych przez ludzi przyjeżdżających z wyspy. Potem słyszał, jak mówili między sobą: „Zmienia się, słyszeliście? Wszyscy tylko marzą, aby ktoś im pomógł do zrzucenia jarzma! Bulla przechodzi z rąk do rąk... Gdyby tylko Filip zechciał...!” Zamykał uszy na te szepty i odchodził do swojej pracy. Jego chłodno rozumujący umysł odrzucał myśl, że Hiszpania, uwikłana w nie kończącą się i kłopotliwą wojnę z Holandią, zechce wyruszyć na wyprawę przeciwko Anglii

— Dlaczego jesteś taki? — zapytał go kiedyś najbliższy przyjaciel w kolegium, ojciec Robert Southwell.

— Czy ja wiem? — Hugh wzruszył ramionami. Ale za chwilę z uśmiechem usiłował tłumaczyć:

— Widzisz, mnie się zdaje, że wasze nadzieje na wojnę są złudne. Oczywiście jest rzeczą bolesną, że Anglia ma zostać w rękach heretyków. Lecz Kościół jest wielką całością. Co traci w jednym miejscu, może odzyskać w drugim. Czyż nie jest powiedziane: „Gdy was prześladować będą w jednym mieście, uciekajcie do drugiego”? Uciekliśmy i kiedy już tu jesteśmy, powinniśmy wy tężyć wszystkie siły, aby wzbogacić swoją myśl i wiedzę... To wszystko może się pewnego dnia stać potrzebne. Właśnie dla Kościoła. Twoje wiersze także, Robercie... — położył przy jacielowi dłoń na ramieniu.

Ale Southwell nie wydawał się przekonany. Odpowiadał z lekceważącym ruchem ręki:

— Moje wiersze? Nic nie są warte... Wolałbym co innego: pojechać tam i zostać umęczony. Jak Champion...

Tymczasem Rzymem wstrząsnęła pewnego dnia wiadomość o skazaniu na śmierć królowej szkockiej. Tym razem już nie tylko studenci angielskiego kolegium mówili o tym, że szy

kuje się wojna. Do Rzymu przybył ksiądz Allen, energiczny twórca kolegium w Douay. Wszyscy prawie młodzi przyby sze z wyspy przechodzili przez tę uczelnię. Kończył ją także i Hugh. Allen dotychczas w swej pracy niewiele doznawał pomocy. Lecz teraz wszystko zmieniło się. Ojciec Święty przyjął go z niezmierną łaskawością. Zaledwie w parę dni po przyjeździe Allena rozeszła się wieść, że papież zamiano wał go kardynałem. Pewnego dnia nowy kardynał i ojciec Persons — przed kilku laty towarzysz wyprawy Campiona — zebrali wszystkich studentów kolegium i wyruszyli z nimi na wspólną pielgrzymkę do świeżo odkrytych za miastem katakumb. Z modlitwą na ustach, z pochodniami w rękach schodzili młodzi księża w ciemną głębię. Spadziste schody kończyły się ciasnym korytarzem. Wypełniała go dziwna, sucha woń niby spaleniżny i ciężka cisza, w której zamierał stukot kroków. W ścianach, po obu stronach korytarza, ciągnęły się piętrami wąskie nisze. Rzadko która była zamknięta kamienną płytą. Widać było kości ludzkie. Wędrowali między tymi grobami sprzed wieków pełni pobożnego wzruszenia. Dotarli do małej piwnicy, okrągłej, z malowidłami na ścianach. W środku stał kamienny stół. „Tu — począł mówić stłumionym głosem Persons — pierwsi chrześcijanie odprawiali mszę świętą. I teraz odprawimy ją także. Między grobami męczenników, którzy ponieśli śmierć za wiarę, pomodlimy się za luuzi, którzy i dziś cierpią za nią. I nie tylko wśród pogan. Także w krajach, które do niedawna były krajami najgoręcej chrześcijańskimi. W naszej ojczyźnie przede wszystkim, Wiecie, że tam byłem. Wiecie, że przebywałem tam razem z ojcem Campionem. Widziałem potem jego męczeńską śmierć... Sznur, którym go zduszono, przechowuję jako relikwię. Razem z nim umęczeni zostali i inni nasi bracia. Od tamtego czasu wielu nowych zginęło. Niesyta krwi grzesznica, nieprawnie nosząca tytuł królowej, niby apokaliptyczna Babilonia sroży się nad wiernymi. Ale niedługi już jej czas! Chcę wam powiedzieć wielką nowinę. Stało się to, czego niewątpliwie pragnęliście z całą

gorącością. Z postanowienia władz zakonnych i za pozwoleniem Ojca Świętego zostaliście powołani wszyscy na misję do Anglii. Pojedziecie tam! Pojedziecie tam, by móc zobaczyć dzień zwycięstwa. Bo równocześnie arcykatolicki król Hiszpanii wyrusza z potężnym wojskiem przeciwko krwawej Jezabel. *Zbliża się chwila, gdy z wylanej męczeńskiej krwi wyrośnie nowy posiew!* Ojcie Robercie — proszę, aby ojciec, który pierwszy jest przeznaczony do wyjazdu, odprawił teraz na tym pamiątkowym kamieniu Przenajświętszą Ofiarę..."

Southwell ubrany w czerwony ornat zbliżył się do kamiennego stołu. Miał łzy w oczach. Był poetą i bardziej niż inni potrafił się wzruszyć. Ale i wśród stłoczonych księży rozległo się łkanie. Szybkie oddechy mieszały się z szeptem modlitw. Tylko Hugh miał oczy suche. Także modlitwa przychodziła mu z trudem...

Te wspomnienia kazały mu wstać, podejść do kleczka, złożyć dłonie. Począł się modlić. Chciał podziękować za opiekę w długiej drodze, za to, że Opatrzność doprowadziła go aż tutaj. Lecz przede wszystkim prosił o pomoc. Pod pokrywką opanowania gorzał w nim ciągły bunt. Myślał: Czy nie byłoby lepiej, gdybym służył, jak chciałem służyć? Ale zgłuszał w sobie to pytanie. Wolno, starannie wymawiał słowa: „Anima Christi sanctifica me..." Na korytarzu zastukały pojedyncze kroki. Zapukano do drzwi. Jasnowłosa braciszka ze skrzyżowanymi pokornie na piersiach ramionami stanął w progu. Gładką łaciną zaprosił Hugh'a do refektarza.

— Dziękuję, bracie — odpowiedział. — Idę.

Tamten czekał na progu. Gdy Hugh przechodził obok niego, nagle nachylił się i pochwyciwszy jego rękę ucałował ją gorąco.

— Ależ! Co brat robi? — sprzeciwił się Palmer.

— Wybaczcie, ojcie — braciszka stał czerwony, z goreją cymi oczami. — Nie gniewajcie

się. Pozwólcie... Niech zaznam radości, że całuję dłoń tego, który idzie wylać krew dla naszego Zbawcy...

Refektarz pełen był zapachu kaszy i polewki piwnej. Ogólny posiłek już się skończył. Dwaj bracia w fartuchach zbierali naczynia i ścierali stoły. Przy końcu jednego z nich siedzieli ojciec Konstancy i superior. Gestem superior przywołał Hugh'a i wskazał mu miejsce obok siebie, a brat szafarz przyniósł zaraz miski. Zakonnicy powstali, odmówili modlitwę, po czym wzięli się do jedzenia. Ale superior nie mógł długo wytrzymać i po chwili zapytał Karszewskiego.

— Jak się podobał książę? Powiedzcie, ojcze.

— Rozmaicie: jednym więcej, drugim mniej. Wielu na rzeka, że jest zanadto cudzoziemcem. Także podobno skryty i mało dla otoczenia serdeczny...

— Jestem pewny, że nie będzie taki jak Francuz. Zawsze jagiellońska w nim krew.

— I to także mówią. Podobno królowa bardzo go kocha. Wyjechała mu naprzeciwko, swoim drogim Zyziem nazywa... .

— A wiary będzie bronił, jak myśli ojciec? Bo mówią, że król szwedzki na nowo popadł w luterskie błędy.

— Popadł, to prawda. Ale księcia wychowywał ojciec Warszewicki. Zobaczy ojciec superior, że będzie równie gorliwy jak król Stefan. W Krakowie otoczył się zaraz naszymi ojca mi, a ojca Piotra, jak mówiłem, chce wziąć na swego ka pelana.

— Chwała Bogu, chwała Bogu. Już to ojciec Piotr potrafi umocnić królewską wolę. Wielki z niego i żarliwy mówca. Serce ma tylko za miękkie dla ludzi... Sam słyszałem, jak głosił, że herezja jest zła, ale heretycy mogą być ludźmi poczciwymi. Ja tam, Boże odpuść, nie wierzę żadnemu! Wszyscy oni — lutrzy, kalwini, bracia czescy — tacy sami! Były tu przeciwko nim prawa na Mazowszu, były — westchnął — ale król Stefan za namową kanclerza zniósł je...

— 'Kanclerz też miewa miękkie serce. Lecz u ojca Piotra z miłosierdziem idzie w parze i rozum. Powiada nieraz, że największym wrogiem herezji jest sama herezja. I tłumaczy: będziecie z nimi walczyli, to się zatną. Lepiej zostawcie ich. Miłość im braterską pokazujcie. Niech zobaczą katolików takimi, jakimi powinni być. Lepiej mniej mówić o prawdziwej wierze, a tylko żyć tak, jak ona tego żąda. Wtedy żadna herezja nie utrzyma się. Nie może się utrzymać... Nieraz tak nam mówił. I powiadał, że bardzo błędzą Hiszpanie i Francuzi, gdy zabijają heretyków.

— Pewno, że błędzą. Nieludzka rzecz palić człowieka za to, że inaczej wierzy. Ale też krew się burzy, gdy różni dissidentes pierwsze stanowiska w Rzeczypospolitej biorą! Hugh w milczeniu przysłuchiwał się nieznanej sobie mowie. Domyślał się, o czym tamci rozmawiali. Jeszcze gdy był w Rzymie, rozeszła się tam wiadomość o śmierci polskiego króla, który umarł nagle, gdy szykował się do wielkiej wojennej wyprawy. Potem, już w czasie drogi, dochodziły go nowiny o sporach toczących się między kandydatami do korony polskiej. W Wiedniu narzekano, że arcyksiążę Maksymilian, którego polecał sam Ojciec Święty i który został powołany na tron *przez* grupę możnowładców, spotkał się z oporem szlachty. Wolała ona księcia szwedzkiego tylko dlatego, że wywodził się przez matkę z dynastii, która poprzednio panowała w Polsce. „W tym kraju — mówiono w Austrii — nigdy nie wiadomo, czego się można spodziewać. O sprawach korony decyduje cała masa szlachecka, a ona kieruje się jedynie swoimi gustami i fanaberiami. Przecież powinni pamiętać, że cesarstwo Habsburgów i Polskę łączy to, że mają wspólnego wroga — półksiężyc!”

Drzwi skrzypnęły, wszedł jeszcze jeden zakonnik. Był niemłody, lekko przygarbiony. Łysą po wierzchu czaszkę otaczały białym wieńcem przycięte krótko włosy. Podeszedł do stołu i jasne, o przekrwionych białkach oczy utkwiał w Hughu.

— Ojciec Jakub — powiedział superior podnosząc się z szacunkiem z ławy. Obaj przybyli także powstali.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł skłaniając się Bosgrave. Jego wzrok był ciągle utkwiony w Palmerze. — To jest pewno ten ojciec, który przybył z Rzymu?

— Właśnie — powiedział superior. — Rozmawiamy z nim po łacinie. Ale ojciec niech z nim mówi po waszemu. Będzie wam łatwiej.

Skłonił głowę dziękując za to pozwolenie. Ale zwróciwszy się do Hugh'a zapytał go po łacinie

— Chciałeś ze mną mówić?

— Tak, ojcze.

— Dobrze. Teraz siadaj i jedz. Potem, jeśli ojciec superior pozwoli, będziemy rozmawiali.

Posłusznie uczynił, jak mu kazano. Choć pochylony nad miską, czuł wciąż na sobie ciężący wzrok Bosgrave'a.

— Ależ oczywiście, nagadajcie się, ile chcecie — mówił superior. — Przecież go tu z Rzymu przysłali, aby zobaczył się z ojcem. Proszę go także wypytać, co słyhać w świecie. Pisze mi w liście ojciec Skarga, abym zatroszczył się o niego, a potem pomógł mu w dalszej drodze. Bo posyłają go do królestwa tej babilońskiej nierządniczy...

— Czy pozwoli ojciec, że póki dzień, zabiorę go na małą przechadzkę?

— Naturalnie! Niech ojciec czyni według swej woli. Idźcie, pospacerujcie. Potem możecie rozmawiać aż do nabożeństwa. Niech ojciec wyobrazi sobie — wziął Bosgrave'a za ramię — opowiada ojciec Konstanty, że książę Zygmunt upatrzył sobie ojca Piotra na kapelana.

— Mądry książę — powiedział Bosgrave. — Bystre ma oko. Znam przecież ojca Piotra, bo pod jego okiem nauki w Wilnie pobierałem.

— To ojciec — zapytał Karszewski — całe życie u nas, w Rzeczypospolitej?

— Prawie całe...

Gdy rozmawiali, Hugh jadł prędko. Łykając gorącą kaszą spoglądał od czasu do czasu na leżące na brzegu stołu dłonie Bosgrave'a. Były suche, półprzyniknięte, dłonie zakonnika, który trawi życie w celi. Nie widać było na nich śladów tego, czym, wydawało mu się, powinny były być naznaczone.

— Już jestem gotów, proszę ojca — powiedział odkładając łyżkę.

— Zjadłeś, ile trzeba?

— Zjadłem.

— Poproś ojca superiora, by ci pozwolił wstać. Superior jednak, nie czekając na odezwanie się Palmera, potrząsnął życzliwie ręką.

— *Ite, carissimi fratri* — rzekł — *ite*.

Opuścili refektarz. Idąc mrocznym korytarzem nie mówili nic. Tylko w pewnej chwili Hugh poczuł, jak sucha dłoń Bosgrave'a dotknęła jego ramienia dziwnie serdecznym gestem.

— Ale może jesteś zmęczony?

— Nie, ojcze.

— Widzisz, lubię się przejść po obiedzie. Dziś słońce, jak rzadko o tej porze. Idąc można także mówić.

— Chętnie pójdę.

— To idź, ubierz się w coś ciepłego. Tu nie Italia.

Brat odzwierny otworzył im furtę. Mijając prowadzące do kościoła drzwi przyklęknięli na progu. We wnętrzu było już mroczno, złote figury na ołtarzach oplatała szarość, że wyglądały jak przysypane popiołem. Czerwony ognek pełgał w lampce. Było cicho.

Przez grube mury nie przebijał się żaden hałas. Hughowi znów przeleciała przez głowę myśl, prędką i nieoczekiwana — jak tu jest człowiek daleko od spraw świata!

W ciasnym wąwozie ulicy nie było słońca. Żarzyło się ono jeszcze wysoko na ścianie katedry. Bosgrave w kozuszkę i w futrzanej czapie był całkiem niby jeden z tutejszych księży. Przechodzące dzieci powiedziały: „Niech będzie pochwalony” i zbliżywszy się pocałowały go w rękę, a on je pogładził po twarzach. Ale na Hugh'a patrzyły nieufnie.

Za rogiem skręcili i wyszli poza mury miejskie. Rozległy plac za bramą był pusty. Gdy Hugh przechodził tędy rano, stała tu cała ciżba wozów chłopskich. Odbывał się targ.

Obecnie po wozach zostały tylko kupy nawozu i pasma rozsypanej słomy. Głęboko rozryta przez koła droga prowadziła w dół między murem zamkowym a ścianami dwóch przytulonych do siebie kościołów. Bosgrave szedł szybko. Ledwo minęli zakręt, zobaczyli rzekę płynącą w dole. Była szeroko rozlana, jasnobura. Blask słońca ślizgał się po jej gładkiej powierzchni. Z tej strony podchodziła blisko pod wysoki brzeg* Po drugiej, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się łęgi porośnięte szarymi, bezlistnymi krzewami.

Ciągle bez słowa schodzili w dół. Dopiero gdy znaleźli się nad samym brzegiem i poczęli iść wzdłuż niego, Bosgrave zwolnił kroku. Miasto wisiało nad nimi, pod blask słońca, ciemnym zarysem spadzistych dachów. Dalej wysoka skarpa obniżała się. W tym miejscu biegł przez rzekę most, wzmocniony drewnianymi kratami.

— Więc jedziesz? — zapytał nagle Bosgrave.

— Tak. Najczcigodniejszy ojciec generał wydał polecenie, by wszyscy bracia pochodzenia angielskiego mający święce nie jechali na pracę do kraju...

— Wszyscy? — powtórzył. W głosie starego zakonnika był niby lekki ton melancholii. — Dawniej tak nie bywało. Wy syłano tylko niektórych. Lecz dlaczego jadąc do Anglii zaję chęć tutaj? Królestwo polskie nie leży na drodze.

— Taka była wola ojca generała. Poleciał mi, bym się zoba czył z ojcem.

— Kazano ci coś mnie powiedzieć?

— Nie. Kazano mi wysłuchać tego, co ojciec powie.

— Co ja powiem? — powtórzył jakby z niedowierzaniem. — Jesteś pierwszym, którego przysłali. Jesteś w ogóle pierw szym... Myślałem, że zapomniano o mnie...

Angielszczyzna Bosgrave'a brzmiała twardo. Raziła nawet ucho Hugh'a, który żyjąc poza krajem, nawykł do nieporadnej wymowy cudzoziemców. Słyszał, że to właśnie ona zdradziła Bosgrave'a, gdy pojechał do Anglii.

— Skąd pochodzisz? — zapytał znowu starszy.

— Z North Riding.

— Znam. Twój były w powstaniu?

— Ojciec walczył przy lordzie Dacre. Zginął.

— Byłeś wtedy dzieckiem?

— Małym chłopcem. Matka uciekła ze mną. Rozeszła się wieść, że lord Cecil każe odbierać synów rodzinom buntowni ków...

— Wiem.

— Nie przetrzymała trudów. Mnie odwieziono do|jej brata, a on odesłał mnie na kontynent.

— Później Douay, Rzym...?

— Tak.

— Wydeptana ścieżka. A co potem?

— Myślałem, proszę ojca, o pracy naukowej. Chciałem się oddać badaniom nad starożytną wiedzą. W dziełach antycz nych filozofów tyle, wydaje mi się, przebłyskuje naturalnego chrześcijaństwa...

— Zamiast tego kazano ci jechać?

— Tak.

Chwilę szli bez słowa. Stary zakonnik zdawał się nad czymś zastanawiać. W końcu powiedział:

— Wciąż nie mogę pojąć, dlaczego cię tu do mnie przy słano.

— Ten pomysł, proszę ojca, wyszedł od księdza kardynała.

— Mówisz o księdzu Allenie?

— Tak. On pierwszy powiedział, że ojciec mógłby mi udzielić pewnych wiadomości. Przecież ojciec przebywał tam, był skazany, siedział w więzieniu...

Poczuł na sobie przenikliwy wzrok Bosgrave'a. Stary zakonnik miał mocno zmarszczone brwi.

— To wszystko prawda — powiedział. — Byłem tam. Wię ziono mnie. Przeszedłem tortury.

Ale kiedy oczekiwałem, że mnie zawleką na Tyburn, przyszło nieoczekiwane uwolnienie...

Od tego jednak czasu minęło kilka lat...

— Mimo to ksiądz kardynał chciał, abym usłyszał, co mi ojciec powie.

Bosgrave znowu zamilkł na czas jakiś. Szedł ze zwieszoną głową, z założonymi z tyłu rękami. Hugh nie odzywał się także, aż usłyszał pytanie:

— Kiedy chcesz jechać?

— Jak najprędzej.

— A jak wyobrażasz sobie dalszą drogę?

— Ojciec Skarga bardzo mi pomógł. W Krakowie podczas uroczystości powitania młodego księcia wyszukał na dworze podskarbiego pruskiego i poprosił go o pomoc dla mnie. To rycerz bardzo życzliwy Towarzystwu. Kuzyn owego brata Stanisława, który zmarł w Rzymie in odore sanctitatis. Obiecał, że znajdzie dla mnie miejsce na królewskim okręcie, które mnie dowiezie do Danii. Stamtąd już podobno bez trudu można się dostać do Anglii.

— Może to i dobrze, że przybędziesz ze strony, z której nikt się misjonarzy nie spodziewa. Czy ci mówiono, jak tam jest?

— Owszem, wiele razy. Mówił ojciec Persons, mówili lu dzie, którzy stamtąd przyjeżdżali. Ale...

Poczuł na sobie wzrok Bosgrave'a.

— Ale co?

Zrobił zakłopotany gest.

— Nie wiem doprawdy, jak mam ojcu odpowiedzieć. My ślę, że wina tkwi we mnie. Zbyt gorąco chciałem czego in nego...

— Nauki?

— Tak. Sądziłem, że przez nią mogę być bardziej po trzebny...

— Nie chciałeś jechać?

— Nie wydaje mi... Nie wydawało mi się, żeby to było potrzebne...

— Dlaczego?

— Jeśli tam jest tak, jak mówią, że jest, to trzeba naj pierw zwyciężyć ziemskim orężem tych, którzy przywłaszczyli sobie władzę, a potem dopiero myśleć o nawracaniu!

— Wiesz jednak chyba, że naszym zadaniem jest nawra cać, nie walczyć.

— Naszym — tak. Ale jeśli przybywamy tam, by natych miast zostać schwytani i zabici, bez możliwości uczynienia cze gokolwiek, to...

— Rozumiem cię. Wydaje ci się, że każdy, który tam po pływie, musi zginąć, zanim zdoła cokolwiek dla wiary uczy nić. A jednak Champion trwał więcej niż rok.

— Podobno jest obecnie gorzej. Pojmuję sens męczeństwa. Ale czy pójdzie na pewną śmierć tylko po to, by ją ponieść, nie zniekształca samej idei męczeństwa? Nie wiem...

Przy sięgnęłam posłuszeństwo i uczynię wszystko, co mi każą, ale...

— To dobrze. Właściwie powinienem ci przypomnieć, że i takie posłuszeństwo wystarczy. Bądźmy przynajmniej jak martwe ciała, które niesie woda. Ale wydaje mi się, że rozu miem trochę twoje wątpliwości... Czyżby to dla nich przysłali cię do mnie?

— Nie wiem, proszę ojca...

— I ja nie wiem. Bóg czyni czasami dziwne rzeczy. Dobrze, trzeba nam będzie do tych spraw wrócić. Lecz teraz powiedz mi co innego: co słyhać w świecie? Czy wojna nieunikniona?

— W Rzymie mówiono o niej jako o rzeczy nieuniknionej. Ojciec Persons wróciwszy z Yaladolid opowiadał, że w Hiszpanii buduje się flotę, jakiej jeszcze nie było. Ale odkąd wyjechałem z Rzymu, nic więcej nie wiem. Tu wszyscy zajęci albo sprawą nowego króla, albo groźbą turecką.

— To prawda. Mimo to i do nas doszło trochę wieści. Tak, wygląda na to, że nic już nie powstrzyma wojny. Lecz po wiedz mi: co o tej wojnie myśli się w Rzymie?

— Hiszpanie są największą potęgą na świecie. To mocarstwo, w którym nie zachodzi słońce. Flota hiszpańska rozgromiła Turków pod Lepanto. Gdy przyplynie do brzegów Anglii, nic się jej nie oprze. A kiedy wojska hiszpańskie wyładują, cały kraj porwie się do walki.

— Przeciwno komu?

Zaskoczony tym pytaniem spojrział na starego zakonnika. Bosgrave miał twarz czerwoną od zimnego wiatru, jaki za-

wiewał od rzeki. Oczy, ukryte w workach powiek, patrzyły w przestrzeń. Suche, pozbawione prawie warg usta miał zaciśnięte.

— Oczywiście przeciwko Elżbiecie i jej rządowi... Mówiąc patrzył na Bosgrave'a, Ale on spoglądał gdzieś daleko przed siebie.

Nagle po suchych policzkach zakonnika przeniknął błysk. Zatrzymał się. Zapytał, a w jego głosie zadźwięczał niepokój:

— Chyba nie wysyłają was tam po to, byście próbowali wywołać nowe powstanie?

— Nie! Udział w jakichkolwiek spiskach jest surowo za kazany. Mówiono nam nawet, byśmy nie wspominali o bulli Ojca Świętego. Nie obowiązuje ona na wyspie, póki nie ma warunków jej ogłoszenia...

Przytakiwał ruchem głowy słowom Hugh'a. Przypominał nauczyciela, który słucha wydawanej lekcji. Gdy Hugh skończył, ruszył powoli w dalszą drogę. Mruknął cicho:

— Nic się nie zmieniło...

Byli teraz na drodze, która prowadziła od mostu w górę, z powrotem ku miastu. Słońce zapadało coraz niżej, dachy i za wieżę kościoła sterczącą niby czworokątna baszta. Droga weszła między domy. Dostatnie, murowane dworki ginęły w masie nędznych, drewnianych bud. Mijali ludzi, którzy dźwigali na nosiłkach wiadra z wodą. Przejechał konny poczet rycerski.

— Nie sądzisz chyba, że będzie ci tam łatwo? — zapytał nagle stary zakonnik.

Hugh podniósł na niego wzrok.

— Nie — zapewnił. — Przeciwnie. Jestem pewny, że za ledwie tam przyjadę, zostanę schwyty. To jest wyprawa po szybką śmierć.

Bosgrave uczynił ręką niecierpliwy gest.

— Nie powinieneś tak myśleć. Śmierć... Śmierć wszędzie na nas czyha. I tam, i tu...

Mniej myśl o niej. Jeśli mówię, że nie będzie ci łatwo, to dlatego, że przyjdą tam do ciebie ludzie z pytaniami. Z pytaniami, od których bieleją włosy. A ty będziesz im musiał odpowiadać... Rozumiesz?

Kiwnął głową, lecz nie powiedział nic. Zresztą Bosgrave nie zdawał się oczekiwać

niczego więcej. Hugh miał dziwne uczucie, że wraz z zachodzącym szarym zmierzchem zsuwa się na jego serce bolesny ciężar. Dźwigał go od dawna, od tamtej chwili w katakumbach. Ale tliła się w nim także iskra nadziei, że po to wysłali go tą okrężną, daleką drogą, by usłyszał coś, co ten ciężar zdejmie mu z serca, a przynajmniej umniejszą. Jednak słowa, które mu mówił Bosgrave, nie były pociechą. Poczł gorycz: więc po co objeżdżał pół Europy? Iskra zgasła. Wiedział znowu jedno: oderwano go od wszystkiego, co wydawało mu się słuszne, i skazano na śmierć, której celu nie rozumiał!

Zmierzchało się coraz bardziej. Od rzeki ciągnęło chłodem. Słoneczny dzień dopalał się na wieżycach baszty, wznoszącej się nad bramą w murach miejskich.

— Na pewno zmarłeś — powiedział Bosgrave. — Wra cajmy.

Minęli bramę i szli spiesznie uliczką, wiodącą ku rynkowi. Skrzypiąc, kiwały się nad ich głowami żelazne wywieszki kupieckie. Na kamienicy narożnej, przed znajdującą się we wnętrzu figurą, jakiś człowiek, stojący na drabinie, zapalał kaganek. Wąska uliczka wyprowadziła ich na rynek. Środek placu zawałał ciężki masyw ratusza. Minęło ich dwóch szlachciców w płaszczach z wielkimi, futrzanymi kołnierzami. Jeden z nich idąc wspierał się na czekaniku. Unieśli grzecznie czapek — i zaraz weszli na kamienne schodki, które, widać, prowadziły do gospody, bo z otwartych drzwi buchnęło na ulicę zapachem grzanego wina, śpiewem i muzyką.

Znowu znaleźli się w uliczce, z której wyszli. W zagęszczającej się ćmie świeże mury ich kościoła odbijały od czarnej ściany katedry. Sień rozświetlał tłący się przed furką kaganek.

Mijając zamknięte kratą drzwi uklękli na progu. Wnętrze było jedną czernią, w której migotała czerwona gwiazdka. Bosgrave schylił głowę. Ukrył twarz w dłoniach i modlił się.

Wstawszy powiedział:

— A teraz chodź do mnie.

Cela była taka sama jak jego — mała i niska. Sklepienie zdawało się przytłaczać.

Kominek przygasł, ale w białej kupce popiołu tliły się jeszcze iskry. Bosgrave ukląkł i żelaznym hakiem począł przegarniać popiół.

— Ojciec pozwoli — chciał mu pomóc.

— Daj spokój. Nie znasz się na tym. — Ułożył na rozgrze banym popiele kilka szczapek drzewa. Uśmiechając się po wstał. Rzekł: — Kiedy już tam będziesz, nauczysz się. W Anglii wszędzie zaczynają stawiać kominki. Kraj staje się zasobny we wszystko.

— Mówiono nam o tym. Ale powiadano także, że to wszy stko...

Przerwał gestem obu rąk.

— Wiem! Są tacy, którzy wyobrażają sobie, że najlepszym sposobem okazania wrogości jest mówienie źle o przeciwni ku. Źle i nieprawdę. Musisz wiedzieć, że Anglia stała się naprawdę krajem bogatym. To nie znaczy wcale, że tam nie ma nędzarzy. Ci, którzy dostali dużo, chcą mieć zawsze jeszcze więcej. Najłatwiej jest uwierzyć Kalwinowi, że bogactwo jest błogosławieństwem Bożym. Ale siądź.

Wskazał Hughowi zydel. Sam usiadł na drugim. Siedzieli w półmroku bez słowa. Ogień wysuwał się wolno spod popiołu. Był niby drapieznik, który na miękkich łapach zbliża się do swej ofiary i zanim się na nią rzuci, obwąchuje ją ze wszystkich stron.

— Więc mówiłeś — odezwał się Bosgrave — że chciałeś pracować naukowo? Pociągała cię wiedza starożytnych filo zofów?

— Tak.

— A mimo to wysłano cię?

— Taka była wola ojca generała. Powiedział nam, że przy szedł czas, iż trzeba wszystko porzucić, a jednemu poświęcić życie.

— I po to, abyś się upewnił, że tak właśnie trzeba, przyślano cię do mnie?

Płomyki ognia to obejmowały drzewo, to znowu chowały się w popiele. Twarze zakonników co chwilę łykał mrok.

— Tak. Tak to pojąłem...

Stary zakonnik zaśmiał się sucho, bez wesołości.

— Ktoś musiał popełnić omyłkę. Albo... — Ogień rozпалиł się wreszcie. Trzaskał 1 huczał.

Bosgrave wyciągnął przed siebie nogi. Patrzył w czubki butów. — Posłuchaj — rzekł. —

Gdy przed dziesięciu laty powstał projekt, by wysłać misjo narzy do Anglii, napisano do mnie. Siedziałem wtedy w Wil nie i ani mi w głowie postało, że zobaczą jeszcze kiedyś zie

mię ojczystą. Zżyłem się zresztą z ludźmi tutaj... Ale kiedy otrzymałem wezwanie —

popłynąłem. To było jeszcze wcze śniej, zanim popłynął Champion, zanim wybuchło

powstanie na północy i zanim została ogłoszona bulla przeciwko Elżbie cie. Nie było

jeszcze wielkich prześladowań. Tylko surowe przepisy, które zresztą nie zawsze

stosowano. W Rzymie przypuszczano, że postępowanie Elżbiety może się jeszcze od-

mienić. Więc, jak ci mówiłem, popłynąłem. Ledwo tam wylądowałem, poznano mnie od razu.

Znalazłem się w więzieniu. Nie było ono zbyt surowe. Co pewien czas wzywano mnie na

przesłuchanie. Dopytywano się, po co przyjechałem. Zapewniałem, że mój przyjazd nie ma

na celu żadnych spisków, że mam jedynie służyć tym, którzy pozostali wierni wierze

rzymskiej. Starano mi się wytłumaczyć, że między wiarą rzymską a wiarą, która istnieje w

Anglii, nie ma żadnych różnic. Zaproponowano mi, że mnie zwolnią, jeśli zgodzę się pójść

kilka razy na ich nabożeństwa, aby naocznie przekonać się, że tak jest, jak oni mówią.

Zgodziłem się. Rozumiałem moją zgodę w ten sposób, że pójść mogę, choć wiem z góry,

że mnie nie zdołają przekonać. Widzisz — przyjechałem stąd. Tu jest inaczej. Tu żyją obok

siebie katolicy, lutrzy, prawosławni, żydzi. Można pójść do zboru lub synagogi zobaczyć, jak

się tamci modłą. Idzie się z ciekawości, a nie po *to*, by przyjmować obcą wiarę. Ale tam jest inaczej. Tam wszystko jest jedną raną. Gdy mnie zwolniono, a ja poszedłem do anglikańskiej świątyni — katolicy oddalili się ode mnie i poczęli się przede mną kryć. Uznali mnie za zdrajcę... Urwał. Jedna ze szczap, widać wilgotna, zaskwierczała jak żywa istota. Bosgrave milczał chwilę. Miał oczy przymknięte, głowę przechyloną na bok, dłonie splecione.

— Potem przyjechali Champion i Persons. Ten ostatni był zamianowany przez generała superiorem na Anglię. Zebrał księży, katolików i wyraźnie postawił sprawę: nie wolno chodzić na anglikańskie nabożeństwa. Kto tak czyni, choćby tylko dla ciekawości lub dla uchylenia się od kary, jest schi- zmatykiem. Mnie wyznaczył pokutę. Kazał publicznie obwinie się za to, co uczyniłem. Z jego polecenia napisałem list do władz. Oświadczyłem w nim, że popełniłem błąd i że zrozumiawszy go, odrzucam jakikolwiek kontakt z przedstawicielami anglikańskiego wyznania. Od tej chwili byłem znowu poszukiwany. Schwymano mnie po raz drugi. Trafiłem do więzienia. Znalazłem się w nim razem z Championem, Sherwinem, Poundem, Briantem...

Odchrząknął kilka razy.

— W tamtej sprawie na pewno postąpiłem źle, lekkomyślnie. Zgorszyłem ludzi. Bo ich karami zmusza się, by brali udział w nabożeństwach anglikańskich... Ale nie miałem złych intencji. Myślałem: wielu zmieniło wiarę nawet tego nie do strzegając... Mówię o ludziach prostych. Skąd oni mogli wiezieć, że msza, która odprawia się prawie tak samo jak msza prawdziwa, już nią nie jest? Było mi ich żal... Wydawało mi się, jakbym ich wydawał w ręce wroga... Chciałem być z nimi... Ojciec Persons tłumaczył tak, jak nauczał nasz święty założyciel, że gdy nie można zdobyć wszystkich, trzeba zdobywać przede wszystkim tych, którzy mają władzę i znaczenie... A zgniłe członki odcinać. Gdy się odcina rękę — boli. Ale kiedy się odcina człowieka — boli jeszcze więcej... A ludzie odchodzili masami. Jedni dlatego,

że nie rozumieli; inni dlatego, że w nowej wierze było łatwiej. Także rozeszła się wieść, że papież razem z królem hiszpańskim wysłali wojsko do Irlandii, a potem, gdy tam zwyciężą, wyślą wojsko do Anglii. I znowu wrócą rządy hiszpańskie... Ludzie w Anglii wspominają źle tamte czasy. Pragnąłem tłumaczyć, że czym innym są Hiszpanie, a czym innym Ojciec Święty... Ale wziąłem się do tego niewłaściwie. Gdy trafiłem do więzienia, i ja, i tamci uważani byliśmy na równi za hiszpańskich szpiegów. Torturowano nas. Campiona najbardziej. Jego przede wszystkim... Potem zawlekli ich na Tyburn...

Opuścił nisko głowę. W blasku drgającego na kominku ognia widać było lśniąca strugę, która spłynęła po policzku zakonnika.

— Mnie to nie było dane — podjął po chwili ciszy. — Pewnego dnia zaprowadzono mnie na rozmowę do prokuratora Pophama. Przyjął mnie złośliwym uśmiechem. „Król polski wyprosił ci życie — rzekł. — Udało ci się, odjeżdżaj. Ciekawy tylko jestem, co będziesz mówił, gdy się już znajdziesz wśród swoich. Czy to samo, co nam mówiłeś? Czy da lej będziesz twierdził, że(co innego papież, a co innego Filip?”

Ogień strawił drzewo, zamienił grube polana w ezerwo-nozłote kostki, te zaś rozsypywały się i czerniały. Leżący na posadzce czerwony język blasku począł się kurczyć.

— Wróciłem więc cało na kontynent — mówił dalej Bosgrave. — Witano mnie radośnie; opowiadano, choć prosiłem, ab"y tego nie mówili, o moim bohaterstwie, o moich cierpieniach... Chciano mnie obwozić po całej Europie. Ale ja nie chciałem mówić inaczej jak w więzieniu. Ciągle myślałem o tym, co mi powiedział Popham... Powtarzałem: co innego Ojciec Święty, co innego król hiszpański... To się nie podo bało... Czułem to. Poprosiłem, aby mi pozwolono wrócić do Polski. Otrzymałem zgodę i wróciłem. Nie dojechałem do Rzymu, nie widziałem nikogo z naszych. Nikogo do mnie nie pr/ysyłano, o nic nie pytano... Dopiero ciebie...

Zapadła cisza. Ogień już nie trzaskał, tylko mruczał cicho, niby drzemiący kot.

— A jednak — powiedział Hugh — jeśli Hiszpanie nie przyjdą i nie zwyciężą, próżna jest nasza ofiara...

— Próżna? — Bosgrave, który wypowiedziawszy ostatnie słowa siedział skulony i jakby złamany, wyprostował się. Końcem buta dotknął kupki zachodzącego białym nalotem popiołu. — Ja też tak myślałem — rzekł cicho. — Ale Cam- pion... — urwał, zaczął na nowo: — Spójrz na ten popiół. Gdyśmy przyszli, zdawał się wygasły. Poruszyłem go i ożył. Teraz znowu przygasł. Lecz rzuć mu kawał drzewa, które by mógł pochłonać, a zapłonie znowu.

— Lecz w końcu drzewa zabraknie...

— Nie może go zabraknąć! Ono jest ważne — nie nasze pewniki, nie nasze przekonania. Myślałem: wyrzekli się mnie... A oni przysłali mi ciebie... Nie ma irzeczy zmarnowa nych...

Schylił się. Przeorał hakiem palenisko, aż rozbudzony żar począł na nowo pulsować. Rzucił w czerwień kilka szczap.

— Jest we wszystkim sens... — dorzucił. — Przekonasz się o tym, gdy tam przypląniesz.

Pamiętaj tylko: nic sobie z gó ry nie układaj. Najpierw patrz. Wielu ludziom tutaj wydaje się, że zmiany, jakie się dokonały w Anglii, są niby strzała tkwiąca w ciele. Wyjmiesz strzałę — rana się zablizni. Nie prawda. Tam codziennie rosną nowe pokolenia. Tam codzien nie życie wygląda inaczej. Zanim zaczniesz działać, musisz je poznać...

Na korytarzu rozległo się dzwonienie. Bosgrave urwał. Uniósł głowę, zmarszczył czoło.

Zdawał się zastanawiać nad przyczyną tego hałasu. Potem lekki uśmiech przewinął się po jego wargach.

— Czas zbiegł szybko... — powiedział. — Teraz idziemy do kaplicy. Jutro wrócimy do

naszej rozmowy.

— Jeśli tylko ona nie męczy zbytńio ojca...

— Żartujesz. Cieszę się, że mogę mówić. W ciągu tych lat nosiłem niby ciężar...

Szli ku drzwiom, gdy nagle Bosgrave zatrzymał się i położył Hughowi dłoń na ramieniu.

— Czy masz intencję na jutrzejszą mszę świętą?

— Nie.

— W takim razie odpraw ją za duszę Campiona. On jest męczennikiem i na pewno cieszy się już w niebie wieczystą chwałą. Ale mnie się czasami wydaje, że kiedy modlimy się za tych, którzy naszych modlitw nie potrzebują, to tak, jak byśmy ich przywoływali.

Zawołaj na niego! Niech ci powie... Odprawisz w tej intencji?

— Odprawię, ojcze — rzekł schylając się do ręki starego zakonnika.

Od wybitego kamieniami wybrzeża odchodził w mrok drewniany pomost. Gdy na niego weszli, poczuł, jak deski uginają się elastycznie pod stopami. Z ciemności wynurzył się strażnik okutany w kozuch, w hełmie wciśniętym na oczy, wsparty na halabardzie. Ale mały marynarz coś do niego powiedział i tamten bez słowa odsunął się na bok, by ich przepuścić. Noc była ciemna i wietrzna. Na niebie okrytym kłębiącymi się cfinurami nie było widać gwiazd. Na końcu niewidocznego mola migotała latarnia morska. Blask od niej padał na czarną wodę i drżał na niej. Latarnia, którą niósł mały marynarz, rzucała niepewną smugę światła na jego krzywe nogi. Pod pomostem targało się morze. Uderzało o pale, jakby je chciało wyrwać. Po każdym wstrząsie słychać było szuich ściekającej wody.' Czasami ponad pomost wytryskiwała fontanna, podobna do pojawiającej się nagle jasnej postaci. Choć wzrok nie mógł przebić ciemności, czuło się szeroko rozwartą, rozdygotaną wiatrem przestrzeń. Idąc za swoim przewodnikiem Hugh oddychał pełną piersią. Mocno wciągał powietrze w płuca. Działo ono na niego kojąco. Także serce wracało do zwykłego rytmu. Gdy obudzono go w nocy, jakby jakieś kleszcze ścisnęły mu gardło. Trzęsło go zimno, po ciele biegały mrówki niepokoju. Dopiero na tym drgającym pod nogami pomoście odzyskał panowanie nad sobą.

Nad ramieniem marynarza zobaczył majaczący blask. Z mroku wystąpiły zarysy masztów, rei, lin. Statek stał przyciśnięty burtą do pomostu. Wydawał się bardzo mały. Na czubie sterczał ukośny drąg bukszprytu. Pod nim widać było wynurzoną do pół ciała kobiecą postać. Zdawała się opierać złotymi piersiami o deski pomostu. Na śródokręciu paliła się latarnia, niby ukryte wśród drzew ognisko. Przy burcie stał wartownik w grubym tułubie, z nagim pałaszem zatkniętym za pas. Spokojnie położył dłoń na rękojeści i rzucił jakieś pytanie. Mały marynarz odpowiedział. Ale tamten pytał dalej. W ciągu swego pobytu w

Krakowie, Warszawie i Brunsberdze Hugh oswoił się nieco z językiem polskim. Mimo to nie mógł zrozumieć ani pytań tamtego, ani dawanych odpowiedzi.

Rozmowa przeciągała się. W końcu strażnik wystąpił poza burzę. Wziął latarnię z ręki małego i podniósł ją w górę. Przez chwilę przyglądał się uważnie Palmerowi. Ciemny płaszcz, spod którego sterczała rurkowana kreza, kapelusz, haftowane rękawice, wynurzająca się z fałd płaszcza głownia rapieru — wszystko to obudziło widać jego zaufanie, bo mruknął zezwalające. Mały odebrał mu latarnię i skinął na Hugh'a, by szedł za nim.

Statek był małą, dwumasztową pinką. Po pokładzie trzeba było stąpać ostrożnie, by się nie potknąć na zwojach lin i łańcuchach. Nad wyszorowanymi deskami unosił się zapach farb i oleju. Przewodnik doprowadził Hugh'a do ciężkich, okutych drzwi. Zastukał. Energiczny głos odkrzyknął z wewnątrz:

— Właź!

Pośrodku kajuty stał stół. Na nim leżała rozwinięta mapa, a obok walały się w nieładzie busola, luneta, pistolety. Dwie grube świece paliły się w lichtarzu.

Za stołem stał mężczyzna z nogą opartą na zydlu. Miał pochyloną głowę, gdyż przyglądał się czemuś na mapie. Po chwili dopiero podniósł wzrok na stojących w progu. Trudno było określić jego wiek: na pierwszy rzut oka wydawał się młody i dopiero po chwili można było spostrzec, że jasne włosy przetkane były siwizną. Twarz była dzika i groźna. Oczy poprzez wąską szparę powiek patrzyły drapieźnie. Spod płowych wąsów błyskały wilcze zęby. Lewy policzek naznaczony był siną blizną, która zaczynała się nad ustami, a gubiła za uchem.

Oslaniając dłonią oczy ód światła patrzył na Hugh'a. Potem rzekł złą angielszczyzną, przemieszaną ze słowami niemieckimi:

— Ach, to pan? To jest ojciec, tak? Schoen. — Machnięciem ręki kazał wyjść małemu i

zamknąć za sobą drzwi. — Niech ojciec siada... — Kopnięciem przepchnął pod stołem zydę, na którym poprzednio trzymał nogę.

— Dziękuję. — Hugh usiadł sztywno wyprostowany. Ubiór, który miał na sobie, choć się starał do niego przyzwyczaić, był mu wciąż obcy i kazał o sobie ustawicznie pamiętać.

Zwłaszcza drażniła go opierająca się o policzki kreza. — Czy mam zaszczyt z kapitanem?

— To ja, Brycht. — Nad stołem wyciągnął rękę. Uścisnął dłoń Hugh'a tak mocno, że zakonnik mało nie krzyknął. Sam nie usiadł. Stał z rękami w kieszeniach. Choć w kajucie nie było wcale gorąco, miał na sobie tylko koszulę z czerwonego, połyskującego jedwabiu, głęboko rozpiętą. Gdy się schylał, widać było wypukłą pierś, pokrytą gęstym włosiem. — Ojciec nazywa się Palmer, nie? — zapytał.

— Hugh Palmer. Takie jest moje imię. Może by jednak było lepiej, kapitanie, aby nie mówił pan do mnie ojcie. Mu sę się kryć...

— Wiem. Dlatego posłałem po ojca w nocy. Po porcie krę cą się Anglicy z tych, którzy pracują w faktorii Prussia Company. Na pewno kazano im śledzić i donosić. Ale na pokładzie jest ojciec całkiem bezpieczny.

— Załoga pewna?

— Jeżeli chodzi o trzymanie języka za zębami — najpe wniejsza.

— Wszyscy katolicy? Wybuchnął grubym śmiechem.

— O religię to niech się ich lepiej ojciec nie pyta. Jeżeli wierzą, to w to... — Podniósł rękę, obrośniętą jasnym włosiem i potrząsnął pięścią. — Ale posłuch mają. Wiedzą, że gdyby który zdradził, zadynda na rei albo pójdzie na lince w morze. Zresztą nie zdradzą.

Dla każdego z nich tyle bez pieczeństwa, co na statku. — Rozkraczył się, mocno uderzył się dłonią w pierś. — Ja wziąłem odpowiedzialność za bez pieczeństwo ojca. Pan podskarbi prosił mnie o to, a jak on prosi, to tak musi być... Dojedzie ojciec cało do

Kopenhagi, chyba że wszyscy pójdziemy dorszom na strawę.

— Dziękuję...

— Nie ma co ojciec dziękować. Robię to dla pana podskar biego. Dla innych nie zrobiłbym.

My, kapry, nikomu nie słu żymy!

— Myślałem, kapitanie — powiedział zdziwiony — że je stem na okręcie królewskim...

Błysnął spojrzeniem jakby nagle czymś rozgniewany. Usta skrzywiły się ironicznie.

— Królewskich okrętów próżno szukać! — burknął. — Owszem, królewska bandera wisi u mnie na maszcie. Ale czy wisi, czy nie — żadnej różnicy! Gdy przyjdzie spotkać się na morzu z przeciwnikiem, trzeba na siebie liczyć, nie na króla. Także ten list, który mi dali — lekceważąco wskazał na żółty kawał pergaminu ze zwisającą z niego pieczęcią — niewiele by nas ustrzegł, choć go pisał sam biskup Goślicki...

Nie było to łatwe do pojęcia.

Hugh zapytał:

— Kiedy odpłyniemy?

— Chciałbym jutro, jeśli tylko wiatr będzie pomyślny. Za raz o świcie wyślę człowieka po rzeczy ojca. A ojciec, póki jesteśmy w porcie, niech nosa z kajuty nie wytyka.

— Zastosuję się do pańskiego rozkazu, kapitanie.

— Hę, hę, hę! — zaśmiał się zjadliwie. — Warn księżom niełatwo słuchać rozkazów takich, co nie mają tonsury na łbie. Angielska królowa zrobiła z siebie papieżycę, to płynie ojciec, aby przeciwko niej buntować...

— Nie jadę nikogo buntować!

— A niech ojciec jedzie, po co chce! Nic mnie to nie ob chodzi.

Obrócił się. Sięgnął do małej, inkrustowanej perłową masą szafeczki, która stała w kącie.

Postawił najpierw przed Hu-gkiem i przed sobą srebrne kielichy o pięknie wyrznanym

deseniu odtwarzającym kształt małych muszelek. Potem z dzbana, równie artystycznie rytego, nalał do kielichów.

— Za pomyślną żeglugę! — rzekł.

— Jestem zakonnikiem. — Hugh mówił z godnością, a za razem z lekkim zniecierpliwieniem. Ten człowiek drażnił go i odpychał swą dziką powierzchownością. Był zaskoczony, że powierzono go komuś takiemu.

Brycht parsknął śmiechem.

— W tej krezie? Z rapierem? Bzdury! Co było zakonnikiem, zostało na brzegu u ojczulków. Teraz musi ojciec żyć inaczej. Pić, w kości grać, z różnymi dziewczynami się bawić...

— Nie, kapitanie! — poderwał się dotknięty brutalnością słów tamtego.

— Ale tak! — niski głos Brychta zadźwięczał twardo. — Niech ojciec pije! Nie odpłyniemy, jeśli ojciec nie wypije tego kielicha do dna!

— Nie będę pił!

— A ja mówię, że ojciec musi wypić! — Pochylił się przez stół i zbliżył do twarzy Hugh'a swą dziką twarz. — Co za gadanie? Niech ojciec pije! No!

Chwył jezuیتę za rękę i strasznym uściskiem zmusił do zamknięcia palca na nóżce kielicha. Hugh tak był zaskoczony jego zachowaniem, że nie śmiał stawiać dłużej oporu.

Z niechęcią podniósł kielich i wypił duży łyk. Na chwilę zaparło mu oddech. Oczy wyszły mu na wierzch, gardło było w ogniu. Brycht patrzył na niego ubawiony.

— Niedobre? — zapytał kpiąco. — A jednak trzeba było wypić na dobrą wróżbę. Widzi ojciec: tak się pije. — Wziął swój kielich i jednym łykiem wychylił go do dna. — Ale ojciec, widzę, naprawdę nienawykły. Co to, wcale u was nie popijacie? Niech się ojciec nie złości. Trzeba było pociągnąć dla samej wprawy. Bo jak tam będzie? Przecież ojciec ma udawać...

— Nie muszę pić — powiedział niechętnie.

— Musi ojciec. Bez tego nie będzie żadnego udawania. A ten ypokrates powinien był ojcu przypaść do gustu. Bo i on angielski, i te kielichy, i ten dzbari...

— Dlaczego angielskie?

— Bo zdobywcze.

— Lecz przecież królestwo polskie... Wzruszył ramionami.

— Nieraz jakiś Anglik zapędzi się na Bałtyk. Niby przy jaźń — a wożą broń Moskałom. To takiego kazał pan podskar bi... — Uczynił gest z góry na dół. — No — sięgnął po dzbanek — jeszcze raz tej angielskiej za pomyślność? Ale z dobrej woli.

Chciał się znowu opierać, lecz po chwili ustąpił. W gruncie *rzeczy*, myślał, ten pirat ma rację. Życie, ku któremu płynął, mogło się od niego domagać niejednej takiej próby. „Gdy już tam będziecie — przemawiał do nich na odjezdnym ojciec Persons — trzeba wam będzie żyć zwyczajnym, światowym życiem. Jeść, pić, ubierać się jak inni. Od tego zawisła możność waszego działania. Tylko grzech jest wam nadal wzbroniony...” Te rady wówczas wydawały się łatwe do przyjęcia. Ale inaczej było teraz, kiedy stało się jasne, że naprawdę tak trzeba będzie postępować.

Ten drugi kielich palącego płynu wydał mu się łatwiejszy do przełknięcia. Kapitan zauważył to również.

— Lepiej poszło, co? Zobaczy ojciec, że się ojciec przyzwyczai do wszystkiego. Proszę się przyjrzeć tym kielichom. — Przytknął w swój paznokciem. — Grube srebro! A jaka ro bota! Tam u was w takich pijają. Albo w jeszcze cenniejszych.

— Słyszałem o tym — bąknął.

— No cóż? — Brycht przerwał jakby z melancholią — an gielskie statki pływają wszędzie.

Po wszystkich morzach. Je den z waszych podobno opłynął cały świat... — Jeszcze bar

dziej przymrużył oczy. Na jego czole pojawiła się pręga na brzmiałej żyły. — Skubią

Hiszpanów. To i złoto jest, i srebro, i bogactwa...

— Pan też, kapitanie — Hugh próbował odpowiedzieć kapitanowi tym samym kąśliwym tonem — skubie pewno, gdzie może... Skrzywił się.

—
Co tam można uskubać na Bałtyku?

Nalał sobie wódki, Hughowi tym razem nie proponował. Wypił i zaraz nalał sobie znowu. Odgarnął do tyłu twarde, nisko schodzące na czoło włosy.

—
A do tego — rzucił z nagłą pasją — na jeden nasz za giel sto żagli duńskich czy szwedzkich! Przed kilkunastu laty było lepiej. Ale teraz znowu...! Kto o nas pamięta? —

Wypił. Wódka budziła w nim gorycz. A może właśnie szukał w niej ucieczki? — Doszło do tego, że Gdańszczanie połapali na szych i pomordowali. Pan podskarbi ujął się za nami, to prawda. Gdyby nie on, byłby już koniec z kaprami. Ano, przeprosili króla... Cóż z tego?

Czekają tylko, by znowu się gnąć nam do gardła. A król? — Lekceważąco wzruszył ramionami. Znowu nalał sobie i znowu wypił. Obtarł usta rękawem jedwabnej koszuli.

— Tyleśmy mu byli potrzebni, by pilnować, żeby Anglicy broni Moskałom nie wozili. Gdyby nie pan podskarbi... To dlatego, kiedy mu obiecałem, że do wiozę ojca — zrobię to. — Wsparł się obu rękoma o stół.

— Słyszysz ojciec? Mówił, że jego kuzyn był u was w zakonie. Jakiś taki świątobliwy...

Ale co mi tam?! Wystarczy, że pan podskarbi powiedział. Obiecałem. Dałem słowo.

Szlacheckie. Słyszysz ojciec? Bo szlachcic jestem. Z kaszubskiej szlachty... Szlacheckie słowo!

Trudno go było zrozumieć, bo mu się język zaczął plątać i mieszał coraz więcej

niemieckie słowa z angielskimi. Stojący w kącie szafowy zegar zazgrzytał, a potem z głuchym sieknięciem wydzwonił godzinę. Kapitan urwał w pół słowa, błędne oczy utkwił w cyferblacie.

— Późno... — mruknął.

Nagle poderwał się. Długimi, posuwistymi krokami dopadł drzwi. Otworzywszy je wrzasnął coś w ciemność i w wichurę. Ostry powiew wdarł się do kajuty. Stulił płomień świec i począł nimi targać, poderwał mapę, przewrócił jeden z kielichów, a ten ze srebrzystym dźwiękiem upadł na podłogę. Kapitan krzyknął raz jeszcze. Odpowiedział mu głos na śródokręciu, potem zaklaskały boscie stopy. W progu pojawił się wysoki, jasnowłosy marynarz. Musiał być wyrwany ze snu, bo na koszuli miał tylko nie dopięte spodnie, które przytrzymał garścią. Brycht coś mu rozkazywał, tamten odpowiadał raz po raz:

Kapitan zatoczywszy się nieco obrócił się do Hugh'a.

— Niech ojciec z nim idzie. Pokaże ojcu kajutę. Usłuży. Zna angielski. A jutro żeby

— ojciec nie wychodził na pokład...

— Nie wyjdę. Dobranoc panu, kapitanie. Niech Bóg opiekuje się panem.

Odpowiedział jakimś mruknięciem. Rozłożywszy szeroko ręce ziewnął potężnie.

Kajuta, do której został wprowadzony, była maleńką ciup-ką, w której zaledwie mieściła się koja, stółek i skrzynia służąca za szafę. Przyproceedziwszy Hugh'a marynarz zostawił go na chwilę w ciemności, a sam poszedł, by przynieść zapalony kaganek.

— Potrzeba wam jeszcze czegoś, panie? — zapytał.

Był chudy, żylasty. Miał długie ręce, zakończone wielkimi dłońmi, które zwisały aż koło kolan. Jasne włosy opadały na czoło skracając nieco końską, długą twarz. Twarz i szyja ogorzałe na słońcu i wietrze odbijały od jasnego ciała, widocznego w rozchyleniu koszuli. Spodnie już się na nim nie trzymały, podwiązał je rzemieniem.

— Bóg zapłać, niczego. Jak się nazywasz?

— Fortimber, proszę ojca.

— Więc wiesz, kim jestem?

— Wiem. Papieskim księdzem, który płynie do Anglii.

— A ty jesteś katolikiem?

Z zakłopotaniem pokręcił głową.

— Czy ja wiem? Jak się nam poszczęści na morzu, zawsze dam ofiarę...

— Co nazywasz, że się wam poszczęści?

— Ano, jak jakichś bogatych kupców złapiemy...

Nie miał teraz żadnych wątpliwości, że znajduje się na korsarskim statku. Pod królewską banderą tamci po prostu polowali na ładowne towarem statki. Uczucie niesmaku, jakie obudziło się w nim podczas rozmowy z kapitanem, powróciło. Dotychczas żył w świecie ludzi godnych. Teraz czuł się jakby upokorzony. Pocieszał się: misjonarze płynący do dalekich krajów także w rozmaitym towarzystwie podróżowali, a mimo to pozostawali sobą. Ale z nim, wydawało mu się, jest inaczej: on sam zagubił swoje dawne ja i jest teraz jednym

falszem...

— A wasz kapitan? — zapytał.

— Surowy. Ale dobry chłop. — W głosie marynarza za brzmiało uznanie. —

Sprawiedliwy przy podziale. Takiego, co by chciał coś dla siebie ukryć, zaraz każe powiesić...

Ciężko usiadł na koi.

— Skąd umiesz tak dobrze po angielsku? Marynarz podrapał się w głowę.

— Bywałem tam...

— W jakich sprawach? Uśmiechnął się wstydliwie.

— W różnych, proszę ojca... Ryby woziłem, futra...

— Ryby? Z Polski?

— E, nie. Z Norwegii. Bo ja stamtąd. Dopiero trzy lata służę u Brychta...

— I pochodzisz z Norwegii?

— Tak.

— Dlaczego zaciągnąłeś się na polski statek? Przesząpił z nogi na nogę. Znowu uśmiechał się z zakłopotaniem.

— A bo to... bo to tak: Brycht człowiek sprawiedliwy... Kapry, ludzie wolni... Nie pytają o nic...

Hugh popatrzył na majtkę. Teraz dopiero zauważył na jego piersi liczne sine blizny. Także przez brodę biegł głęboki ślad. A pod nasuniętymi na czoło włosami zdawało mu się, że dostrzegł czerwony znak w kształcie litery T. Człowiek, który uśmiechał się do niego, musiał być zbrojcem, mającym niejedno na sumieniu.

— Skoro wiesz, kim jestem — rzekł — wiesz także, że nie możesz o mojej obecności tutaj nikomu mówić?

Skinął głowę.

— Czy wolno mi odejść? — zapytał.

— Idź. Dziękuję i dobranoc, Fortimberze.

— A jakby ojciec czego chciał ode mnie, to proszę tylko krzyknąć któremu z naszych moje imię — zaraz zawoła mnie.

— Dobrze.

Marynarz wyszedł. Słyszał jeszcze jego stapania, potem /robiła się cisza. Wszyscy musieli już spać, tylko morze ocierało się o boki statku niby wielki kot. Choć stali przycumowani, pod nogami nie czuło się twardego gruntu. Gdy podniósł się z koi, stopy zdawały się odbijać sprężysto od desek. Odsunął okiennice i wyjrzał przez małe okienko na zewnątrz.

Wszystko tonęło w mroku. Lecz mrok miał już mleczny ton przedświtu. Mimo to nie położył się. Sen go odszedł. Był podniecony. Czuł się lekki, jakby miał za chwilę ulecieć w górę. Było mu także gorąco. Może był to skutek wypicia tej angielskiej wódki? Zrzucił z siebie uwierającą szyję krezę, pas z rapierem, skórzany kaftan. Najchętniej chodziłby po kajucie. Ale zbyt była ciasna.

Znowu czuł niechęć do statku, na którym się znajdował, do ludzi, którzy go otaczali, do samego siebie... Oni byli zbójami morskimi. Ale i on, zdawało mu się, upodobił się do nich, ukrywając się pod fałszywym nazwiskiem, w niewłaściwym dla siebie stroju.

Wydawało mu się, że łatwiej by mu było zrezygnować z tego wszystkiego, od czego kazał mu odejść rozkaz zwierzchników, gdyby mógł płynąć do Anglii otwarcie, tylko z krzyżem w ręku, jak płynęli misjonarze w daleki, kolorowy świat. Wziął leżący na koi rapier, do połowy wysunął go z pochwy i z powrotem, z niechęcią, rzucił na posłanie.

Czy takiego losu oczekiwałem? — myślał. Nie był, jak ci uciekinierzy z wyspy, którzy zbiegłszy na kontynent, o tym tylko myśleli, by móc znowu powrócić do kraju i na nowo,

skuteczniej podjąć walkę. Potrzebowali pobytu na kontynencie po to, by się umocnić. Ale on opuścił kraj dzieckiem. Anglii nie pamiętał, nie tęsknił za nią. Jego opiekunowie umieścili go w konwicie w Louvain, nad którym rozciągała opiekę profesor Jan de Vendeville. Był to człowiek mądry i uczony, umiejący zaszczerpić swoim uczniom pragnienie wiedzy i miłość dla niej. To on pierwszy otworzył przed Hughiem skarby starożytnych mędrków. Wokoło Louvain toczyła się wojna, przez zielone, flamandzkie łąki wędrowały armie — Vendeville zdawał się tego wszystkiego nie dostrzegać. Tkwiał w swych studiach, pisał prace, przelewał swą wiedzę w uczniów. Tłumaczył im, że nieważne są sprawy, które przemieniają się z roku na rok, ale ważna jest wiedza, która zdolna jest przetrwać stulecia.

Gdy z konwiku w Louvain Hugh trafił do kolegium w Dou-ay, znalazł tam zupełnie inną atmosferę. Ksiądz Allen mniej troszczył się o mądrość, która przeżywa wieki, ale chciał — i to jak najszybciej — wychować dla Anglii zastęp księży.

Kolegium służyło walce i żyło walką. Powstawały tutaj książki, broszurki, tłumaczenia, przetrzucane rozmaitymi sposobami na wyspę. Wielu wychowanków kolegium stawało się potem jezuitami, naśladowując wzór Campiona. Hugh zdecydował się na tę samą drogę. Ale gdy inni odchodzili do Rzymu po to, by lepiej jeszcze przygotować się do zadań, na których powierzenie czekali, Palmer chciał zostać jezuitą, aby móc bez przeszkód oddać się pracy naukowej. Nigdzie tak nie rozwijała się wiedza jak w kolegiach jezuickich. Oczywiście pragnął być także dobrym zakonnikiem i gorliwym księdzem. Towarzystwo ofiarowywało mu opiekę, pewną drogę pod kierunkiem mądrych i świątobliwych przewodników, pewność, że się służy celom najgodniejszym. Znalazł w nim, czego szukał. Mógł studiować — i mógł się pogłębiać wewnątrz.

Także w rzymskim kolegium było wielu, którym wzór Campiona spędzał sen z powiek. Ci —

jak przyjaciel Hugh Southwell — marzyli o tym, by im pozwolono wyruszyć na pracę misyjną. Czekając na ten dzień Southwell pisał płomienne wiersze i pieśni. W Hughu takie perspektywy nie budziły entuzjazmu. To prawda, myślał, że męczeńsko wylana krew cudownie nawozi ziemię. Żołnierz, który pada w walce, przywołuje innych żołnierzy. Ale w Anglii nie ginie się w taki właśnie sposób. Działa się skrycie i umiera się jako szpieg hiszpański. Jeśli tak być musi, myślał Hugh, niech Hiszpanie wpierw zwyciężą. Wtedy praca będzie wyglądała całkiem inaczej...

Tymczasem wojny wciąż nie było. Natomiast przyszła decyzja ojca generała.

Choć wzburzyła go do głębi, usiłował ją przyjąć z należytych posłuszeństwem. Pamiętał, że ma być jak mały krzyżyk, który przechodzi z ręki do ręki; jak kij niewidomego, który nie sam wybiera drogę, ale opiera się o ziemię tam, gdzie go kaleka postawi. Nie przychodziło mu to łatwo. Musiał walczyć ze sobą, musiał się gorąco modlić. Być może, że ta walka nie uszła czujnym oczom zwierzchników. Pewnego dnia Hugh wezwany został do kardynała Allena, właśnie przed kilkoma dniami obdarzonego purpurą.

Teraz w swej ciasnej kajucie przypominał sobie tamtą rozmowę słowo za słowem.

— Cóż, mój drogi? — pytał Allen. — *Zbliża się chwila twojego odjazdu. Jakże się czujesz wobec otrzymanego zadania?*

Z pochyloną głową, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma powiedział:

— Postaram się, eminencjo wypełnić je w miarę moich sił...

Allen położył mu łagodnie dłoń na ramieniu.

— Daj spokój temu tytułowi. Znam cię prawie od dziecka. W Douay mówiłeś mi ojczu.

Niech tak już zostanie między nami. Twoja odpowiedź jest odpowiedzią pokornego zakonika. Ale ja chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej. Czyżby mi się tylko zdawało, że wyczuwam w twoim głosie jakby ton przymusu?

Czekał chwilę na odpowiedź, ale Hugh milczał. Podjął więc sam:

— Może ogarnął cię lęk? Wiem, nie jest rzeczą miłą, nawet wobec samego siebie, przyznawać się do strachu. Lecz nie zapominaj: strach jest uczuciem ludzkim.

Doświadczamy go wszyscy. Chrystus lękał się także... Śmierć jest straszna i lu bi zawczasu straszyć. Przyznaję się — masz powód... Gdy zde cydowałem się wysłać do kraju pierwszych księży, jeszcze wtedy na własną rękę, łudziłem się, że może obejdzie się bez rozlewu krwi. Były surowe prawa, ale nie zabijano. Potem jednak zaczęła się kośba. Maine, Nelson, Campion... Napisano do mnie z Rzymu, abym rozważył, czy tyle strat nie przynosi sprawie więcej szkody niż zysku. Rozwahałem, modliłem się — lecz pozostałem przy swoim... A wierz mi: nie jest ła two kłaść na szale życie, gdy się nie kładzie własnego...

— Ojciec przecież nie mógł jechać!

— Może powinienem był to zrobić. Dziś... •— Dziś ojciec jest kardynałem Kościoła.

— Tak. Uczyniono mnie nim, choć jestem niegodny. Ojciec Persons zabiegał... Ale chwilami wydaje mi się, że ta czer wień, w którą jestem ubrany, jest krwią moich uczniów...

Chwilę siedział bez słowa, trąc oczy i skronie. Bardzo się posunął w ciągu tych lat, podczas których Hugh go nie widział. Purpurowa szata rzucała na jego bladą twarz sine cienie. Odezwał się znowu:

— O czym to myśmy mówili? Aha, o strachu. Wierz mi: to zwykłe uczucie ludzkie. Ale można je zwyciężyć. Trzeba tylko sobie mówić: boję się, lecz to nic... Boisz się, Hugh?

— Boję, ojczy...

— To nic!

— To nic, ojczy...

— Lepiej się teraz czujesz?

— Może trochę. Ale...

— Co jeszcze? Powiedz, co ci odbiera serce?

— Nie wiem...

— W takim razie zwrócę się do generała.

— Och, nie! Proszę, niech ojciec tego nie czyni. Niech bę dzie, jak miało być.

— Chcesz mimo wszystko zachować posłuszeństwo?

— Chcę. Złożyłem śluby i pragnę im pozostać wierny. Chcę ufać, że to-Bóg sam...

— Chwali ci się taka postawa, Hugh. Wydaje mi się, że zgaduję, skąd się bierze w tobie ten opór. Od pracy misyjnej odpycha cię myśl, że tam trzeba być zbiegiem, ukrywającym się przestępcą... Nieprawdaż? Jesteś młody i pochodzisz z ry cerskiego rodu. Wolałbyś działać z otwartą przyłbicą...

— O, tak!

— Widzisz, przejrzałem cię. Lecz wierz mi, to się zmieni. Flota hiszpańska wyruszy niezadługo. Może już wiosną. A gdy tylko pierwszy żołnierz hiszpański dotknie stopą ziemi an gielskiej, wybuchnie powstanie przeciwko Elżbiecie. Anglia czeka niecierpliwie na tę chwilę. Rozumiesz to?

— Rozumiem.

— Przyszła mi do głowy pewna myśl. Porozmawiam* z ge nerałem, aby cię wysłał do Anglii drogą okrężną przez kró lestwo polskie. Tam żyje ojciec Bosgrave, towarzysz Campiona. Na prośbę polskiego króla Elżbieta zmieniła mu karę śmierci na banicję. Nie pamiętam już, dlaczego prosił, aby mu pozwolono wrócić do Polski. Nikt z nim właściwie po jego powrocie nie rozmawiał. Zrób to ty. Na pewno będzie ci miał wiele ciekawego do powiedzenia. A może natchnie cię zapałem?

Czy wysłano by go w tak daleką drogę, myślał teraz, gdyby wiedziano, co mu powie ojciec Jakub? Do tej chwili jeszcze czuł wstrząs po tamtych rozmowach. Nie otrząsnął się z niego w ciągu miesięcy spędzonych w domu Towarzystwa w Brunsberdze, gdzie oczekiwał przez kilka tygodni, aż nadarzy się okazja popłynięcia w duńskie cieśniny. To pewne, że ta rozmowa nie przyniosła mu uspokojenia, nie natchnęła zapałem. Przeciwnie: zbudziła nowe wątpliwości.

W końcu zmęczenie przemogło. Hugh rozebrał się i wyciągnął na wąskiej koi. Przez okienko wdzierał się do kajuty migoczący blask nadciągającego dnia, odbity od drżącej powierzchni morza. Zасыpiając czuł delikatne drganie okrętowego pudła. Lecz ten ruch nie wybijał go ze snu. Pozwalał tylko zachować we śnie świadomość, gdzie jest.

Obudziły go wołania i gwałtowna bieranina po pokładzie. Padały komendy, a potem słycać było rytmiczne postękiwania ciągnących liny majtków. Chrzęściły liny, skrzypiały bloki, szczekał przesuwany łańcuch.

Usiadł na posłaniu. Uświadomił sobie, że ciężko siedzący dotąd na wodzie statek nabrał lekkości: był niby tancerka, która unosi się na czubkach palców. Potem kadłub przebiegło długie drzenie. Hugh zerwał się, zbliżył do okienka. Zobaczył bure morze, po którym przesuwały się prędko jasne plamy słoneczne i nad którym unosiły się stada mew.

Ze słyszanych odgłosów wnosił, że musieli odbió. Łopotały i strzelały płótna żaglowe, woda klaskała o burty. Nagle widziany w okienku horyzont morski poczał bieć, jakby po okręgu koła. Migaly żagle i sylwetki innych statków, długich, płaskich krypt zbożowych, zabudowań nadbrzeżnych. Wykręcali. Niespodziewanie cały statek zatrząsł się i aż zatrzeszczał we wszystkich spojeniach. Jego pudło zanurzyło się głęboko, by zaraz podlecieć w górę niby kopnięta piłka. Sprężony pod kilem żywioł nabrał życia. Fale z chlupotem ocierały się o boki. Płynęli.

Z twarzą wciśniętą w okienko patrzył, jak mijają falochron

1 latarnię morską. Jeszcze zamigotały kolorowe bandery na masztach. Ludzie spoza burt mijanych statków powiewali od pływającym rękami. Na pokładzie wciąż rozbrzmiewały nowe komendy.

Oderwał się od okna i stał pośrodku kajuty z zapierającym oddech uczuciem. A więc dokonało się, co się miało dokonać! Wyprawa, do której tak dziwnie nie miał serca, rozpoczęła się. Teraz nie można już było cofnąć się, zawrócić. Lecz właściwie, czy mógł to być zrobić przedtem?

Z przygryzionymi wargami podszedł do koi. Poczał się ubierać. Statek kołysał się coraz

mocniej. Wspierał się piersią o falę, dawał się jej unosić, by za chwilę opaść w brudną wodną. To nieustanne kołysanie poczęło niepokoić organizm Hugh'a. Próżno usiłował o nim zapomnieć. W kajucie było duszno. Słońce świeciło prosto w okienko napełniając wnętrze dokuczliwym blaskiem. Myśli nie biegły spokojnie; pojawiały się i zaraz zacierały. Głowę ogarnął lekki zawrót. Ciężko przysiadł na brzegu koi.

Wracam... — pomyślał. Ale zaraz zbudziły się wątpliwości. Wraca? Nie. Wraca się do czegoś, co niby magnes ciągnie nasze serce. Do czegoś, do czego musimy wracać. Ale jego do Anglii nic nie ciągnęło. Przez głowę przelatywały słowa, jakimi określano tam, w Rzymie, jego kraj: mały, ciemny, barbarzyński, nieciekawym... Cóż mogło być interesującego na pokrytej lasami i bagnami wyspie? Dopiero teraz, gdy największa potęga świata gotowała się do wystąpienia, by ukarać bezbożną królową — zainteresowano się nimi więcej. Mówiło się o Anglii, oceniało jej siły, możliwości. Mały kraj stał się problemem.

Ktoś zapukał. Drzwi otworzyły się i do kajuty wtargnęła fala orzeźwiającego, morskiego powietrza. Od razu poczuł się lepiej. W progu zobaczył chudą sylwetkę Fortimbera.

— Jak ojciec się czuje? Już ojciec wstał? Przyniosłem rze czy.

— Dziękuję. Nie zamykaj, proszę, drzwi. Tutaj tak duszno.

— Niech ojciec lepiej wyjdzie na pokład. Piękny czas.

— Ale kapitan...

— Właśnie mówił, żeby powiedzieć ojcu, że już można. Bo płyniemy.

— W takim razie idę!

Poderwał się. Mocny powiew morza przywracał mu siły i jasność myśli. Mdłości odeszły.

Ale zaledwie stanął na pokładzie, musiał się chwycić burty, tak bardzo statek huśtał się na falach. Bura powierzchnia morza wełniła się krótkimi smugami piany. Gdy się na nią patrzyło, widziało się, jak nagle, na wielkiej przestrzeni zapada się ona, tworząc niby wielką

miskę. Brzegi miski piętrzyły się coraz wyżej, aż wreszcie z szumem zlewały się do środka.

Tworzyło się kłębowisko wodne, od którego mała pinka usiłowała w czas oddalić się.

Płynęła szybko zostawiając za sobą dwie białe pręgi, rozbiegające się szeroko.

Na mostku kapitańskim zobaczył sylwetkę dowódcy. W skórzanej kurcie, szwedzkich butach po pachwiny i w kapeluszu Brycht odbijał wyglądem od poubieranej lada jak załogi.

Trzymając lunetę przy oczach przypatrywał się wybrzeżu, wzdłuż którego płynęli.

— Dzień dobry, kapitanie — powiedział Hugh wspinając się na mostek.

— Dzień dobry — odpowiedział. Odjął lunetę od oczu. Pod szerokim rondem jego ogorzała twarz robiła wrażenie całkiem czarnej. Tym mocniej odbijały od niej płowe wąsy.

— No — zapytał — jakże się ojcu podoba, że płyniemy?

— Nie spodziewałem się, że gdy się obudzę, będziemy już na morzu.

— Przyszedł pomyślny wiatr. Oby się nie zmienił, popłyniemy szybko. No i jeśli nam tylko jaki Szwed nie wejdzie w drogę.

— Szwed? Teraz, gdy ich książę jest królem polskim? Wzruszył ramionami jakby z drwiną.

— To nie ma nic do *rzeczy*. Ale niech spróbują! — błysnął zębami. — Zmieniłem armaty.

Na miejscu dawnych wstawiłem zdobyczne. Angielskie. — Z uznaniem przymrużył oko.

— Wasi umieją odlewać. Niosą dwa razy dalej niż te, co miałem. Chętnie bym spróbował.

Patrzył po roziskrzanej, wciąż to wydymającej się, to znowu opadającej płaszczyźnie morza. Po swojemu, trzymając rękę w kieszeni, dorzucił:

— Król hiszpański, jak zacznie z wami, może poparzyć so bie łapy...

— Przecież to największa potęga na świecie! Poczul na sobie spojrzenie szarych

oczu Brychta.

— Potęgą są. Ale pies na swoim i wilkowi do gardła ska cze.

— Król hiszpański głosi, że nie chce walczyć z Anglią. Pragnie jedynie przywrócić w Anglii prawdziwą wiarę...

Brycht wybuchnął zjadliwym śmiechem.

— Jego żołnierze pokazali w Holandii, jak się to robi!

— Żołnierz na wojnie zawsze okrutny... — bąknął. Ale powiedział te słowa wbrew sobie.

O okrucieństwie Hiszpanów dochodziły wieści także do Rzymu — nie tylko z Holandii.

Hughowi nieobca była straszliwa relacja biskupa de las Casas i traktat mistrza Francesco

de Vitoria. Ktoś kiedyś cytował przy nim słowa, podobno samego Sykstusa, który miał

się wyrazić z goryczą, że sprawie chrześcijaństwa tak samo skutecznie służy żołnierz

hiszpański jak janczar turecki. Dobry humor, jaki obudził w nim świeży ranek, nagle znikł.

Poczuł jakby ciężar, który mu przygniótł piersi.

Kapitan drwił dalej:

— Kiedy ojciec dopłynie do Anglii, niech ojciec wytłuma czy swoim...

Nie odpowiedział. Brycht nie podejmował dalszych zaczepek. Podniósł znowu lunetę do

oka. Tym razem patrzył na morze. Natomiast wzrok Hugh'a przesuwiał się po bliskim

wybrzeżu. Ciągnęły się tam żółte bule piaskowych wydm, porośniętych po wierzchu czarnym

lasem. Czasami między zieleni;) widać było szare dachy jakiejś rybackiej wsi. Tu i

ówdzie ukłula niebo przysadzista wieża kościółka.

Uczucie zawrotu głowy całkowicie minęło. Ale pozostała w nim przytłaczająca świadomość,

że zdecydowała się rzecz, której i cofnąć nie sposób, i przyjąć nie sposób. Piracki

stateczek oderwał go od spokojnego życia i wiózł ku groźnej przygodzie. Płynę jak Odyseusz

— między Scyllę i Charybdę — przeleciało mu przez głowę. Wiem, myślał, że powinienem

zaufać... Chciał ufać. A przecież nie potrafił!

Pogoda i wiatr sprzyjały żegludze. Szybko i bez niebezpiecznych spotkań „Rusałka” wpłynęła na wody Sundu.

Była wczesna popołudniowa pora, gdy zawinęli do kopenhaskiego portu. Hugh z kapitańskiego mostku przyglądał się ciekawie stojącym na redzie statkom. Między karawelami i galeonami ich mała pinka przemykała się podobna motylowi szybującemu wśród wielkich kwiatów. Brycht kazał wciągnąć na grotmaszt banderę królewską z białą ręką trzymającą miecz na czerwonym polu.

Podczas gdy żeglowali przez port, załogi innych statków rzuciły się hurmem do burt i przyglądały się „Rusałce”. Tłum ludzi tłoczył się na wybrzeżu portowym. Z kapitańskiego mostku Brycht wydawał rozkazy do zebranej na pokładzie załogi. Jego strój tym razem nie odbijał od stroju marynarzy. Majtkowie powkładali na siebie, co który tylko miał najlepszego. Migwały aksamitne kaftany, jedwabne bluzy, rurko wane krezy, szerokie, lśniące pasy, kapelusze lub berety z piórami. Ludzie byli także pogoleni. Trudno było uwierzyć, że jest to ta sama załoga, która w wytartych tułubach pełniła służbę na Bałtyku. Rzucono linę cumowniczą i przywiązano ją do knechtów. Ale jeszcze nie zdołano przywiązać dobrze statku, gdy poprzez tłum zebranych na molo gapiów przedarł się urzędnik portowy, w złotym łańcuchu na szyi, otoczony strażnikami. Rozglądając się nieufnie wkroczył na pokład. Widać było, że nie wie, co ma sądzić o przybyciu „Rusałki”. Brycht wyszedł mu naprzeciw. Hugh obserwował z boku ich rozmowę. Kapitan zachowywał się z kurtuazją. Poczęstował urzędnika winem, które jeden z marynarzy przyniósł na srebrnej tacy, po czym pokazał mu list biskupa Goślickiego. Radca królewski polecał w nim opiece władz królestwa duńskiego królewski okręt, płynący w specjalnej misji. Urzędnik przeczytał list dwa lub trzy razy, zanim zdecydował się zwrócić pergamin Brychtowi. Nadal

nieufnie spoglądał po wyszorowanym pokładzie i stojących półokręgiem postrojonych marynarzach. Jeszcze raz napił się wina, skłonił Brychtowi i odprowadzony przez niego aż do pomostu wrócił na ląd.

Po jego odejściu Brycht zwołał załogę. Wyzaczył służby i straże, reszcie pozwolił zejść na brzeg, polecając jednak wszystkim wrócić przed zmierzchem. Opuszczający statek tłoczyli się z hałasem przy desce przerzuconej na moło. Już z daleka krzyczeli i machali rękami do dziewcząt w białych kapturkach, których cała gromada pojawiła się w pobliżu. Dziewczęta śmiały się i udawały, że nie widzą tych znaków. Każdy z marynarzy był uzbrojony: mieli pozatykane za pas puginały lub krótkie pałasze. Gdziekolwiek widać było sterczącą króciwą.

Wieczne słońce oświetlało różowym blaskiem port i podchodzące do samego wybrzeża miasto. Domy były o ścianach z ciemnych, krzyżujących się belek, przetkanych płaszczyznami tynku. Barwnie ubrana ludność miejska pragnąca użyć spaceru mieszała się z tłumem marynarzy i robotników portowych, kończących pracę przy wyładowywaniu statków.

Brycht przywołał do siebie Fortimbera i coś z nim długo rozmawiał. Potem marynarz zeszedł na ląd. Kapitan zwrócił się do Hugh'a, który wciąż stał na mostku i przyglądał się życiu portowemu.

— No, to jutro zegnamy się. Wysłałem Fortimbera, aby wynalazł kapitana statku, który płynie do Anglii.

— Mam nadzieję, że nie sprawiłem panu zbyt wielkiego kłopotu swoją osobą...

— Sprawiał ojciec kłopot załodze, która musi w porcie udawać baranków. Musiałem ludziom zakazać awantur. To im nie przyjdzie łatwo. Zwłaszcza że Duńczycy nas nie lubią, a my ich...

— Duńczycy także? Dlaczego?

— Długo by gadać. Bałtyk — ciasne morze. Niech lepiej ojciec powie, jak się ojciec chce przedstawić kapitanowi, kto ry ojca zabierze. Bo przecież nie może mu ojciec powiedzieć, kim ojciec naprawdę jest.

— Wiem. No cóż, będę teraz uchodzić za sprzedawcę pach- nideł i kosmetyków. Aby móc dobrze udawać, uczyłem się tego u italskich mistrzów...

— Chytrze to przygotowaliście. Lecz skoro ojciec naprawdę zna się na tym, musi ojciec przed odejściem dać jednemu z moich ludzi maść na czyraki. Wciąż mu wyskakują na tyłku. Będzie jakiś pożytek z tego, żeśmy wozili ojca.

Hugh zszedł z mostku. Słowa Brychta znowu dotknęły go do żywego. Zabrzmiały niby zgrzyt noża po szkle.

Port pełen był wciąż życia. Całe gromady ludzi podchodziły do "Rusałki" i przyglądały się jej, jakby mała pinka bardziej zasługiwała na uwagę niż inne o wiele wspanialsze statki. W tłumie kręciło się kilku strażników. Niby pilnowali porządku, ale naprawdę zdawali się mieć statek na oku.

Wszedł do kajuty, usiadł na koi. Myślał: jutro zacznie się życie pełne kłamstw i udawania. Choć złośliwe przycinki Brychta drażniły go, choć czuł się nieswojo płynąc na pokładzie pirackiego statku, przynajmniej był na nim tym, kim był naprawdę.

Sięgnął do swego tłumoczka. Wydobył z niego juchtową torbę, podzwaniającą butelkami i słoikami. To były mikstury, pomady i kosmetyki, które wiozł ze sobą. Uzupełniała je gruba, oprawna w skórę księga przepisów. Odnalazł maść, która miała pomagać na czyraki. Z dużego słoika drewnianą łopatką przełożył część wydzielającego ostry zapach lekarstwa do mniejszego naczynia. Torbę zawiązał z powrotem. Oparłszy się i zamknąwszy oczy począł się modlić.

Gdy po pewnym czasie oderwał się od modlitwy, spostrzegł, że okienko kajuty jest przesłonięte czerwoną mgłą. Zbliżył się do niego. Nadchodził wieczór. Niebo ponad dachami miasta i wieżycami kościołów paliło się purpurą. Smugi obłoków zdawały się być węzlastymi sznurami, rozżarzonymi na końcu. Także na powierzchni morza kołysały się rdzawe plamy.

Włożywszy do kieszeni słoik z jakąś maścią, wyszedł na pokład.

Tłum na wybrzeżu portowym przerzedził się. Ale jeszcze widać było mieszczan, którzy spacerowali poważnie w towarzystwie żon i córek. Kobiety miały suto marszczone spódnice i jaskrawo malowane saboty, które wydawały głośny stukot. Stojąc przy burcie, spostrzegł Fortimbera, który przepychał się między ludźmi, zmierzając spiesźnie do statku. Majtek wbiegł na pokład i zaraz zapukał do drzwi kajuty kapitana. Niedługo potem ukazał się na pokładzie Brycht. Rozejrzał się, a zobaczywszy Palmera skinął na niego.

— Niech no ojciec pozwoli tu, do mnie — cofnął się do kajuty, pociągając za sobą Hugh'a.

— Widziałem, że wrócił Fortimber — powiedział Hugh. — I co? Ma statek dla mnie? Kapitan nie odpowiedział od razu. Chodził wolno po kajucie skrzywiony, z ręką w kieszeni. Skubał w zamyśleniu płowego wąsa.

— Nie — mruknął. — Głupia historia. Tam, za cieśninami, zrobiło się bardzo gorąco. Podobno wojska księcia Farnese dostały posiłki i rozpoczęły natarcie. Wojna rozpalila się znowu. Na morzu pełno okrętów. Angielskich, holenderskich, hiszpańskich, hanzeatyckich... Polują na siebie, nie dopuszczają ją do wybrzeża. Nie oszczędzają statków płynących pod neutralną banderą. Nikt nie ma odwagi wystawić nosa za Skagerrak.

— To co będzie?

— Do diabła, właśnie myślę! Muszę coś wymyślić! Gdy bym nie dał słowa panu podskarbiemu...

— Co by wówczas pan zrobił?

— Po prostu zostawiłbym tutaj ojca. Obiecałem dowieźć ojca do Kopenhagi —
dowiozłem. Nic mnie więcej nie obchodzi.

Hughowi zabiło niespokojnie serce. Ale nie pokazał tego po sobie. Wobec Brychta nie
mógł się pozbyć urazy. Nie czuł w nim sojusznika. Twardo powiedział:

— No to niech mnie pan zostawi.

Tamten błysnął gniewnie przekrwionym okiem.

— Powiniennem to zrobić! Ale — zachnął się ze złością — obiecałem. Dałem słowo.

— Znowu przeszedł się kilka razy zamaszystym krokiem po kajucie. Miał twarz
chmurną, mocno zaciśnięte zęby. Nagle zatrzymał się w swym spacerze. Za pytał:

— Ma ojciec pieniądze?

— Mam.

— Złoto?

— Tak.

Zdawał się nad czymś namyślać. Nagłym trzaśnięciem w palce przywołał

Fortimbera, który podczas rozmowy stał pod ścianą. Zapytał go o coś. Gdy marynarz
odpowiedział, wysłał go z kajuty. Nie patrząc na Hugh'a, ale na podzwania-jący zegar,
zaczął:

— Przyrzekłem panu podskarbiemu. Gdyby nie to... Niech ojciec słucha! — Ale mimo
tej zapowiedzi zwlekał z wyraże-

niem tego, co miał powiedzieć. Miał usta groźnie zacięte. Wreszcie zaczął wahające:

— Jest tu jeszcze okręt... „Fal-con”. Angielski. Wozi broń Moskalom do Rygi...

— Rozumiem...

— Nic ojciec nie rozumie — uciął ze złością. — Polowa łem na niego nie raz.

Wymykał mi się. A gdy go w końcu przychwyciłem, potrzaskał mi armatami maszty.

Ten kapitan jeszcze kazał podpłynąć i naśmiewał się. Powiedziałem sobie wtedy: albo on, albo ja!

Sapał gniewnie. Hugh zaczął:

— W takim razie...

— Niech ojciec nie gada — przerwał mu znowu. — Dałem słowo... — To zobowiązanie dręczyło go. Miał twarz skurzoną. Wpijał się w Hugh'a swymi szarymi oczami. — Pójdziemy na rozmowę... — warknął.

— Z kim? — Nie pojął.

— No, z Bardolfem. Z kapitanem „Falcona”.

— Ale skoro pan mówił...

— Mówiłem, to co? Obiecałem. Tamto między nami zosta nie na później. Ale trzeba, żeby ojciec miał pieniądze.

Przesunął dłonią po włosach. Nie wiedział, co ma na tę niebywałą propozycję odpowiedzieć.

— Pieniądze mam — rzekł. — I jeżeli pan uważa, że można z tym człowiekiem rozmawiać...

Zrobił gest mówiący, że wszystko już załatwione.

— Niech ojciec idzie do siebie i przygotuje się do wyjścia. Proszę zabrać trochę złota.

Nie za dużo, tyle tylko, aby wie dział, że jest. Zajdę po ojca.

— Będę czekał. A to ta maść na czyraki.

— Dobrze! — Prawie wyrwał mu słoik z palców i rzucił na swoją koję.

Wrócił do siebie. Znowu usiadł na koi. Na nowo rozpakował tłumoczek. Pod torbą z kosmetykami znajdowała się mała skrzyneczka. Pamiętał, jak przed samym

odjazdem z Rzymu wezwał go do siebie ksiądz Fitzherbert, sekretarz kardynała. Wręczył mu list do ojca Garnetta, superiora przebywających w Anglii jezuitów, oraz cały plik gęsto zadrukowanych kawałków papieru. „Nie wiem, jak będzie wyglądała ojca podróż — mówił — i nie wiem, kiedy ojciec zdoła dotrzeć na wyspę. Niczym więc, poza tym listem, eminencja nie chce ojca obarczać. Ale to proszę wziąć. To jest pobożna modlitwa ułożona przez czcigodnego, nieodżałowanej pamięci kardynała-arcybiskupa Mediolanu. Modlitwa będąca wyznaniem wiary, jakie winien odmówić człowiek, który w chwili śmierci nie ma przy sobie kapłana. Tam, dokąd ojciec jedzie, ta modlitwa może być dla wielu pociechą. Proszę ją dawać w pewne ręce. A na koszty podróży eminencja polecił mi dać ojcu to złoto...” Potrząsnął sakiewką, w której zadzwoniły monety. „Och, po co tak dużo?” „Niech ojciec weźmie i nie niepokoi się ilością. Pobożny król Hiszpanii złożył w ręce księdza kardynała szczodre fundusze dla wspierania udających się na misję do Anglii. Wydatki w czasie drogi mogą być duże, a i tam, na miejscu, pieniądze będą ojcu potrzebne. Swymi diabelskimi zarządzeniami Elżbieta uczyniła z katolików nędzarzy...”

Nie użyte dotąd złoto leżało przed nim w tej samej, wyszywanej srebrnymi nićmi sakiewce. Wysypał monety na rękę. Były to duże dziesięcioszylingowe sztuki z postacią anioła. Miały nieprzyjemny ciężar. Zamiast dodawać pewności siebie, zdawały się ją odbierać.

Odłożył trzy monety, resztę zsypał do sakiewki i złożył z powrotem w skrzynce. Zaczął przygotowywać się do wyjścia. Wciągnął wysokie buty, zapiął pas, narzucił na ramiona płaszcz. Gdy nacisnął dłonią rękojeść rapiera, stanęły przed nim słowa tyle razy odprawianego rozmyślenia o Dwóch Sztandarach: „Chrystus wysyła swe sługi i swoich przyjaciół na wyprawę, polecając im, by się wyćwiczyli w pomaganiu ludziom: by pociągali ich najpierw do ubóstwa, po wtóre do pragnienia zniewag i pogardy, a wreszcie do pokory”.

Dlaczego kazano mi postępować inaczej? — zapytał siebie gorzko.

Brycht wszedł do kajuty bez stukania. Był także w płaszczu, spod którego sterczał rapier.

— Gotów ojciec? W takim razie — idziemy. Niech ojciec to jeszcze weźmie ze sobą.

Wyjął spod płaszcza króciwą. Hugh zrobił gest, jakby chciał broń odepchnąć, ale kapitan stanowczym ruchem wcisnął mu ją w rękę.

— Niech ojciec bierze! Tawerna, w której spotkamy tamte go, to nora rozmaitych szumowin.

Zawsze może dojść do bitki. Posłałem kilku moich, aby byli w razie czego pomocni. No, i niech ojciec się nie zdradzi! — pogroził mu palcem.

Wyszli z kajuty. Na desce łączącej burtę z wybrzeżem czekał na nich Fortimber. Pod połą płaszcz trzymał zapaloną latarnię.

Pochłoneła ich ciemność niby olbrzymia paszcza. Lecz wzrok oswoił się z nią szybko. Niebo pokryte było chmurami, tylko tuż nad głową widać było płat połyskujący gwiazdami. Wzdłuż wybrzeża stały okręty. Ich maszty tworzyły splątaną gęstwę, przypominającą bezlistny zagajnik. Musieli iść uważnie, by się nie potknąć o poprzeciągane liny cumownicze. Obok statków na brzegu wznosiły się stosy pak, skrzyń i beczek. Wiatr przywiewał wciąż nowe wonie: to ostry, cuchnący zapach ryb, to wonny aromat zamorskich korzeni. Z mroku dochodziły czasami głosy i krzyki ludzkie. Z rzadka ktoś ich mijał, błyskając niesioną latarnią. Przeszedł ront strażników portowych: blask latarni zamigotał na pancerzach i hełmach.

Fortimber prowadził. Skręcili w jedną, potem w drugą wąską uliczkę. Obok starego, grubego muru, pozostałego widać po jakiejś dawnej budowli, kręte schodki kamienne schodziły ślimakiem w dół. Zatrzymali się przed ciężkimi, okutymi drzwiami, nad którymi podzwaniał, kiwając się na łańcuchu w podmuchach wiatru, znak przedstawiający złotego łabędzia. Uderzyli w kołatkę. Zanim im otworzono, ktoś wyjrzał przez małego judasza i przyglądał się im czas jakiś. Potem słychać było, jak odsuwa ciężką sztabę.

Za małą sienią były znowu schody. Sprowadzały do wielkiej izby, pełnej w tej chwili ludzi i gwaru. Pod ścianami stały lub leżały beczki, z których pachołcy nalewali wino i piwo. Inni nad wielkim paleniskiem obracali na roznach sztuki mięsa. Jasnowłose dziewczyny roznosiły trunki między stołami. Ludzie pili, jedli, krzyczeli, grali w kości. Większość była już popita. Co chwila to w jednym, to w drugim kącie sali wybuchały krzykliwe awantury i kłótnie.

Łysy gospodarz w pasiastym fartuchu, zobaczywszy schodzących po schodach nowych gości, wyszedł im na spotkanie. Kłaniał się nisko, wymachując trzymaną w ręku ścierką. Miał

zalane tłuszczem oczy. Idąc przodem zaprowadził ich do wolnego stołu. Wylał go starannie, podsunął stołki, przywołał jedną z dziewcząt. Przybiegła rozchichotana. Otarła się ramieniem o ramię Hugh'a. Podsunęła pełną pierś pod nos Brychtowi. Coś do niego zagadała. Ale on odgarnął ją ręką jak uprzykrzoną muchę.

— Uciekaj — powiedział. — Dziś nie mam czasu. Przynies piwa i wódki. Tej mocnej, wiesz?

— Co nie mam wiedzieć? — szczyrzyła zęby. — Ale cze mu to pan kapitan taki dzisiaj srogi? — mówiła do Brychta, ale jednocześnie mrugała na Hugh'a. Obrócił głowę w bok i rozglądał się po sali. Mimo wielu palących się świec i po chodni nie było tu wcale jasno. Siedzący przy stołach ludzie tworzyli czarny, zbity kłęb. Część podających dziewcząt siedziała na kolanach pijanych marynarzy. Słysząc było krzyki, piski, chichoty. Woń przypiekającego się nad ogniem jedzenia mieszała się z zapachami skóry, oleju i smoły. Brycht mówił coś do gospodarza, który słuchał trzymając na łysej głowie grubą niby szynka dłoń. Potem wspiął się na palce i począł się rozglądać wokoło. Widać *znalazł* to, czego szukał, gdyż skinął głową i dał nurka w ciżbę niby w spienioną wodę. Po chwili wynurzył się z powrotem, prowadząc za sobą jakiegoś człowieka.

Na widok tamtego twarz Brychta skurczyła się dziką zawziętością. Wydawało się, że kapitan porwie się i rzuci na podchodzącego. Ale natychmiast opanował się. Wstał i z kurtuazją wyszedł naprzeciwko angielskiego kapitana.

Anglik był niższy wzrostem. Miał rude włosy i rudą szcękę na krwistych policzkach. Krótki nos obsypany był piegami. Ubrany był w wysmolony dublet z welwetu spięty ciężką, prymitywnie odrobioną agrafą ze złota. Z uszu zwisały kolczyki.

Stanęli przed sobą i mierzyli się wzrokiem. Można było sądzić, że chcą się sobie dobrze wzajemnie przypatrzeć. Brycht zgarbił się, prawie przysiadł. Przypominał w tej chwili

sokoła, któremu zdjęto kaptur i który mruga oczami szukając swej ofiary. Anglik nie ujawniał tak bardzo swoich uczuć. Stał chłodny i wyniosły. Ale kiedy Brycht na nowo opanował się, uśmiechnął się także szeroko ukazując czarne, brzydkie zęby.

— To ty? — odezwał się pierwszy. — Zaprosiłeś, więc przychodzę...

— Cieszę się, że przyjąłeś zaproszenie. — Brycht już schwycił równowagę. Ale nie przychodziło mu to łatwo. Mu siał być zaskoczony jowialnością przeciwnika. Posyłając mu zaproszenie, nie spodziewał się, że Bardolf zachowa się tak prosto. Zrobił szeroki gest. — Siadaj. Oto mój towarzysz, doktor Rowe. Mistrz sztuk, które zapewniają kobietom piękność. Twój rodak.

— Jak się pan ma, doktorze? — Na zapraszające gesty Brychta Bardolf odpowiadał przyjacielskimi gestami. — Zaszczyt to dla mnie, żeście mnie zaprosili. Z kapitanem Brychtem spotkaliśmy się już.

— Nie przy winie! — Brycht błysnął gniewnie oczyma.

— Rzeczywiście, nie przy winie. — Anglik zachowywał się dalej układnie. — Ale tam gdzie można się było dobrze po znać. Nieprawda?

— I poznaliśmy się. Twoje jest na wierzchu. Tymcza sem! — dorzucił.

Bardolf nie przestawał się uśmiechać.

— Poszczyściło mi się wtedy — rzekł.

— Armaty miałeś lepsze. Teraz byłoby inaczej.

— Teraz twoje lepsze, co? — Bardolf zamrugał jasnymi rzęsami.

— Ze „Sparrowhawk”?

— Tak. Skąd wiesz?

— Wiem.

— I co? — najeżył się.

— Cieszę się, że cię mogę poznać. „Sparrowhawk” był od ciebie silniejszy, a zatopiłeś go.

Oczy Brychta znowu błysnęły. Ale już nie było w nich gniewu. Nie spodziewał się takiego komplementu. Nagle cała jego dotychczasowa źle skrywana wrogość ustąpiła miejsca wylewności.

— Siadaj! Twoje zdrowie!

— Twoje!

— Nie! Ja prosiłem! Twoje!

Uderzyli się mocno kubkami, aż wódka chlusnęła wierzchem.

— Kiedy ściagałem „Sparrowhawk”, szukałem ciebie — wyznał Brycht. — Za tamto...

— Przyjdzie czas — Bardolf zrobił uspokajający ruch dłońmi. — Spotkamy się znowu.

Choć nie teraz.

— Dlaczego nie teraz?

— Tjpraz nie będziemy wozili broni Moskalom. Sami możemy jej potrzebować.

— Czekać na Hiszpanów?

— Dobry gospodarz zawsze gotów na przyjęcie gości — zaśmiał się.

— Będzie trudno.

— Będzie — zgodził się. — Ale zobaczymy. Nasz Drake już ich próbował.

— Wiem. Wdarł się do Kadyksu! — w głosie Brychta za brzmiał podziw. — Diabła sztuka!

Hiszpanie musieli mieć głupie miny.

— Mieli. Byłem z nim.

— Byłeś? — Gwałtownie podniósł kubek w górę. — Pijmy! Za nasze spotkanie!

— Napijemy się i za to. Ale wpierw napijmy się za zdrowie szanownego doktora. —

Wyciągnął kubek w stronę Hugh'a.

— Pańskie zdrowie. I za białą cerę kobiet, którym sprzedawać pan będzie swoje maści!

— Dziękuję, kapitanie — odpowiedział Hugh. — I nawza jem za pańskie zdrowie. Za

pomyślne wiatry — tak, zdaje się, należy życzyć marynarzom.

— Piękne życzenie — rzekł Bardolf. Zanim wypił, patrzył chwilę na Hugh'a znad brzegu

kubka swymi orzechowymi oczami. — Wraca pan do kraju?

— Tak.

— Kobiety będą się cieszyły. Lubią zabiegać o swoją urodę. — Obrócił się do Brychta. —

Zapalisz?

— Raz tylko próbowałem.

— Spróbuj ode mnie.

Sięgnął do kieszeni. Wyjął małą, glinianą fajkę, okuwaną srebrem, na długim cybuchu.

Powoli, starannie nabijał ją tytoniem. Potem kiwnął na kręcącą się koło ich stołu dziewczynę.

Kazał sobie podać ognia. Widać, już znała ten obyczaj, bo pobiegłszy przyniosła w

szczypcach rozżarzony węgiel. Bardolf zapalił fajkę, kilka razy dmuchnął kłębam

niebieskiego dymu. Zwróciło to uwagę siedzących obok. Patrzyli na palącego. Jedni śmieli

się, inni krzykliwie podziwiali. Dziewczyna klaskała w dłonie i podskakiwała. Lecz Hugh

spostrzegł, że znowu zerka w jego stronę. Coś mówiła cicho, zachęcająco. Zmarszczył brwi i

gniewnie odwrócił głowę. Przypomniało mu się zdanie z Ćwiczeń Duchownych: „Nasz

nieprzyjaciel zachowuje się jak kobieta: jest słaby w swej sile, lecz silny w swej

zawziętości". Przecież — myślał ze zniecierpliwieniem — nie przyszedłem tutaj, by narażać

się na jego pokusy!

Gdy fajka rozpałała się, Bardolf podał ją Brychtowi. Pouczał, jak należy zaciągać się

dymem. Hugh upewniwszy się, że dziewczyny nie ma już w pobliżu, podniósł wzrok na

kapitana „Falcona". Rudy marynarz przykuwał jego uwagę. Dotychczas jedynymi rodakami,

jakich spotykał, byli ci, którzy uciekli z Anglii. Gdy opowiadali o tym, co się tam dzieje, nie

szczędzili czarnych barw. Patrzyli w oczy swoim słuchaczom jakby usiłując z nich wyczytać, czy takich właśnie okropności oczekiwali. Gdyby nie potrafili zaspokoić ich prugnień, naraziliby się na pewno na zarzut, że znają rzeczywistość gorzej, niż znana jest ona w Rzymie. 'Jedynym człowiekiem, którego słyszał mówiącego inaczej, był Bosgra-ve. Ale i on był przecież jednym z nich. Ten marynarz natomiast należał do przeciwników.

Brycht zwrócił fajkę Bardolfowi. Jakby zgadując pragnienie Hugh'a zapytał:

— Jak tam u was? Królowa wasza nie idzie za męża?

— Po co jej mąż? — Anglik pykał dymem. — Przyjeżdżał książę francuski, mizdrzył się. Ale nie podobał się ludziom. Mały jak karzeł, brzydki jak małpa. Królowej może się i podobał, ale odprawiła go. Lepiej, żeby zostało, jak jest. Królowa ma już swoje lata, syna mieć nie może. To po co jej chłop?

— Mówisz — zażartował Brycht — jakby była twoją córką i jakbyś ty miał wybierać dla niej męża.

Bardolf odłożył fajkę. Strzyknął śliną przez zęby.

— Nieraz powiada, że ma za męża cały naród.

— Królowie lubią tak gadać.

— Lubią — zgodził się. — Ale jedni gadają, a potem każą bić się za siebie. A drudzy zabiegają, by kraj był bogaty.

— Wzbogaciliście się, to prawda. Wojny jednak nie unik niecie.

— Bóg będzie wspierał królową.

— Bóg angielski czy Bóg papistów? — Brycht przymrużył złośliwie oczy.

Bardolf nie obraził się. Po swojemu, wesoło mrugał jasnymi świńskimi rzęsami.

— Na to nie odpowiemy ani ty, ani ja — powiedział. — Naszą sprawą rzychtować armaty

i w czas rzucić zaczep. No nie?

Hugh nie mógł oderwać oczu od Bardolfa. Nie tracił ani słowa z tych, które tamten mówił. Więc to jest jeden — myślał — z tych zażartych zwolenników Elżbiety? W porównaniu z dzikością Brychta wydawał się kimś jowialnym, prawie dobrotliwym. A jednak Hugh wyczuwał coraz mocniej, że pod jego wesołymi słowami pulsuje siła.

Znowu kapitan „Rusałki” podniósł kubek w górę.

— Za twoje zdrowie! I za takich zuchów jak ten wasz Drake!

— Goddam! To mi się podoba! — Bardolf rozochocił się. Po przyjacielsku położył dłoń na ramieniu Brychta. Twarze obu stały się czerwone. — To mi się podoba. Bić się, gdy trzeba, ale i szanować się. Z ciebie także dzielny chłop. Jak się rozeszło, że Polacy zatopili „Sparrowhawk”, od razu powie działem, że to musiał zrobić Brycht!

— Ale tyś mi połamał maszty!

— A ty byś mi tego nie zrobił?

— Do diabła! Zrobiłbym!

— No to wypijmy jeszcze raz!

Wypili. Potem Bardolf położył swoją cętkowaną rdzawymi plamami dłoń na obrośniętej łapie Brychta. Powiedział:

— A teraz gadaj, po coś mnie zapraszał.

— Żebyśmy wypili.

— Bajki! Dobrze było wypić. Ale masz coś...

— No, mam — ustąpił.

— Gadaj!

— A zrobisz?

— Dla takiego chłopaka jak ty, co będę mógł.

— Więc przewieź tego dżentelmena do Anglii — wskazał Hugh.

— Przewieźć? — Wzrok Bardolfa przeniósł się z twarzy Brychta na twarz Palmera i z powrotem.

— Tak. Nie za darmo. Doktor zapłaci ci. Aniołami. — Położył na stole złote monety, które wziął poprzednio od Hugh, Ciemne oczy kapitana błysnęły. Ale zaraz ukryły się w grubych fałdach powiek.

— Dlaczego ja mam przewozić szanownego doktora? — zapytał.

— Wiesz, że żaden okręt nie płynie do Anglii.

— To prawda...

— Kiedy odpływasz?

— Jutro, pojutrze — jeszcze nie wiem.

— Więc weźmiesz?

— Hm... A czy szanowny dżentelmen wie, że teraz nasze porty są surowo strzeżone?

Gdy tylko okręt zawinie do portu, na pokład wchodzi dwóch searcherów i wypytują każdego przybywającego, kim jest i po co przybył. Jeśli coś im wyda się podejrzane, aresztują przybysza i wysyłają do władz dla dalszego badania.

— Mówiłem ci: doktor jest mistrzem od sporządzania na pojów piękności!

— Mówiłeś. Ale searcherzy są podejrzliwi. Były u nas spiżarnie, zasadzano się na życie królowej. Są Anglicy, którzy udali się pod opiekę króla Hiszpanii i papieża. Papiści, jezuici...

— Głupstwa! Doktor wiezie ze sobą maści i pomady. Zna recepty italskich mistrzów!

— Tak, to dobrze. Ale — zwrócił się wprost do Hugh — czy warto, doktorze, teraz jechać do Anglii? Zbliża się wojna.

Kiedy się zaczną, kobiety nie będą miały czasu myśleć

o swojej piękności. Ja panu radzę, doktorze, poczekać... Hugh czuł utkwiony w sobie

przenikliwy wzrok Bardolfa.

To spojrzenie odbierało mu pewność siebie.

— Pan ma na pewno słuszność — rzekł. — Cenię pańską radę. Mimo to jednak chciałbym pojechać do Anglii teraz. Jak powiedział kapitan Brycht, gotów jestem zapłacić. Ile pan zażąda...

Znowu oczy kapitana błysnęły. Jego wzrok wędrował z twarzy Hugh'a na leżące na stole pieniądze. Drapiąc się po czerwonych kłakach zdawał się namyślać.

Tymczasem do ich stołu podeszła dziewczyna z nowym dzbankiem wódki, ta sama, która za każdym zbliżeniem kokietowała Hugh'a. Teraz zobaczyła leżące przed Bardolfem monety.

Nagle objęła Anglika za szyję i kładąc mu się piersiami na ramieniu dotknęła palcami jednej ze sztuk złota. Powiedziała łamaną angielszczyzną:

— Kup mi coś za to, chłopczyku...

— Idź sobie! — rzekł kapitan po swojemu z flegmą, nie przejmując się oznakami czułości ze strony dziewczyny. — Go away!

Ale dziewczyna nie myślała ustąpić. Przeciwnie, jeszcze goręcej tuliła się do Bardolfa. Na ten widok z ławy przy sąsiednim stole porwał się olbrzymi marynarz duński o wyglądzie goryla. Już poprzednio złym wzrokiem patrzył na zalecanki dziewczyny. Podbiegł wrzeszcząc na całą salę, chwycił dziewczynę za kark, oderwał ją od Bardolfa i jak kociaka cisnął za siebie. Ale to nie zaspokoiło jego zazdrości. Przy tym był pijany. Wściekłym gestem zmiotł stojące na ich stole kubki i dzbanki. Bardolf chwycił go za ramię. Ale to jeszcze bardziej rozdrażniło olbrzymia. Nagłym pchnięciem obalił stół przyciskając nim Brychta do ściany. Jednocześnie złapał Bardolfa za gardło.

Wokół szamocących się podniosły się krzyki, stukot i rwetes. Goście porwali się z miejsc, przewracając ławy, stoły, stołki, zwalając na ziemię statki. Bardolf próbował wy szarpnąć

się z rąk napastnika, tamten jednak górował nad nim siłą. Choć walczył zaciekle, twarz jego zsiniała, oczy wy szły na wierzch, oddech stał się chrapliwy.

Hugh nie zastanawiał się ani na chwilę nad tym, co mu każe skoczyć na pomoc Bardolfowi. Uczepił się marynarza i usiłował go odciągnąć od kapitana. Nie był zbyt silny i niewiele mógł uczynić tamtemu. Mimo to olbrzym puścił Bardolfa i rycząc wściekle obrócił się ku Hughowi. Palmer zobaczył przed sobą jego wielką, wykrzywioną twarz, podobną do pyska rozjuszonej małpy. Odruchowo cofnął się. Tamten chwycił stołek i zamierzył się nim. W ostatniej chwili Hugh spostrzegł Fortimbera, który usiłował ławą odparować cios. Ale uderzenie mimo to spadło i zakonnik trafiony w głowę padł na ziemię, nawet nie krzyknąwszy.

Jednak chwila, w ciągu której napastnik zajęty był Hugh i em, wystarczyła Brychtowi, by odepchnąć stół i wyskoczyć spoza niego. Jednym skokiem dopadł szalejącego Duńczyka i zaciśniętą pięścią, w której trzymał króciwę, zdzielił go w czoło. Cios był potężny, olbrzym zalał się krwią. Nogi ugięły się pod nim. Wolno, skręcając się niby śruba na osłabłych nogach, osunął się na ziemię. Jego upadek powitany został przez tłum otaczający walczących rykiem gniewu.

Olbrzym musiał być tutaj cenioną postacią, bo nagle cała gromada ludzi rzuciła się na Brychta. Pchali się zbrojni w noże i w stołki. Kapitan wyciągnął błyskawicznie rapier i puginał. To krzyżując, to rozdzielając ostrza trzymał w odległości swoich przeciwników. Jednego, który się pchał naj-zajadlej, ugodził rapierem w brzuch. Nie było mu jednak łatwo odpowiedzieć na ataki ze wszystkich naraz stron.

Znajdujący się w gospodzie marynarze z „Rusałki” pośpieszyli z pomocą. Ale i na nich zwała się cała kupa napastników. Bitka stała się ogólna. Widząc przewagę wrogów Brycht począł wołać na swoich, aby przebijali się ku wyjściu. Sam rąbał i parował ciosy sypiące się

ze wszystkich stron. Obok niego walczył Fortimber swoim marynarskim pałaszem. Obaj byli mistrzami walki wręcz, nawykli do zdobywania w ten sposób obcych okrętów. Jednak tłum przed nimi był zbyt wielki i zanadto zażarty. Poza tym zrobiło się ciemno, gdyż większość świec pogasła w zamęcie. Przeciwnicy rzucali się jak wściekli. Na Brychta i Fortimbera leciały stołki, konwie, różny, noże. Obaj oberwali kilkakrotnie.

Nie byliby się nigdy przerabali przez pierścień napastników, gdyby nie przyszła im pomoc. Do walki wkroczył Bar-dolf. Przyduszony przez wielkiego marynarza, przez pewien czas z trudnością łapał oddech. Odzyskawszy go — schwycił także za rapier. Stanąwszy przy Brychcie jednym ciosem zwałił najzawzięciej prącego Duńczyka.

— Do drzwi! — krzyknął. — Do drzwi!

— Fortimber — rozkazywał Brycht — bierz doktora!

Oślaniany przez obu kapitanów marynarz dźwignął bezwładne ciało Hugh'a i zarzucił je sobie na ramię. Mimo tego brzemienia jeszcze wymachiwał pałaszem. We trzech nagłym natarciem przebili się do walczących na drugim końcu sali marynarzy z „Rusałki”. Teraz razem poczęli się przedzierać ku schodom.

Gdy znaleźli się na nich, mimo wielkiej przewagi liczebnej wroga łatwiej mu się mogli opierać, uderzając z góry. Wsparci o siebie ramionami, krok za krokiem ustępowali nacierającemu tłumowi. Lecz gdy znaleźli się na zakręcie schodów, posypały się na nich kufle, stołki, kandelabry. Dwaj marynarze odnieśli rany. Rozległ się ogłuszający huk — ktoś wypalił do nich z pistoletu. Kula trafiła w ścianę nad ich głowami obsypując ich tynkiem. Wszystko na chwilę spowiły kłęby dymu.

— Do wyjścia! Biegiem! — wrzasnął Brycht, widząc, że ciżba rzuca się do nowego natarcia.

Ile sił w nogach skoczyli w górę. Tłum pędził za nimi wyjąć. Dopadli sieni. Drzwi były

zamknięte na sztabę. Gdy jedni odpierali ataki, drudzy mocowali się z żelazem. Wreszcie udało im się wyrwać sztabę z uchwytów.

Lecz zaledwie otworzyli drzwi, stanęli oko w oko ze strażnikami, którzy właśnie nadbiegli słysząc walkę. Dozorca rontu, nie wdając się w to, kto winien, ujrawszy wymykającą się z tawerny gromadkę wskazał na nią swoim:

— Brać ich!

W tej samej chwili Fortimber używając bezwładnych nóg Hugh'a jako maczugi wyrznął nimi w jego hełm. Strażnik zapiał jak kogut, zatrzepotał rękami i upadł. Brycht kopnięciem rozbił trzymaną *przez* innego strażnika latarnię. W ciemnościach, jakie zapanowały, rozpoczęła się bitwa zawzięta i chaotyczna. Równocześnie wbił się w nią tłum wybiegających z gospody marynarzy duńskich. Zwalono poręcz schodów. Wrzawa ogarnęła całe miasto. Ze wszystkich stron słyhać było krzyki nadbiegających ludzi. Ronty zwoływały się gwizdkami. W jednym najprzód, potem w wielu kościołach poczęto bić na alarm.

Widząc, co się dzieje, Brycht począł zwoływać swoich, by wycofywali się z walki i przedzierali do statku. Dzięki pomieszaniu i ciemności udało się im to zrobić. Za chwilę gromadka marynarzy polskich z dwoma Anglikami pomiędzy sobą, choć mocno poszczerbiona i poturbowana, podążała ciemnymi ulicami w stronę portu.

Niedługo im dano iść spokojnie. Z bocznej uliczki wysypał się znowu jakiś ront. Zaledwie jednak rozpoczęli walkę, za plecami przeciwników usłyszeli krzyki:

— Prać ich! Bić! Walić!

— Tutaj! Do nas! — zawołał Brycht.

Odpowiedziała mu radosna wrzawa. Nadbiegająca gromada marynarzy rozniosła w strzępy strażników. To załoga „Ru-saiki” słysząc hałas walki wyruszyła na pomoc swemu kapitanowi. Powitanie było radosne. Dla uczczenia zwycięstwa rozwalono bramę od sukiennic i zabrano

towar z kilku kramów. Podpalono także wóz ze słomą. Hałaśliwie, wymachując bronią wracano na statek. Pośrodku gromady szli Brycht i Bardolf trzymając się po przyjacielsku pod ręce. Dwóch marynarzy prowadziło Hugh'a, który oprzytomniał, gdy mu obmyto głowę pod pompą.

„Rusalka” stała przycumowana bliżej, „Falcon” dalej. Brycht jednak nie chciał puścić Bardolfa, póki nie opiją zwycięstwa. Do angielskiego okrętu wysłano Fortimbera z wiadomością, gdzie jest ich kapitan, i z żądaniem, by kilku marynarzy przyszło odprowadzić go potem na „Falcona”.

Marynarze znajdujący się na opatrywaniu ran zajęli się w kajucie kapitańskiej Brychtem, Bardolfem i Hughiem. Palme-rowi położono zimny okład na opuchłe czoło. Kapitanowie siedzieli do pasa nadzy i podczas gdy im smarowano oliwą rany i nakładano opatrunki, przepijali do siebie zdobyczym ypokratesem.

— Patrz — mówił Brycht pokazując srebrny dzban — to ze „Sparrowhawk”.

— Widzę. Cenne naczynie. Niech ci służy. Zawsze mówi łem, żeś mocny chłop.

— Ty także! Rozwaliłeś mi maszty i wyśmiewałeś się ze mnie...

— Właśnie dlatego, że wiedziałem, jaki jesteś. Kiedy mnie zwyciężysz, zrobisz tak samo...

— Skoro nie zostajesz na Bałtyku, nie spotkamy się. Ale już ci tamtego nie pamiętam!

— Jeżeli jednak przyplynę...

— Wtedy, do diabła, co innego!

Z rozmachem klepali się po potłuczonych ramionach. W tej chwili byli zupełnie do siebie podobni: dwaj pijani zwycięstwem korsarze. Hugh patrzył na nich spod strumyczków wody ściekającej z położonej na czoło chustki. Rzecz dziwna — nie budzili w nim w tej chwili wstrętu ani odrazy. Wspólna walka obudziła w nim uczucie solidarności.

Kapitan „Falcona” wyczuł utkwiony w nim wzrok Pal-mera. Obrócił głowę i odpowiedział

na to spojrzenie uśmiechem. Podniósł w górę srebrny kielich.

— Za zdrowie pana, doktorze — powiedział. — Pan mi

przyszedł z pomocą. Nie wiem, czybym się wyrwał z łap tego niedźwiedzia, gdyby nie pan...

— Za zdrowie! — zawołał Brycht. — Doktor dobrze sta nął! — Położył rękę na ramieniu Anglika. — No to co, zawie ziesz go? — zapytał.

Na twarzy Bardolfa odmalowało się zakłopotanie. Nie patrzył na żadnego z nich, spoglądał na kielich, jakby nagle zainteresował go wyryty na nim deseń. Jego nabiegłe krwią białka nadawały oczom wyraz smutku.

— Mówię wam, że pilnują — rzekł. —: Surowo pilnują. Każą strzec się szpiegów.

— Doktor jest uczonym! — przerwał mu Brycht. — I za płaci.

Poruszył ręką, jakby to złoto przestało go nęcić. Grubym paznokciem przesunął po wypukliznach i wgłębieniach pokrywającej kielich rzeźby. Powtórzył:

— Każą strzec się szpiegów...

Odstawił kielich. Z zakłopotaniem przejechał dłonią po swej rudej czuprynie.

— Przykro mi, doprawdy, doktorze, ale nie mogę się panu tym wywdzięczyc...

Nieco porywczo Hugh zapytał:

— Uważa mnie pan za szpiega, kapitanie? Bardolf skrzywił się.

— Szpieg, brzydkie słowo — rzekł. — Tego nie mówię. Ale pan, doktorze — podniósł oczy na Hugh'a — mógłby być pa- pistą, jezuitą...

— A gdybym nim był? — rzucił. Baldorf rozłożył ręce.

— Gdyby pan nim był, doktorze, czekałoby pana w Anglii więzienie. Może śmierć... Po co? Kiedyś wszystko się może zmieni. Może będzie inaczej. Ale teraz — zbliża się wojna...

Powoli, jakby z ociąganiem, podniósł się z ławy.

— Jest mi naprawdę bardzo przykro, doktorze. Może kie dyś zdołam wywdzięczyc się...

Obrócił się do Brychta.

— Bądź zdrow, chłopie. Cieszę się, że cię poznałem. Podo basz mi się.

— Ty mnie także. Bo tak naprawdę...

— Jak dwóch pływa po morzu, zawsze się w końcu polu bią. Good by. Zaraz odpływam.

— Masz rację. Zrobię to samo. Narąbaliśmy strażników. Bardolf jeszcze raz zwrócił się

do Hugh'a:

— Proszę nie mieć do mnie żalu, doktorze. Ja na religii się nie znam. Ale widzi pan,

jak idzie burza, to się nawet przyjaciela odsyła z pokładu...

Lekko utykając na zranionej nodze podszedł do drzwi.. Jeszcze na progu obrócił się i

skłonił nisko kapeluszem.

— Ten człowiek podobał mi się... — rzekł Hugh patrząc zamyślony na morze.

— Naprawdę? — zakpił Brycht. — Choć od razu wywę szył w ojcu papistę?

— Pan z nim także pił i kumał się, choć panu pogruchotał maszty! — odciął się.

Chwilowa sympatia, jaką poczuł do tego pirata po przygodach poprzedniego dnia, rozwiewała się, gdy tamten zaczął drwić.

— Piłem i kumałem się z nim, ale go zatopię, jeśli go spo tkam na Bałtyku! — rzucił twardo. — Tak musi być... — do rzucił po chwili. Wydawał się zamyślony. Oparł nogę na barierze ogradzającej mostek. Patrząc w morze mruknął: — Choć wolałbym być z takimi jak on...

„Rusałka” płynęła, podskakując niby mewa z fali na falę, po kotłujących się wodach Sundu. Z pierwszym brzaskiem podnieśli kotwicę i wymknęli się z portu. „Falcon” uczynił to wcześniej, jeszcze w nocy.

Bijatykę w mieście słyhać było do późna. Potem zrobiła się cisza — widać strażnicy rozgromili popitych awanturników i odprowadzili ich do więzienia. Brycht jednak przeczuwał, że rankiem zacznie się badanie ujętych i wtedy wściekłość obróci się przeciwko cudzoziemcom. List biskupa stanowił nikłą tylko gwarancję bezpieczeństwa.

Wyływając z portu Brycht kazał skrócić początkowo na południe i dopiero gdy byli daleko na morzu, tak że nikt ich nie mógł dostrzec z portu, zawrócił w przeciwnym całym kierunku. Hughowi, który przedrzemawszy kilka godzin pojawił się na pokładzie z obwiązaną głową, powiedział:

— Zawiozę ojca do Helsingbr. To mały port na końcu wy spy Zeeland. W sąsiedztwie król duński kazał zbudować sobie zamek, więc w porcie ruch jest dość duży. Myślę, że może tarn znajdziemy kogoś, kto zgodzi się popłynąć do Anglii.

Br/.egi z obu stron cieśniny poczęły się ku sobie zbliżać. Wyglądało teraz, jakby płynęli szeroką rzeką. Na brzegu po

lewej stronie leżało miasto i port Helsingbr. Po drugiej bódł niebo wieżycami swoich kościołów Helsingborg.

Ledwie zwrócili się ku brzegowi, spostrzegli dużą łódź, która zdawała się płynąć im na spotkanie.

— Duńczycy zamknęli Bałtyk i każą sobie płacić za prze pływanie cieśniny — rzekł

Brycht. — Ale Bardolf na pe wno przerwał się im. I ja przerywałem się im nieraz.

W łodzi obok wioślarzy i strażników siedział oficer i urzędnik w długiej szacie i czarnym bireciku na głowie. Już z daleka oficer dawał ręką znaki, aby statek się zatrzymał. Brycht kazał zwinąć żagle. Łódź przybiła do boku „Rusałki”. Oficer, urzędnik i żołnierze wspięli się po spuszczonej drabince.

Oficer wkroczył na pokład z miną butną. Miał złotą brodę przyciętą w szpic i podkręcone wąsy. Trzymając się pod boki groźnym spojrzeniem powiódł po obdartych marynarzach, którzy stali przy linach opuszczonych żagli. Skinął na najbliższego i rozkazująco kazał sobie przywołać kapitana.

Brycht powoli schodził z mostku. Wierzchem dłoni potarł nos. Nie spiesząc się zbliżał się do oficera. Nie miał przy sobie broni, a rozpięta koszula odkrywała świeże, poniesione poprzedniego dnia, szczyby. Po swojemu trzymał rękę w kieszeni. Oficer zapytał groźnie:

— Jesteście kapitanem?

— Tak.

— Co to za okręt?

Brycht podniósł głowę w górę. Bez słowa wskazał palcem furkoczącą na wietrze banderę.

— Nie widzicie? — zapytał mrużąc oczy, jakby go oślepiało odbijające się w hełmie oficera słońce.

— Nie wasza sprawa, czy widzę. Należycie do floty polskie go króla?

— Całkiem to rozsądnie wywiedliście...

— Bez kpin! — oficer stał się jeszcze bardziej krzykliwy. — Macie odpowiadać na moje pytania. Dokąd płyniecie?

— Do waszego portu.

— Po co?

— Spróbować, czy się piwo u was nie poprawiło. Oficer tupnął nogą. Już otworzył usta, aby coś krzyknąć,

gdy nagle stojący za nim urzędnik pochylił się ku niemu i coś mu począł gwałtownie szeptać do ucha.

Twarz oficera zmieniła wyraz. Zamiast groźnego marsa pojawił się na niej niepokój.

Jeszcze raz rozejrzał się. Patrzył teraz lękliwie na otaczających go marynarzy i na stojącego przed nim Brychta. Innym zupełnie tonem zapytał:

— Ten statek nazywa się „Rusałka”, czy tak?

— Tak.

Oficer przełknął ślinę, aż mu podskoczyła grdyka. Teraz dopiero pojął, gdzie się znalazł.

Nie była mu obca zła sława totfo korsarskiego stateczku. Odruchowo cofnął się do tyłu, między swoich.

— I chcecie, panie — bąkał — wpłynąć do portu...?

— Tak.

— Czy pozwoli pan, kapitanie — płaszczyl się — że jeszcze raz powtórzę moje pytanie: dlaczego chce pan to zrobić? Proszę mi nie mieć za złe, że pytam. Takie mam zlecenie.

Jestem tylko podległym dowódcy portu...

— Dobrze! — przerwał mu. — Płynę z polecenia królewskiego. — Wyjął z kieszeni list biskupa Goślickiego, ale nie pokazał go oficerowi, tylko potrząsnął pieczęcią przed jego nosem. — A po co płynę, sędzę, że jesteście dość mądrzy, aby się domyślić... — powiedział ze złośliwym uśmiechem.

— Oczywiście, naturalnie... — powtarzał oficer. Ale minę miał głupią i łatwo się było domyślić, że nie pojmuje wcale, co Brycht ma na myśli. — Lecz... — prawie błagalnym gestem złożył ręce. — Niech pan wybaczy, kapitanie... Ale... jest moim obowiązkiem żądać... To jest prosić, prosić, mówię...

— O co?

— To dotyczy każdego statku... Oczywiście każdego — plątał się. — I dlatego, że w pobliżu jest zamek... I właśnie król przebywa w nim...

— Wyjęzyczcie się wreszcie!

— Są przepisy — mówił spiesźnie, co chwila przełykając ślinę tak mocno, że aż oczy wychodziły mu na wierzch — by kule do dział... i wszelka broń palna... były zamknięte w prochowni... A klucz, żeby był mnie oddany... Zwrócę zaraz! — zapewnił gwałtownie widząc błysk gniewu w oczach Brychta. — Zaraz gdy tylko pan, kapitanie, zapragnie odpłynąć!

— Do tysiąca diabłów! — zaklął Brycht. Stał przed oficerem z takim wyrazem twarzy, jakby chciał go zadusić. Ale opanował się. Zawołał na swego zastępcę:

— Słyszałeś, czego on chciał?

— Tak, panie.

— Więc słuchaj — mówił po niemiecku — każ znieść kule i muszkiety do prochowni. Prochownię zamknij i mnie przy nieś klucz. Ale ty — groźnie potrząsnął palcem przed nosem oficera — klucza nie dostaniesz. Broń będzie zamknięta. Możesz to powiedzieć

swoim. Ja za to ręczę! — uderzył się w pierś. — Więcej nie masz tu nic do roboty.

Uciekaj ty i twoi! Żebym was tu dłużej nie oglądał!

Zniknęli z pokładu, jakby ich zdmuchnął wiatr, tylko słychać było za burtą ich okrzyki, jak jeden przez drugiego skakali do łodzi. Patrząc za nimi Brycht śmiał się. Powiedział do

Hugha:

— Czują respekt, ścierwa. Znają nas trochę...

Wrócił na mostek i *zaczął* stamtąd wydawać rozkazy. Na podniesionych częściowo żaglach „Rusałka” poderwała się i lekko wpłynęła do portu.

Gdy sunęli wzdłuż mola, Hugh przyglądał się uważnie mijanym statkom. Było ich niewiele.

Na żadnym z nich nie zauważył angielskiej bandery. Gdy już przycumowali, rzekł do Brychta:

— Nie widziałem, aby był jakiś angielski...

— Nie ma żadnego. Niech się ojciec pomodli, aby się zna laźł taki, który ojca zabierze. Bo inaczej będzie tu ojciec się dźiał i czekał zmiłowania Bożego.

Obrócił się i dalej wydawał rozkazy. Marynarzom nie dał zezwolenia na zejście na ląd.

Choć broń palna była zamknięta, widać było, że ludzie otrzymali polecenie, aby byli w pogotowiu. Gdy wszystkie zarządzenia zostały wydane, Brycht powiedział:

— Chodźmy do portu wywiedzieć się.

Zeszli na ląd i skierowali się do gospody noszącej szyld „Pod Niebieskim Wielorybem”. W gospodzie ludzi było niewielu: w przestronnej izbie zastawionej stołami i ciężkimi krzesłami z rzeźbionymi oparciami kilku marynarzy kiwało się sennie nad kuflami piwa. Garbaty gospodarz przyszedł zapytać, co im może podać. Brycht polecił przynieść wino i zapytał o statek do Anglii. Garbus potrząsnął głową.

— Nie ma żadnego. Tam teraz niebezpiecznie płynąć.

— Nawet kupcom?

— Nawet. Królowa angielska przyjęła do swojej służby różnych zbójów i piratów. Gdzie wilkowi kazali strzec domu, lepiej się nie zbliżać. Tamci panowie — ruchem głowy wska zał stół w kącie — już od paru dni wypytyują codziennie o statek.

Spojrzelili w tamtą stronę. Przy stole siedziało trzech ludzi. Byli ubrani z krzykliwą jaskrawością. Trudno było zgadnąć, kim mogą być — nie wyglądali ani na podróżujących studentów, ani na kupców. Pochyleni nad jakimś papierem rozmawiali niezbyt głośno, lecz kiedy się nastawiło lepiej uszu, można było usłyszeć słowa. Mówili po angielsku.

— Co to za jedni? — zapytał Brycht.

— Komedianci. Przyjechali z Anglii jeszcze zeszłego lata, by odgrywać na królewskim zamku różne tragedie. Teraz także grają jedną -r- rozgadał się. — Wspaniała sztuka, muszę powiedzieć. Widziałem ją. Jest w niej taki rycerz, który wszystkich zabija, a w końcu nawet i własnego syna. Ten najstarszy z nich, panie, gra tego rycerza... A tamten młody, jasnowłosy przedstawia infantkę kastylijską. Ma całkiem ko biecy głos, a na twarz zakłada maskę. Taki jest wtedy, że można się w nim zakochać...

Brycht odprawił gestem karczmarza. Zaklął. Było po nim widać, że jest zły.

— No i co? — zapytał. — Woli ojciec, aby go zostawić tu tutaj, czy też wysadzić na ląd gdzie indziej? A może wróci ojciec z powrotem do Elbląga?

Już przedtem raz po raz stawiał sobie to pytanie: co mam robić? Czekanie w portach duńskich nie miało sensu. Więc wracać do Polski? Czy jednak miał prawo tak postąpić?

Zwierzchnicy wysłali go. Może gdyby wiedzieli, jak się w tym czasie ułożą sprawy, odłożyliby ten wyjazd. Ale teraz wszystko zawisło od jego, tylko od jego decyzji!

Lecz choć od początku wobec całej wyprawy czuł wewnętrzny sprzeciw — teraz obudziło się w nim twarde pragnienie przezwyciężenia trudności.

- Nie, nie cofnę się! — myślał. Zrobię wszystko, by tam dotrzeć. Muszę tam być — nie

wiadomo skąd i dlaczego pojawiło się w nim to postanowienie — zanim przyplynie

hiszpańska armada! Zanim dokona się to, co się ma stać...

— Nie, kapitanie — odpowiedział — do Elbląga nie wrócę. Lecz myślę, że będę pana prosił, aby mnie pan wysadził w takim miejscu, skąd będzie mi najłatwiej podążyć lądem do Antwerpii.

— Tam przecież wojna.

— To do Dunkierki. Z francuskich portów zawsze odpły wają statki do Anglii.

Brycht wypił swoje wino. Przekrzywiwszy głowę patrzył na Hugh'a.

— Ojciec koniecznie chce tam jechać, co? — zapytał — Choć ojciec wie, co go tam może spotkać?

— Chyba pan, kapitanie, wie, co znaczy otrzymać rozkaz. Sam pan mówił nieraz, że gdy panu coś rozkaże pan pod skarbi...

— U was, jezuitów, jak w wojsku! — przerwał. Sięgnął po kapelusz.

— Niech ojciec uważa. Pójdę teraz do portu. Jeszcze popytam, powęszę. Ojciec niech zostanie tutaj, a po tem wróci na statek. Przyszło mi do głowy, że będzie lepiej, jeśli się nie będziemy razem pokazywali. Na pewno nas śle dzą. Ten, co siedzi przy drzwiach i strzyże oczami, wygląda na szpiega.

— Dlaczego miałby szpiegować?

— Duńczyków ciekawi, po co przyplłynęliśmy. Puścili nas, bo się boją Hiszpanów, a podejrzewają, że król polski może być z nimi w sojuszu. Ale także boją się Anglików i cicho im sprzyjają. A najwięcej lękają się, aby ich nie wplątano do wojny. Za to niechby ojciec popróbował zaznajomić się z ty mi komediantami...

Skrzywił się odruchowo.

— Co, nie pachną ojcu? — Brycht zaśmiał się złośliwie. — Niech ojciec pamięta, że nie jest

już ojciec wielebnym ojczul kiem, ale sprzedawcą pachnideł, pomad i maści na piękność.

Tacy to dobra kompania z aktorami. A od nich może się coś ojciec dowie...

To prawda — pomyślał. Był zły na siebie za to skrzywienie się. Przypomnił sobie także pewien szczegół, który mu opowiadał Bosgrave.

— Dobrze — rzekł. — Spróbuję.

Kiedy Brycht wyszedł z gospody, począł wpierw nasłuchiwać, co mówili tamci. Głosy ich brzmiały wyraźnie. Byli widocznie pewni, że nikt tutaj nie umie po angielsku, bo rozmawiali nie zniżając głosów.

— James chce tego koniecznie — mówił ten mały, jasno włosy, o którym powiedział gospodarz, że gra rolę infantki. Miał twarz jakby nieco dziecinną, zadarty nos. Mówił prędko, jazgotliwie. — Już trzeci raz pisze, że jestem mu potrzebny. Henslowe przeciągnął do „Róży” wszystkich, którzy mogą grać kobiety...

- Co u niego idzie? „Tamerlan”?

— Tak. Także „Faustus” i „Morderstwo w Paryżu”. Zbi jają pieniądze. Póki mają takiego jak Marlowe, zawsze będą pierwsi...

— A u nas?

— Chcieli wystawić „Morusa”, ale cenzor nie puścił. Te raz grają „Andronika”.

— To także napisał Will?

— On. Podoba się ludziom. Cztery wiadra krwi trzeba przynosić od rzeźnika na każde przedstawienie.

— Rozumiem. Ale jak panowie dacie sobie radę bez pana Pope?

— To nie takie ważne. Duńczycy nie znają się na teatrze. Jest tu aktor, który od biedy potrafi zagrać kobiecą rolę.

— Ale nie mam jak wrócić! — wtrącił Pope. — Żaden sta tek nie chce wypłynąć z

cieśniny.

— Wiem o tym. Ja także chciałem popłynąć i także nie wiem, co mam zrobić. Gdy usłyszałem, że mówicie panowie po angielsku, pomyślałem, że może potraficie dać mi jakąś radę.

— Niestety!

Teraz długonosy zaczął wypytywać Hugh'a o posiadane przez niego umiejętności preparowania kosmetyków.

— Gdybyśmy byli w Anglii — rzekł — chętnie zgodziłbym się za niewielką opłatą wtrącić do roli słowa, jak np.: masz białą cerę, jakby czuwał nad nią sam mistrz... — i tu dodał bym pańskie nazwisko. Upewniam pana, że miałby pan już następnego dnia setki kobiet domagających się pańskiej pomady.

— Doprawdy... — Hugh'a zaskoczyła ta propozycja. Usiło wał jednak nie zdradzić się z nieznamości takich praktyk. — Oczywiście, byłaby to znakomita zachęta. Szkoda, że nie jesteśmy w Anglii.

— A pan, doktorze, skąd przybywa, wolno wiedzieć?

— Z Polski.

— Z Polski! Słyszeliśmy o niej. Opowiadano nam, że jest to wojowniczy naród, gotów wygnać co do jednego, gdy mu kto zechce zabrać bodaj skrawek całkiem nieużytecznej ziemi. Czy to prawda, że panuje tam wieczna zima?

— Ależ nie. Skądże. Podobnie jest jak tutaj. Kraj wielki, porosły lasami.

— Bogaty?

— Bardzo. Tylko morza nie ceni...

— Ciekawe!

Przypomniało mu się znowu to, co opowiadał Bosgrave. A może by ich zapytać? —

przyszło mu do głowy. Mimo swego zawodu wydawali się ludźmi uczciwymi. A Bosgrave tyle razy powtarzał mu, że powinien odnaleźć tamtego człowieka.

— Czy nie znacie panowie przypadkiem między swymi ko legami aktora noszącego nazwisko William Kempe? — za pytał.

Z ich twarzy zniknął uśmiech; Znowu szybko spojrzeli po sobie, jakby chcieli się wzajemnie porozumieć wzrokiem.

— Czy chciałby pan coś od niego? — zapytał najstarszy. Jego głos, tak się wydawało Hughowi, zadrżał lekko.

— Nie, nie. Nie znam go. Ktoś w Polsce wspominał o nim; ktoś, komu on oddał niegdyś wielką usługę... Ocalił mu życie...

Jeszcze raz popatrzyli po sobie.

— Dziwne. W Polsce... — Aktor 9 długim nosie, zdawało się, chciał coś powiedzieć, ale urwał nie kończąc. Zapanowała cisza, tylko przy sąsiednim stole kłócili się pijani marynarze. — Nie, nie znamy takiego — rzekł.

Jeszcze raz wypili. Rozmowa nie mogła się na nowo skleić. Hugh wyczuwał ze strony aktorów jakby sztywność czy nieufność. Zresztą nie widział potrzeby rozmawiania dłużej. Tamci nie mogli mu w niczym pomóc. Wstał i pożegnał się.

Opuściwszy tawernę skierował się ku wybrzeżu. Panował tu ruch. Robotnicy portowi zwozili na taczkach worki i skrzynie. Na kamieniach stukały ich drewniane saboty. Gdzieś zaskrzypiał dźwig, którym podnoszono do góry całą stertę towarów. Ciągący za linę ludzie nawoływali się rytmicznie. Nad pełnym rozgwaru portem zadzwonił zegar na wieży kościelnej. Długo, metalicznie bił godzinę.

Z daleka, przy molu widział „Rusałkę”. Ale nie poszedł w jej stronę. Wolno, z założonymi z tyłu rękoma, powędrował wzdłuż wybrzeża. Fale uderzały o nie z siłą i

pokrywały spienioną kipiela sterczące z morza głazy. Czasami biały język wzbijał się w górę niby fontanna. W dali, po drugiej stronie cieśniny, różowozłotą linią ciągnął się Urzeg szwedzki.

Hugh kroczył pochylony, zanurzony w myślach. Wiedział, że teraz będzie musiał powziąć ostateczną decyzję.

Gdzieś, z głębi serca odezwał się głos: wrócić... Usiłował go odepchnąć.

- Nie, nie wrócę! — powtarzał.

Ale głos szemrał dalej. Tłumaczył: Jeśli wrócisz, kto wie, czy nie odmieni się decyzja zwierzchników? Może to była tylko próba, próba posłuszeństwa? Skoro zobaczą, że przeszedłeś przez nią, pozwolą ci pracować w tym, co najwięcej kochasz i w czym najwięcej możesz dać...

Zdawało mu się, że poczuł koło siebie suchy, lecz budzący energię zapach ksiąg; że słyszy stukot oprawnych w skórę foliałów.

W mózgu paczęły wirować słowa łacińskie i greckie. Nie! — jeszcze raz zaprzeczył sobie.

Cóż z tego, że wróciłby? Oczekano by, aż się sytuacja wyjaśni, i wysłano by go znowu.

Pojechałby do Anglii zaraz po wylądowaniu tam Hiszpanów...

Wstrząsnął się. Jeszcze tak niedawno myślał zgoła inaczej. Powtarzał: niechby oni popłynęli najpierw i zwyciężyli; potem pojedziemy my... Co sprawiło, że tamto rozumowanie przestało do niego przemawiać? Znowu schwytał się na tym, że — jeśli już ma płynąć — pragnie popłynąć na wyspę, zanim Hiszpanie wylądują na niej i zanim sprawa będzie przesądzona... Zginę... — stanęło przed nim. Poczuł dreszcz na myśl o okrutnej czekającej schwytych kaźni. A mimo to tamto pragnienie nie opuściło go. Przypomniawszy sobie słyszane kiedyś w Rzymie słowa: „Hiszpanie dadzą nauczkę tym krwawym heretykom!” Wtedy ta pogróżka nie wywoływała w nim żadnych uczuć. Teraz — wydobywszy się z pamięci —

gniewała. Nie pojmował dlaczego.

Zatrzymał się. Morze tłukło się w tym miejscu z dziką zawziętością o głazy. Nad kipiela polatywały kwiląc mewy. Rozejrzał się — brzeg wokoło był pusty. Splótłszy palce powiedział eicho: Boże, Ty wiesz, że naprawdę chcę Ci służyć. **Że** wybrałem posłuszeństwo, abys mnie prowadził. Ale zostałem sam i nie wiem, jak mam postąpić. Zdecyduj za mnie! Pokaż drogę!

Znowu ruszył powoli naprzód. Niedaleko wybrzeża rozpoczynał się czarny, sosnowy las. Dalej widać było wydłużający się cypel, a na jego końcu, wśród zieleni, białe mury zamku. Na nowo stanął. Odwrócony twarzą ku morzu przeżegnał się. Czuł potrzebę modlitwy, która by go umocniła w woli zgody na to, co przyjdzie. Wydawało mu się: gdy tyle spiętrzyło się przeszkód i trudności, On musi się odezwać...

Założyciel uczył: zamknąć oczy lub utkwic je w jeden punkt. Napiąć uwagę, by nie uległa rozproszeniu. Trwać jak żołnierz... Uczynił tak. Stał nieruchomo przywołując wyobraźnię. Lecz cień, który padł na niego, spłoszył kształtujący się pod czaszką obraz. Obrócił się. Obok niego stał długonosy aktor. Ujrzawszy zwrócone na siebie oczy Hugh'a postąpił krok.

Powiedział:

— Wybaczcie, panie. Ale to ja jestem Wiliam Kempe...

Milczał zaskoczony. Morze tłukło się i przelewało między czarnymi głazami; z charkotem wpadało na brzeg, rozlewało się po szorstkiej plaży, pozostawiając po sobie lśniący ślad wilgoci i białozółtą osadzinę pian. Wiatr kołysał drzewami, lecz szum gałęzi głużył ryk morza. W pełnym ruchu i barw świecie ich nieruchome, stojące naprzeciwko siebie sylwetki wydawały się czymś obcym. Hugh trwał bez słowa tak długo, aż Kempe odezwał się znowu:

— Proszę mi wybaczyć, że nie przyznałem się do tego od razu. Ale... Pan przyjeżdża z Polski. Tam odjechał przed kil ku laty pewien człowiek... Jeżeli ktoś mógł powiedzieć panu o mnie, to chyba tylko on...

— Mówiłem o ojcu Jakubie Bosgrave...

Tamten szeroko otwartymi ustami łyknął wielki haust powietrza, jakby mu nagle zapało oddech.

— Więc nie omyliłem się — rzekł cicho. — Nie widziałem ojca Bosgrave od czasu, kiedy odpłynął. Czy żyje?

— Żyje.

— To dobrze. To był człowiek... — Bezradnym gestem na próżno usiłował dopełnić niedopowiedziane słowa. — Wiele mu zawdzięczam.

— Lecz to pan ocalił mu życie? Lekceważąco machnął dłonią.

— To nie było nic... A teraz pan jedzie do Anglii?

— Tak.

Obejrzał się. Nie było nikogo, a mimo to ściszył głos, jakby się bał, że na tym pustym wybrzeżu ktoś może ich podsłuchać.

— Pan jest księdzem?

Odpowiedź pojawiła się sama na ustach Hugh'a:

— Tak.

Może to była lekkomyślność? — przebiegło mu przez głowę. Nie powinien był wspominać o Kempem. Z jego słów tamten poznał go. Lecz jeżeli to jest człowiek, który niegdyś ocalił Bosgrave'a?

— I jezuitą?

— Tak.

Kempe obejrzał się raz jeszcze. Szepnął:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Jego Matka, Panna Maryja.

— Na wieki wieków. Pan jest katolikiem? Aktor uczynił gest wyrażający niewiedzę.

— Czym jestem — nie wiem... Chciałbym nim być, chciał bym nim pozostać... Ale... Czy się jest jeszcze katolikiem, gdy się nie można wyspowiadać? Przyjąć Komunii świętej?

— Więc tam jest tak źle?

— Jest źle. Księży mało. Ci, którym wolno sprawować urząd, to staruszkowie wyświęceni za czasów królowej Marii...

— A nowo przybywający?

— Są tropieni. Zamyka się ich w więzieniach, skazuje na śmierć. Ojciec, skoro tam chce płynąć, na pewno o tym wie.

— Wiem. Lecz w takim razie kto u was pozostał katolikiem?

— Ci, których stać na płacenie kar, na przekupywanie szpiegów. Wielcy panowie z rodów: Arundel, Catesby, Trock- morton, Browne...

— A inni?

— Inni kryją się i czekają... Czekają, aż coś się zmieni.

— Pozostają wierni?

— Co ojciec nazywa wiernością? Muszą chodzić na oficjalne nabożeństwa, bo inaczej zmieniono by ich w żebraków. Muszą się taić ze swoją wiarą, nieraz nawet przed własnymi dziećmi... A poza tym...

— Co poza tym?

— Wciąż pojawiają się sprawy, wobec których trzeba wie dzieć, jak postąpić. A różnice są nawet między księżmi...

— Różnice?

— Wiele...

Kempe zamilkł. Hugh przesunął dłonią po oczach. Szum morza, o którym na chwilę zapomniał, dotarł do niego znowu. Białe słońce to przygasało, przesłonięte pasmami ciągnących obłoków, to znowu odkrywało się i kładło wędrującymi plamami na powierzchni morza.

— Proszę ojca... — usłyszał. Poczul utkwiony w niego wzrok aktora.

— Słucham?

— Niech ojciec nie zniechęca się. Niech ojciec tam popły nie. — Długi nos Kempego, zdawało się, jeszcze bardziej po czerwieniał.

— Lecz jak?

— Proszę tu z nami pozostać. Jakaś okazja musi się w końcu trafić.

— Nie mogę. Tu podobno wielu szpiegów. Poznają mnie.

— Ukryjemy ojca tak samo, jak kiedyś ukryliśmy ojca Bosgrave...

— Więc pańscy towarzysze...?

— Nie zdradzą ojca. Nie jesteśmy dobrymi chrześcijanami, ale nie ma wśród nas Judaszów. Przetrzymamy ojca, a potem, gdy trafi się okazja, popłynie ojciec z Pope'em.

To dobry chłopak. Z nim dotrze ojciec do naszej trupy. A oni będą umieli zapewnić ojcu bezpieczeństwo...

Zastanawiał się. Ta nieoczekiwana propozycja spadła jakby prosto z nieba. Pamiętał swój okrzyk zdumienia, gdy mu Bos-grave opowiadał, jak ukrywał się wśród aktorów i wędrował razem z nimi. Zawołał wtedy: „Przecież komedianci to ludzie bez czci i wiary!” Kiwając głową stary zakonnik odpowiedział: „Przypomnij sobie, co powiedział Jezus: celnicy i nierządnicę uprzedzą was...”

— A jeśli przyjdzie mi tu czekać bez końca na okazję?

— Nie, nie, to niemożliwe. — Kempe mówił gorąco. — Coś się w końcu trafi. Przecież ojciec jest tam potrzebny...

Drgnął. Nieznacznie spojrzał na brzydką twarz aktora. Stańło przed nim: może tam, gdzie nie było już nauk i sakramentów, gdzie wiara musiała się kryć w sercu człowieka, tacy ludzie byli jej ostatnim bastionem?

— Muszę to rozważyć — powiedział.

— Niech ojciec rozważy. I niech się ojciec nie zniechęca... Może moglibyśmy się zobaczyć jeszcze raz wieczorem? Pope miał rozmawiać z pewnym kapitanem. Dziś nie mamy przed stawienia.

— Dobrze. Gdzie się spotkamy?

— Najlepiej tutaj. Pusto...

— Zgoda. O szóstej?

— Będziemy. I jeszcze jedno... Gdyby ojciec zechciał...

— Co takiego?

— Chciałbym się wyspowiadać...

— Ależ oczywiście...

Mocno ściągnął brwi. Musiał skupić myśli. Miał uczucie jakby ulatywania. Ta nagła lekkość, ten odwracający się nagle rytm wydarzeń — czy to nie była stara, aż do znudzenia powtarzająca się historia?

Brycht chodził po kajucie długim, pewnym krokiem człowieka nawykłego do kołyszącego się pod nogami pokładu.

— Ojciec wyrabia głupstwa! — powiedział zatrzymując się gwałtownie przed Hughiem, który siedział na zydlu. — Po co ojciec gadał tamtemu o sobie?! Do diaska! Mówiłem..

Spokojnie usiłował przeciwstawić się wybuchowi:

— Muszę się kryć, kapitanie, ale nie mogę się zatajać całkiem. To są ludzie, do których zostałem wysłany.

— Takich jak ojciec nie powinni byli wysyłać! — mówił z irytacją. — Myślałem, że jezuici są chytrzejsi!

Uśmiechnął się rozbawiony tym stwierdzeniem.

— Uważa się nas za bardzo chytrych. Przychodzi jednak chwila...

— Za którą płaci się głową!

— Jeżeli trzeba zapłacić...

— Bzdury!

— Tym razem, kapitanie, narażam tylko siebie. Przecież rozstajemy się...

— Wcale tego nie powiedziałem! — parsknął.

Brycht z irytacją przeszedł kilka razy tam i z powrotem po kajucie. Potem nagle zatrzymał się i przez pewien czas przypatrywał się, jakby podejrzliwie, zakonnikowi. Znowu zaczął chodzić, tym razem spokojniej. Jego masywna postać zdawała się wypełniać sobą całą wolną przestrzeń kajuty. W ręku trzymał bambusowy kijek, którym uderzał się po łydkach.

— Zmienił się ojciec... — zauważył.

— Zmieniłem się? — Był zaskoczony tym odkryciem.

— Ojciec zrobił się zupełnie inny niż przedtem. Kto to tak na ojca wpłynął? Ci

komedianci? Co? Kiedy ojciec chce iść spotkać się z nimi?

— Niedługo. — Spojrzał na zegar tykający na szafeczce. — O szóstej.

Brycht stanął. Trzymając bambus za oba końce wygiął go, jakby to był rapier, którego giętkości próbuje się przed pojedyńkiem.

— Czy ojciec zna historię tego waszego katolika — zapytał — którego ludzie królowej angielskiej porwali w An twerpii?

. — Johna Story? Znam. To tyło przed wielu laty.

— A jeżeli tamci...? Hugh zaczął się śmiać.

— Co też przychodzi panu do głowy, kapitanie? Prychnął gniewnie i ująwszy trzcinkę za koniec świsnął ją w powietrzu.

— Niech ojciec nie udaje zbyt mądrego! Tu pełno szpiegów angielskich. Jeżeli nawet tamci nie są szpiegami, mógł was ktoś śledzić.

— Wybrzeże było puste.

— Wystarczy położyć się.

— Ależ, kapitanie. Kimże jestem, aby mnie śledzono?

— Czy ja wiem? — burknął. Przymrużywszy oczy patrzył na jezuitę. — Z ojca to jest jednak ścichapek. Pan podskarbi gorąco mi ojca polecał. I dałem słowo...

— Wywiązał się pan z niego.

— Nie proszę o rozgrzeszenie! O czym ojciec zamierza z tymi komediantami mówić?

— Jak panu wspominałem, zaproponowali mi, abym z nimi został, aż trafi się jakaś okazja... Jeden z tych aktorów miał jeszcze porozmawiać z kapitanem holenderskiego statku, który wybiera się do Szkocji.

— Nic z tego. Rozmawiałem także z tamtym. Nie pojedzie. Stchórzył.

Hugh westchnął.

— Co robić? Będziemy czekali. Albo namówię tamtego, aby się przebrał ze mną do Francji i stamtąd...

Wygięta trzcinka wymknęła się z palców Brychta. O mało nie zbiła latarni. Kapitan zaklął soczyście. Nie schylił się, aby podnieść bambus. Po swojemu włożył rękę głęboko w kieszeń spodni. Postawił nogę na stołku.

— Niech ojciec słucha — powiedział. — Wszystkie te ojca pomysły diabła warte! Nie zwykłem dawać słowa i nie do trzymać. Niech ojciec słucha! — powtórzył. — Podwiozę ojca i tego, co z ojcem chce jechać, pod angielski brzeg...

Hugh tak był zaskoczony, że nie od razu zdobył się na odpowiedź.

— To niemożliwe...

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego.

— Anglicy nie pozwolą... Ryknął drwiącym śmiechem.

— Nie mam zamiaru pytać ich o pozwolenie! — Patrzył na Hugh'a ironicznie skrzywiony.

— Niech ojciec nie wyobra za siebie, że proponuję mu spokojną przejażdżkę. Podwiozę ojca ukradkiem, nocą, i łódką wysadzę na pusty brzeg. Skoro ojciec stanie na ziemi, będzie musiał sam sobie radzić...

— Oczywiście. To jest, kapitanie, wspaniała propozycja. Lecz nie wolno mi z niej skorzystać.

— Nie wolno? Kto ojcu zabrania?

— Taka wyprawa mogłaby być niebezpieczna... Znowu parsknął śmiechem, jakby usłyszał dobry żart.

— Mogłaby być niebezpieczna? Tym większy powód, aby na nią wyruszyć. Niech ojciec

wyzbędzie się skrupułów. Podpływaliśmy już nieraz pod tamten brzeg. Nie po to naturalnie, aby wysadzać na niego jezuitów.

Chodziło o zgoła inne rzeczy. Kiedyś nawet, wie ojciec — śmiejąc się pochylił się ku Hughowi — wplynęliśmy w ujście Tamizy. — Uderzył się po kolanie i zachichotał na to wspomnienie. — Goniliśmy okręt. Myśleliśmy, że tamci wiozą pieprz, gałkę muszkatołową, imbir. Zamiast tego upolowaliśmy święty obraz. Wielki. Cały Sąd Ostateczny. Oddałem go do kościoła Panny Maryi w Gdańsku. Wisi tam...

— Mogą was jednak pochwycić. Błysnął zębami.

— Potrafię się bronić. A żywcem nie wezmą!

— Płyniecie pod banderą polskiego króla.

— Zdejmiemy ją. Drakę, gdy poluje na hiszpańskie galeony, także zdejmuję bandery królowej...

Zapanowała cisza. Hugh zastanawiał się:

— Odpiera pan, kapitanie, wszystkie moje argumenty — rzekł. — Nie pozostaje mi nic innego jak wyrazić wdzięczność i przyjąć pańską propozycję. Lecz w takim razie i ja chcę panu coś zaproponować. Jak panu mówiłem, dostałem na koszty podróży złoto.

Byłem gotów zapłacić kapitanowi „Falcona”. Więc chcę prosić: niech pan to złoto weźmie...

— Dosyć! — przerwał ostro. Spojrzał gniewnie na Hugh'a i uderzył dłonią w stół. Podeszedł do szafki, nalał sobie wódki z dzbanka. Palmerowi nie proponował. Sam wychylił kubek. Rzekł:

— Niech ojciec powie temu, żeby dziś jeszcze znalazł się na pokładzie. Odpływamy przed świtem.

— Dobrze. Lecz ja...

Przerwał nowym uderzeniem w stół. Hugh jednak próbował mówić:

— Ale dlaczego...?

Groźnym błyskiem oczu dał znak, że nie chce go słuchać. Obejrzał się na stękający i podzwaniający zegar.

— Niech się ojciec zbiera. Czas iść.

— Lecz... Tupnął nogą.

— Nudzi ojciec! — Pochylony uśmiechał się złośliwie. — Przecież po to ojca wiozę, żeby go złapali i powiesili. A teraz niech ojciec idzie!

Na progu Hugh powiedział:

— Jeżeli ja się zmieniłem, to i pan się zmienił... Zamiast odpowiedzi Brycht obrócił się do niego tyłem.

Znowu płynęli. Zostawili za sobą biały, uczepiony cypla duńskiego brzegu zamek Kronborg.

Wąska gardziel Sundu rozszerzała się. Mgły poranne opadły, wzeszło słońce. Kładło się płatami na bure morze, prześwietlało je, wydobywało z niego złoty ton.

Po obu stronach cieśniny ciągnęły się niskie brzegi, połyskujące zielenią świeżej trawy. Nad samym morzem, przy zatoczkach można było dostrzec domki rybaków i ich brzuchate łodzie, wyciągnięte na piasek.

Porywisty wiatr dął nad morzem, łopotał płachtami żagli, marszczył gładkie równiny wodne, czynił białe zadry na rozkołysanej powierzchni morza. Był zimny. Ale zaledwie przycichł — słońce przygrzewało mocno.

Szare niebo barwiło się delikatnym błękitem. Tylko przed nimi na horyzoncie leżał ciemny zwał mgieł. Kiedy mijali Skagens Horn, nad tymi mgłami zamajaczył na niebie leciutki, srebrny kształt niby zawieszona w powietrzu smuga nici babiego lata. Hugh przyłożywszy dłoń do czoła przyglądał się dziwnemu zjawisku. Nie mógł pojąć, co to takiego. Niby zmarszczka na woalu piętrzyły się jeden nad drugim białe oderwane od ziemi kształty. Posłyszał za sobą głos Fortim-bera:

— To nasze góry.

— Góry? Prawdziwe?

— Tak. Nasze góry norweskie.

Dopieropod wieczór łańcuch szczytów wynurzył się w całej okazałości. Nad ciemnym, prawie czarnym wybrzeżem sterczały śnieżne granie różowiejące teraz w blasku zachodzącego słońca. Zawiewało od nich lodowatym chłodem. Czasami opadające stromo ściany górskie dochodziły do samego morza. Wznosiły się nad nim, podobne niebotycznemu murowi.

Fortimber raz po raz odrywał się od swej roboty, by stanąwszy przy burcie przyglądać się brzegowi, wzdłuż którego teraz płynęli. W pewnej chwili wyciągnął rękę.

— O tam — powiedział. — Widzi ojciec te domki na wy brzeżu? To Arendal. Pochodzę stamtąd.

— I nie chciałbyś tam wrócić?

Kręcił głową, jakby nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

— Biednie u nas. Królowie duńscy mało dbają o naszą ziemię...

Lecz nie odrywał oczu od ciągnącej się linii brzegu, póki go bosman nie zawołał do roboty.

Słońce opuszczało się nad samą powierzchnię morza. Mgły przetarły się. Odbity w śnieżnych ścianach blask słoneczny kłuł oczy.

Hugh spędził cały dzień na pokładzie, to patrząc, to rozmawiając z Popem. Młody aktor był niezmiernie gadatliwy. Wciąż opowiadał o teatrze i o rolach, granych przez siebie.

— Jak przyjadę — mówił — będę grał Lawinie w „Androniku”. W drugim akcie Lawinia ma ucięty język i tylko wy daje bolesne westchnienia. Ale przekona się ojciec — ludzie *bada* płakali! Musi mnie ojciec zobaczyć w tej roli! Koniecz nie!

— Co to za sztuka?

— Napisał ją jeden z naszej trupy. Zdolny chłopak. Nie dawno przyszedł do nas, ale odkąd się wziął do pisania, ludzie pchają się do nas niewiele mniej niż do „Róży”. Dzięki temu roztoczył nad nami opiekę lord Strange. To wielkie szczęście. Bez tej opieki bylibyśmy jeżdżąc po kraju na łasce każdego sędziego pokoju. Jakby się trafił jakiś purytanin, mógłby nas kazać zatrzymać i skazać za włóczęgostwo. Wielu jest w Anglii aktorów, którzy mają uszy przekłute rozpalonym żelazem!

Gadał i gadał, aż w końcu zmęczony Hugh przestał go słuchać. Z tego jednak, co usłyszał, mógł sobie wyobrazić, jak wygląda życie aktorów. Był to świat pełen namiętności, zacieklej

rywalizacji i zażartych sporów, kończących się nieraz pchnięciem noża. Pośród takich ludzi mam się ukrywać? — stanęło przed nim. Zapał, jaki go opanował po rozmowie z Kempem — opadł. Jestem naiwnym człowiekiem — myślał. — Skąd przyszło mi do głowy, że to tam ukryły się wiara i wierność?

Słońce tonęło w morzu, tuż przed nimi. Jego blask skrzył się na powierzchni. Z tyłu, poza okrętem czernił się brzeg norweski. Szczyty gór żarzyły się czerwono niby dopalający się stos. Morze ściemniało. Stało się mroczne i gęste niby lawa. Czarne płyty kołysały się na jego powierzchni.

Pope plótł dalej. Upajał się radością powrotu.

— Szkoda wysiłku, by przedstawiać wobec Duńczyków — powtarzał nie wiadomo który raz. — Nie znają się wcale na sztuce! Nie zważają na piękno wiersza. Jedzą podczas przed stawienia! Ledwie zaklaszczą. No, takich oklasków, jak w Lon dynie, artysta nie otrzyma nigdzie!

Hugh nie był w stanie znieść dłużej tej gadaniny. Razem z rozpinającym się na rejach zmierzchem ogarnął go dziwny

niepokój. Czuł, że musi się z nim zmierzyć w samotności. Pozostawiwszy Pope'a na przodzie okrętu, przeszedł na jego tył, między grube zwoje poskręcanych lin.

Brzemię, z którym wyruszył w podróż, a które na chwilę, pod wpływem spotkania z Kempem, utraciło swój gniotący ciężar, teraz legło na nim znowu. Na nowo były w nim niepewność i lęk, żal i gorycz. Powróciła do niego uprzykrzona myśl, że oderwano go od tego, co było najważniejsze, i kazano iść po drodze, która była drogą zmarnowanych od samego początku wysiłków. Nie tego oczekiwał, ślubując posłuszeństwo. Zakon miał dać mu możliwość pracy naukowej — ale zakon miał także pokazać świętość. Z dawnych nauk czcigodnego Vendeville'a pozostała w nim zwłaszcza jedna: „Katolicyzm — tłumaczył profesor

swoim uczniom — musi dziś walczyć tak rozpaczliwie z herezjami, ponieważ ma za mało świętych. Święci, tylko święci decydują o zwycięstwie! Starożytność była taka wspaniała, a jednak zginęła, gdyż nie miała świętych..."

Świętość codzienna, świętość prosta — o niej zdawały się mówić formułki życia zakonnego. Nowicjuszom stawiano za wzór tego młodego polskiego szlachcica, który przywędrował do Rzymu piechotą, uciekając przed usiłującą go zatrzymać rodziną, i tu umarł z nimbem świętobliwości nad głową, chociaż nic więcej nie czynił, tylko sprzątał refektarz i zmywał naczynia. I Hugh myślał nieraz, że nie oczekuje w swoim życiu nadzwyczajnego — tylko cierpliwego doskonalenia się w wykonywaniu swych obowiązków. Czy nie najważniejszą sprawą w walce z heretykami jest przewyciężyć ich naukę większą wiedzą?

Ten wzór pracy, a zarazem świętości, wydawał się taki pro sty. Nie było jednak proste to, ku czemu zbliżał go ten statek każdym kiwnięciem się przez próg wodny. Tam czekała go wielka przygoda, której nie szukał i o której nie marzył. Tam było życie świętych takie, o jakim czyta się z grubych ksiąg o złoconych brzegach, opromienione legendami, a w rzeczy wistości przerażające! Czy jednak ci święci — myślał — byli kiedykolwiek prawdziwymi ludźmi? Może należeli do całkiem innego gatunku ludzkiego, jak ci Arymaspowie, Selenetydzi czy Otiopowie — potwory o jednym oku lub wielu rękach — jakich spotykali marynarze na dalekich, zamorskich lądach? Może święci byli takimi samymi, niepokojącymi istotami w sferze ducha, jakimi tamci byli w sferze ciała?

Ale on czuł się zwyczajnym człowiekiem. Bał się. Nigdy chyba tak dobrze nie pojmował tortury Ogrójca: tego rozpaczliwego, dławiącego uczucia, jakiego musiał doświadczać Jezus, gdy widział, jak wybrana z wybranych trójka śpi, podczas kiedy On opływa bolesnym potem. Lęk zacisnął na sercu i na gardle swoje kleszcze. Strach był tak mocny, że Hugh, tdyby mógł, przedłużyłby na długie dni tę drogę do angielskiego brzegu. Statek dzikich

kaprów wydawał mu się w tej chwili bliski jak dom rodzinny. A-już jutro trzeba go będzie opuścić. Tylko ta noc... Brycht mówił mu: „Podpłyniemy w dzień do wybrzeży szkockich, a kiedy się ściemni, zwrócimy się na południe. Chcę wysadzić ojca tutaj — obrośnięty jasnymi włosami palec wskazywał miejsce na mapie. — Całe to wybrzeże, jak powiada Fortimber, jest zupełnie puste...” Jutro wieczór, jutro wieczór... Zostaje tak niewiele czasu. A ja nawet nie modlę się...

Czarne plamy na powierzchni wody rozlały się szeroko. Skamieniałe morze uderzało mocno o przód statku. Na zachodzie leżał jeszcze na niebie jaśniejszy pas, niby szpara w nie domkniętych drzwiach. Ale od północy zaczęła się nasuwać wielka chmura. Była jaśniejsza niż czarne tło nieba. Wydawała się rozwianym płaszczem, którego fałdy krzeszą błyski. Wiatr począł uderzać coraz mocniej. Czasami uwiązłszy wśród lin zanosił się długim wyciem. Ostatnie nie zwinięte żagle łopotały trwożliwie.

Wstał, ruszył w stronę śródokręcia. Było ciemno — płynęli bez świateł. Hugh zatrzymał się natknąwszy się na kogoś śpiącego. W mroku zobaczył ciała innych. Słyszał senne mamrotanie. Przypomniawszy sobie, że Brycht kazał trzeciej części załogi pozostać na noc na pokładzie. Obok ludzi leżała broń, którą wyniesiono i poukładano wzdłuż burt.

Cofnął się, wrócił na swoje liny. Myślał: dla nich, którzy tu śpią — to jest gra. Są niby myśliwi, którzy zaczaili się na grubego zwierza. Nie lękają się walki. Pragną jej. Zazdrościł im tych uczuć. Święci muszą doznawać czegoś podobnego. Champion na pewno odpływał z Calais gnany gorącym pragnieniem zdobywania dusz. Nie myślał o śmierci, nie myślał o męce. Nie myślał, na pewno, o samotności i oczekiwaniu...

Nie jestem — myślał z goryczą — ani świętym, ani piratem. Jedni byli myślą w niebie, drudzy, wszystkimi uczuciami, na ziemi. On zdawał się unosić pośrodku. Nie zerwał z ziemią; nie przeczuwał nieba. Nie umiał się nawet schronić w lekkomyślność takiego

Pope'a, który tak bardzo pragnął oklasków, że nie pamiętał nawet o niebezpieczeństwie, na jakie się narażał, płynąc razem z Hughiem. Gdy Hugh, chcąc go nieco oddalić od spraw świata, powiedział mu, że w razie

złapania grozi mu także śmierć, odpowiedział: „E, proszę ojca, dlaczego mają nas złapać? Czy to każdego łapią?”

Gdyby jeszcze móc wylądować inaczej: jak żołnierz, z bronią w ręku! Choćby zaraz potem znaleźć śmierć. Ale wylądować i stać się tropioną zwierzyną? Zapomnieć, że się było człowiekiem, posiadającym godność i szacunek. Wziąć na siebie haniebne miano szpiega...

— Nie jestem szpiegiem! — powiedział sam do siebie półgłosem. A jednak w twojej kajucie leży trzos z hiszpańskim złotem — zdawał się szeptać kpiąco jakiś głos. Nie dali mi go Hiszpanie! — bronił się. Nie zapłacono nim za szpiegostwo! Jadę, bo tak mi polecili moi zwierzchnicy. Odwozi mnie okręt z kraju, o którym mówiono w Rzymie, że potrafił — jeden jedyńy — bez rozlewu krwi zwyciężyć pokusy heretyckie. Jadę — na misję, tylko na misję...!

Lecz spokój nie wracał. Niespokojnie tłukące się myśli przywołały wspomnienia, dawne, dziecinne. Zwykle nie wracał do nich. Nie lubił ich. To były niby obrazy z męczącego snu.

Łuna pożarów biła krwawą jutrzenką w okna. Gdzieś z dala dochodził zgiełk walki.

Przerażone kobiety miały się w wielkiej sali dworu, niby zwierzęta w klatce, które zwęszyły ogień. Zdradzały oczom dzieci swój strach i rozpacz. To zapadało milczenie, to znowu słyhać było bezładne szepty. Nagle rozległ się krzyk. Drzwi otworzyły się. Kobiety wrzasnęły. W drzwiach stał człowiek obłocony, z twarzą ciemną, czymś zbryzganą. Wsparłszy się plecami o kamienne odrzwia dyszał ciężko. Potem zaczął wykrzykiwać klęskę. Wymieniał imiona. Każdemu odpowiadał dziki szloch. Gdy skończył, nad salą rozpętała się burza płaczu i lamentu...

Jakiejś nocy zabrali go nieznani ludzie. Nie przejmowali się tym, że płacze i wydziera się

rozpaczliwie z ich rąk. Na spienionych koniach gnali przez las. Między czarnymi gałęzmi przeświecała czerwień pożogi. Zapłakana twarz dziecka dotykała ostrej grzywy wierzchowca, mokry policzek tulił się do ciepłej, drżącej skóry. Potem było czarne, huczące morze. Po kamieniach przetaczały się z łoskotem uwieńczone bielą fale. Ludzie przekrzykiwali huk roztrzaskujących się o brzeg fal. Ładowali jakieś rzeczy na podskakującą na wodzie łódź..7 Nie lubił do tego wracać. Lecz dzisiejszej nocy obrazy napływały z nieustępliwą natarczywością. Jakby czekały na niego tu, na morzu, aż wróci na to samo miejsce. Jakby chciały go przywitać tą samą grozą...

Chmura rozpostarła się na niebie. Wisiała nad statkiem podobna sklepieniu olbrzymiego namiotu. Wiatr bił coraz mocniej, coraz gwałtowniej. Jego śpiew wśród olinowania prawie nie ucichał.

A modlitwa wciąż nie przychodziła. Ta modlitwa, której tak bardzo potrzebował. Próżno usta raz po raz zaczynały wymawiać słowa. Wiatr zdmuchiwał je z warg; niepokój pozbawiał je wszelkiej treści. Święci, wiedział, potrafili uciszać serce modlitwą. Southwell radził mu kiedyś: „Gdy nie możesz się modlić, zamień słowa w czyn. Nie szukaj pociechy przymuszaniem się do słów...” Cóż mógł wiedzieć wtedy młody poeta? Dziś — pewno wie, jeśli w ogóle jeszcze żyje... Gdzieś musi być źródło, z którego można się napić w czasie takiego skwaru! Musi istnieć cudowne panaceum! Muszą być tacy, którzy je znają. Ale Hugh nie posiada tej umiejętności. Zostawiony jest sobie w godzinie śmiertelnego niepokoju. Wstał, ruszył w stronę swojej kajuty. Przystąpił jedno i drugie ciało, ale potknął się na trzecim. Tamten krzyknął gniewnie. Usiadł i schwycił Hugh'a za nogę. Ale poznał go, więc tylko pomrukując ułożył się z powrotem na linach.

Ten rozzłoszczony głos ludzki sprawił mu przez chwilę dziwną pociechę. Wydało mu się, że odkrył, czego mu brak nie. Potrzebował kogoś żywego, kogoś, z kim by mógł za mienić

parę bodaj obojętnych słów. Zawrócił przed drzwiami swojej kajuty, skierował się w stronę kapitańskiego mostku. Znowu przestępował leżące ciała, potykał się. Omackiem znał schodki. Gdy stanął na nich, uświadomił sobie, że statek buja się o wiele mocniej niż poprzednio. Ledwo udało mu się wejść na górę. Ale Brychta na mostku nie było. Obok steru nika, który rozkraczony trzymał mocno sterowe koło, siedział zastępca kapitana. Był to niemłody marynarz z opadającymi wąsiskami, przypominającymi miotły. Nazywał się Kujka. Miał głowę opuszczoną nisko na piersi. Musiał drzemać. Mała lampka o zakopconych szklach, zawieszona nisko nad pokładem, rzucała na deski drgające smugi niby poruszające się łapy pajęcze.

Wiatr targał linami. Rozcinane dziobem statku morze przelewało się z szumem. Mimo to oficer usłyszał kroki Palmera. Wstrząsnął się, podniósł głowę. Zapytał:

— Kto tam?

— To ja... — odpowiedział niepewnie po polsku. Tamten wytrzeszczył na niego przemęczone wysiłkiem

czuwania oczy. Ale poznawszy go, uśmiechnął się. Coś powiedział, czego zakonnik nie zrozumiał. Domyślił się jedynie, że mówi, iż Brycht poszedł spać. Znowu czepiając się poręczy z wysiłkiem zsunął się ze schodów. Był dalej sam, bez człowieka, którego obecność pozwoliłaby mu zapomnieć o udręce samotności. Ledwo stanął na pokładzie, zawadził o nogi leżącego marynarza. Stracił równowagę i upadł na tamtego. Poczł mocne uderzenie pięścią w ramię. Głos, jakim majtek wymyślał mu, wydał mu się znajomy. Zapytał:

— Fortimber? To ty, Fortimberze? Tamten od razu przestał kłąć.

— Nein, nein. Fortimber schlaft. Śpi...

— Śpi... — powtórzył.

Powstał trzymając się burty. Oparty o nią powłókł się dalej. Och, żeby mógł chociaż

znaleźć tego rozgadanego Pope'a! Ale wiedział, że aktor poszedł spać na jedną z marynarskich koi. Był sam, znowu sam. Myślał: pójdę do kajuty. Ale uczynił wręcz przeciwnie: zatrzymał się. Czuł, że jeśli zamknie za sobą drzwi, będzie jeszcze bardziej samotny. Tutaj pozostawało złudzenie, że może odezwać się do śpiących.

Rozpostarta nad masztami chmura mroczyła gwiazdy. Morze, niby wielkie płuca, to wydymało się, to opadało. Czasami powiew rzucał w twarz Hughowi słone bryzgi. Oparty o burtę czuł całym sobą kołysanie się statku.

Niepokój był w nim ciągle. Zdawał się go pędzić z miejsca na miejsce. Podobno człowiek, który ma umrzeć, przebiegło mu przez głowę, doznaje czegoś takiego. Na próżno wtedy szuka ucieczki. Ó, Boże, czy to znaczy, że zbliża się śmierć? Jeszcze tak niedawno myślał: lepiej zginąć od razu, niż wylądowawszy przeżywać okres ukrywania się, uciekania, niepewności. Teraz stało przed nim: lepsza niepewność, lepszy niepokój...

Fala nudności podeszła mu pod gardło. Jaką ohydą jest lękający się człowiek! Ta ucieczka od niepokoju — z powrotem w niepokój... Niepokój... Southwell, naiwny poeta, jak o nim często Hugh myślał — Southwell, który już tam był, powiedział kiedyś: „Może powinniśmy się modlić o niepokój? Póki starczy nam na to odwagi...?” Uważał te słowa za poetyckie rojenia. Przeciwnie, wydawało mu się, że trzeba o jedno prosić: „Panie, daj mi bodaj męczeństwo, ale nie pozbawiaj pewności, że Ci służę!” Co on miał wtedy na myśli? Zastanawiał się teraz, śledząc smugi pian na gotującej się powierzchni morza. Modlić się o niepokój? Prosić o to, od czego najbardziej staramy się uciec? Czy starczyłoby na to człowiekowi odwagi? A gdyby nawet starczyło — czy nie przekląłby potem samego siebie za swoje zuchwałe prośby? I po co brać na siebie taki ciężar? Dlaczego? Dla kogo?

Na śródkręciu powstał jakiś ruch. Nad trapek ukazały się sylwetki ludzi. Domyślił się, że zmienia się wachta. Noc upływała, przewaliła się już na drugą stronę. Ostatnia

bezpieczna noc. Trzeba jednak zasnąć — myślał. Trzeba zachować siły na jutrzejszą noc. Ale i teraz nie poszedł do kajuty. Powoli, macając przed sobą, by znowu na kogoś nie nadepnąć, dotarł do kłębu lin. Rozciągnął się na nich. Wolał tu leżeć w chłodzie, szarpany przez wiatr, mając na twarzy miękką wilgoć morza. Leżąc otworzył oczy. Nad nim kłębiła się chmura. Maszty kołysały się i skrzypiały, jak skrzypią sosny, gdy ich wierzchołki czesze wichura. Na nowo przymusił się do modlitwy ustnej. Z najwyższym napięciem uwagi powtarzał słowo za słowem: „Intra vulnera Tua absconde me...” Co to znaczy: ukryć się w ranach? Co miał na myśli ich założyciel, gdy w manreskiej grocie powtarzał bez końca te słowa? Potrząsnął głową. Pod czaszką miał znowu pustkę. Nic nie pojmował. Był jak ktoś, kto odkrył, że wszystkie jego dotychczasowe doświadczenia są jednym wielkim błędem. Mimo to nie przestał zmuszać się do powtarzania słów modlitwy. Nie chciał dać się zepchnąć na manowce pytań. Są chwile, w których nie pojawiają się wyjaśnienia; gdy uczucia są jak krwawiąca stopa, na której trzeba przecież stać; gdy pozostaje tylko jedno — zawzięty upór...

Dzień upływał wietrzny i posepny. Chmura, która wisiała nad nimi nocą, kilkakrotnie spłynęła deszczem. Niebo było szare i niskie. Morze wydawało się jednym chaosem: bałwany pędziły ze wszystkich stron, ścierały się ze sobą, wspinały na siebie jak walczące wzajemnie psy. Wycharkiwały na powierzchnię morza kłaki piany. Fale uderzały w statek. Z szumem ocierały się o jego boki. Targały okiennicami strzelnic. Czasami nagle zalewały pokład i wtedy po deskach płynęły chlupocząc strugi wody, złej, zgorączkowanej, szukającej dla siebie otworu, by móc z powrotem odpłynąć w morze.

Hugh stał na mostku kapitańskim obok Brychta. Wielkie podniecenie, jakie odczuwał, sprawiło, że nie uległ morskiej chorobie, która zwała z nóg Pope'a. Ale aby być zdrowym, musiał stać tutaj, poddany podmuchom wiatru, bryzgom morza, przechodzącym falom deszczu. Brycht także nie odchodził z mostku. Ubrany w nawoskowany płaszcz, w kapicy rybackiej wciśniętej głęboko na czoło, nieustannie rozglądał się po morzu.

Przed chwilą strażnik z bocianiego gniazda, przekrzykując wicher, wrzasnął, że z nawietrznej widać okręt. Natychmiast kapitan postawił na nogi całą załogę. Rozciągnąwszy lunetę, patrzył we wskazanym kierunku. Niedługo okręt mogli zobaczyć wszyscy. Płynął w ich stronę. Ale po chwili zmienił kurs — zamiast zbliżać się, począł się spieszenie oddalać. — Ucieka — powiedział Brycht. Miał twarz czerwoną od smagnięć wiatru. Znowu przyłożył lunetę do oka. — Norwe ski — zawyrokował. Roześmiał się. — Musiał nas wziąć za Anglików.

Dał rozkaz, by ludzie rozeszli się. Ci, którzy nie mieli służby, wrócili pod pokład. Morze ciągle zdawało się gotować. Jak okiem sięgnąć było białe, zaplute pianą. Znowu przeleciał krótki, rzęsisty deszcz. Potem chmury podniosły się, zrobiło się jaśniej. Brycht przyłożył

dłoń do czoła, przyglądał się czemuś na horyzoncie.

— Widzi ojciec? — zapytał.

— Co?

— Niech ojciec patrzy uważnie. O tam...

Natężył wzrok. Przez długi czas nie mógł niczego dostrzec. Ale nagle zaczęło mu bić serce.

— Czy to już brzeg? — zapytał zdławionym głosem.

— Brzeg.

Z boku przesuwawała się chmura niby pasmo czarnego dymu. Wielki bałwan nadleciał i z łoskotem spadł na przód statku. Przetoczył się po pokładzie, a potem spłynął w morze strumieniem wody.

— To już? — zapytał.

— Co już?

— Anglia?

Musiał natężyć głos, aby być słyszany.

— Tak.

— Kiedy wysadzicie mnie?

— Wieczorem.

— A burza?

— Jaka tam burza? Trochę wiatru...

Znowu patrzył. Łąd był coraz bardziej widoczny. Anglia — myślał - Cel mojej wyprawy. Czuł, jak mu bije serce. Czy biłoby tak samo, zastanawiał się, gdyby płynął na misję, a tam w dali był brzeg chiński czy japoński? Ale nie miał czasu zastanowić się nad odpowiedzią, gdyż poczuł na ramieniu dotknięcie ręki Brychta. Ruchem głowy kapitan dał mu znak, by szedł za nim. Poprzez wciąż na nowo zalewany dygoczący pokład zaprowadził go do swojej

kajuty. Ledwo weszli i zdjęli mokre płaszcze, pojawił się marynarz z dzbanem grzanego wina i pieczenia.

— Zjedzmy i napijmy się — powiedział Brycht. Wskazał Hughowi zydela. — No, niech ojciec nabiera porządnie! — zawołał widząc, że Hugh ukroił sobie tylko maleńki kawałek mięsa. — Przed zejściem na ląd musi być ojciec najedzony. I napić się trzeba.

— Nie...

— Żadne nie! — Nalał Palmerowi pełen kubek. — Pijmy! — Uniósł swój w górę.

— Skoro koniecznie pan tego żąda, kapitanie...

— Koniecznie. Skol! Mamy szczęście. W taką pogodę nie powinniśmy się już na nikogo natknąć. Teraz tylko trzeba poczekać, aż się ściemni.

Hugh czuł, jak mu drży całe ciało. Napił się chciwie, pragnąc, aby ciepłe wino pomogło mu przezwyciężyć słabość. Odezwał się:

— Chciałbym, kapitanie, raz jeszcze podziękować panu...

— Niech ojciec sobie schowa swoje podziękowania!

— Dowiózł mnie pan dalej, niż pan zamierzał.

— Mówiłem już ojcu, że robię to tylko dla pana podskarbiego.

— Mimo to dziękuję. Bardzo, bardzo dziękuję... Brycht przerwał mocnym gestem ręki.

— Szkoda strzępić język! — Jadł chciwie, popijając każdy kęs winem. Po chwili dopiero odłożył nóż, otarł palce o spodnie i podjął, nie patrząc na Hugh'a: — O czym innym trzeba pogadać. Tam, dokąd ojciec płynie, czekają ojca trudności.

— Wiem...

— Kiedy Hiszpanie wylądują, będzie jeszcze gorzej. Może ojciec będzie musiał uciekać...

Potrząsnął głową.

— Nie, kapitanie. Moi zwierzchnicy kazali mi do Anglii po płynąć i tam pozostać. Na zawsze...

— Sprawy zmieniają się.

— To się nie zmieni.

— Do licha! Może ojciec dostać inne polecenie od swoich! W każdym razie, gdyby do tego doszło, mógłbym znowu pod płynąć...

Spojrzał na Brychta zaskoczony.

□ Doprawdy, nie wiem, co panu odpowiedzieć, kapitanie. Przecież chyba pan podskarbi...

— Podskarbi czy nie podskarbi, wszystko jedno! Niech ojciec słucha. Dam ojcu adres pewnego kupca w Londynie. To kuzyn Fortimbera. Przez niego można wysłać list...

Wzruszenie ścisnęło Hughowi gardło. A przecież czuł, jak niebezpieczna była ta oferta.

Pamiętając o niej, można było utracić całą potrzebną determinację. Czy mógł ją jednak odrzucić, choćby wiedział, że z niej nigdy nie skorzysta?

— Nie wypłacę się panu nigdy, kapitanie... — bąknął.

— Niech się ojciec jeszcze napije. — Znowu nalał mu z dzbanka, który, by nie ostygnął, nakryty był grubą, piko waną „czapą”.

Bez oporu wychylił kubek. Muszę pić, aby się nie rozkleić! — stanęło przed nim. Prawie z miłością patrzył na wilczą twarz Brychta. Jak łatwo wzbierają na nowo utracone siły, gdy ludzie przed nami odkrywają nagle inną niż zwykle twarz? Lecz na gest miłosierdzia trzeba odpowiadać aktem odwagi — myślał. Trzeba się zdobyć jeszcze na jedno... Kilka razy chrząknął, zanim powiedział:

— Czy mogę pana o coś prosić, kapitanie? Brycht podniósł twarz znad miski.

— Czego ojciec chce?

— To złoto... — zaczął. Kapitan tupnął nogą.

— Dostyc, do diabła! Powiedziałem!

— Tak... Lecz ja nie to... Nie... Ja tylko chciałem prosić, aby pan to złoto odwiózł...

Odłożył nóż i oparłszy się obu łokciami o stół patrzył na Hugh'a. Zmrużył powieki, zmarszczył brwi.

— Co to znaczy? — zapytał.

— Chciałem prosić, aby pan te pieniądze oddał ojcom na szym w Brunsberdze...

— Dlaczego? Te pieniądze dali ojcu na drogę, no nie?

— Tak. Ale skoro już dopływam...

— Tam będą ojcu także potrzebne.

— Nie, nie będą! — zaprzeczył gorąco.

— Gadanie! — Brycht przerwał mu ostro. Wziął się z po wrotem do jedzenia. Ogryzając wielką kość mruknął:

— Jeszcze będzie ojciec błogosławić tych, co dali...

— Nie, nie — Hugh powtarzał z uporem. — Nie chcę tam mieć tych pieniędzy...

Brycht odłożył kość, oblizał dłoń, a potem przesunął ją po włosach.

— Nie chce ich ojciec...? — zapytał. Przechylił głowę, patrzył pełen zdumienia na zakonnika.

— Nie...

— Idiotyzm! — parsknął. Nalał sobie pełen kubek wina i wychylił go. Wzruszył ramionami. — A niech ojciec robi sobie, co chce! — burknął.

Myślał: jak to dobrze, że ustąpił! Decyzja Hugh'a pojawiła się nagle. Już w tej chwili odzywały się w nim głosy sprzeciwu. Znał dobrze tę żalosną potrzebę ubezpieczania się bez końca. Tę nielojalność w targu z Bogiem. Byłby się cofnął — gdyby nie to, że już się nie mógł

cofnać.

Morze koło nich szumiało, chlupotało, klaskało. Ale nad tym bliskim zamętem górował inny, dochodzący z ciemności, straszliwy łoskot fal rozbijających się o nadbrzeżne skały. Aby być słyszany, Brycht wykrzykiwał komendy ze wszystkich sił w płucach. Uczepieni burty marynarze opuszczali szalupę. Mokre liny zaczepiały się na blokach. Ale w końcu łódź siadła na rozbujanym morzu. Od razu cisnęło ją w górę aż na wysokość burty. Siedzący w łodzi marynarz odpychał ją z całych sił od boku statku. Krzyczał na innych, by się śpieszyli. Zrzucano sznurową drabinkę. Uwieszony poza burtą Fortimber wziął na ramię tobołek Hugh'a. Za chwilę go nie było — zniknął, jakby go wchłonęło morze. Teraz jeden z majtków chwycił pod ramię Pope'a. Pociągnął go ku burcie. Ale aktor był przestraszony. Począł się szamotać, krzycząc: „Nie pójde! Boję się!” Marynarze nie robili z nim ceremonii. Dwóch pochwyciło go pod boki, posadziło na burcie, trzeci objął wpół i pociągnął za sobą. Pisał tylko jak rzucony w wodę kociak.

— Teraz ojciec! — rozkazywał Brycht.

Całym wysiłkiem woli przemógł ślepy lęk. Nie chciał być wleczony niby tłumok.

— Z Bogiem, kapitanie! — zawołał.

Jego wyciągnięta w ciemność ręka odnalazła wielką, owłosioną łapę Brychta. Poczuł twardy, aż boleśnie silny uścisk.

— Niech ojciec pamięta... — doleciało go. Podtrzymywany przez marynarzy siadł okrakiem na burcie.

Bok statku zdawał się być ścianą walącego się domu; chwiało się, lecz nie było wiadomo, w którą stronę runie. Teraz zdawał się lecieć w morze. Pod sobą Hugh widział kotłującą się wodę i tańczącą na niej łódź. Rozpaczliwie wczepił palce w sznury. Woda bluzgała w górę, jakby sięgała ku niemu swymi mackami.

Wyciągniętą nogą nie mógł natrafić na dalszy stopień drabinki. Łódź zdawała się wślizgiwać pod statek. Uciekała spod niego. Ciężar ciała odrywał go od drabiny, ciągnął w spienione morze. Odnalazł wreszcie szczebel. Ale teraz następny wymykał mu się spod stopy. Morze chlustało, uderzało z wściekłością w bok statku. Z dołu dolatywały go krzyki ludzi, nawołujących do pośpiechu. Lecz on dalej wisiał z jedną nogą opuszczoną, niezdolny do opuszczenia się niżej, ani do podźwignięcia z powrotem w górę. Począł dygotać.

Nagle czyjaś ręka ujęła jego stopę i postawiła ją pewnie na stopniu. Odzyskał równowagę. Mocne ramię wsparło go. . To był Fortimber. Z jego pomocą schodził w dół. Za chwilę był już w łodzi. Siadł na dnie, na mokrych deskach. Marynarze uderzyli wiosłami i odbili. Płynęli — to szybko, jak szaleni, to znowu zdawali się zamierać w bezruchu. Fale podrzucały łódź, przelewały się przez nią. Biły z głuchym łomotem w dno. To wylatywali w górę, to znowu spadali. Czasem przebijali sobą wał wodny, a on nakrywał ich na moment lśniącym dachem. Byli mokrzy. Woda bełtała się jak wściekła na dnie łodzi. Wylewano ją. Ktoś wcisnął w dłoń Hughowi blaszany czerpak. Ale nie potrafił tego robić. Gwałtowne chyboty rzucały, nim. Woda to uciekała od niego, to znowu zalewała go i przewracała. Nad sobą słyszał sapanie wiosłujących i dostrzegał w ciemności ich sprężone w wysiłku ciała..

Miał wrażenie, że nie płyną wprost, ale kręcą się w kółko. Grzmot roztrzaskujących się o brzeg fal zdawał się dochodzić to z tej, to z tamtej strony. Nagle łódź, jakby podbita przez bałwany, skoczyła w górę tak gwałtownie, że wiosłarze pospadali z ław. Hugh, na którego zwałił się jeden z marynarzy, znalazł się twarzą w wodzie. Krztusił się i dławił. Był pewny, że zostali rozerwani przez fale. Ale oni utknęli tylko w ławicy piasku. Wtaczające się na mieliznę fale biły w nich z zaciekłością. Aby ulżyć łodzi, majtkowie wyskoczyli do wody. Krzycząc popychali ją. Hugh siedział na dnie mokry, zбитy, oszołomiony. Teraz dopiero zobaczył Pope'a, który leżał na przedzie łodzi nieruchomo, niby kupa mokrych gałganów. Łoskot uderzającego o

skały morza otaczał ich opętańczym zgiełkiem. Nagle poczuł na ramieniu rękę Fortimbera.

Przyłożywszy głowę do jego głowy i dotykając mokrymi wargami ucha Palmera wołał — a to wołanie zdawało się przychodzić z niezmiernej dali:

— Trzeba przejść przez wodę...! Nie dopchniemy...!

Nie od razu pojął, czego od niego chcą. Ale Fortimber wyciągnął go z łodzi. Woda sięgała do kolan. Pod nią było kamieniste dno. Usuwające się spod stóp kamienie i nadbiegające fale zbijały z nóg. Dwóch marynarzy wlokło Pope'a, który wydawał się na pół umarły.

Dotarli wreszcie do plaży. Była wysoka, zasłana kamiennym rumowiskiem. Nad nią bieleła w mroku skalista szkarpa.

Pope'a ułożono na ziemi. Obok marynarze rzucili ich mokre tobołki. Fortimber znowu przyłożył usta do ucha Hugh'a. Krzyczał w nie:

— W lewo! Iść w lewo! Tam skała niższa... można się wdra pać...!

— Dobrze...!

Stali trzymając się wzajem za ramiona, raz po raz dotykając się mokrymi policzkami.

— Musimy odpłynąć...

— Odpływajcie...

— Niech ojcu... wszystko dobrze...

Przycisnął mocno ramię marynarza. Fortimber odpowie[^]-dział tym samym. Stali tak chwilę spleceni. Hugh nie miał sił, by wyrwać się z tego objęcia. To był ostatni z łańcucha ludzi, którzy umożliwili mu dotarcie tutaj. Ostatni z ludzi bliskich, na których mógł liczyć.

W końcu rozłączyli się. W półmroku widział postacie innych marynarzy. Zdawali się na coś czekać. Odruchowo uniósł rękę jak przy ołtarzu podczas ostatniego błogosławieństwa.

Tamci jednocześnie przyklękli. Uczynił nad nimi szeroki krzyż. Pozostali czas jakiś na klęczkach ze schyłonymi nisko głowami. Potem zerwali się na nogi. Bez słowa zawrócili ku

morzu. Usłyszał chłopot wody, zgrzyt łodzi ciągniętej po żwirze — i już ich nie było. Zniknęli pochłonięci przez ryczące morze. Tylko daleko w ciemnościach zobaczył światło. To zapalona na „Rusałce” latarnia przywoływała swoich.

Zbliżył się do Pope'a. Wziąwszy go za ramię, pocałował nim trząść. Aktor jęknął i otworzył oczy. Ale leżał bezsilny. Dopiero po chwili z pomocą Hugh'a zdołał wstać.

— Już jesteśmy? — wyjąkał.

— Tak.

— O, jakie to było straszne! — jęknął Pope.

Idąc za wskazówką Fortimbera Hugh pociągnął Pope'a wzdłuż skalnego muru. Kierując się w tę stronę oddalali się

od miejsca, gdzie rozbijało się morze o kamienisty brzeg. Tutaj coraz szersza plaża powstrzymywała nadbiegające fale... Zrobiło się jaśniej: wiatr rozpędził skłębione chmury.

Ściana skalna stawała się coraz mniej stroma, aż w końcu przemieniła się w pokryte trawą zbocze. Dał znak Pope'owi, że muszą wspiąć się w górę. Ale nie szło im to łatwo. Nasiąkła wodą odzież, mokre buty i tobołki — wszystko to ciążyło. Sapali ciężko. Jasnowłosey aktor pojękiwał. Robili kilka kroków w górę i zaraz ustawali. Zbocze zdawało się nie mieć końca.

Gdy podnosili w górę głowy, widzieli nad sobą coraz bardziej oczyszczające się niebo i czarny próg skarpy, który się wydawał ostatnim progiem. Ale gdy do niego docierali, stwierdzali, że jest to fałda, nad którą wznosi się następna. Chwilami trawa ustępowała miejsca zwietrzałemu osypisku. Drżące z wysiłku stopy obsuwały się na drobnym piargu. Oddychali coraz ciężiej. Lecz ogarnęła ich gorączka. Chcieli dojść jak najszybciej. Zadyszani, spoceni pili się w górę.

Aż wreszcie za pokonanym ostatnim tchem progiem otworzyła się przed nimi równina.

Zrobili jeszcze parę kroków i padli na ziemię. Serce waliło, płuca nie nadążały z

oddechem, pulsa biły w skroniach. Byli jak ryby wyrzucone na brzeg; otaczający je żywioł zdawał się nie być ich żywiołem.

Ale z wolna siły poczęły wracać. Oddechy uspokajały się. Hugh podłożywszy ręce pod głowę patrzył w niebo, z którego uciekały ostatnie poszarpane chmury. Powoli uświadamiał sobie zmianę w otaczającym go świecie. Rozryczane morze zostało w dole. Słyszał je nadal, ale mniej głośno i jakoś inaczej: nie był to rozrywający czaszkę hałas, ale monotonny dźwięk, o którym można zapomnieć, tak bardzo, zlewa się z ciszą. Także ostry, słony zapach wody ustąpił miejsca aromatycznym woniom trawy i młodych liści. Rozejrzał się. O ile mógł zobaczyć, wokoło nich rozciągała się łąka. Dalej czerniał las. Kontury drzew rysowały się na niebie, które już poczynano się rozjaśniać. Od tych drzew zdawała się płynąć cisza, kojąca, przedranna cisza.

Wstał. Pope leżał wciąż nieruchomy. Nie zwracając uwagi na niego zbliżył się z powrotem na skraj zbocza. W dole było morze. Wydawało się stąd czarną, nieruchomą płytą. Na nim daleko wciąż jeszcze połyskiwała słaba gwiazdka — latarnia na „Rusałce”.

Stał i patrzył w tamtą stronę, aż w końcu światelko rozmazało się w mroku. Musieli odpływać. Zawrócił. Przeszedł obok aktora, postąpił kilka kroków w stronę lasu. Po chwili posłyszał jego szum — inny niż szum morza: cichszy, kojący.

Jestem w Anglii — uświadomił sobie. W Anglii... Wydało mu się, że w tej ciszy, której nie płoszyły ani las, ani morze, usłyszał słowa Bosgrave'a. To było podczas ostatniej ich rozmowy.

Tego dnia mieli się rozstać. Stary zakonnik powiedział załamującym się nagle głosem:

„Nigdzie tak nie pachnie trawa, nigdzie nie ma takiej ciszy...” Nie brał tych słów poważnie.

Znał świat — wiedział, jak pachną łąki flamandzkie, pola Szampanii, bagniste rozlewiska

Tybru, piaski i sosny nad Wisłą. Pamiętał także ciszę tamtych ziem. Wszędzie, na pewno,

można było znaleźć piękno. Ale ono nie przemawiało do niego. O ileż piękniejszy wydawał

mu się zapach starych ksiąg, o ileż bardziej wzruszająca cisza obcowania ze zmarłymi przed setkami lat mędrkami.

Tam, był tego pewien, znajdował się jego port. Ale zamiast pozwolić mu zarzucić w nim kotwicę, wyprawiono go w szeroki świat. Przepłynął morze jak Odyseusz. *Zaznał* przygód, niepowodzeń. Wreszcie wzburzone fale rzuciły go na ten wysoki brzeg. Lecz kiedy na nim stanął — powitała go cisza. Cisza i zapach. I nagle pojął: cisza i zapach, jakich nie ma nigdzie...

— Anglia... — wyszeptał bezdźwięcznym ruchem warg. Przycisnął palce do rozpalonych policzków. Skąd pojawiło się w nim przekonanie, że to, czego nie znalazł w chłodnych bibliotekach rzymskich, czego nie wyczytał u filozofów greckich, znaleźć mógł tutaj? W ciszy poczęło coś dzwonić. To stukało jego serce. Nieznacznie obejrzał się na Pope'a. Aktor odpoczywał dalej, leżąc bez ruchu z głową na tobołku. Może zasnął? Cicho, aby go nie zbudzić, zgiął kolana. Schylił się nisko, zanurzył policzki między wilgotne źdźbła trawy. Dotknął ustami ziemi, która witała go — taką wonią...

INTERLUDIUM I

Z głębi pałacu poprzez otwarte podwoje doleciał wysoki, wulgarny chichot. Rozmawiający w komnacie mężczyźni oderwali się od rozmowy, jaką prowadzili, i zwrócili się twarzami ku drzwiom.

Najstarszy spośród nich, lord Burghlęy, miał białe włosy i mleczną brodę. Wspierał się na lasce ze złotą gałką. Jego twarz o delikatnych, prawie kobiecych rysach odbijała od grubej, niby wyciosanej toporem twarzy stojącego obok Wal-singhama. W spojrzeniu Cecila malowała się chłodna mądrość, natomiast półprzykryte grubymi powiekami oczy sir Francisca paliły się ostrymi błyskami namiętności. Leicester trzymał się nieco w tyle. Nad sterzącą wysoko krezą wznosiła się płaska twarz o płowym zaroście. Podobnie jak na tamtych dwóch malowała się na niej zazarta ambicja, przygaszona jedynie mgiełką cierpienia w spojrzeniu i nieco bofesnym grymasem ust.

Gdy Elżbieta stanęła w progu, wszyscy trzej schylili się, w niskim ukłonie. Szła ku nim szeleszcząc swą nastroszoną suknią, która wydawała się pancerzem. Krzykliwie rude włosy okryte były siatką z pereł. Także na płaskiej piersi leżała cała masa klejnotów. Długą twarz pokrywała gruba warstwa bielidła.

— Witajcie, milordowie — powiedziała. — Zaprosiłam tylko was trzech, a nie całą radę, aby móc swobodnie podyskutować. — Męskim, energicznym gestem wskazała im fotele. — Siadajcie.

Ale oni czekali, póki ona nie usiądzie. Leicester stanął za ogromnym fotelem królewskim o wysokim oparciu i delikatnie podsunął go Elżbiecie. Skinęła mu głową. Z przymrużonymi oczami osunęła się na oparcie. Na jej ustach wykwitł uśmiech, który od razu zmienił jej twarz: jakby z kamienia wykute rysy nabrały życia i wdzięku.

— Dziękuję, milordzie — powiedziała niskim szeptem. Chwilę siedziała oparta, jakby

przytłoczona falą uczuć. Ale

zaraz wyprostowała się. Twarz jej na nowo stwardniała. Oparła o brzeg stołu swe dłonie o długich palcach i pięknych, migdałowego kształtu paznokciach.

— Milordzie — zwróciła się do Cecila — proszę o dokładne powiadomienie mnie o stanie przygotowań obronnych. Ale żądam całej prawdy. Żadnych pocieszających historii. Doszły mnie pewne echa, więc chcę wiedzieć wszystko, cokolwiek jest, złe czy dobre.

Głos królowej był niski, twardy. Burghley odchrząknął. Poprawił złoty łańcuch, który wisiał mu na szyi.

— Cieszę się — powiedział — że wasza królewska mość ujawnia nie tylko godną wielkiej władczyni przenikliwość, lecz również męski hart ducha. Byłoby mi ciężko kłamać, a prawda jest, niestety, niepokojąca...

Zmarszczyła czoło.

— Czego brak? — zapytała. Rozłożył ręce dramatycznym gestem.

— Wszystkiego, wasza królewska wysokość. Ludzi, broni, żywności, pieniędzy. A nasza flota...

Przerwała mu:

— Czy wszystkie statki kupieckie zostały uzbrojone?

— Tak jest — skłonił głowę. — Wszystkie, które tylko uzbroić było można.

— I mimo to?

Spojrzała na Leicestera i Walsinghama i z ich min zrozumiała, że mają inną opinię niż

Cecil. Obaj byli w gronie doradców królowej przywódcami pryncypjalnie do wojny grupy. Burghley reprezentował stanowisko zgoła przeciwne.

— To nie jest mało — powiedział chrypliwym nieco głosem Walsingham. — Nie mamy

dużych okrętów, ale posiada my ich wiele. Więcej, niż mogą przysłać Hiszpanie. *Zapal* jest ogromny. Mogę zapewnić waszą królewską mość, że nie ma armatora, który by chciał się uchylić od królewskiego wezwania. Wszyscy stanęli i wszyscy będą walczyli. Za to wszystko, co wasza królewska mość uczyniła dla kraju...!

— Nie przeczę — rzekł Cecil — że ofiarność jest duża. Ale nie wygrywa się wojny z największą morską potęgą świata kupieckimi stateczkami. Wojna jest sprawą wojska i broni. Jeszcze raz zwracam się do waszej królewskiej mości, by zechciała rozważyć, czy nie byłoby rzeczą lepszą poprobować na nowo układów, pertraktacji...

— Dość układów i pertraktacji! — rzekł Leicester.

Po twarzy starego doradcy przemknął grymas niechęci. Nozdrza Cecila załopotwały. Nie lubił, gdy mu przerywano. Kiedy przemawiał, mówił wolno, pięknie toczonymi zdaniem, którym sam przysłuchiwał się z przyjemnością. Na samym początku panowania Elżbieta powierzyła się całkowicie jego politycznej mądrości i ceclu był święcie przekonany, że tylko dzięki temu zdołała stać się tym, czym była obecnie. Ale w ciągu ostatnich lat wpływ Burghleya począł maleć. Choć pozostał nadal oficjalnie pierwszym doradcą królowej, wiedział, że podaje ona chętnie ucha radom nowych ludzi, którymi się otoczyła. Do nich należał przede wszystkim Walsingham. Burghley nie znosił go. To był prostak. Poza tym był człowiekiem pełnym dzikich namiętności, zaś zasadami, którym Cecil hołdował przez całe swoje życie, były umiar i roztropność. Leicester lekcewał. Nie wydawał się on niebezpieczny, odkąd Elżbieta przestała wreszcie powracać do swego projektu poślubienia go. Poza tym- był chory od czasu swej niefortunnej wyprawy do Holandii. Niestety — na dworze pojawił się jego pasierb, młody Robert d'Evreux, hrabia Essex, szalona głowa, marzący o wojnach, szarżach i najdzikszych awanturach, zaś królowa coraz więcej godzin poświęcała na przebywanie z tym żółtodziobem. Burghley nieraz żałował, że nie pozwolił

Leicesterowi wykończyć się całkowicie w Holandii.

— Nie wiem, czy nie za wcześnie, milordzie, wyrażasz taką opinię — powiedział chłodno i surowo. — Moim zdaniem jest jeszcze czas na podjęcie rozmów poprzez Francję.

Oczy Walsinghama zabłyśły. Nienawidził Francji. Był w Paryżu ambasadorem podczas nocy świętego Bartłomieja.

— Przez Francję? — syknął. — Przez Katarzynę i Henryka, dwoje największych zbrodniarzy i oszustów?

— W polityce — ton głosu Cecila był nadal lodowaty — nie zawsze można wybierać ludzi, milordzie. Chodzi nato miast o sprawę. O to, aby jednym porywczym posunięciem nie zepsuć tego, co się tworzyło w ciągu lat. — Zwrócił się do Elżbiety, która wyjęła tymczasem zza gorsu małe puzderko z cukrowymi pałeczkami i chrupała jedną po drugiej.

— Tak — powiedział — zgadzam się, że flota kupiecka nie od mówiła nam swej pomocy. Lecz fundusze, które wasza kró lewska wysokość przeznaczyła na budowę królewskiej floty, były tak niewielkie, że starczyły za ledwie na budowę czter nastu jednostek, odpowiadających mniej więcej rozmiarami galeonom hiszpańskim.

— Co o tym mówi Drake? — rzuciła.

— Sir Francis Drake — odpowiedział Cecil — nie wydaje się tym zbyt przejęty. Lecz czym innym są zuchwałe wy prawy na obce morza, a czym innym walka z całą potęgą przeciwnika przy swoim własnym brzegu. Setkom dział hisz pańskich trzeba przeciwstawić setki dział.

— Przecież dawałam pieniądze na ich odlewanie?

— Działa zostały odlane i wyposażono nimi okręty. Owszem, liczba dział jest duża. Nikt jednak dotychczas nie rozstrzygał bitew na morzu samymi działami. Potrzebni są ludzie. Ludzie na okrętach, ludzie na brzegu. Tysiące uzbrojonych ludzi. Doniesiono mi, że król

hiszpański przesłał księciu Parmy ogromną armię, o wiele większą, niż to jest potrzebne, by złamać opór Holendrów. Wynika z tego, że część tej armii przeznaczona jest na to, aby być użytą przeciwko nam. Nie mniej wielka armia przyplynie na pokładach Armady, a do dajmy, że tam, gdzie Hiszpanie wylądują, będą mogli skupić wszystkie swoje siły. My zaś musimy rozproszyć nasze wzdłuż całego wybrzeża!

Znowu uniósł nieco swe delikatne, wypielęgnowane dłonie gestem beznamiętnej, lecz pamiętającej o każdym efekcie Kasandry.

— Lecz przecież nie jesteśmy bezsilni! — zawołała. Niepo kój zadźwięczał w jej głosie.

Żałowała teraz, że nie zwołała całej swej rady. Kierowane przez Walsinghama stronnictwo wojny miało w niej przewagę. Niezbite argumenty Cecila nie brzmiałyby tak bardzo miażdżąco. A jeszcze lepiej trzeba by ło zaprosić na naradę Essexu. Ten chłopak potrafił mówić

O wojnie z takim tupetem. Zresztą umiał pokazać w Holandii, jak się bije przeciwników.

Miał takie piękne oczy i takie rzęsy... Koniecznie, zanotowała w pamięci, należy wciągnąć do rady Essexu. Burghley był i będzie przeciwko wojnie. Te raz chce ją przestraszyć.

Leicester okazuje się coraz więk szym niedołęgą. Postarzał się. A poza tym to

małżeństwo z Letycją uczyniło go zupełnym bałwanem. Z zawziętej twa rzy Walsinghama można wyczytać nienawiść do Hiszpanów. Umiał nienawidzić — o tym wiedziała. Ale czy potrafi rów nież walczyć?

— Niestety! Jesteśmy! — powiedział Cecil. — Wasza kró lewska mość żądała prawdy, więc mówię, jak jest. Gdyby nam nawet starczyło ludzi, nie mamy dla nich broni. Czasy się zmieniają, wasza królewska wysokość. Poprzedniczka

I siostra waszej królewskiej mości ogłosiła dekret, by ludzie stawiający się na wojenne wezwanie mieli ze sobą łuk i umie li się nim posługiwać. Tak, łuk to piękna broń.

Łucznicy angielscy słynęli niegdyś na całym świecie. Ale dziś na polu walki zaczynają decydować arkebuzy i muszkiety.

— Czyż tej broni nie mamy?

— Mamy ją. Wyrabia się u'nas tak .piękne samopały, że

chętnie są one kupowane już nie tylko przez moskiewskiego cara, ale nawet w cesarstwie.

Za mało jest ich jednak, by uzbroić naszych ludzi.,.A i tych ludzi, jak mówiłem, jest

0 wiele za mało!

Sięgnęła po złotą wykałaczkę i poczęła nią dłubać w zębach. Bolały ją często, zwłaszcza po cukrze. Było to okrutne, wierzące ómienie, odbierające prawie zdolność myślenia. Mimo to nie umiała się wyrzec cukru. Gorzej, że zęby robiły się żółte i czarne. Polerowała je z całych sił każdego ranka sproszkowanym alabastrem i koralem. Stawały się białe, ale potem znowu czerniały. Nie tylko zresztą zęby domagały się ciągłej pielęgnacji. Na twarzy robiły się zmarszczki. Ciało wiotczało. Coraz ciaśniej kazała je opinać rogówką. Dokuczał jej rozdymający ból w nogach pod kolanami. KobiECE okresy stały się nieregularne; przychodziły poprzedzane zawrotami głowy i stanem rozpaczliwego napięcia. Ona jednak usiłowała to wszystko ukryć. Nie opuściła żadnej zabawy, żadnej okazji tańca. Żadnej uroczystości. Żadnego polowania. Żadnej narady. Wydawała się niezmężona. Podróżowała, i to najczęściej wierzchem. Trudno było uwierzyć, że w przyszłym roku upłynie trzydzieści lat od dnia koronacji. Trzydzieści lat od dnia, gdy rudowłosa księżniczka, niedawno jeszcze więźniarka Tower i Woodstock, objęła w posiadanie Whitehall i Windsor. Za dużo tych lat! A w ciągu nich za dużo wysiłku: ciągłego lawirowania, szukania własnej drogi. Ciągłego wyła mywania się z trybów obcej gry, by prowadzić tylko swoją własną.

Stuliła usta. Powiedziała z determinacją:

-- Wszystko jedno. Będziemy się bili.

Sięgnęła do oprawnej w safian teczki, którą przyniósł Wal-singham.

— A skoro lord Burghley — podjęła — mówi, iż brak nam ludzi, musimy sprząc wszystkie siły, które mogłyby być nam pomocne w walce. Mamy tu, milordzie, list panów papistów...

Złożyli go jej dwa dni temu sir Tomasz Tresham i sir Anthony Browne, wicehrabia

Montague, lecz podpisało go także wielu innych. Przedstawiciele katolickich

arystokratycznych rodów składali na ręce Elżbiety oświadczenie, że chcą bronić kraju!

Pisali: „My ze swej strony oświadczamy, że ani papież, ani kardynał nie mają władzy, ani autorytetu, by nakazać, względnie pozwolić komukolwiek na popełnienie śmiertelnego

grzechu...” Kończyli: „Przysięgamy wobec żywego Boga, że my wszyscy, każdy ksiądz i

wszyscy księża, którzy kiedykolwiek rozmawiali z nami, uznają waszą królewską wysokość swoją prawdziwą królową tam de iure quam de facto...”

Sama odczytała go teraz. Skończywszy powiodła spojrzeniem po twarzach swych

doradców. Było właśnie tak, jak pr/ypuszczała: chłodna powściągliwość na policzkach Cecila,

obojętny — zwrócony ku sobie samemu — półuśmiech na ustach Leicestera i wyraz

nienawiści w zmrużonych oczach Walsinghama. To on odezwał się pierwszy głosem, który

wydawał się lekko zdyszany:

— Wasza królewska mość, to oszustwo! Zapewniają i obie cują, póki Hiszpanie daleko.

Ale niech tamci tylko wylądują, przyłączą się do nich!

Zaśmiała się. Lubiła przyprowadzać Walsinghama do wybuchu.

— Ach, milordzie. Zaryczałeś jak hiszpański byk, któremu machnięto przed nosem

czerwoną płachtą. Takie jest więc twoje zdanie?

Mogła się nie pytać. Walsingham mówił dalej z tą samą namiętnością. Pochylił głowę

osadzoną na grubym karku, jakby naprawdę chciał bóść.

— Nie wierzę żadnemu papiście, wasza królewska wyso kość! Powiadają, że papież nie może ich zmusić do wystąpie nia przeciwko władczyni. A do czego wzywają Allen i Persons? A z kim walczą ci, których papież wysłał do Irlandii? Wszyscy papiści są fałszywi, pyszni i zakłamani! To dlatego stroją się w złoto i w purpurę, kłaniają się bałwochwalczo obrazom, bluźnierczo nazywają swoje gusła przemianą chle ba w prawdziwe Ciało naszego Zbawcy...!

— Dosyć! Dosyć! — zawołała. Zanosila się śmiechem. Od czuwała po prostu fizyczną potrzebę tego śmiechu. Niewiele ją obchodziły wyznaniowe spory. W gruncie rzeczy katoli cyzm wydawał się jej ładniejszy. Lubiła złoto i purpurę, piękne stroje, śpiew, obrazy, teatr... Ponura religia Wal singhama napawała ją obrzydzeniem. Ale z drugiej strony po dziwiała jego zawziętość. Tylko wtedy, kiedy się jest takim, przychodziło jej nieraz do głowy, można do czegoś dojść. Był jak zły pies, który szczekał na każdego. Dlatego ufała mu.

— Dosyć, milordzie. Znamy Już twoje zdanie. — Wciąż chichocząc obróciła się do Cecila: — Skoro inaczej nie mo żemy zdobyć życzliwości papieża, może zaproponujemy mu, że skłonna bym była wyjść za niego za mąż?

Po chłodnej twarzy Burghleya przemknął uśmiech. Stary dworak znał się na żartach.

Także chętnie słuchał drwin z Walsinghama.

— Niewątpliwie — rzekł skłaniając głowę — byłaby to propozycja nie dająca się odeprzeć.

Sykstus miał niedawno powiedzieć, że podziwia waszą królewską mość i chętnie przycisnąłby ją do piersi jako swoją ukochaną córkę. Niestety, widzę trudności. To zakonnik...

Mrugnięciem zwróciła uwagę Cecila na pośmiecia z gniewu twarz Walsinghama. Ten bierze wszystko na poważnie — myślała. — Jeszcze mogę z niego żartować. Ale mój syn, gdybym go miała, nie mógłby już żartować z jego syna. Nagle odeszła ją chęć do dalszych żartów.

Słowo „syn” przewinęło się jej w myślach jak czarna smuga. W pamięci załśniły czarne oczy

pod opadającymi na czoło puklami kasztanowatych włosów. A przecież ukłuło ją boleśnie, gdy Cecil powiedział głośno: „Hrabia Essex, przybrany syn lorda Leicester...” Syn, syn — myślała z gniewem. Syn tej głupiej Letycji! A ją chcieliby namówić, by adoptowała syna Marii... Tym wspomnieniem uraziła się niby głęboko tkwiącą w ciele drzazgą. Wesołość odeszła ją całkiem. Odezwały się dolegliwości ciała. Prawie z gniewem gryzła cukier. Zajęta sobą nie słuchała tego, co znowu mówił Walsingham.

Dopiero po pewnym czasie doszły do niej jego słowa. Przemawiał znowu przeciwko katolikom. Słuchała go rozdrażniona. Zaczyna przypominać Knoxa — myślała. Tamtego nie znosiła, choć dla niej wyparł się swej doktryny, że największym złem świata są rządzące kobiety. A jednak, stawało wciąż przed nią: co bym robiła, gdyby nie Walsingham? Cecil był tak bardzo dyplomata. Podejrzewała go, że gotów jest znaleźć formułę umożliwiającą mu zgodzenie się na każdą zmianę. Leicester trzyma jeszcze nadzieja honorów. Jako kochanek zawiódł od początku. Nie znajdował wdzięku w gruchaniu: domagał się tego, do czego znowu ona nie miała chęci. Przeciagać bez końca chwile zbliżania się — to tylko miało dla niej smak. Inne rozkosze gotowa była odstąpić Letycji. Chciała jednak zachowania pozorów: niechby został u jej boku smutny cień miłości złożonej w ofierze narodowi. Ale on chciał być gubernatorem, wodzem naczelnym, tym wszystkim, do czego nie miał żadnych talentów! I gdyby ktoś — choćby ten jękający się Jakub — umiał zaspokoić jego ambicje, gotów był... Tak, tylko Walsingham niczego nie oczekiwał, niczego się nie domagał, był zanadto prostakowaty, by zdradzić. Jedyne na niego można było naprawdę liczyć.

Nie przerywała mu, pozwoliła mu się wygadać. Pomyślała, że trzeba się raz przekonać, co leży na dnie tego worka nienawiści.

— Złoto, złoto! — wykrzykiwał. — Rzym napchany złotem po gardło! Papież leżą na nim

jak psy na kości. Ten tylko, kto ma złoto — ten ich przyjaciele! Tego będą popierali, usprawiedliwiali, uniewinniali, rozgrzeszali. Napatrzyłem się na to przez te lata, kiedy musiałem wędrować z dala od kraju! Dlaczego są za Filipem? Bo wyciska złoto z Indii Zachodnich! A innych — choćby nie wiem jak byli wierni — będą mieli w pogardzie. Owszem, każą sobie służyć jak psom — za łań cuch i za ogryzek! Mało to zrobił dla Rzymu Pole? A nie wiele brakowało, żeby go potępili! Jednych będą gładzili, bez końca patrzyli przez palce na ich zbrodnie. Jak Walezju- szów! Z innymi zaczną od upominania! Musiała go powstrzymać — byłby tak mówił do następnego dnia.

— Masz słuszość, milordzie — powiedziała. — Znamy me tody kurii rzymskiej. Ale w tej chwili nie będziemy o nich mówili. Chodzi o to — gestem wskazała otrzymany list. — Czy mamy skorzystać z propozycji panów papistów, czy ją odrzucić? Chciałabym, abyście mi na to odpowiedzieli wszy scy.

— Głosuję przeciwko! — zawołał Walsingham.

— Ja tak nie mogę głosować — Burghley cedził słowa po woli. — Byłem i jestem przeciwny wojnie. Skoro jednak wa sza królewska wysokość rezygnuje z prób powstrzymania Filipa, pozostaje tylko jedno: zjednoczyć wszystkich w walce z najeźdźcą... Skierowała wzrok na Dudleya. Ostatnio stał się sojusznikiem Walsinghama w snuciu wojennych planów. Ale przed jej niełaską za to, co uczynił w Holandii, ocalił go Cecil. Czyją stronę wybierze? Mniejsza zresztą o niego samego. Przy nim był jednak Essex z jego szaloną odwagą i cudownymi oczyma. Essex pragnął wojny jak ryba wody. Ale jednocześnie nie znosił Walsinghama z jego prostactwem i puryta-nizmem. W jego otoczeniu kręciło się wielu młodych papistów. Także młody Tresham i młody Southampton, wnuk starego Browne'a. Doprawdy — nie potrafiła zgadnąć, co usłyszy od swego dawnego kochanka...

— Co powiesz, milordzie? — zapytała nie mogąc doczekać się wypowiedzi.

Leicester siedział głęboko rozparty w fotelu. Miał dłonie splecione, tylko kciukami poruszał niepewnie.

— Zgadzam się z lordem Burghley — oświadczył w końcu — Ludziom, którzy podpisali list, sędzę, można ufać. Tresham, Browne — to godni ludzie...

— Proszę pamiętać — odezwał się Walsingham — że z tej kutwy Treshama wycisnęliśmy koło trzech tysięcy funtów za prawo uważania się papistą. A Browne? Czy sądzi pan, milordzie, że zapomniał, iż jego zięć przebywał w więzieniu?

— Myślę, że nie zapomniał — za Leicesterą odpowiedział Cecil. — Ale to jest człowiek, który umie nie tylko pamiętać, ale również przebaczać.

Okrągła, ordynarna twarz Walsinghama skurczyła się.

— Widzę, że pan, milordzie, zna go lepiej ode mnie — chrypliwy głos sekretarza królowej stał się podobny do zgrzytu. — Nie dziwię się. W tamtych czasach, gdy przyjaciele i kuzyni waszej lordowskiej mości...

Uderzeniem dłoni w stół przerwała Walsinghamowi. Tego jeszcze brakowało, aby teraz powracał do starych spraw buntu! Po raz drugi uderzyła w stół już nie dłonią, ale pięścią. Czowała się, jakby była na okręcie płynącym między sterczącymi ze wszystkich stron rafami: trzeba sterem poruszać szybko, raz w lewo, drugi raz w prawo! Wybuchnęła:

— Do diabła ciężkiego, zamknij swój śmierzący pysk! Na twarzy Cecila pojawił się wyraz niesmaku. Nie znosił

wulgarności, którą córka Anny Boleyn miała we krwi. Ale Walsingham nie był urażony.

Przeciwnie. Rozjaśnił się. Patrzył na nią z zachwytem. To była królowa, która tak umiała krzyknąć. Prawdziwa, jego królowa. Wybuchnęła hałaśliwym śmiechem.

— Jesteś głupi jak but, Francis — chichotała.

— Ale ja cię lubię. Masz — podsunęła mu puzdereczko z kawałkami cukru.

— Macie także — częstowała pozostałych.

— Dosyć kłótni. Milordzie — zwróciła się do Burghleya — zawiadomisz wicehrabiego Montague, że przyjmuję zgłoszenie. Niech niezwłocznie on i zjednoczeni z nim panowie zajmą się uzbrajaniem swoich ludzi. Gdyby mi starczyło czasu, sama odwiedziłabym go w Cowdray... — Przyszło jej do głowy, że mogłaby wtedy kazać towarzyszyć sobie Essexowi.

— Myślę, że zdecydowaliście słusznie — powiedziała. Znowu zachichotała. — To będzie niezła zabawa, gdy wodzowie arcykatolickiego władcy zmierzą się z takim nieugiętym papistą jak Browne. Nie mam wprawdzie sześciu palców jak moja matka — dumą rozcapierzyła na stole swe piękne i białe dłońe — będą przecież mieli nareszcie powód do nazywania mnie czarownicą...

Poleciała Cecilowi, by wrócił do przerwane go raportu o stanie przygotowań obronnych.

Znowu wyprostowana słuchała, jak się przedstawia projektowany przez admirała

Howarda plan podzielenia się floty. Dalej chrupała cukier, aż poczęły ją boleć zęby. Lecz odpędzała ból myślą, że mogłaby naprawdę zabrać Essex'a i pojechać z nim do Cowdray.

Wreszcie narada skończyła się. Pierwszy pożegnał ją Leicester. Widać było, że spieszy do

domu, by zdjąć niewygodne ubranie, ciasne pantofle i położyć się. Uśmiechnęła się do

niego — ale w głębi serca miała do niego żal, że przynajmniej nie udaje namiętności, jeśli

nie potrafi się na nią zdobyć. Zawsze był taki: wygodny i tylko do jednego. To była z jej

strony wielka złośliwość, gdy ofiarowała go niegdyś Marii na męża. Ale potem

przestraszyła się: a nużby ta po-gromczyni męskich serc wykrzesła coś z niego naprawdę?

Maria... Niechętnie i spiesznie usiłowała odpędzić to wspomnienie. Nie chciała nigdy o niej

myśleć. Sama sobie winna, tylko sama — zapewniła siebie. — Ja jej zresztą nie skazałam.

To oni! Cecil...

Z kolei pożegnała się z Burghleyem. Czuli, że jest dotknięty tym, iż stanęła po stronie zwolenników wojny. Więc na pożegnanie powiedziała mu to, czym, wiedziała, sprawi mu przyjemność: „Jesteś milordzie, jak zawsze, dobrym duchem mego królestwa”. To nie miało żadnego związku z dzisiejszą naradą i w ogóle nic nie znaczyło, ale także nic nie kosztowało. Uśmiechnął się i pogładził z zadowoleniem swoją mleczną brodę. Póki można go kokietować tanimi komplementami — myślała — mam go ciągle w ręku.

Ostatni był Walsingham. Zanim podała mu rękę do pocałowania, pogroziła mu palcem. Byli już tylko sami w komnacie, nie potrzebowała się krępować.

— Zawsze jesteś taki sam, stary byk! — zwykła go była nazywać bykiem, jak księcia d'Anjou żabą. Im używała brutalniejszego słowa, tym widziała więcej oddania w niebieskich oczach Walsinghama. — Przecież nie mogę dla twojej głupiej zawziętości wszystkich ich mordować. A w gruncie rzeczy lubię ich. Lubię ich, słyszysz? — drażniła go. — Jeszcze mogę się pogodzić z papieżem. Ale ciebie także lubię.

Kiwał głową. Teraz, gdy byli sami, rozumiał jej żarty. Nie rozdrażniały go one. Mrużył oczy. Był jak pies, którego cieszy, gdy pan gładzi go butem po brzuchu.

— Czego znowu chcesz? — pytała, zgadując z zachowaniem się Walsinghama, że ma jej jeszcze coś do powiedzenia.

Z szerokiego rękawa szaty wysunął papier.

— Mam tu raport Mondaya, który skarży się, że komedian ci zamiast grać jego uczciwe sztuki wystawiają ohydne, demoralizujące pospólstwo tragedie lub usiłują przemycić po chwałę papizmu...

Wzruszyła ramionami.

— Znowu Monday! Wolałabym, byku, aby ten gryziپیórek pisał mniej uczciwe i mniej moralne sztuki, a za to takie, które można oglądać bez znudzenia!

— Wasza królewska mość, teatr jest zawsze źródłem de moralizacji.

— Przesadzasz, Francis. Zresztą trochę demoralizacji jest jak sól: pozwala przełknąć niesmaczną potrawę. Nie dam ci zniszczyć teatru!

— W teatrach kryją się papiści. U Burbage'a chciano prze myć sztukę o Tomaszu Morę...

— Słusznie, że nie pozwolono jej wystawić. Nie należy jednak walczyć z komediantami. Właśnie walcząc z nimi czy niszcząc ich papistami. Tak, byku. Będę musiała się tym także zająć, gdy mi tylko sprawa wojny przestanie ciążyć. Czy masz coś jeszcze?

Skinął głową, a jego wzrok spoczął na leżącym na stole liście panów katolickich.

Szła oczami za tym spojrzeniem.

— Chcesz jeszcze raz wracać do tego? Głupi jesteś! Ta uroczyta małpa ma rację: skoro się mamy bić, musimy wpruć do walki wszystkich. Nie pozamykasz ich przecież?

— Tam na północy zamknęli wszystkich! — rzucił z za więtością. — Obstawię ich i będę strzegł. Zawsze są gotowi do nowego buntu!

Wzięła kartę w rękę.

— Tu nie ma żadnego z północy? , — Jest jeden.

Poruszyła lekceważąco dłonią. ' — Jedna jaskółka nie czyni wiosny. 1

Potrząsnął głową, jakby się z tym nie zgadzał.

— Nawet jeden może być niebezpieczny. Poza tym ma siostrzeńca...

— Co robi ten siostrzeniec?

— Kandydat na nowego Campiona! — warknął. Sięgnęła po cukier. Campion... To było także wspomnienie, do którego nie lubiła wracać.

— Przypłynął? — zapytała.

— Tego jeszcze nie wiem... Ale niedługo będę wiedział.

— Gdy będziesz już miał dowody, że przyjechał — powie- < działa — wrócimy do tego.

Tymczasem nic nie zmieniamy. Niech wszyscy, którzy podpisali list, przyjadą. Ty, Francis, jesteś jak wściekły pies. Tylko byś kasał. Ale ja muszę być także dla nich królową.

Rozumiesz to?

Skłonił się nisko. Podała mu rękę do pocałowania. Myślała: Jeśli wygram, to tylko dzięki niemu. Ale jeśli przegram — to także przez niego. Cokolwiek miało się stać, byli ze sobą związani.

CZEŚĆ DRUGA

Słońce wymotało się z porannych mgieł i zaczęło przypiekać. Droga była pusta. Jechali tak blisko obok siebie, że dotykali się kolanami. Chłopak pochylił się nad dziewczyną i trzymał ją wpół. Nie mieli ochoty do mówienia. Przytuleni do siebie zdawali się pragnąć tylko jednego, aby ta droga trwała jak najdłużej. Najmniejszym dotknięciem nie przyspieszali stępa swoich wierzchowców. Ale piękne, rasowe konie, wystawszy się w lesie, podrzuciły niecierpliwie głowy i szły kapryśnie, podskakującym, elastycznym chodem, jakby pragnęły rzucić się w galop.

— Mówię ci, Alex — powiedział gorąco, przyciskając ją do siebie — jedź...!

Nie odpowiedziała. Miała oczy przymknięte, małe usta rozchylone. Ciężki kłęb jasnych włosów rozsypał się na jej ramieniu. Ubrana była po męsku: miała na sobie długi, sięgający poza kolana jerkin, który jej nadawał wygląd ucznia.

— Jedź! — nastawał z nową energią. — Jedź!

Zatrzymał konie i całował ją. Nie broniła się, lecz delikatnie i nieznacznie dotknęła ostrogą boku siwej klaczy, która szarpnęła i wydarła ją z jego ramion. Przez chwilę jechali obok siebie w milczeniu. Potrząsnęła głową, jej włosy zwisały w coraz większym nieładzie.

— Wiesz, że nie mogę...

— Możesz. Wszystko możesz, jeżeli tylko zechcesz... — na stawał.

Właściwie miał rację. Nie zatrzymywało jej nic, poza nią samą, jak nic nie mogło jej zatrzymać, gdy wymykała się dzisiaj przed świtem z domu. Wiedziała, że o tej porze ciotka śpi w najlepsze, a ojciec nie uczyni tego nigdy, aby sprawdzać, co ona robi. Tyle razy zresztą postępowała tak samo: brała konia i wymykała się rankiem w pola. Lubiła ostry kłus po omszałych rosą trawach.

— Nie mogę — powiedziała. — Ojciec...

— Twój ojciec przecież zgodził się. I teraz gdy wszystko jest już między naszymi domami dobrze — możesz. Gdybym nie musiał odjechać. Ale teraz i twój ojciec pojąłby i przebaczyłby...

W tym także miał słuszość. Z czymkolwiek — myślała — przyszedłabym do niego i gdybym mu tylko powiedziała, że żałuję — nie zdążyłabym nawet wyznać swojej winy... Ale minio to broniła się przed zachętami Ryszarda. Czy tylko jego? W niej samej także nie było sprzeciwu. Dlaczego nie miałyby pojechać z tym odjeżdżającym na wojnę chłopcem, wziąć ślub — który i tak miał ich niedługo związać — w pierwszym przydrożnym kościele, a potem *zaznać* kilku chwil niespłó-szonej radości, radości, za którą tak tęskniła? Opinii ludzi nie bała się; zwłaszcza teraz. Zresztą nie znała lęków, poza tym jednym, jedynym...

— Nie, nie... — opierała się. Zręcznie kierując klaczą zmuszała ją stale do trzymania się w odległości od konia Ryszarda. — Patrz, jak mnie potargałeś...

Sięgnęła do sakiewki, którą miała u pasa, wyjęła z niej grzebień i lusterko. Założywszy wodze na przedni łęk poczęła czesać roztargane włosy. Dopiero wygładziwszy je powiedziała:

— Musimy poczekać, Dick.

Chłopak trochę ostygł. Był bardzo młody, nie starszy od niej.

— Kocham'cię... — rzekł jakby usprawiedliwiając się.

— I ja ciebie — odpowiedziała uśmiechając się. — Ale jak by to wyglądało? Jestem twoją narzeczoną, a uciekam z tobą?

— Jadę na wojnę...

Zagryzła wargi. Lepiej, niż pozwalała mu poznać, podzielała jego uczucia. To wezwanie, które młody szlachcic otrzymał, napełniło ją przerażeniem. Więc znowu? — myślała.

Odkąd sięgnęła pamięcią, zawsze coś czaiło się, coś groziło, coś nie pozwalało snuć zwyczajnych planów, bez których nie ma młodości. Życie pełne było oczekiwania, napięcia,

podziałów. Jeszcze go nie zaznawszy — czuła się nim zmęczona. Tak bardzo chciała od tego wszystkiego uciec, doświadczyć czegoś innego. Tę odmianę przyniosła miłość. Lecz zaledwie przyszła, nadciągnęła za nią ta wojna.

Schowała grzebień i lusterko i pozwoliła swej klaczy pod jechać do wierzchowca Ryszarda. Kiedy jednak chłopak chciał ją objąć, uchyliła się od jego ramienia.

>

— Nie, zostaw... Musimy porozmawiać. Zaraz rozstaniemy się...

Zaciąwszy usta milczała. Tak trudno jej było pogodzić się z tym, że natychmiast posłuchał.

— Sama dobrze pamiętam, że jedziesz na wojnę — powie działa wreszcie. — Rozstajemy się. Mam jednak nadzieję, że nie na długo... — Zwlekała z wypowiedzeniem reszty, chciała zobaczyć gorący błysk nadziei w jego oczach. — Za parę dni także mój ojciec jedzie do Londynu. Prosiłam go, aby mnie wziął ze sobą.

• — A on?

Uśmiechnęła się na samą myśl, iż sądzi, że mógłby jej odmówić.

— Zgodził się. Więc widzisz, zobaczymy się. A przecież wojny jeszcze nie ma i ty będziesz u wuja w Londynie.

— Tak. I kiedy przyjedziesz, pobierzemy się, prawda?

— Wiesz, że pragnę tego, tak samo jak i ty.

Tym razem pozwoliła, aby ją chwycił w objęcia i przycisnął do siebie. Miała na wargach jego gorące usta. Konie stały, choć niezbyt cierpliwie. Znowu miała uczucie, że gdyby ten uścisk mógł trwać — skończyłoby się to życie pełne niepokojącego oczekiwania. Ale przemogła się. Delikatnie wyszarpnęła mu się z objęć.

— Jedźmy... — powiedziała. — Już późno... Rzeczywiście czas biegnął. Opuściła dom przed

świtem, a te raz było już po południu. Ludzie Ryszarda czekali na niego.

Na nowo ruszyli. Droga prowadziła w dół, w kotlinę błotnistej rzeczki, której brzegi obrośnięte były olszyną.

— Kiedy przyjedziecie? — pytał.

— Nie wiem dokładnie. Ale chyba prędko. Lord Browne przysyłał gońców.

— Więc on i twój ojciec gotowi są naprawdę walczyć z Hiszpanami?

— Naturalnie!

— To pięknie ze strony twego ojca.

Nie odpowiedziała. Decyzji ojca nie umiała pojąć, choć podejrzewała, co ją mogło spowodować... Znała natomiast cenę, którą musiał za jej powzięcie zapłacić.

Milczenie leżało między nimi, niby cień obłoczku, który na chwilę przesłonił słońce. Kotliną skończyła się. Droga wielkim łukiem wznosiła się po zboczu trawiastego wzgórza, którego szczyt obnażony z zieleni białął podobny stosowi ruin.

— Namawiaj ojca, aby wyjechał jak najszybciej — rzekł. — Boję się, że wojna może wybuchnąć, a wtedy...

— Ojciec będzie się spieszył. Chce być przecież razem ze wszystkimi w Tilbury.

— To prawda. Musimy być gotowi, aby walczyć z nimi, gdy tylko wylądują. Oby się tylko nie cofnęli!

Nic nie odpowiedziała na ten jego wykrzyknik. Znała Ryszarda dobrze: wiedziała, że gdy tylko pożegna się z nią, będzie marzył o walce i o sławie. Dla niego życie nie było jednym pasmem oczekiwania na zbliżające się niebezpieczeństwo. Kochał ją, ale także kochał rosnącą wielkość kraju i zwycięstwa. Czy nie lepiej byłoby przejść na ich stronę, znowu pojawiła się w niej ta myśl, i razem z nimi cieszyć się i nienawidzić? Połowiczność, którą wybrał ojciec, przynosiła tymczasem więcej trosk niż ulgi.

Droga wiła się teraz między wzgórzami, porośniętymi gęstą szmaragdową trawą. Na łąkach pasły się wielkie stada sza-rozółtych owiec. Uzbrojeni w grube pałki pasterze spoglądali ciekawie na jadącą parę. Parowy między wzgórzami czerniły się zbitą masą krzewów. Tu i tam błyskały tafle małych jezior. Droga wspinała się coraz wyżej. W końcu otworzyła się przed nimi szeroka panorama sfalowanych łąk, przeciętych białą wstęgą drogi. W kępie wysokich topoli widać było czerwone dachy domów i wieżyczek kościoła.

Zatrzymał konia. Spojrzał na nią z zalem. Tu mieli się rozstać. W miasteczku, w gospodzie czekali jego ludzie. Alex zatrzymała także swoją klacz. Nie mówiła nic. Wszystkie zale odżyły w niej na nowo. Dlaczego, mimo wolności, jaką posiadała rzadko która dziewczyna, nie czuła się naprawdę wolna? Odezwał się w niej lęk. Ale zobaczyła smutek na jego twarzy, więc powiedziała:

— Zobaczymy się niedługo...

— Przyjdźcie szybko. W Londynie przedstawię cię wu jowi. Pomoże nam. On jest taki potężny...

Nie wiedziała dlaczego, ale to wspomnienie o wuju Ryszarda ukłuło ją nieprzyjemnie.

Drażniła ją myśl, że człowiek, o którym tyle złego mówiono, miał im pomagać. Ich sprawy, wydawało się jej, powinny się były układać same.

— Jeżeli zostanę twoją żoną, to nie dlatego, że twój wuj...! — wybuchnęła. Ale zaraz urwała. Czy takie miały być ich ostatnie słowa przed rozstaniem? — Prędko zbiegł dzisiejszy ranek — rzekła szybko, chcąc zatrzeć wrażenie po przednio wypowiedzianych słów. — Wydaje mi się, jakbym miała ci jeszcze tyle do powiedzenia...

— I ja także. Słuchaj! — Położył rękę na grzywie jej kła czy. — A gdybyś tak jeszcze zajechała na chwilę ze mną do oberży?

Zawahała się. Czuła, że nie powinna była tego robić. Go-

spodarcz na pewno ją znał, plotka mogła pójść między okoliczne dwory. A choćby nawet! — odrzuciła zaraz tę myśl. — Czy jest jeszcze coś, co by mogło powiększyć wrogość, jaka ich otaczała?

— Dobrze — skinęła głową. — Ale tylko na chwilę. Zjechali klusem z pagórka. Budynek zajazdu był piętrowy.

Ciężkie, pomalowane na ciemny brąz belki tkwiły w żółtym tynku. Kolorowy szyld wisiał nad wejściem. Na podwórku przy koniowiązie stały nie rozkulbaczone konie, a obok nich wysoko naładowany dwukołowy wóz.

Gdy znaleźli się przed zajazdem, Ryszard szybko zeskoczył z konia. Wziął wodze jej klaczy i dworskim gestem przytrzymał strzemień. Zwykle gdy chciał tak czynić, odpychała go i ze śmiechem zeskakiwała sama na ziemię. Z końmi była zżyta, jeździła na nich jak chłopak. Ale dziś było w niej tyle pomieszanych uczuć, że pozwoliła mu odegrać rolę dwornego rycerza.

Gospodarz wybiegł na ich spotkanie. Kłaniał się nisko. Oczywiście ludzie Ryszarda, którzy czekali na swego pana w gospodzie, musieli mu powiedzieć, że będzie gościł jednego z młodych rycerzy z Cary's Hali. Byli tu w okolicy świeżymi przybyszami, ale znano ich bogactwo i znaczenie. Stary Tomasz Gary przebudował otrzymany od królowej benedyktyński klasztor na wspaniały zamek.

Wciągnąwszy brzuch i wciąż się kłaniając gospodarz sunął bokiem wskazując gościom drogę do izby.

Była ona obszerna, lecz niska i ciemna. Ogień bił z dużego kominka, przy którym kręciło się dwóch chłopców, obracając nabite na różna mięso. Aromatyczna woń rozchodziła się wokoło. Z belek pod sufitem zwisały szynki i kiełbasy, sznury czosnku i cebuli. W izbie stały dwa długie stoły. Przy jednym siedzieli ludzie Ryszarda, którzy na widok swego pana

podnieśli się z ławy. Dał im gestem znak, aby siedli i dalej jedli i pili. Podprowadził Alex do drugiego stołu. Z dała na samym jego końcu siedział jakiś mężczyzna nad miską jedzenia. Po chwili człowiek wstał i porozmawiawszy z gospodarzem wyszedł z izby.

— Czy nie wiesz, w której gospodzie zatrzymacie się w Lon dynie? — pytał Ryszard.

— Nie będziemy stali w gospodzie. Hrabina Southampton przysłała zaproszenie, abyśmy zatrzymali się u nich na Hol- born.

— Hrabina Southampton? To córka lorda Browne. Jej syn żyje podobno w wielkiej przyjaźni z Essexem.

— Słyszałam o tym.

•— Wolałbym, abyś mieszkała gdzie indziej. Ta paczka przy Essexie ma złą sławę.

Podobno pierwsi eleganci i kobiecira-ze. A Kssex w wielkich łaskach u królowej...

— Jesteś zazdrosny? — poczęła się śmiać. — Och, jestem pewna, że żaden z nich nie zwróci nawet uwagi na mnie. Czy może ich interesować parafianka z dalekiej północy, gdy w Londynie podobno tyle pięknych i eleganckich kobiet?

— Niemniej jednak... Nie podoba mi się, że będą się krę cili koło ciebie. Wiem o nich od brata, który przebywał dłuż szy czas w Londynie. Są bogaci, otoczeni skrybami, wierszo kletami, komediantami, najgorszą hałastrą! Pięknymi słów kami umieją zawracać w głowie kobietom. A większość z nich to papiści!

Gniewnie przerwała mu.

— Przestań! Dość tego dzielenia na papistów i niepapistów! On jednak nie mógł się powstrzymać, by nie dorzucić:

— Zobaczmy, jak ci eleganci będą stawali przeciwko Hi szpanom! — Zaraz jednak zmienił ton. Wziął dziewczynę za rękę. Prosił: — Nie gniewaj się. Wiem, że nie powinienem tak mówić. Już nie będę. Obiecuję.

— Nigdy nie będziemy, Dick, szczęśliwi — powiedziała z wyrzutem — jeśli będziesz do tego wracał.

Jeszcze jakiś czas rozmawiali. Ale potem zaczęło im brakować słów. Posuwający się czas ciążył.

•— Trzeba, abyś jechał — powiedziała z cichym westchnieniem.

— Tak, czas już... — przyznał. — Przyjeżdżaj jak najprędzej. Kocham cię, Alex...

— Kocham cię — odpowiedziała jak echo.

Podnieśli się, patrząc sobie gorąco w oczy. Ich powstanie było sygnałem dla służby, że nadeszła pora odjazdu. Ludzie spieszyli na dwór, by zdjąć koniom z głów worki z obrokiem i podciągnąć popręgi. Oni trzymając się za ręce szli ku wyjściu.

Podprowadzono Ryszardowi konia. Szybko wskoczył na siodło. Uniósł rękę w górę i potrząsając nią nad głową na znak pożegnania zatoczył koło wierzchowcem. Potem rzucił konia w galop. Za nim ruszył cały poczet. Wśród tętentu wpadli w otwartą bramę. Jeszcze przez chwilę wisiał w powietrzu tuman białego pyłu. Gdy opadł — nie było już nikogo. Skinęła na gospodarza, by jej podprowadził siwą klacz. Siadała na nią wolno, jakby ją nagle odeszły siły.

Niebo zaszło czerwienią. Na drogę kładły się wydłużone cienie drzew. W tumanach przetkanego blaskiem słońca pyłu szły, z beczeniem i porykiwaniem, wracające z pól stada, obiegane przez zziajane psy. Alex jechała wolnym stępem, zanurzona w myślach. Nie zastanawiała się nad tym, jak wytłumaczy w domu swą całodzienną nieobecność. Myślała jedynie o swojej miłości.

Tu na północy walka nigdy nie wygasła. Dwory katolickie, które stanowiły większość, nie utrzymywały stosunków z dworami przybyszów z południa lub z tymi, których właściciele ulegli naciskowi i zmienili swoją wiarę. Na południu kraju katolicy przemieszani byli z anglikanami. Tutaj stanowili zwartą masę, gniewnie i zawzięcie czekającą odmiany. Lata upłynęły od czasu stłumienia powstania, lecz pamięć krwawych porachunków została. Odżyła na nowo przed rokiem, gdy rozeszła się wieść o ścięciu królowej Marii. Teraz nadciągająca wojna rozjarzyła na nowo tę nienawiść. Znowu mówiło się po dworach o potrzebie wystąpienia przeciwko rządowi Elżbiety. Hasło: „Jezus i Filip” pojawiało się wypisane na murach przez nieznane ręce. To obudziło czujność władz. Wszędzie kręcili się szpiedzy i donosiciele. Pojawiły się pogłoski o listach ludzi, którzy mają być aresztowani na okres wojny jako zakładnicy.

Było to zupełnym przypadkiem, że Alex poznała Ryszarda. Dwór Nortonów dzieliła od Cary's House przepaść różnicy wiary. Mimo to młodzi poznali się i pokochali. Francis Norton był z tego powodu surowo krytykowany przez sąsiadów. Próbował przemówić do Alex, wytłumaczyć jej, jak niebezpieczna jest ta miłość. Ale — jak zwykle było między nimi — to jej pragnienie zwyciężyło...

Minęła kudłate stado owiec. Przed sobą na drodze zobaczyła jeźdźca. Doganiała go.

Jechał w tym samym co ona kierunku, owinięty w płaszcz; za nim, na końskim grzbiecie leżał

niewielki tłumoczek. O ile płaszcz i kapelusz jeźdźca wyglądały dostatnio, o tyle koń był chudy i nędzny. Przypominał wierzchowca kupowanego w przydrożnych karczmach i odprzedawanego zaraz po skończonej podróży. Zauważyła, że strychuje się na prawą tylną nogę i utyka na nią.

Jej klacz szła szerszym stępem, toteż po chwili zrównała się z samotnym jeźdźcem.

Mijając spojrzała na niego. Jego twarz nie była jej obca. Po chwili namysłu uświadomiła sobie, że to był człowiek, który w gospodzie siedział na końcu ich stołu. Rozmawiając z Ryszardem patrzyła na niego bez zainteresowania.

Tamten jechał pochylony. Miał przymknięte oczy i zdawał się drzemać na siodle.

Posłyszawszy jednak stąpanie wierzchowca Alex wyprostował się i sięgnął do kapelusza. Skłonił się układowie. Uderzeniem pięt podpędził swego konia.

— Czy pozwoli pani, że ją o coś zapytam? — odezwał się.

Mówił gładko, akcentem nietutejszym. Była sama na drodze, ale nie należała do dziewcząt lękliwych. Nieraz zdarzało się jej rozmawiać ze spotkanym chłopcem, wędrującym rzemieślnikiem czy żebrakiem.

— Proszę. Niech pan pyta. Skłonił się powtórnie.

— Czy mogłaby mi pani wskazać drogę do domu sir Francis Norton?

Drgnęła zaskoczona. Jeszcze raz przyjrzała się jeźdźcowi. Zastanawiała się, co ma mu odpowiedzieć. Myślała: ten człowiek widział ją w gospodzie. Na pewno dowiedział się, kim jest, i dlatego pytał. Powiedziała:

— Niech pan jedzie ze mną. Podążamy w tę samą stronę. To już niedaleko. Zaraz za wzgórzem można będzie dwór zobaczyć. — Dorzuciła: — Jestem córką sir Nortona.

Zdjął kapelusz i skłonił się tak nisko, że aż zamiótł piórem po ziemi.

— Cieszę się z tego spotkania. Pozwoli pani, że się przed stawię: nazywam się Robert

Rowe...

— Miło mi poznać...

— Przejeżdżałem w pobliżu — mówił — i zapragnąłem skorzystać z okazji, by odwiedzić pani ojca. Kiedyś znaliśmy się.

— Nie musiało to być zbyt dawno. Jest pan młodym czło wiekiem.

— Tak, rzeczywiście, to nie było zbyt dawno... — Wydało się Alex, że się zmieszał. — Oczywiście nie tak dawno... Nie mniej jednak nie wiem, czy sir Norton będzie mnie pamiętał. Ale mam mu także przekazać pewną wiadomość....

— Mój ojciec ma dobrą pamięć. A za wiadomość na pewno będzie wdzięczny.

Odpowiadała grzecznie, ale w sercu poczuła nagły niepokój. Stała przed nią myśl, że ten człowiek musi być katolikiem szukającym schronienia na ich dworze. Dawniej często przewijali się przez ich dom tacy goście. Najczęściej byli to księża. Ale ostatnio wizyty urwały się. Od kilku miesięcy

nie pojawił się w ich domu żaden przybysz. W gruncie rzeczy była z tego zadowolona. Za tajemniczymi gośćmi przybywali nieraz strażnicy. Nie znajdowali już ich, lecz przewracali dom do góry nogami. Szukali, grozili. Po tamtych pozostawał jedynie posiew niepokoju.

Usiłując to czynić w sposób nieznacznym przyglądała się, swemu towarzyszowi. Musiał wędrować z daleka; jego ubranie, choć modnie skrojone i z dobrego materiału, było wymięte i poplamione. Mężczyzna także podnosił wzrok i spoglądał na nią, ale za każdym razem, gdy ich oczy spotykały się, spuszczał swoje ku ziemi. Wydawał się wtedy jakby spłoszony czy zawstydzony. Dłuższy czas jechali w ciszy przerywanej tylko stukaniem kopyt na twardej drodze.

— Pan nietutejszy? — zapytała.

— Rzeczywiście... — przyznał.

— Z daleka pan przybywa? Wolno wiedzieć?

— O tak... — Ale nie wyjaśnił skąd.

— Nie słyszał pan nic nowego o wojnie?

— Wszyscy mówią, że może się zacząć lada dzień... To zna czy lada dzień może wypłynąć przeciwko Anglii hiszpańska flota... Ludzie powiadają, że to wielka potęga. Największa na świecie. Przed niewielu laty rozgromiła Turków. Nic się jej podobno nie potrafi oprzeć...

Chciała mu odpowiedzieć, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Znowu obserwowała go. Naciskiem łydek zmuszał swego konia, by jechał równoległe z kłaczą Alex i nie zostawał w tyle. Miał twarz młodą. Ciągle trzymał oczy spuszczone, a na jego delikatnych policzkach kładły się cienie od długich, prawie kobiecych rzęs. A jednak budził w niej niepokój. Teraz była pewna — to musi być ukrywający się katolik. Ale równie dobrze mógł to być szpieg. Wiedziała, że przysyłano takich do dworów katolickich. Zacięła usta i milczała.

Ledwo odjechał Ryszard — powracało życie walki, podziałów, wciąż grożącego niebezpieczeństwa. Znowu ogarnął ją żal, że jednak nie odjechała z nim. ^_

Dopiero gdy znaleźli się przed wysadzaną kasztanami aleją, która prowadziła do ukrytego wśród zieleni dworu, rzekła;

— Jesteśmy na miejscu.

Podniósł głowę i nagle zatrzymał konia. Widziała, jak patrzy dziwnym, jakby oszołomionym wzrokiem na wynurzające się spośród gałęzi żółtawe kamienne ściany, na wypłowiały dach, nad którym sterczały wysokie kominy. Dopiero po chwili zmusił konia znowu do stępa. Wjechali w aleję. Na jej końcu znajdowała się stara brama. Kamienne słupy obrosła zieleń, żelazna krata, na której wisiały rodowe znaki, była skrzywiona i poszczerbiona. Otworzył im odzwierny w wy-rudziałym stroju.

Gdy podjechali przed dom, wybiegła służba, by odebrać od nich konie. Przybysz nie

odrywał wzroku od frontonu budynku. Zachodzące słońce Nielitościwie oświetlało wszystkie szpary, pęknięcia i zacieki. Dom był stary i zapuszczony. Widać od dawna nie odnawiano murów, które musiały pamiętać czasy Plantagenetów. Wąskie, obronne okna tu i tam poszerzono. Nie było w nich szyb, ale nasycone tłuszczem płótna. Część ścian pokrywała winorośl. Drapieżne, dzikie krzewy podsadzały się pod mury.

Alex musiała dwa razy powtórzyć wezwanie, by szedł za nią do środka, zanim to uczynił. Prosto z dworu, przez małą sień, wchodziło się do obszernego hallu, obejmującego prawie połowę domu. Był on ciemny. Choć na dworze panował jeszcze dzień, tu na kominku paliły się dwie świece. W ich żółtym blasku widać było ponakrywane skórami i derami ławy i skrzynie. Pośrodku stał wielki stół na krzyżakach. Ciężkie, drewniane schody prowadziły w górę na biegnącą wzdłuż całego hallu galerię.

Mężczyzna raz jeszcze zamarł w bezruchu. Pełnym dziwnej żarliwości wzrokiem ogarniał wszystko — te schody, galerię, kominek, poczerniałe od lat i od dymu belki na sklepieniu. Nie zauważył, jak Alex podeszła do kominka i pochyliła się nad siwowłosym mężczyzną, który siedział w wysokim fotelu z czołem opartym na ręku. Zdawał się być zanurzony w ponurych rozmyślaniach. Ale usłyszawszy głos Alex Norton podniósł głowę. Twarz mu się rozpromieniła. Z uśmiechem spojrzał na córkę. Można było sądzić, że wszystkie troski od razu odeszły. Położył dłoń na jej ręce, którą oparła na poręczy fotela. Zapytał:

— Gdzie to byłaś tak długo, moja mała?

— Tatusiu, oto pan, którego spotkałam na drodze, a który szukał naszego dworu. Ma dla ciebie jakąś wiadomość...

Rozjaśniona twarz starego squire'a zasepiła się na nowo. Obróciwszy się w fotelu niechętnym wzrokiem poszukał przybysza. Tamten stał ciągle z głową podniesioną, jakby coś niezwykłego zobaczył na pustej galerii. Norton dźwignął się z fotela. Powoli, jakby z

nieufnością zbliżył się do nieznajomego.

Zostawiła obu mężczyzn u stóp schodów, a sama wyszła z hallu wydać polecenie służbie, by nakrywała do wieczery. Gdy wróciła — stali dalej w tym samym miejscu. Ale wy-

dało jej się, że w obu postaciach dokonała się jakaś ogromna zmiana. Ze zdumieniem ujrzała, jak ojciec trzymał dłonie oparte na ramionach przybysza i obróciwszy jego twarz pod drgający blask kaganka zdawał się gorączkowo czegoś w niej szukać.

Zrobiła się już późna noc, lecz oni wciąż siedzieli przy kominku rozmawiając. Wielki hali wokoło nich ogarnięty był gęstym mrokiem. Stare schody wydawały od czasu do czasu tajemniczy skrzyp, jakby ktoś szedł po nich czającym się krokiem. Czasami trzasnęła podłoga.

Ogarnęło go ogromne zmęczenie i lepiąca oczy senność. Lecz każde z tych trzaśnień otrzeźwiało go na nowo. Czasami oglądał się i patrzył w ciemność, w której majaczyły zarysy sprzętów.

— Mam skrupuły, że tu przyjechałem — rzekł.

— Nie miej ich. Chciałem cię zobaczyć. Jesteś jedynym moim krewniakiem.

— Tyle zawdzięczam wujowi...

— Zrobiłem to tylko, co obiecałem twojej matce. Sądziłem, że cię nigdy nie zobaczę. Pisano mi, że piszesz uczone prace, studiujesz starych mędrców.

— Tak było. Ale przyszło polecenie...

— Aby tu jechać? Chciałbym móc się tym cieszyć. Bo je dnak teraz będę się bał o ciebie.

Szukają was, śledzą za wa mi. Na wszystkie strony rozesłali szpiegów. Ogłasza się na grody. Dawno przybyłeś?

— Przedwczoraj w nocy...

— Jak unikałeś searcherów?

— Wysadzono mnie na ląd potajemnie.

— Nikt tego nie widział?

— Noc była ciemna, morze wzburzone... —• Co robiłeś od tego czasu?

— Drzemałem w lesie do rana. Potem dotarłem do Dar- lington. Tam znalazłem

człowieka, który mi ułatwił kupienie konia. Chciałem jechać wprost do Londynu. Ale nagle

uświa domiłem sobie, że jestem tak blisko ciebie, wuju, i że pragnę cię zobaczyć...

— Dobrze zrobiłeś.

— Narażam cię...

Stary sąuire potrząsnął głową.

— Nie myśl o tym. Powiedz lepiej, co słyszałeś o wojnie?

— Ludzie mówią o potędze Hiszpanii. Ale powiada się tak że, że'Anglia bardzo spotężniała...

Norton potrząsnął głową.

— Nie o tym chciałem wiedzieć. Powiedz, jakie otrzyma liście polecenia na czas, kiedy Hiszpanie wylądują.

Hugh siedział z nisko zwieszoną głową, wspierając łokcie na szeroko rozstawionych udach. To splatając, to rozplatając palce starał się przewyciężyć nachodzącą go falami senność.

— Ja przynajmniej żadnych poleceń nie dostałem. Jak już • mówiłem wujowi, jechałem drogą okrężną. Gdy odjeżdżałem z Rzymu, wojna nie była jeszcze sprawą całkiem pewną. Do piero rozeszła się wieść o zamordowaniu królowej szkockiej. Zapewniano nas, że jeśli wojna wybuchnie i gdy tylko WÓJT sko hiszpańskie stanie na ziemi angielskiej, wszyscy chwycą za broń...

— Przeciwno Hiszpanom?

— Nie. Przeciwno Elżbiecie.

— Wierzysz w to?

Mocno przesunął dłonią po oczach. Zmęczenie mąciło myśli. Czasami wydawało mu się, że słyszy swój głos jakby wychodzący z obcych ust.

— Póki byłem na kontynencie — wierzyłem. Ale potem zaczęły się budzić we mnie

wątpliwości... I teraz nie wiem. Niech raczej wuj powie mi, co o tym myśli.

Podniósł wzrok na Nortona. Ten siedział ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, zapatrzony w ogień. Zanim odezwał się, zdawał się namyślać. W ciszy trzaskały belki w starych schodach i zaszeleściły kropelki spływającego ze świec wosku.

— Chcesz, abym ja ci powiedział? Dobrze... Więc zrozum: Elżbieta panuje od trzydziestu lat. Pod jej rządami Anglia zmieniła się, spotężniała. Pospółstwo mówi o niej: nasza ko chana Bess... Umiała trafić do ich serc. Nie poszła tak daleko jak jej brat, a właściwie jak ludzie, którzy za niego rządili. Próbuje umiaru...

— Lecz kazała zamordować królową szkocką! A przedtem... Gestem uciszył go.

— Zaczekaj! Nie mam zamiaru jej bronić. Potrafi być okrutna i bezwzględna. Ale o pospółstwo dba i dlatego ma je za sobą. W zamian za rzymską, obcą religię dała mu tyle. Myślisz, że tamci rozumieją, że coś zmieniło się w religii? Msza została, stroje liturgiczne zostały, wiele figur i obrazów tak

samo. Więc kogo ma przeciwko sobie? Szlachtę? To zależy, o jakiej szlachcie myślisz.

Stara jest coraz mniej liczna. Powstała za to nowa. W drugim pokoleniu tacy jak Cecil, w pierwszym tacy jak Walsingham. Ci ludzie zbyt dużo osiągnęli, aby to wszystko zgodzili się oddać. A starzy albo do nich przystali — albo pozostali na uboczu...

Odsapnął; nie był widać nawykły do mówienia tak dużo. Hugh gryzł wargi i zaciskał palce, aby zachować napiętą uwagę.

— My tutaj, na północy, pozostaliśmy na uboczu — pod jądł. — Jesteśmy wierni

Rzymowi, a także temu wszystkiemu, czym była Anglia dawniej. Zwyciężono nas, ale nie zła mano. Czekaliśmy, że Maria Szkocka obejmie tron. Gdy Elżbieta kazała ją ściąć, w wielu dworach poczęto się modlić o nadejście Hiszpanów. Ale nawet gdy tamci wylądują, nikt się spieszyć nie będzie, aby im pomagać. Zbyt boleśnie za płaciliśmy za powstanie. Jest nas

mało. Nie liczymy się. A wreszcie...

Przez chwilę trzymał głos zawieszony w powietrzu.

— A wreszcie, mój drogi, trzeba pamiętać, że nie tylko nowi ludzie rządzą Anglią. W Anglii żyją nowi ludzie. Oni stali się Anglią, nie my. Nasze własne dzieci zaczynają inaczej myśleć. Rozumiesz to?

— Tak.

— Dla tych, co mają mniej niż trzydzieści lat, ta Anglia jest ich Anglią. A Hiszpanie tymi, którzy chcą ich kraj zniszczyć. A że płyną na nas z błogosławieństwem Ojca Świętego...

— Nie, wuju, to niemożliwe. Takiego błogosławieństwa nie mogli dostać!

— Oby tak było! Lecz dla świata Armada wyrusza na krucjatę. Przeciwno nam!

Cichy głos Nortona nagle wezbrał. Dzwonił w wielkim hallu niby tłukący się po ciemku ptak. Potem przygasł. W ciszy zatrzeszczała podłoga i zaskrzypiały schody.

— Jesteśmy heretykami — podjął znowu — którzy mają ponieść za wszystkich innych przykładową karę. Aby książęta z cesarstwa, aby panowie z Francji wiedzieli. Może myśli się w Rzymie: po trupie Anglii prowadzi droga w serce heretyki? Ale to nieprawda. Nieprawda!

— powtórzył. — Heretycy nie przegrają naszą przegraną. Ta wojna stanie się ropiejącym wrzodem, jak wojna w Holandii. Bo tutaj każdy wie: chodzi o nas. Dlatego wszyscy gotowi są walczyć. Choćby zębami. I w tej walce ludzie Walsingham staną się duszą oporu.

Zapadło milczenie, tym razem długie. Płomień uczepiony knotów grubych, domowej roboty, świec drgał konwulsyjnie.

Znowu zaatakowała go ścinająca z nóg senność. Broniąc się przed nią zapytał:

— Więc co będzie, wuju?

Norton patrzył długo w mroczną głębię hallu. Miał mocno ściągnięte brwi.

— Posłuchaj... — rzekł. Ale zanim rozpoczął, kilka razy chrząknął. — Rzecz wyszła

od lorda Browne hrabiego Mon- tague. Wiesz, kto to taki? Żarliwy katolik. Za złożenie pro testu w izbie lordów został od wszystkiego odsunięty. Połowę majątku zabrano mu w formie grzywien. Był uwięziony. Mi mo to pozostał tym, kim był: katolikiem i wiernym sługą królowej. Czy pojmujesz to? Gdy potrzebowała jego usług — zapomniał o wszystkim, czym go dotknięto. Elżbieta mu ufa. Kiedy zagroziła krajowi wojna — rzucił wszystko na szalę: ofiarował Elżbiecie pomoc katolików w walce z Hiszpanami...

Hugh poderwał się.

— Katolicy przeciwko katolikom?

— Anglicy przeciwko Hiszpanom. Lord Browne zwrócił się do całej szlachty katolickiej.

— I co?

Pytanie wisiało długo w powietrzu.

— Nie wiem, jak będzie gdzie indziej. Stąd, z północy, zgłosiłem się tylko ja jeden...

Głos Nortona był jak stukanie metalowej kulki, która stacza się po schodach uderzając coraz ciszej.

— Wuj?! — zapytał, jakby nie wierzył własnym uszom. Norton siedział z dłonią na ustach. Kiedy odezwał się, głos jego drżał podobnie jak płomień świec.

— Uważasz to za zaprzaństwo? Za zdradę wiary?

Teraz przyszła kolej na Hugh'a, by milczał. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. W końcu zapytał:

— Czy koniecznie trzeba zobowiązywać się do brania udziału w walce?

Norton sapnął jak ktoś, komu nagle zabrakło powietrza w piersi. Powiedział, a w jego głosie zabrzmiała bolesna ironia:

— Och, nie, naturalnie, że nie. Można wybrać czekanie. I na pewno będzie więcej

takich, którzy będą czekać z de cyzją do ostatniej chwili. Nic nie zaryzykują. To im pozwoli zachować dobre imię. Ale tak, Hugh, nie ocali się Anglii. I jeśli ją ocalą — to tylko heretycy!

Hugh wstał z ławy i począł chodzić. Tym ruchem starał się uwolnić od szumu przypominającego szum fal morskich, który mu się przelewał przez czaszkę. Tym razem to nie była senność, ale chaos myśli. Spacerował długo. Zatrzymał się, rzekł prawie z rozpaczą:

— Nie wiem, co mam ci, wuju, odpowiedzieć...!

— Wystarczy mi, że nie powiedziałaś od razu tego, co po wiedzieli moi sąsiedzi.

— A co oni powiedzieli?

— Wydali wyrok: potępili mnie.

— Niech wuj stąd wyjedzie. Potrząsnął głową.

— Nortonowie, mój drogi, nie uciekali nigdy.

Zapadło milczenie. Hugh podjął na nowo swój spacer po kręgu rzucanego przez świecę blasku.

— W Rzymie czegoś takiego nawet nie spodziewają się... — mruknął.

— W Rzymie... — powtórzył Norton. Zrobił gest, jakby coś od siebie odpędzał. — A jednak wierzę, że stamtąd mówi Duch Święty... Wierzę... Tak widocznie musi być, że nasze sprawy są nie zrozumiane. Nie mogą być zrozumiane... Może, zadaję sobie czasami pytanie, jest to próba, przez którą trze ba, abyśmy przeszli?

Wyciągnął ręce do stojącego przed nim Hugh'a.

— Abyśmy jednak przez nią przeszli, potrzebni nam jesteście. Musicie tu być. Ale tylko po to, by nawracać, umacniać, spowiadać, przygotowywać na śmierć... Tylko po to! Rozumiesz mnie?

— Tylko po to przypląnąłem, wuju.

Norton odetchnął, jakby mu wielki ciężar spadł z piersi.

— To dobrze. Musisz jednak pamiętać, że nie wszyscy w to uwierzą. Nie wszyscy będą także chcieli, aby tak było. Gdy ty przypląwasz z sakramentami, a Hiszpanie z armatami, to... Rozumiesz? Wielu będzie pragnęło znaleźć w twoim worze ku sztylet lub truciznę.

Oddech Nortona stał się ciężki jak dyszenie biegnącego. Znowu zaszeleściły kropelki wosku, który popłynął z jednej ze świec. Hugh stał kołysząc się na nogach jak łódź, targająca się na trzymającym ją łańcuchu. W ciszy, jaka zapanowała, zdawało mu się, że słyszy słowa Bosgrave'a: „Tam będą przychodzili do ciebie ludzie z pytaniami, od których bieleją włosy...” Chwiejnym krokiem podszedł do ławy, usiadł na niej.

— Niech mi wuj pozwoli dziś na nic więcej nie odpowiać — poprosił. — Zbyt wiele usłyszałem...

— Rozumiem cię. Nie powinienem ci być wszystkiego naraz mówić. Ale widzisz, chciałem sprawę postawić jasno. Prze strzec cię...

— Przed czym?

— Przed moim domem. Od dawna nie było tu żadnego księdza...

Zapadła cisza. Oddechy obu mężczyzn rozlegały się w niej głośno. Wtórowało im ciągle trzaskanie podłogi w nie oświetlonej części hallu. Senność dawno już Hugh'a odeszła.

Pozostał tylko szum pod czaszką, który sprawiał, że myśli przesuwały się dziwnie boleśnie.

— Tak nie powinno być... — powiedział, -- Boga nie wolno odmawiać tym, którzy Go pragną...

— Czy to znaczy, że mimo wszystko — zostaniesz...?

— Zostanę...

— I chciałbyś odprawić mszę?

— Jeżeli tylko można, odprowadzę ją zaraz jutro.

— Byliby także ludzie do spowiedzi...

— Po to tu jestem...

— I dasz Komunię świętą?

— Tak...

— O, Hugh — w głosie Nortona zabrzmiało wzruszenie. — Przyjechałeś, by zdjąć ciężar...

A już myślałem, że go nie podźwignę.

— Chodź — rzekł — pokażę ci, gdzie będziesz spał. Wziął jedną ze świec i ruszył przodem po schodach. Szli

obok siebie w milczeniu, a ich wielkie cienie łamały się przed nimi na stopniach. Stare deski skrzypiały. Weszli na galerię, potem skręcili w lewo. Ciemne, puste pokoje ziejące chłodem ciągnęły się amfiladą. Stały w nich otulone portierami łóżka niby wielkie katafalki. Czasami

coś skrzypnęło, a w uciekających przed światłem pasmach mroku zdawały się tupać małe nóżki. W którymś z pokoiów Hugh zobaczył złożony na stołku obok łóżka swój tłumoczek.

— Tu kazałem posłać dla ciebie — powiedział Norton. Oświetlił pokój uniósłszy w górę rękę ze świecznikiem. — Możesz spać spokojnie — dorzucił. — Nawet gdyby ktoś doniósł o twojej obecności w domu, będziesz w czas uprzedzony. Wtedy... Chodź, pokażę ci.

Ruchem głowy dał znak, by Hugh szedł za nim. Znowu minęli kilka pokoiów. Niewielki na pozór dom krył ich, zda się, nieskończoną liczbę. Teraz byli w pokoju narożnym. Stąd

rozchodziło się kilkoro drzwi. Pokój był duży, prawie całko wicie pusty. Nie było tu łóżka. Pod ścianą stał prosty stół, obok ciężki fotel. O ile w innych pokojach pachniało stęchli-

zną, tutaj wisiała w powietrzu dziwna, nieomal aromatyczna woń.

Norton uniósł znowu w górę świecznik, jakby chcąc się upewnić, że w ciemnych kątach komnaty nikt się nie ukrywa.

— To jest — powiedział — dawna kaplica. Tutaj będziesz mógł jutro odprawić mszę. Za tymi drzwiami — wskazał małe drzwi w kącie pokoju — są schodki. Można nimi zejść prosto do ogrodu. Ale oni zwykle obstawiają dom wokół. Wtedy bezpieczniej jest ukryć się tutaj.

Patrz...

Wziął jezuitę za ramię i podprowadził do kominka z szarego piaskowca. Ukłękł. Postawił świecznik na podłodze. Bez wielkiego wysiłku uniósł kratę paleniska. Wysunął jedną z

cegieł, która leżała luźno. Pod nią był żelazny uchwyt.

— Trzeba go nacisnąć — wyjaśniał. — O tak.

Tylna ściana paleniska ustąpiła, odkrywając wąski tunel.

— Gdyby ci co groziło, wsuń się tam. Dalej jest pokój, w którym może się ukryć dwóch, nawet od biedy trzech ludzi. O tym ukryciu wie tylko dwóch spośród służby. Obaj pewni.

Kazałem im przygotować w schowku jedzenie i wodę. Spróbuj, czy potrafisz sam otworzyć wejście.

Hugh ukląkł obok Nortona i namacał dłonią uchwyt dźwigni. Poruszył nim kilkakrotnie, otwierając i zamykając przejście.

— Potrafię — rzekł.

— Więc wiesz już, gdzie się możesz schronić. Spij spokojnie. Jeden z zaufanych czuwa.

W razie czego obudzi cię.

— Dziękuję ci, wuju. Choć doprawdy mam ciągle skru puły...

— Nie miej ich. Przynosisz mojemu domowi miłosierdzie. To ukrycie od dawna nie służyło nikomu. Budował je przed laty mistrz od tych spraw. Kiedyś spędził w nim cały dzień Champion...

— Champion?!

— Dziwisz się?

— Ależ nie, wuju. Wiem, że bywał w tych stronach.

— Był także u mnie. Gościłem go. Odprawił mszę, spowia dał. Co o nim myślą w Rzymie?

— Że był bohaterem. Może nawet świętym. Kto wie, czy nie zostanie kiedyś kanonizowany.

— Czy tylko dlatego, że zginął w Tyburnie?

Podniósł wzrok na twarz Nortona, po której, od trzymanej w ręku świecy, przelatywały

blaski i cienie.

— O czym myślisz, wuju?

— Może grzeszymy pragnąc przeżyć?

— Człowiek ma obowiązek żyć.

— A jeżeli lepiej służyć śmiercią?

— Nie wiemy, czym się służy lepiej. O tym tylko Bóg wie.

— Bóg pozwala uciekać od śmierci...

— Czasami nawet nakazuje. Jezus mówił: „Niech ci, któ rzy będą w Judei, uciekają w góry...”

— Lecz On sam?

— Był Bogiem. Wiedział, że przyszła Jego godzina.

— Oby i na nas przyszła. Jestem rycerzem, potrafiłbym zginąć.

— Nie wątpię, wuju. Lecz Alex...

— Czasami wydaje mi się, że ze względu na Alex byłoby lepiej, abym nie żył...

Zapadła cisza. Obaj mężczyźni powstali wolno z klęczek. Świeca pozostała na ziemi i paliła się dalej u ich stóp, niby ognisko, którego blask oświetla postacie, lecz pozostawia twarze w mroku. Hugh czekał w milczeniu na to, co usłyszy. Norton oparł się o kominek, jakby nagle osłabł i potrzebował oparcia.

— Gdzie ją poznałeś?

— Spotkałem ją na drodze. — Jakiś instynkt kazał mu mil czeć o tym, że widział ją także w oberży.

— Co o niej myślisz?

— Czy ja wiem, wuju? Rozmawialiśmy ze sobą zbyt kró tko. Wydało mi się, że choć młoda, pełna jest samodzielności.

— Tacy oni są — powiedział. — A może tacy się tylko wydają... Zresztą chciałem, aby była samodzielna. Kocham ją. Jest jedynym moim dzieckiem. Pozwalam jej na wszystko... Do Alicji byłem bardzo przywiązany". Gdy umarła, nie przy szło mi nawet do głowy, abym się mógł ożenić po raz drugi. Jestem człowiekiem, który wiele oczekuje od drugiego... Bardzo wiele i z wolnej woli... Myślałem: Alex stanie się dla mnie wszystkim... Nie powinienem był tak może myśleć...

— Dlaczego?

— Dzieci można do siebie przykuć. Ale gdy się im zostawi wolność... A ja dałem jej wolność, jakby była chłopcem. Wtedy odeszła...

— Odeszła?

— Zakochała się. To by było zrozumiałe. Ale chłopak jest synem Tomasza Cary. Nic ci nie mówi to nazwisko? Kuzyni Walsinghama. Świeżo uszlachceni i świeżo tutaj osiedli na' poklasztornych ziemiach. Oczywiście — heretycy...

— Rozumiem cię, wuju.

— Rozumiesz? Myślę, że nie... Widzisz, wychowując ją, nie chciałem jej zamykać oczu na dobro, które się w kraju dzieje. Bo jednak nie wszystko jest samym złem. W innych tutaj sztych dworach tak się wychowuje młodzież. Od dzieciństwa czyni się ich wrogami. To daje zresztą różne skutki... Ja my ślałem: skoro dam Alex wolność, skoro pozwolę jej stykać się z młodzieżą nowo przybyłych... Stało się inaczej. I teraz wydaje mi się czasami: może gdybym był nie posłuchał we zwania lorda Browne...

Głos Nortona przełamał się jak sucha gałąź. Boleśnie rozłożył ręce. Wydawał się w tej chwili starym człowiekiem, który drżącymi gestami szuka wokoło siebie pomocy. Cisza wisiała długo nad pustą kaplicą.

W końcu Norton wstrząsnął się, schylił, podniósł kandelabr z dopalającą się świecą.

Gestem dał znak Hughowi, by szedł za nim. Kiedy znaleźli się na nowo w sypialni, od swojej świecy zapalił inną, która stała przy łóżku.

— Przegadaliśmy zbyt wiele tej nocy — rzekł. — Musisz upadać ze zmęczenia. Wybacz...

Już cię zostawiam. Spij spo kojnie. A jutro...

— Odprawię mszę i będę spowiadał.

— Mimo wszystko?

Nagle pochylił się. Zrobił ruch, jakby chciał pocałować Hugh'a w rękę. Ale zakonnik wyrwał mu swoją dłoń.

— Ależ wuju!

Teraz to on chciał pocałować w rękę starego squire'a. Gdy Norton na to nie pozwolił, objęli się gorąco ramionami. Hugh poczuł na policzku suche usta wuja.

'•— Spij — rzekł Norton. — Ja nie zasnę. Będę myślał, że jutro... Ale ty śpij...

Jeszcze dotknął czoła Hugh'a końcem palców, po czym wyszedł. Spoza zamkniętych drzwi słychać było jego ciężkie stapania. Hugh, choć upadał ze zmęczenia i senności, zanim rzucił się na łóżko, podszedł do okna. Nawoskowane płótno, rozpięte na ramach, nie pozwalało nic zobaczyć. Otworzył okno i wysunął głowę. Musiał właśnie przejść jeden z rzęsiстых, tutejszych deszczów, bo powietrze wydawało się aż gęste od wilgoci. Kłębiaste chmury przewalały się po niebie. Czasami robiło się trochę jaśniej i wtedy widział w dole obszerny dziedziniec. Jego środkiem szedł jakiś człowiek, pewno nocny stróż. Za nim włókł się łąciaty pies. Powiał wiatr i przyniósł do nozdrzy Hugh'a zapach mokrej trawy. Wciągnął go głęboko w piersi. Odnalazł tę samą woń co pierwszej nocy — woń, jakiej nie było nigdzie. Kroki stróża słychać było na kamiennych płytach dziedzińca. Potem człowiek zniknął w mroku, cisza powróciła. Także taka jak wtedy. Potrzebował tej woni i tej ciszy.

Potrzebował ich, by się nie dać ogarnąć powracającemu ze zwielokrotnioną siłą niepokojowi.

Spał mocno, bez snów. Zmęczenie kazało mu zapomnieć

o grożących niebezpieczeństwach. Nie budzono go i dopiero gdy sam otworzył oczy, do

pokoju wkroczył czuwający widać w sąsiedniej izbie służący. Miał siwą głowę

i białe, opadające wąsy. Pełen uszanowania zbliżył się do łóżka.

— Czy ojciec już się wyspał? Nie będzie spał dłużej?

— Ależ nie, oczywiście że nie. Musi być bardzo późno. Już wstaję.

— Zaraz podam wodę do umycia.

Po chwili wrócił niosąc miskę z wodą.

— Proszę pozwolić sobie usłużyć. Ojciec zapewne nie przypomina mnie sobie?

Uśmiechając się do starego potrząsnął głową.

— A ja pamiętam ojca, gdy był małym chłopcem. Także pamiętam jego rodziców. Od dawna służę na dworze. I na szego pana pamiętam, gdy był młody. To ja, proszę ojca, odwoziłem go na wybrzeże, gdy wysyłali ojca na kontynent.

— Ty?!

— Ja. Nazywam się John. Wszyscy tu mówią o mnie stary John.

— Kochany stary...

Służący schylił się do ręki Hugh'a. Zakonnik objął go i uścisnął serdecznie.

— Jak to dobrze, że ojciec do nas przyjechał. Dawno u nas nie było mszy. I ludzie do spowiedzi są.

— Zaraz idę spowiadać. A potem odprawię mszę.

— Ołtarz przygotowany. Pan od wczesnego ranka kazał wszystko naszykować. Pan wcale nie spał. Taki rozgorączko wany.

— Słuchaj, John, jak to jest z panią Alex?

— Czy ja wiem, proszę ojca? Z młodymi nigdy nie wia domo, co ich chwyci. A jeszcze jak kochają... Ale ja myślę, proszę ojca, że nasz pan zanadto się o panienkę martwi.

— Będziesz mi musiał więcej o niej powiedzieć.

Ubierał się pospiesznie. Grzebieniem i brzytwą poprawił przed lustrem swój zarost.

— Potem porozmawiamy. Teraz prowadź do kaplicy. Pod ścianą czekał na niego

głęboki fotel. Ludzie pragnący

się wyspowiadać czekali klęcząc po obu stronach. Stary John podał stulę. Hugh przeżegnał

się i zasiadł w fotelu. Oól czasu wyjazdu z Rzymu nie spowiadał, jeżeli nie liczyć

wysповідania Kempe'a. W Rzymie spełniał stale ten obowiązek, ale nie przywiązywał do

niego zbyt wielkiej wagi. W kościołach rzymskich było tylu spowiedników, a fala grzechów,

która się wlewała do uszu słuchającego, była zawsze taka sama! Obrzydliwa fala.

Przychodziło mu nieraz do głowy: są tacy, ponieważ są bezpieczni.

W tej chwili jednak miał zgoła inne uczucie. Po to tu przyplłynął, aby spowiadać, dlatego

narażał życie. Czymże byłbym tutaj — myślał — gdyby nie ta zdumiewająca funkcja

unicestwiania grzechów ludzkich? Wobec niej znikaly wszystkie wątpliwości.

Ludzie kolejno podchodzili i klękali u jego nóg. Zaledwie jednak usłyszał pierwszą spowiedź,

doznał wstrząsu. Nie mógł uwierzyć. Ale druga spowiedź upewniła go w tym, że się nie

myli. To były te same, te same całkiem grzechy, które słyszał nieskończoną ilość razy w

rzymskich kościołach. Nieczystości, nienawiści, zazdrości, kradzieże... Ci ludzie tutaj nie byli

inni niż tamci. Nie żyli lepiej, ś wiecie j. Słuchając ich ukrył twarz w dłoniach, aby nie

pokazywać wyrazu obrzydzenia, jaki się na niej ukazał. Czymże — zadawał sobie pytanie

— żyli ci ludzie, zmuszeni do nieustannej walki o swoją wiarę? Gdyby grzeszyli, byłoby to

zrozumiałe — ale gdyby grzeszyli inaczej! Nie tak zwyczajnie cudzołożąc i kradnąc!

Zapał, z jakim obudził się rano, zgasi. Ogarnął go smutek, powróciły dawne

wątpliwości. Znowu myślał: czy nie lepiej służy się Bogu opracowując moralne traktaty, poparte wiedzą starożytności, niż narażając życie dla małości ludzkiej? Z wysiłkiem przemagał w sobie gorycz. Tłumaczył sobie: ci ludzie są służbą dworską. Pozostali katolikami, ponieważ katolikiem pozostał ich pan. Im za ich wiarę nie groziło bezpośrednio prześladowanie. To prawda. Lecz przecież mogli być lepsi, a przynajmniej mniej pospolici! Przypomniawszy sobie to, co mu mówił Bosgrave o życiu na dworach: „Tam jest tak, jak w małych księstewkach niemieckich, gdzie wszystko zależy od rządzącego nimi władcy: jaka jest jego religia — taka religia jego poddanych”. Lecz czy dobrze jest, gdy człowiek znajduje się w takiej otoczce zależności — myślał. — Co będzie, jeśli ona nagle pęknie?

Dopiero po wszystkich innych klęknął przed nim Norton. Hugh ukrył twarz w dłoniach i pochylił głowę ku ustom spowiadającego się. Dotychczas nie znał wcale człowieka, któremu zawdzięczał wszystko, czym się stał w życiu. Wuj Francis wysłał go na kontynent; z daleka kierował jego wychowaniem; płacił za jego naukę. Hugh zawsze myślał o nim z serdecznością. W bezsennej noc, gdy *znalazł* się na angielskim wybrzeżu, bez przerwy wracał myślą do Nortona. Początkowo wszystkie niepokoje zagubiły się we wzruszeniu. Ale noc ciągnęła się długo i stawała się coraz zimniejsza. Dygotali w swych mokrych ubraniach. Niepokoje powróciły. Perspektywa spotkania się z ludźmi napełniała Hugh'a lękiem. Myślał: na całej wyspie jest tylko jeden człowiek bliski, który może mi udzielić pomocy. Wydało mu się, że nigdy nie potrafi zacząć działać, jeśli wpierv tego człowieka nie odnajdzie i nie zobaczy. To przekonanie kazało mu rozstać się o świcie z Po-pe'm i podążać do Norton House...

Lecz jakimże wstrząsem stało się dla Hugh'a odkrycie, że człowiek, którego szukał, by *znaleźć* w nim oparcie, jest sam szarpany wątpliwościami! I w dodatku nie mógł mu nic

— pomóc. Na próżno usiłował wydobyć z siebie jakieś słowo pocieszające. Wątpliwości, które tamten przeżywał, były dla Hugh'a czymś oszałamiającym. Pocieszał się, że będzie inaczej, gdy odpocznie. Sen jednak odświeżył ciało, ale nie zrodził nowych myśli. Odruchowo kurczył się na swym fotelu jak ktoś, kto oczekuje uderzenia. Lecz w końcu odzyskał równowagę. Szept, który mu płynął w ucho, nie przypominał łamiącego się głosu, jaki słyszał poprzedniego dnia. Jeśli myśli i wątpliwości były takie same, zdawały się już nie rozdzierać duszy człowieka. To było zaskożenie.

— Chciałem tego, co wydawało mi się słuszne — słyszał. — A jednak był we mnie niepokój. Czemu człowiek ma wie rzyć: rozsądkowi, który zdaje się mówić: zrób, czy głosowi serca, który ostrzega?

— To, co nazywamy rozsądkiem, może okazać się złudze niem...

— A czy głos serca nie może być także złudzeniem?

— Może być...

— Więc jak postępować, gdy jest tak bardzo trudno i gdy człowiek został zupełnie sam? Gdy pragnie ocalić, lecz każda klęska wydaje mu się znakiem potępiającym? Karą Bożą?

— Bóg nawet karząc nie opuszcza.

— Lecz kara jest *zakazem*... Budzi zwątpienie w to, co uważało się za słuszne...

— Ważne są intencje...

— Czy można mówić o dobrych intencjach wtedy, gdy całą wolę kierujemy ku sprawie, którą uważamy za dobrą?

— Tak, na pewno...

— I czy w rzeczywistości była ona naprawdę dobra? Czy wolno ufać, że Bóg chce naszej woli, nie naszego rozeznania?

On ma słuszność! — przemknęło Hugh owi przez głowę. Dotychczas nigdy o tym nie myślał.

Chciał mieć pewność i miał ją wybraawszy życie zakonne. To prawda, ciągle jeszcze musiał przełamywać siebie, by nie buntować się wewnętrznie przeciwko otrzymanemu poleceniu. Ale w głębi serca wiedział — zawsze i na pewno — że to, co mu nakazano, jest dobrem. Natomiast ten człowiek był sam. To, co postanawiał, było decyzją podejmowaną samotnie, jedynie w obliczu Boga. Nie było łatwo akceptować te decyzje. Ale czy mógł je potępić? — Słuchaj — pochylił się jeszcze niżej nad Nortonem. — Jeszcze raz ci mówię: ważna, jedynie ważna jest intencja. Łatwo jest odnajdywać wolę Bożą w tym, czego się nie chce. Ale bardzo trudno w tym, czego pragniemy, co wyrosło z naszych własnych przekonań... Trzeba, aby Bóg sam dał znak... O ten znak musisz się modlić. Musimy się obaj modlić!... Szybko, jakby w pośpiechu wypowiedział formułę rozgrzeszenia. Potem *zaraz* wstał. Stary John pomógł mu ubrać się w szaty liturgiczne. Mszę dzisiejszą jeszcze wczoraj postanowił ofiarować na intencję poleconą przez założyciela, który przed trzydziestu pięciu laty zażądał od swych uczniów, by raz na miesiąc złożyli ofiarę mszy świętej za najbardziej dotknięte herezją kraje: za Niemcy i za Anglię. Gdy list z tym żądaniem szedł do wszystkich prowincji Towarzystwa — tron Angli przechodził na Marię Tudor i na Filipa. Mogło się wydawać, że herezja zostanie zgnieciona. A jednak ojciec Ignacy kazał się za królestwo modlić. Czyżby przeczuwał wszystko, co się miało potem stać?

Lecz nie było Hughowi lekko na sercu, gdy podchodził do stołu zamienionego na prowizoryczny ołtarz. Znowu przypominał sobie litanię wysłuchanych grzechów. Zadanie, które mu powierzono, przerażało ogromem. Prawie z goryczą myślał: Oni wyobrażają sobie, że wystarczy tu przyjechać, aby wszyscy do nas przybiegli... Nigdy z większym poczuciem rzeczywistości nie wsłuchiwał się w szeptane u swych kolan słowa: „Quare me repulisti et quare tristis incedo, dum affligit me inimicus?”

Ale w miarę jak się toczyła msza, opadały z niego gorzkie doznania, niby liście z wzbierających

nowymi pąkami gałęzi dębu. Ta Ofiara odprowadzana ukradkiem, wśród niebezpieczeństw, które czyhały zaraz za murami domu, miała dziwnie urzekający charakter. Doznawał uczucia, jakby odprowadzał ją po raz pierwszy, jakby to była jego prymicja. Każde wypowiedane słowo odpowiadało treści chwili. Każdy gest był potrzebny. Gdy czytał Ewangelię, był naprawdę jak ktoś, kto za chwilę musi ruszyć w drogę. Potem przyszło Ofiarowanie. Podnosząc hostię i szepcząc modlitwę upraszającą o jej przyjęcie poczuł jakby spływający w serce strumień otuchy. Cud, jaki się ma dokonać za chwilę, uświadomił sobie, ta przemiana opłatka i odrobiny wina z kropelką rozpuszczonej w nim wody w Ciało Jezusowe, jest czymś tak wstrząsającym, że czymże wobec niego są wszystkie zmiany, jakie dokonać się mogą w człowieku? Wydało mu się, że grzechy, które dopiero co słyszał i które go tak dotknęły, utraciły swą żalną małość. Także jego własna nieumiejętność przestała budzić gniew. On — myślał — schodząc na ziemię nie przyszedł do bohaterów. Nawet tych, których wybrał, nie wyszukał sobie spośród najlepszych. Zawołał na pierwszych z brzegu, tym tylko może różniących się od innych, że szukali. Że nie wystarczało im to, co mieli...

— O, Boże — modlił się, rozłożywszy ręce do Prefacji — jesteś ogromem i potęgą. Ty wszystko możesz. I Ty na pewno przewidziałeś tę chwilę. Mógłbyś nam nakazać postępować tak, jak chcesz, abyśmy postępowali. Ale Ty każesz szukać. Wydajesz się ukrywać swoją wolę. Czyżbyś chciał tego szukania?

Wyprostował się po odmówieniu Sanctus. Tajemniczymi krokami w głuchoj ciszy zbliżała się Przemiana. Nisko pochylił się nad leżącą na wykrochmalonej serwecie Hostią. Za chwilę miał wypowiedzieć cudotwórcze słowa. Ale jeszcze modlił się: za Kościół, za bliskich... Znowu myśl jego pobiegła do wuja Francisa. Ten człowiek modlił się tu, zaraz, za jego plecami. Modlił się na pewno o to, o co on mu kazał się modlić. Czy słusznie polecił mu domagać się znaku? I jaki miał być ten znak? Inaczej nie potrafiłem — bronił się. Ja także

musiałem wybierać...

„Haec quotiescumque feceritis in Mei memoriam facietis...” Dźwignął się z klęczek.

Przemiana dokonana się. Bóg był już — widzialny i dotykalny — między nimi. Tu na ogarniętej herezją wyspie, o kilka kroków od prześladowców. Czy to nie było największym, rozstrzygającym zwycięstwem? Ostatecznie — myślał — zwycięstwo nie będzie naszą sprawą.

My jesteśmy tylko nieużytecznymi sługami.

Gdy przyszła chwila Komunii, odwrócił się od ołtarza z kielichem w ręku. Miał w nim kilka konsekrowanych Hostii. Dwóch ludzi klęcząc trzymało długi pas białej materii, który zastępował stół eucharystyczny. Ci, których spowiadał, przystępowali do Komunii. Ostatnim w szeregu był Norton. Miał twarz bladą, wymęczoną. Ale w jego oczach był blask, jakiego Hugh nigdy przedtem w nich nie widział. Wargi wyciągały się chciwie. Zanim położył na nich Hostię, powiedział szybko w duchu: „Panie, daj mu ten znak...!” Tak bardzo chciał tamtemu pomóc, wywdziękzyć się. A przecież miał uczucie, że to wezwanie rzuca i jego w ciemność, głową naprzód.

Kiedy wstał z klęczek po odmówieniu modlitw po mszy, zobaczył, że Norton czeka na niego. Bez słowa objął go ramionami i mocno przycisnął do piersi. Na twarzy squire'a był wciąż jeszcze wyraz wzruszenia.

— Chodź — rzekł — pójdziemy teraz na śniadanie.

Gdy szli przez puste pokoje, oddzielające kaplicę od reszty domu, mówił:

— Na śniadaniu poznasz moją kuzynkę, Emilię Lee. Jest to bezdzietna wdowa, moja siostra cioteczna. Gdy Alicja urnarła, prosiłem Emilię, by sprowadziła się do nas.

Chciałem, aby Alex miała w domu kogoś, kto by jej zastępował matkę. Obawiam się, niestety, że nie dało to najlepszego rezultatu...

— Tej pani nie było w kaplicy?

— Nie. Byłem tak wstrząśnięty twoim przybyciem, że nie powiedziałem dotąd kobietom o tobie. Widzisz, nawet tu w domu musimy się strzec. Nie całej służbie można ufać.

Wolałem, aby wiadomość o tym, że jesteś, nie rozeszła się zbyt szybko. Także nie mówiłem jeszcze Alex, kim jesteś. Nie myśl, broń Boże, że jej nie ufam. Ale ona czasami mówi dziwnie... Chciałem z nią wpierw pomówić.

W jadalni były już obie kobiety. Pani Emilia wyglądała pocziwie, ale była przerażająco gadatliwa. Chuda, z długim, obwisłym nosem, mówiła głosem szemrzącym niby ściekająca po ścianie woda. Już wiedziała, że Hugh jest sprzedawcą kosmetyków, więc zarzuciła go z miejsca tysiãcem pytań dotyczących rozmaitych środków leczniczych. Posadziwszy go przy sobie poczęła mu opowiadać o wszystkich chorobach, na jakie kiedykolwiek chorowała. Była to opowieść niesłychanie długa. Pani Emilia mówiła przy tym bez chwili zatrzymania, czasami tylko zwracając się do Nortona z żądaniem, by zaświadczył o prawdziwości dręczących ją cierpień, lecz natychmiast, nie czekając na to świadectwo, podejmowała na

nowo swą opowieść. Hugh udawał, że słucha pilnie, wiercił się jednak dość niecierpliwie na stołku.

W pewnej chwili spostrzegł utkwiony w siebie drwiąco uśmiechnięty wzrok Alex.

Dziewczyna siedziała naprzeciwko niego. Nie robiła wrażenia kogoś, kto dopiero wstał ze snu. Miała zaróżowione policzki i lekko roztargane włosy. Jadła z apetytem i w milczeniu przysłuchiwała się opowiadaniu ciotki. Coraz trudniej dające się ukryć znużenie Hugh'a zdawało się ją bawić.

Wysłuchując nie kończącej się opowieści o chorobach Hugh mógł przynajmniej jeść. Stół był zastawiony obficie, choć potrawy były proste, pochodzące z własnego gospodarstwa. Przyzwyczajony do lekkiej włoskiej kuchni był zaskoczony ilością podanego na stół mięsa. Ledwo śniadanie skończyło się, przyszedł jeden ze służby i odwołał Nortona do jakichś gospodarczych spraw. Po chwili pojawiła się również pokojówka i szepnęła coś w ucho pani Emilii. Dama jęknęła:

— Mój Boże, moje dziecko, jak wy mnie męczycie! Tak ciekawie rozmawialiśmy! Ale pan jeszcze nie wyjeżdża, prawda? — zwróciła się do Hugh'a. — Koniecznie musimy jeszcze porozmawiać. Chcę się nauczyć od pana rozmaitych przepisów.

Narzekając i wciąż zatrzymując się, by jeszcze coś na stojąco dopowiedzieć, w końcu jednak wyszła. Hugh miał uczucie, jakby dobroczynna cisza spłynęła na jego skołataną głowę. Przymknął oczy. Ale zaraz je otworzył poczuwszy utkwiony w siebie wzrok. Alex patrzyła na niego wciąż uśmiechając się złośliwie.

Dziewczyna siedziała pod ścianą w ciężkim fotelu, którego spód stanowił skrzynię. Stopy miała oparte na małym stołeczku. W palcach trzymała jakąś robótkę, ale zamiast haftować potrząsała nią tylko w powietrzu.

— Widzę, że ciocia zmęczyła nieco pana — powiedziała. — Nie słyszałam co prawda, czy

pan udzielił jej rad, o które tak bardzo wypytywała się. Ale to nic nie szkodzi. Przyjdzie w końcu chwila, że dopuści i pana do głosu.

Uśmiechnął się. Ale zaraz przybrał ton powagi.

— Nie powinna pani tak żartować ze swojej opiekunki.

— Być może — wydeła usta. — Ale taka już jestem. Jakże się panu spało tu u nas?

— Dziękuję, znakomicie.

— Załatwił pan wszystko z ojcem?

— Załatwiłem.

— Kiedy pan wyjeżdża?

— Za dzień, dwa... Ojciec pani... Przerwała mu:

— Chciałabym, aby pan znalazł między swymi specyfikami jakiś krem na wybielenie twarzy. Za parę dni mam jechać z ojcem do Londynu. Nie chcę wyglądać jak parafianka. Cio tka mówi, że jestem opalona i że w mieście będą się ze mnie śmieli. Czy to prawda?

Wysunęła twarz do przodu i patrzyła na niego wyczekująco. Zawahał się.

— Damy londyńskie cenią białą cerę... — powiedział.

— Ale jak bardzo białą? Czy moja jest rzeczywiście tak ciemna, że wywoływać będzie śmiech?

— Dam pani znakomitą maść...

Nagle wybuchnęła ostrym, gniewnym śmiechem.

— Dziękuję za pańską maść! Wcale mi na niej nie zależy. Chciałam się tylko przekonać.

Pan nie jest wcale sprzedawcą kosmetyków.

Stał przed nią nagle poblądły.

— Dlaczego pani tak sądzi...?

— Niech pan nie próbuje dalej udawać. Każdy od razu widzi, że to kłamstwo.

Zrobił niecierpliwy ruch.

— Nie mam zamiaru nikogo okłamywać. Jestem sprzedawcą kosmetyków. . . . :

— Ależ pan się na tym nie zna!

Zamilkł. Alex przestała się śmiać. Przechyliwszy głowę patrzyła wciąż na niego. Tym razem w jej spojrzeniu nie było ani wesołości, ani drwiny. Miała oczy szarozielone jak przeświecone słońcem morze. Odbijały swą jasnością od przypalonych słońcem policzków.

— Pan nie przyjechał tutaj, by sprzedawać maści i po mady — powiedziała.

Zmarszczyła brwi; rzuciła nagle:

— Pan jest księdzem?

Jeszcze chciał szukać wykrętu, ale pojął, że dziewczyna zgadła, a jego zwlekanie z odpowiedzią upewnia ją tylko w tym odkryciu. Odruchowo rozejrzał się po pokoju, zanim odpowiedział:

— Tak.

— Jezuitą? — pytała dalej.

— Tak.

— Domyśliłam się tego od razu. Jeszcze na drodze, gdy mnie pan zaczepił. —

Patrzyła na niego gniewnie.

— Po co tu ojciec przyjechał?

— Skoro pani odgadła, kim jestem, łatwo pani potrafi zga dnać, po co przyjechałem...

— Spiskować! — rzuciła.

— Skądże...

— Wszyscy wiedzą, jacy jesteście. Wasz założyciel rozesłał was jak szarańczę, byście zdobywali cały świat dla Hiszpanii!

— Nasz założyciel od lat nie żyje. Kazał nam zdobywać ludzi dla Boga, nie dla

Hiszpanii. Przyjechałem tu jedynie dla spraw wiary.

Wzruszyła niechętnie ramionami.

— Wiary! Wiary! Czy nie wszystko jedno, jak się człowiek modli? Czy słucha papieża, czy go nie słucha?

— Nie, nie wszystko jedno. Skrzywiła się.

— Nie rozumiem tego i nigdy nie zrozumie. Chcecie wojny — to wszystko!

— Jesteśmy księżmi, nie możemy chcieć wojny.

— Niby nie chcecie, a jednak dla niej pracujecie. Z waszej namowy mają na nas napaść Hiszpanie. Wielu naszych mężczyzn poginie w walce. A nas, papistów, pozamykają w zamkach i więzieniach. Będziemy traktowani jak wrogo wie. Jak Żydzi, którym się każe nosić żółte chustki. Czy wszędzie na świecie ludzie są tak samo podzieleni jak u nas? Milczał czas jakiś, zaskoczony jej wybuchem. Radosny nastrój, z jakim kończył odprawiać mszę, opuścił go. Życie wciągało go znowu niby w splątany krzak cierni.

— Bywa rozmaicie... — zaczął. — Gdzie nie ma jednej wiary, tam najczęściej ludzie walczą ze sobą. Ale są kraje, gdzie potrafią ustrzec się od nienawiści.

— U nas mogłoby być tak samo — zawołała — gdybyście nas zostawili w spokoju. Ale przyjeżdżacie, buntujecie. Za wami ciągną Hiszpanie. Papież nasyłał morderców na królową...

— To nieprawda! — wybuchnął.

— Proszę tak nie krzyczeć! — położyła palec na ustach. — Chyba ojciec nie chce, aby cała służba dowiedziała się, kim ojciec jest. Nie chodzi mi zresztą o ojca. Ojciec przybywając tutaj wiedział chyba, na co się naraża. Nie chciałabym jednak, aby mój ojciec...

— Ma pani słuszość. Już milczę.

— Proszę mówić, tylko nie podnosić głosu. Jeszcze chcę ojcu powiedzieć... Z papieżem to może nieprawda. Ale choćby było nieprawdą — to *rzeczy* nie zmienia. Czy ludzie tam, w Rzymie, nie pojmują, że my nie możemy tak żyć bez końca?! Czego oni chcą? Ludzie tutaj pragną być dumni z tego, że nasz kraj rośnie, że nasze okręty pływają po dalekich morzach. Gdy opowiadano mi, jak Drake powrócił, opłynąwszy cały świat wokół, miałam ochotę płakać...

— Płakać?

— Tak. Z żalu, że nie mogę się tym cieszyć. Ojciec tego nigdy nie zrozumie. Jesteśmy sobie całkiem obcy.

— A jednak obcy sobie nie jesteśmy. — Uśmiechnął się tajemniczo. — Zdradzę coś pani. Jestem pani bliskim krewnym. Właściwie bratem...

Szeroko otworzyła oczy.

— Ojciec jest Hughem Palmerem?

— Tak.

Ze zrozumieniem pokiwała głową.

— Teraz wiem, dlaczego mój ojciec chodzi od wczoraj jak nieprzytomny. Więc jesteśmy bliskimi sobie kuzynami? Po winniśmy mówić sobie po imieniu.

— Myślę, że tak. Chyba, gdyby ze względu... Potrząsnęła głową wyrażając tym ruchem obojętność wobec wszelkich względów. Nie patrzyła na niego — spoglądała przed siebie w zamyśleniu.

— Mój ojciec wspominał nieraz o ojcu... O tobie — poprawiała się. — Byłeś podobno w Rzymie. Miałeś zostać uczonym.

— Tak.

— Czemu przyjechałeś tutaj?

— Uznano, że jestem tutaj potrzebny.

— Ci, którzy cię wysłali, mylili się. Tutaj potrzebny jest tylko spokój. Zapomnienie o tym, co było: o podziałach, o nie nawiści. Jesteście jak zawodowi żołnierze, którzy żyją wojną i dlatego wojny pragną. Ale my chcemy kochać, wychodzić za mąż, rodzić dzieci. Czy ci się to wydaje obrzydliwe?

— Nie. Ale czasami przychodzi czas...

— Dlaczego właśnie wtedy, kiedy my żyjemy? Jestem jak ktoś, kto jeszcze nie zaczął pracować, a już jest zmęczony!

Niechętnie odrzuciła bębenek, na którym coś wyszywała. Ściągnęła brwi. Mała nóżka wybijała niecierpliwy takt na stołeczku.

— Masz podobno narzeczonego? — zapytał.

— Już ci ojciec o tym powiedział? Mam. Kochamy się. Ale on jest heretykiem. A ja — papistką. Więc pewno, twoim zda niem, nie powinnam zostać jego żoną?

— Nie jest dobrze, że nie jesteście jednej wiary...

— Mam go nienawidzić?

— Oczywiście, że nie. Ale małżeństwo...

— Ojciec zezwolił na nasze zaręczyny.

— Lecz chyba nie na to, byś odeszła od prawdziwej wiary?

— Nic mnie nie obchodzi, w jakim języku śpiewana jest msza!

— Nie to, Alex, jest najważniejsze.

— A jednak chcielibyście, aby o to toczyła się wojna!

— Nie, nie o to.

Znowu patrzyła na niego drwiąco.

— Powiedz mi, Hugh — zapytała — co cię skłoniło do zo stania księdzem? I do tego jeszcze jezuitą?

— Powołanie...

Zaśmiała się.

— Myślałam, iż dlatego, że tak było trzeba. Ale ja nie lu bię postępować tylko dlatego, że tak trzeba... — Zerwała się z fotela. — Słońce świeci. Chodź, pójdziemy do ogrodu.

Potrząsnął głową. Jeszcze zanim zeszedł na śniadanie, stary John powiedział mu szeptem o umierającym człowieku w sąsiedniej wsi. Prosił, aby do tego człowieka pojechał.

— Wybacz, ale mam pewną rzecz do załatwienia...

Spojrzała na niego, a on, po swojemu, spuścił wzrok. Potem dziewczyna zakręciła się na czubkach palców i bez słowa wyszła z hallu.

Wystałe długo w stajni konie szły tęgim kłusem i co chwila podrywały się do galopu.

Przed godziną przeleciał deszcz. Świeża wilgoć wisiała nad ziemią tworząc pasy błękitnej mgły. Teren był falisty, gdzieniegdzie spośród zieleni wyzierała skała. W każdym zakłębnięciu gruntu stało bagno, po brzegach obrosłe trzcina, na środku błyskające taflą wody. Słońce znowu przygrzewało, ale rozwleczone opary tłumiły jego blask. Na łąkach widziało się stada bydła i słychać było dzwonki owiec.

Unosząc się w strzemionach rozglądał się ciekawie po okolicy. Kraj wydawał mu się tutaj dziwnie dziki, lecz w swej dzikości pociągający. Na kontynencie widziało się więcej uprawnych pól. Tu ledwie człowiek odjechał od otaczających zabudowania ogrodów i pól uprawnych, gubił się w przestrzeni skalistych wzgórków, zwykle porośniętych lasem, i zdradzieckich, rozciągających się aż po kraniec horyzontu moczarów, nad którymi unosiły się gromady wodnego ptactwa. Prócz pasterzy nie spotykało się prawie ludzi.

— Jak tu pusto... — zauważył. Stary John pokiwał głową.

— Dawniej, proszę ojca — rzekł — było trochę inaczej. Ale teraz każdy właściciel woli hodować owce, niż uprawiać rolę.

Uderzyła go myśl, że wszyscy ludzie, z którymi rozmawiał, stwierdzali dokonujące się wokoło zmiany. Anglia zdawała się wciąż zmieniać swoje oblicze.

— Do kogo mnie prowadzisz?

Musiał powtórzyć pytanie, gdyż stary John nie słyszał dobrze, zwłaszcza gdy kłusujące konie szły od siebie w oddaleniu.

— Do Toma Blackwooda — wyjaśnił. — To chłop tutejszy. Dawniej dzierżawił ziemię od pana Watertona. Ale teraz cho ruje. Coraz z nim gorzej. Jego żona błagała mnie już kilka razy, abym pamiętał o nim, gdy jaki ksiądz pojawi się w oko licy. Jeszcze wczoraj

przybiegała i mówiła, że Tom czuje się bardzo słaby...

Kiwnięciem głowy potwierdził otrzymaną informację. Poczł jakby ulgę dowiedziawszy się, że chodziło o sprawę starego umierającego człowieka. Do takich spraw był nawykły. Starzy ludzie wiedzieli, że muszą umrzeć. Byli zmęczeni życiem, nie buntowali się nadmiernie.

Zwykłe formuły pociechy wystarczały wobec nich.

Jeszcze minęli mały zagajnik powykręcanych i kilkoma pniami rosnących brzoź, przemknęli po mostku za wąskim strumykiem — i wyjechali na wieś. Nie była to właściwie wieś: kilka nędznych, ledwo trzymających się zabudowań z gliny, krytych słomą lub trzciną. Na drodze przed wsią stała wielka kałuża, po której pływało kilka kaczek i nad którą chlapała się gromadka obdartych, półnagich dzieci. Na widok jeźdźców dzieci poderwały się do ucieczki jak stado wróbli, między które wpadnie rozszczekany psiak.

Podjechali do pierwszego z brzegu domu. Chałupa wydawała się jeszcze nędzniejsza niż wszystkie pozostałe. Glina na ścianach była spękana, dach pochylił się, jakby miał za chwilę zwalić się między zielsko, które bujnie zarosło otaczający dom ogródek. Widać było, że ziemi nikt nie uprawia. Płot ledwo się trzymał podparty kołkiem.

John zsunął się z siodła i przytrzymał wierzchowca Hugh'a. Przywiązał oba konie do pnia starej lipy, ocieniającej chatę. Z wnętrza wyjrzała stara kobieta o zmęczonej twarzy. Ale na widok Johna przybyłego w towarzystwie twarz jej rozjaśniła się.

— Dzień dobry, John — powiedziała. — Pan Bóg z tobą. — Patrząc na Hugh'a ściszyła głos;

— Czy to może wielebny?

— Tak. Przyjechał do twego.

- Podniosła oczy w górę i złożyła dłonie jak do modlitwy.

— Chwała świętej Winifridzie! — szepnęła. Prędko schyliła się do ręki Hugh'a. Pociągając nosem i postępując żałośnie mówiła: — Obiecałam, że pójde do świętej studni, jeśli mnie

wysłucha. I książdz wielebny przyjechał. Dzięki Panu Jezuso wi. Bo mój Tom już ledwo dycha. Chyba nie pożyje do ju tra...

Zaniosła się suchym szlochem. Otworzyła drzwi i poszła przodem. Z chaty buchnęło zapachem stęchlizny. Pod nogami była ubita glina, pokryta tatarakiem, nad głową wznosił się prześwitujący dziurami dach. Te dziury i jedno małe okienko, zawieszane szmatami, niewiele przepuszczały światła. Hugh idąc za kobietą potknął się o rozłożone na środku jedynej izby palenisko. W kącie na posłaniu z podgniętego siana i starych der przykryty owczą skórą leżał chory. Hugh pochylił się nad nim. W półmroku widział zaostrome rysy, rzadką brodę i rozchylone usta, w których sterczały dwa samotne zęby. Oczy zapadnięte tworzyły ciemne doły. Zakonnikowi wydało, się początkowo, że są otwarte. Ale nie — były zamknięte, stary spał. Zapadnięte skronie pulsowały, z ust wydobywał się po^odobny do rżenia oddech.

— Tom, Tom — powiedziała kobieta kładąc mężowi dłoń na ramieniu.

— Obudź się. Spotkało nas wielkie szczęście. Wielebny przyjechał...

Chrapanie urwało się. Stary drgnął, oczy otworzyły się. Ale wzrok szukał błędnie.

— Hę...? Hę...? — bełkotał. — Czego chcesz? Co się stało?

— Obudź się. Wielkie szczęście — powtarzała kobieta. — Wielebny przyjechał. — *Zniżyła* głos. — Prawdziwy...

Oczy starego, wydało się, nabrały nieco przytomniejszego wyrazu. Usta poczęły mamiąc jakieś słowa, które jednak niełatwo było zrozumieć..

— Tak, przyjechałem do ciebie, Tomie — rzekł Hugh. Siadł przy chorym. — Byłem w okolicy i powiedziano mi, że cho rujesz. Człowiek chory bywa blisko śmierci i dlatego lepiej jest pozalatawać wszystkie sprawy z Panem Bogiem. Nie prawdaż?

Ruchem głowy kazał oddalić się kobiecie i Johnowi. Mówiąc to wszystko, co zwykł był w takiej chwili mówić, trzy^omał w dłoni rękę starego, chudą i jakby dziwnie kruchą. Ten słuchał

z zamkniętymi oczami. Leżał nieruchomo i tylko pulsowały skronie, i pierś poruszała się pod rozchyloną koszulą. Dopiero kiedy Hugh skończył, stary dźwignął się ciężko na łokciu.

Początkowo Hugh miał trudności ze zrozumieniem niewyraźnych, rwanych słów:

— Bo to... proszę waszebności... taki stary... jak taki stary... wasza waszebność... wszystko... jak kto... wszystko...

— Co wszystko, Tomie?

— Boli... boli wszystko, wasza waszebność...

— To starość, Tomie. Starość. Ano dożyłeś swoich lat. Bóg opiekował się tobą. A teraz ten ból prowadzi cię do Niego...

Milczał i tylko jego głowa trzęsła się boleśnie.

— Prowadzi... — wymamrotał wreszcie — wasza wielebność... powiadani mojej starej... że nikt... ale ona, ech!

— Nie rozumie cię? — usiłował się domyślić.

— Nie rozumie... Nikt... Jak umierać, kiedy nikt...? Kiedy wszystko...

Nie mógł pojąć, o co staremu chodzi; mimo to usiłował go pocieszyć.

— Wszystko mija, Tomie. Wszystko się kończy: zdrowie, życie. Przychodzi śmierć. Ale za śmiercią stoi Bóg. Czeka na ciebie...

Chory milczał chwilę, potem podjął na nowo niezrozumiałe:

— Synowie, wnuki... wszystko... i ziemia...

— Synowie odeszli? — znowu próbował odgadnąć.

— Musieli odejść — dyszał umierający. — Musieli... Zie mia...

— Co z ziemią, Tomie?

Wytrzeszczył oczy jakby w próżnym wysiłku tłumaczenia. Powtórzył tylko:

— Ziemia... wszystko...

— Żałujesz ziemi? — zgadywał. — Ziemia zostanie tutaj. Tam jest Bóg. Ale w Nim jest wszystko. Powiedz lepiej: czy byłeś Mu wierny? Nie zdradziłeś Go? Prawda?

Zamiast odpowiedzi ręka starego zsunęła się z kolan i poczęła niezdarnie szukać czegoś pod derami. Suche, sztywne palce poruszały się żałośnie bezsilnym ruchem. Ale w końcu odnalazły: dysząc stary wyciągnął spod siebie zawinięty w lnianą chustkę pakiecik. Tym samym niezręcznym ruchem rozwinął go. To był woskowy Agnus Dei — nieszczęsny znak przynależności do Kościoła, znak, którego znalezienie narażało ludzi na surowe kary.

Hugh łagodnie przesunął dłonią po chudym ramieniu.

— Dobrze, Tomie, widzę, że byłeś wierny prawdziwej wie rze. A teraz wyznaj swoje grzechy, abym mógł ci imieniem Chrystusa odpuścić. Wtedy pójdziesz spokojnie przed Trybunał Pański.

Znowu czas jakiś milczał, ale ruchy jego ciała zdawały się mówić, że zbiera siły. Stęknął boleśnie:

— Musieli pójść... Bo jak nie ma ziemi, wasza wielebność...

— A co się stało z twoją ziemią, Tomie?

— Kazał sprzedać... kazał... musiałem...

Przypomniał sobie, co mówił John: squire'owie wykupywali ziemię od chłopów, aby rozszerzyć swoje pastwiska. Wełna rosła w cenie, coraz więcej pracowało warsztatów tkackich. Młodzież szła z wsi do miast. Wszystko się zmieniało. Tylko starzy nie potrafili za tymi zmianami nadążyć.

— Nie myśl o tym — rzekł. — Zajmij się swą duszą, To mie. Bóg wzywa ciebie. Żałuj za wszystko, co złego uczyniłeś. Żałuj, że tak mało uczyniłeś dla Niego...

— Byłem wierny — wybełkotał stary. Znowu w swych

suchych, zeszywniałych dłoniach, po wierzchu których biegły rozdęte żyły, trzymał swój

Agnus Dei. — Byłem wierny... — powtarzał. — I dlaczego...? Sam... Jak ten pies...

— Nie! nie! — sprzeciwił się.

— Odeszli...

— Synowie twoi, Tomie, odeszli. Ale może nie jest im źle tam, gdzie są? Bóg rozmaicie daje...

Z uporem potrząsnął głową.

— Byłem wierny... — wrócił do swego. Z nagłą porywczą ścią zaciśnął chudą pięść. —

Przeklęci...! — żuł.

— Nie przeklinaj, Tomie. Wybacz wszystkim i proś Boga, by tobie wybaczył.

Zatrzymał się, czekając na skutek swoich słów. Ale stary powtórzył:

— Przeklęci... Za ziemię... za synów... żeby ich...!

— Tomie! — zawołał surowo. — Bóg wybaczy nam, gdy my wybaczymy drugim. Musisz o tamtym zapomnieć. Rozu miesz?

Pochylił się niżej nad umierającym. Stary miał oczy zamknięte. Twarz była chuda, pod cienką skórą rysowały się kości. Zaciśnięte usta zagubione wśród zarostu zdawały się wyrażać niechęć i urazę. Powoli odwrócił głowę w bok. Oddychał ciężko, z wysiłkiem. Hugh cofnął się. Na chwilę ukrył twarz w dłoniach. Modlił się. Potem znowu schylił się nad leżącym. Z energią począł do niego znowu mówić.

Wróciwszy do domu Hugh natknął się na Nortona, który siedząc w hallu wydawał jakieś polecenia służbie. Ale na widok jezuitę spieszenie odprawił tamtych. Skinął na Hughę.

— Czekalem na ciebie — powiedział. — Chciałbym z tobą porozmawiać. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chodź do mnie.

Pokój Nortona znajdował się na piętrze. Hughę zaskoczył surowy wygląd wnętrza, które przypominało celę klasztorną. Zamiast wielkiego łóżka z baldachimem pod ścianą znajdowało się wąskie i niskie posłanie. Długa skrzynia na rzeczy stanowiła jednocześnie ławę. Stół i klęcznik bez poduszki dopełniały umeblowania. Na posłaniu leżał stary o zbielełym pysku wyżeł. Na widok wchodzących podniósł łeb i nastawił uszy. Ale usłyszawszy spokojny głos swego pana poklepał tylko przyjaźnie ogonem i na nowo zwinął się w kłębek.

— Siadź — powiedział Francis, wskazując Hughowi skrzynię. Sam usiadł obok. Na jego twarzy wciąż jeszcze było widoczne wzruszenie, jakie pojawiło się na niej podczas mszy.

Chwilę siedział w milczeniu, potem oparł przyjaźnie dłoń na kolanie Hughę. —

Rozmawiałem z Alex — zaczął. — Mówiła mi, żeś jej powiedział, kim jesteś...

— Alex sama zgadła.

— Ona jest mądrą dziewczyną. Właściwie bardzo się cieszę, że tak się stało. Czułem wyrzuty, że jej nie powiedziałem od razu o tobie. Niestety — westchnął — nie umiem z nią postępować.

— Lecz kochasz ją, wuju.

— Tak. Kocham ją bardzo. Ale wiesz, jak to jest, gdy się zanadto kocha? Człowiek myśląc o szczęściu drugiego, chciał by za niego decydować o wszystkim...

— Jesteś, wuju, ojcem. Alex, przyznaję...

— Mówiła ci coś?

— Spieraliśmy się trochę. Jej wydaje się, że przybyłem tutaj jako szpieg hiszpański...

— Nie powinieneś mieć o to do niej żalu. Tak myśleć będą nie tylko ona.

— Czy ci młodzi nie potrafią zrozumieć...!?

— Ci młodzi, Hugh, znają tylko ludzi, nie sprawę...

— Zaczynam rozumieć troski i przygnębienie wuja.

— Zaczynasz rozumieć? Nie, Hugh. Myślę, że wciąż jeszcze niewiele rozumiesz. Patrz dalej, przyglądaj się.

— Będę patrzył. Ale przede wszystkim muszę dotrzeć do Londynu. Tam przebywa mój obecny superior ojciec Garnett. Tam także powinienem spotkać jednego z moich przyjaciół z rzymskiego kolegium, ojca Southwella,

— Słyszałem o nim.

— Słyszał wuj? Co wuj o nim słyszał?

— Tylko tyle, że jest taki. Podobno pisze wierszę i pieśni pobożne, których ludzie uczą się...

— To on! Mam nadzieję, że nie zginął.

— Gdyby był zginął, byłoby o tym głośno. Kiedy schwytają kogoś z waszych, trąbią o tym po całym kraju. Drukują broszurki, w których opisują winy schwytanego. Gdyby był wpadł w ręce ludzi Topcliffe'a, doszłoby to do mnie.

— Dzięki Bogu. Bardzo chciałbym go zobaczyć.

— Skoro mówisz o wyjeździe... Miałem ochotę prosić cię, abyś jeszcze parę dni zatrzymał się u nas. Nawet nie wyobrażasz sobie, czym jest dla mnie twój pobyt tutaj... Ale przed chwilą przybył nowy goniec od lorda Browne'a...

— Wojna?

— Jeszcze nie. Browne wzywa jednak do pośpiechu. Pisze, że wszystkie przygotowania

obronne są w pełnym toku. Król lowa zgodziła się powierzyć nam obronę odcinka wybrzeża.

A także chce zobaczyć katolików, którzy gotowi są walczyć z Hiszpanami...

Chwilę trwało milczenie.

— Ciągle trudno mi o tym słuchać...

— A jednak sam powiedziałeś: najważniejszą sprawą jest intencja.

— Wierzę w najlepsze intencje wuja. Ale tamci...?

— Myślisz o Brownie? Ufam mu. Wszyscy mu ufają. Na wet ci, którzy za nim nie pójda.

Pokręcił głową, zakłopotany. Zapytał:

— Kiedy wuj chce jechać?

— Postanowiłem wyjechać jutro.

— W takim razie ja powinienem wyjechać dziś.

— Wystarczy, że wyjedziesz jutro z samego rana. Zastana wiałem się, czy nie byłoby dobrze, abyś jechał razem z nami...

— Byłoby mi bardzo przyjemnie. Ale chyba raczej nie...

— Do tego samego doszedłem. Wprawdzie zabieram ze sobą trochę służby i wśród niej można by spróbować ciebie ukryć. Ale mogę być śledzony.

— Śledzony? Teraz, kiedy wuj wyrusza walczyć za królową?

Po twarzy Nortona przemknął grymas.

— Topcliffe wie dobrze, po co jadę. Cieszyłby się jednak, gdyby mógł coś znaleźć przeciwko mnie. Gdy się wszędzie odkrywa zdrajców — jest się potrzebnym. Ty także o tym pamiętaj: gdy którego z was złapią — chcą go także złapać na jakimś przewinieniu.

Będzie chyba bezpieczniej, gdy pojedziesz osobno.

— Widzę, że bardziej naraziłem wuja swoim przybyciem, niż myślałem.

— Cenniejsze jest to, co przyniosłeś. Już mi się wydawało, że się załamie. Słaby jest

człowiek... Czy zechcesz jeszcze ju tro odprawić mszę?

— Naturalnie, wuju.

— To dobrze. Jestem nędznym grzesznikiem, który wciąż wątpi. Kiedyś, gdy jeszcze był u mnie na dworze kapelan, wystarczało mi, gdy go prosiłem dwa, trzy razy do roku o Najświętszy Sakrament. Dziś, gdybym mógł, dopraszałbym się o Niego codziennie! To jedyna Rzecz, która wyjaśnia. Odkrywa drogę. Przynajmniej na jeden krok...

Zamilkł i tylko patrzył przed siebie rozjaśnionym wzrokiem. Ale po chwili otrząsnął się z tego nastroju. Położył dłoń na ramieniu Hugh'a.

— Czy masz pieniądze?

— To, co mam, powinno mi wystarczyć...

— Nie zaopatrzone cię na drogę?

— Owszem, nawet hojnie. Ale... Te pieniądze odesłałem z powrotem...

— Słusznie uczyniłeś. To jest naszym obowiązkiem dbać o was.

— Słyszałem, że katolicy są zrujnowani karami?

— Przyciskają nas — owszem. Musiałem sprzedać część ziemi. Dwór, jak widziałeś, stoi zaniedbany... Ale to wszystko głupstwo! Tym nas nie złamią. Przygotuję dla ciebie trochę pieniędzy i dam ci lepszego konia...

— Wuj był dla mnie łaskawym opiekunem i wciąż nim jest...

Schylił się do ręki Nortona. Ten jednak tylko zatrzepotał dłońmi.

— Daj spokój! Daj spokój! To nasz obowiązek. A jeżeli chodzi o mnie, mam was tylko dwoje: Alex i ciebie... Idź, teraz odpocznij. Ja muszę się zająć przygotowaniem do drogi.

Wieczorem jeszcze porozmawiamy...

Wyszedłszy z pokoju Nortona Hugh zszedł na dół, a potem powędrował do ogrodu.

Rozpoczął się on zaraz za domem. Początkowo był to ozdobny park ze ścieżkami,

klombami, strzyżonymi krzewami. Potem ciągnęły się sznurem drzewa owocowe i grzędy warzywne. Za tą częścią ogród przechodził w zacienioną wielkimi drzewami łąkę. Wśród bujnej trawy toczyła się krętym korytem wąska rzeczulka.

Znalazł sobie miejsce pod drzewem i usiadł na ziemi. Wydarzenia ranne zmęczyły go, a jednocześnie nasunęły wiele myśli. Był także zaskoczony koniecznością wyjazdu szybszego, niż przewidywał. Właściwie nie zastanawiał się, jak długo pozostanie w domu wuja. Czuł się tu niby na bezpiecznej wyspie, na którą przyплыła i którą nieśpieszno mu było opuścić.

Gdyby nie decyzja Nortona, odkładałby wyjazd z dnia na dzień. To prawda, że powinien się był zobaczyć jak najr

szybciej z superiorem. Ale wydawało mu się, że musi wpierw „złapać oddech”.

A poza tym wiedział, że za ledwie opuści Norton House, znajdzie się znowu samotny.

Przed tą samotnością czuł lęk. Gdy myślał o niej, odżywały wszystkie niepokoje, z którymi płynął przez Bałtyk. Krótki pobyt między ludźmi, po wylądowaniu nocą na wybrzeżu, pozostał w nim wspomnieniem groźnym. Kraj był rozgorączkowany zbliżającą się wojną.

O niczym innym nie mówiło się jak tylko o nadciągających Hiszpanach i o myszkujących po kraju szpiegach. Na obcych patrzano z nieufnością. Hugh był świadkiem, jak w karczmie straż aresztowała jakiegoś kupca tylko dlatego, że jego angielszczyzna miała

cudzoziemski akcent. Hugh przed zaczęciem ustrzegła obecność Pope'a, który ubrawszy się w znaki lorda Strange opowiadał wszystkim naokół, że on i jego towarzysze są aktorami słynnej trupy i wciąż popisywał *się* swym kobiecym głosem, czym zresztą

nieślychanie drażnił Hugh'a. Ale obecnie nie było nawet Pope'a. Trzeba było jechać

zupełnie samotnie. Aktor pozostawił Hughowi adresy pewnych ludzi po drodze, u których mógł się zatrzymać, i prosił, aby zaraz po przybyciu do Londynu odnalazł go — to wszystko jednak w małym tylko stopniu strzegło przed niebezpieczeństwami.

Oparł głowę i plecy o chropowaty pień drzewa i przez *i* stulone powieki patrzył w niebo. W pamięci odżywali ludzie spotkani w ostatnich dniach, prowadzone z nimi rozmowy.

Więc to jest Anglia? — myślał.

Wydało mu się, że teraz dopiero rozumie, dlaczego tak bardzo nie chciał do niej wrócić. Bał się tego, co miał tu zastać... Wolał tonąć w umarłej przed wiekami przeszłości. Także chciał spokoju. Jak Alex... Zaledwie jednak wydobył się na podcinany falami brzeg, kiedy spotkana rzeczywistość pochłonęła go. Połknęła go, jak morze połyka ławicę piasku. Nie zdołał zachować postawy przybyłego z zewnątrz obserwatora. Nie tylko był na ziemi angielskiej — był w niej, tkwił w sercu wszystkich jej spraw...

Mała ciemna chmurka zawisała nad czubami drzew. Spod przymrużonych powiek patrzył na jej nasuwający się, pozłożony blaskiem ukrytego słońca, brzeg. Wiedział, że za chwilą chmura znajdzie się nad jego głową i wtedy zacznie padać deszcz. Ale zaledwie spadnie — na nowo zapali się słońce. Tam, w rozpalonych uliczkach rzymskich, gdzie żar zdawał się wisieć niby lepka pajęczyna, podświadomie wzdychał do-takich szybko lecących fal deszczu. Rozległ się szelest pierwszych kropli na liściach. Na ciemnym tle zieleni- pojawiły się szkliste smugi. Nie szukał schronienia, pozwolił, aby przesypujące się przez gęste listowie krople opryskiwały jego skórzaną kurtę. Zresztą deszcz skończył się równie szybko, jak nadszedł. Wróciło słońce. Spijało łakomie wodę ze ździebeł trawy, a murawa zdawała się wydzielać jeszcze bardziej aromatyczną woń.

Znowu przymknął oczy. Ta woń i wilgotny podmuch wiatru budziły w nim wspomnienia, jakie nie pojawiały się nigdy w jego pamięci. Odżyły zagubione obrazy z dzieciństwa.

Zdawało mu się, że widzi matkę, ojca, że przeżywa znowu tragiczną noc oczekiwania na wieści z pola walki.

Był tak zanurzony w tych wspomnieniach, że nie posłyszał cichych stąpań. Wyrwał go z nich dopiero wybuch wesołego śmiechu. Podniósł głowę, otworzył oczy. Zobaczył przed sobą Alex z książką w ręku.

— Co za spotkanie! — zawołała. — Myślałam, że gdzieś klęczysz pobożnie i modlisz się.

A ty śpisz!

— Nie, nie śpię. Ale rozmarzyło mnie.

— Dla zakonnika, jak ty, to pewno wielki grzech? Poważnie skinął głową.

— Owszem.

— Czujesz się skruszony? — pytała kpiąco.

Nie odpowiedział. W rzeczywistości skruszony nie był. To, co czuł, narzucało się z taką siłą, że nie widział możliwości przeciwstawienia się tym uczuciom.

— Czy ojciec mówił ci już, że jutro jedziemy?

— Tak.

— A ty?

— Odjadę wcześniej.

— Dokąd się wybierasz?

— Chcę dotrzeć także do Londynu. Tam przebywa mój zwierzchnik. Muszę przy nim rozpocząć moją pracę.

— Będziesz spiskował, buntował...

— Mówiłem ci już, że tego robić nie mam zamiaru. Jadę pracować wśród tych, którzy pozostali wierni prawdziwej wierze...

— Czy wiesz, po co ojciec jedzie? — przerwała mu.

— Wiem.

— I cóż ty na to, jezuito?

Wbrew tym zaczepnym słowom usiadła obok niego na ziemi. Widać było, że ma jednak ochotę na rozmowę.

— Wuj jest człowiekiem, dla którego żywię głęboki szacunek — powiedział. — Jestem pewny, że podjął tę decyzję z najszlachetniejszych pobudek. Mimo to...

— Wolałbyś, aby stanął po stronie Hiszpanów?

— Tego nie powiedziałem. Wolałbym, aby wcale nie brał udziału w walce.

Wybuchnęła śmiechem. Ale zaraz spoważniała, powiedziała twardo:

— Kto nie walczy za swój kraj — ten nie wart jest w nim żyć!

— Więc podoba ci się ta wojna? Wzruszyła ramionami.

— Naturalnie, że nie. Mam dość wojen, walk, powstań, buntów. Ale gdy przychodzą zaborcy i chcą wszystko zabrać, trzeba ich odeprzeć.

— Czy myślałaś jednak, co by się stało z katolikami w Anglii, gdyby Hiszpanie zostali naprawdę odparci?

— Dla nich — rzuciła — nie może ginać królestwo! — Dorzuciła obojętnie: — Przyjmą wszyscy religię królowej.

— Więc jednak wydaje ci się, że między obu religiami nie ma żadnej różnicy? Jeżeli pozwolisz, dowiodę, -ci, jak błędna i heretycka jest religia królowej.

Zrobiła niechętny gest.

— Nie, nie! Nie jestem ciekawa. Nie znoszę pouczenia.

— A jednak i twój ojciec, i ty pozostaliście przy starej wierze.

Zamyśliła się. Trzymała w ustach urwaną trawkę i patrzyła na pełną wirów powierzchnię płynącej rzeczki.

— O mnie — powiedziała — nie ma co mówić. Jestem przy ojcu, więc pozostałam przy jego

religii. Kocham go. Nie chciałabym mu sprawiać przykrości...

— Twoja postawa go boli.

— Trudno. Kocham Dicka.

— Czy tak bardzo?

Przechyliła głowę i popatrzyła drwiąco na Hugh'a.

— Co ty wiesz o kochaniu? Królowa ma słuszną rację żądając, aby księża kochali się, żenili, mieli dzieci. Wtedy na pewno zrozumieliby lepiej życie.

— Nie wszystko poznaje się z własnych tylko doświadczeń.

— W takim razie z czego? Pójdź do teatru i zobacz wystęwy wiane tam tragedie. Albo zajrzyj do rycerskich romansów... Jak choćby ten — uderzyła dłonią w książkę, leżącą na jej kolanach. — To są historie, jakich się nie spotyka nigdy w życiu!

Wziął książkę, otworzył ją. Spojrzawszy na tytuł oddał ją Alex z powrotem, uśmiechając się.

— Historia niezrównanego rycerza Amadisa z Galii i jego żony, przepięknej Oriany. Znam ją.

— Ty ją znasz?

— Tak. Widzisz więc, że nawet na takich doświadczeniach nam nie zbywa. Nasz założyciel, zanim rozpoczął pracę two rzenia Towarzystwa, lubił czytywać rycerskie romanse. I nam, przed ukończeniem kolegium, polecono przeczytać kilka, abyśmy wiedzieli, czym zachwycają się ludzie w świecie.

— Zabawne. Lecz tym tylko potwierdzasz to, co powie działałam: znacie może książki, nie znacie zwyczajnych ludzkich uczuć!

— Wyrzeczenie jest najlepszym poznaniem. Wielu świętych nie znało grzechu, a przecież

wiedziało lepiej niż inni, czym jest grzech.

— Święci... — powtórzyła. Znowu patrzyła w szybko płynącą wodę. — To także ludzie z ksiązek. Czy naprawdę byli kiedyś jacyś święci?

— Byli. Są... Wzdrygnęła się niechętnie.

— Jak ty lubisz zapewniać. Byli... Lecz czy byli takimi, jakimi ich zrobiliście potem?

Mniejsza zresztą o nich! Czy wiesz, że jadę razem z ojcem do Londynu?

— Nie pamiętałem.

— Spotkam tam Dicka. Pobierzemy się, zanim Hiszpanie nadpłyną...

— Czy nie lepiej poczekać?

— Nie! Ty byś chciał, aby wszystko było ułożone, pe wne... — Potrząsnęła głową. — Ale ja nie wiem, co jeszcze może stanąć na drodze naszej miłości. Musimy się spieszyć. Czy zobaczymy się w Londynie?

— Nie wiem. Będę się przecież musiał ukrywać. Czekają mnie niebezpieczeństwa...

— Powinieneś jednak dotrzeć do ojca.

— Sama mówiłaś, że to jest dla niego niebezpieczne.

— Jest... Ale twoja obecność zrobiła mu dobrze. Nabrał za pałą, radości...

— Myślałem, Alex, że patrzysz na mnie wrogo?

— Patrzyłam. Ale żał mi ojca. Kiedy wyjdę za mąż, tym bardziej będzie potrzebował pociechy...

Od dłuższego już czasu słońce powoli zniżało się ku koronom drzew. Po trawie ślizgały się różowe błyski. Cienie wydłużały się. W końcu kula słoneczna obsunęła się między gałęzie. Od razu wszystko zasnuła szarość.

— Trzeba wracać — powiedziała podnosząc się z ziemi.

Wstał także. Bez słowa skierowali się ku domowi. Szli wolno. Trawa była mokra i dziewczyna idąc unosiła obu rękami suknię. Przed gankiem stał Norton. Dostrzegłszy ich oboje idących razem uśmiechnął się radośnie. Otworzył ramiona, wziął w objęcia córkę.

— Dokąd chodziła moja mała?

— Do ogrodu, tatusiu. Rozmawialiśmy...

— Słuchaj, Alex, jutro rano Hugh odprawi mszę.

— Dobrze, przyjdę na nią...

Opierając się na ramionach młodych wszedł do hallu. Usiadł na ławie przed kominkiem, obok siebie wskazał miejsce Hughowi.

Alex powiedziała:

— Przyniosę wam piwa.

Norton z czułością patrzył za dziewczyną, póki nie znikła za drzwiami. Potem zwrócił oczy na zakonnika:

— Radość przyszła z tobą...

Po twarzy Hugh'a przemknął cień. Lecz zanim zdążył coś odpowiedzieć, Norton dorzucił:

— Ale ja wiem: po to, aby łatwiej było przyjąć ból...

Drogę odbył niespodziewanie prędko i bez żadnej przygody. Jechał przez Sheffield, Derby, Stratford i Oxford, trzymając się zgodnie z zaleceniem Nortona jak najdalej od wybrzeża.

Początkowo wędrował przez kraj pusty i spokojny. Ale za Derby odnalazł znowu gorączkową atmosferę nadciągającej wojny, taką samą, jaka zaskoczyła go zaraz po przybyciu. Drogą ciągnęły gromady mężczyzn wezwanych pod broń. Szli zbrojni w dzidy i długie łuki, wrzaskliwie wykrzykując jakieś pieśni lub klnąc na całe gardło. Od spotykanych ludzi dopominali się pieniędzy na wypicie, zaś w przydrożnych karczmach żądali piwa i nie chcieli za nie płacić. Między nimi a strażnikami miejskimi dochodziło do awantur.

Wieczorami spadali, niby szarańcza, na jakąś osadę. Jedni uganiali się za dziewczętami i dobijali się do domów, inni siedzieli w karczmie, pili, skarżyli się płacząco na wojnę i konieczność opuszczenia domu.

Ciągnące piechotą gromady mijały poczty rycerskie. Błyskały zbroje, migwały kolorowe proporce, trzaskały kopyta na kamieniach. Na pograniczu hrabstw, na rogatkach miejskich stały straże, których obowiązkiem było zwracanie uwagi na przejeżdżających. Bez końca powtarzane były między ludźmi wieści o szpiegach, których całe setki mieli nasłać na Anglię Hiszpanie. Podniecona wyobraźnia odnajdywała ich wszędzie: ktoś, kto odezwał się cudzoziemskim akcentem, ktoś, kto miał strój nieco odmienny t>d innych, a zwłaszcza ktoś, kto zdradził się posiadaniem złota — musiał być szpiegiem. Tłum nagle rzucał się na niego, włókł go do szeryfa lub sędziego pokoju. Sprawa rzadko kończyła się dobrze dla schwytanego. Jeśli mu nawet niczego nie dowiedziono, zamykano go najczęściej — na wszelki wypadek — w więzieniu. Byłe pozór sprawiał, że skazywano go na śmierć. Wzdłuż drogi, zwłaszcza pod miastami, spotykało się całe zagajniki szubienic, obciążonych ciałami powieszonych. Każdy z wisielców miał na piersi tabliczkę z napisem

„spy" lub „traitor", często z dodatkiem „papist". Przy wjeździe do Stratfordu Hugh zobaczył wiszącego na szubienicy trupa, któremu zawieszono na szyi kartę z długim spisem dokonanych zbrodni: był to zdrajca i papista, który rozdawał dzieciom i młodym dziewczętom zatrute hiszpańskie szpilki. W pewnej karczmie opowiedziano Hughowi historię jezuitę schwytanego na zatrutowaniu wody w studni. Pod samym Londynem dowiedział się o odkryciu nowej próby zamordowania królowej przez katolickich panów. Im bliżej był stolicy, tym więcej mówiło się o hiszpańskich szpiegach i tym większe panowało podniecenie.

Hugh starał się jechać niepostrzeżony. O ile tylko mógł, nie wdawał się w pogawędkę ze spotykanymi ludźmi. W przydrożnych gospodach panowały ścisk i drożyzna. Parę razy zdarzyło się Hughowi, że nie znalazłszy dla siebie miejsca, nocował pod gołym niebem. Nie narzekałby na to, gdyż z dala od ludzi czuł się bezpieczny, ale padały deszcze, musiał więc starać się o schronienie.

Także kilka razy nocował u ludzi wskazanych mu przez Pope'a. Ci przyjmowali go życzliwie, zwłaszcza że jadący przedtem tą samą drogą aktor uprzedził ich o przybyciu Palmera. Uważali go zresztą za członka tej samej trupy teatralnej. Hugh nie śmiał wobec nich zdradzić, kim jest, tym bardziej że ludzie strzegli się wyraźnie od zabierania głosu na tematy wiary. Jedno tylko było na ustach wszystkich: wojna!

Przesiadując wieczorami w pełnych ludzi gospodach, chcąc nie chcąc, przysłuchiwał się toczącym się rozmowom. Były one hałaśliwe, a brali w nich udział wszyscy znajdujący się w izbie jadalnej. Zaczynano zwykle od narzekania na wojnę i panującą drożyznę. Potem zaraz wybuchały wymysły i urągania przeciwko Hiszpanom. Czasami ktoś ze starszych przypominał, jak wyglądały hiszpańskie rządy za czasów panowania królowej Marii. Kilka takich słów doprowadzało rozmawiających do prawdziwego szału gniewu. Nienawidzono

tamtych czasów. Z zawziętością wspomniano hiszpańskich grandów rozbijających się po kraju, hiszpańskich mnichów wyszukujących heretyków i prowadzących ich na spalenie!- Przekrzykując jedni drugich, ludzie ciskali klątwy na Hiszpanów i na Filipa! O Filipie nie mówiono inaczej jak o krwawym potworze. Sypano przy okazji wyzwiskami na cudzoziemców, zwłaszcza na Francuzów. Noc świętego Bartłomieja, znana z tylu widowisk, burzyła krew. Prawie zawsze ktoś wspominał papieża. Burza nienawiści dosięgała wtedy szczytu. Obrzucano go wymysłami, przeklinano. Zebranych ogarniał prawdziwy paroksyzm wściekłości. Walili pięściami i kubkami w stół.

Wtłoczony między ludzi Hugh słuchał tych krzyków poblądły. Nie mógł opanować febrycznego drżenia. Na skroni występował mu zimny pot. To było wielkie szczęście, iż ludzie byli tak podnieceni, że nie zwracali uwagi na zachowanie się ich sąsiada. Zresztą Hugh krył się zwykle w jak najciemniejszy kąt izby. Coraz częściej rodziło się w nim uczucie, że z tym nienawistnym wrzaskiem wyzwała się jakaś potworna, szatańska złość. Jakaż mogła być inna przyczyna takiej nienawiści? O papieżu wykrzykiwano rzeczy ohydne. Drwiono z wiary katolickiej, bluźniono przeciwko prawdziwej Przemianie. Kpiono z łaciny, przeklinano księży. Wiele razy słyszał, jak chór głosów wybuchał nienawistnym wyliczaniem zbrodni jezuitów. Kiedyś w takiej właśnie chwili podniecenia ktoś zawołał: „Chodźcie, pokażę wam przeklętego papistę!” Ludzie z rykiem porwali się z ław. Hugh był pewny, że został odkryty. Ale tamci runęli na ulicę. Stojąc przed gospodą, wciąż rozdygotany, widział, jak tłum szturmuje jakiś domek, jak wyłamuje drzwi i wdziera się do środka. Potem wywleczono okrwawionego człowieka — jak się potem Hugh dowiedział, ubogiego szewca, upartego zwolennika starej wiary.

Oglądając prawie codziennie takie sceny Hugh popadł w głęboką rozterkę. Pojmował teraz z całą jasnością, jak bardzo łudzili się ludzie w Rzymie wyobrażając sobie, iż

przybycie Armady zdoła przywrócić katolicyzm w Anglii. Wuj Francis — myślał — ma rację: zrodziła się nowa Anglia i ta nowa Anglia będzie broniła z całą zawziętością swej wolności i niezależności. Ale Norton nie miał racji, wydawało mu się, gdy sądził, że ocali się katolicyzm, gdy katolicy staną do wspólnej walki przeciwko Hiszpanom. Tym nie obronią religii, a jeszcze wepchną w schizmę wszystkich, którzy dotychczas pozostali wierni prawdziwej wierze. Anglię, stanęło przed nim, opętał szatan... Dla katolików nie ma wyjścia, poza ucieczką...

Nieustannie drżał o siebie, począł się jednak także niepokoić o Nortonów. Żyjący na swej północy squire na pewno nie spodziewał się tego, co się tutaj dzieje. Jedno niebaczone słowo, jakiś człowiek, który go pozna — i rozjuszony tłum gotów się rzucić na nich, dokonać krwawego samosądu. Ludzie w gospodach wciąż powtarzali wieść, że królowa kazała wszystkich katolików pozamykać w więzieniach i że za odr krycie ukrywającego się papisty można otrzymać nagrodę. A może, przychodziło nawet do głowy Hughowi, to zwołanie panów katolickich do Londynu jest pułapką?

Teraz stał na wzgórzu i patrzył na leżące na dole miasto nad wijącą się w szerokich meandrach rzeką. Miasto było olbrzymie, większe od wszystkich, jakie kiedykolwiek oglądał. Właściwy Londyn tworzył zbitą szaroczerwoną plamę, ujętą w obręcz murów. Ponad spadziste dachy strzelały iglice kościołów i wznosiła się ogromna, niby czworokątna baszta, wieża katedry. Ale domy wysypywały się także poza mury miejskie, niby przedmioty ze zbyt wyładowanego kosza. Miasto rozrastało się na wszystkie strony, a wzdłuż wybrzeża łączyło się z Westminsterem. Tutaj jednak gęsta masa zabudowań przetkana była rozległymi płatami zieleni. Od wzgórz, na których się znajdował, ciągnęły się ku miastu szmaragdowe łąki, poprzecinane drogami. Tu i tam stały wiatraki. Dzień był pogodny, lecz w dole, nad miastem i nad rzeką leżał mroczny tuman, niby nisko osiadła

chmura.

Im dłużej patrzył, tym większy ciężar czuł na sercu. Ogrom Londynu wzmagał w nim jeszcze poczucie samotności. Gdzież w tym mrowisku ludzkim szukać katolików? — myślał. I co przyjdzie z tego, jeśli ich nawet odnajdzie? Zadanie, które im powierzono, przekraczało siły ludzkie. Było — droga upewniła go w tym — nieosiągalne.

Południe już minęło, czas było rozejrzeć się za jakąś gospodą. Przemógł słabość, nacisnął konia łydką i ruszył w dół. Jechał już dłuższy czas między domami, które coraz bardziej nabierały miejskiego wyglądu, stojąc jeden przy drugim zbitą ścianą, i dojeżdżał prawie do bramy miejskiej, gdy zobaczył wychodzący z niej, jemu naprzeciw, mały pochód. Na przedzie otoczony strażnikami i poprzedzany przez czerwono ubranego kata szedł koń wlokąc za sobą rodzaj niskich sanek, na których, twarzą do ziemi, leżał związany człowiek. Z tyłu postępowała gromada ludzi. Wyglądali na gapiów, którzy zbiegli się, by obejrzyć ciekawe widowisko: jakiś rzeźnik w fartuchu z zakasnymi rękawami, jakiś piekarz w wysokiej czapce, umączony na biało, rozgadane kobiety, podniecone i wykrzykujące coś dzieci.

Pochód znalazłszy się za bramą zatrzymał się. Hugh wstrzymał konia. Ponad głowami cisnącego się tłumu mógł widzieć, co się działo. Nie bez zdumienia zauważył, że pod łukiem bramy stała figura Matki Bożej. Słyszał, że wszystkie święte figury były poniszczone przez purytanów. I rzeczywiście, jadąc przez kraj, nie widział żadnej. Tu jednak figura stała, chociaż ledwo dostrzegalna, jakby wlepiona w mur. U jej stóp znajdowały się w tej chwili dwie kobiety, ubrane szaro i w szarych czepkach na włosach. Jedna z nich trzymała w ręku duży, gliniany dzban. Dowodzący strażnikami sierżant dał znak i kilku z nich poczęło odwiązywać leżącego na saniach człowieka. Gdy go odwiązano, tamten usiłował się dźwignąć na nogi. Ale nie mógł, kolana za każdym razem uginały się

pod nim. Strażnicy wzięli go pod ręce. Wtedy podeszły kobiety. Ta, która trzymała dzbanek, nalała z niego do kubka i podała go towarzysze, która z kolei przytknęła kubek do ust więźnia. Pił długo, chciwie; musiał być bardzo spragniony. Wypił także i drugi kubek. Wreszcie skończył. Uczynił wtedy dziwny gest, można by pomyśleć, że chce przykucnąć. Ale to musiał być ukłon, jakim dziękował kobietom. Strażnicy pociągnęli go z powrotem w stronę sań. On jednak coś do nich powiedział i zamiast do sań podprowadzili go bliżej do muru. Wyprostował się, jego głowa opadła do tyłu. Przez chwilę Hugh widział twarz więźnia. Była szara, uma-zana błotem. Uniesiona broda sterczała ostro w górę, ku stojącej pod łukiem bramy figurze. To trwało czas jakiś. Potem sierżant krzyknął i strażnicy zabrali więźnia. Przywiązano go znowu do sań. Pochód zakręcił i ruszył dalej drogą.

Hugh od razu domyślił się, co znaczyła ta scena. Pochylony na siodle modlił się także w duchu. Teraz pochód przeciągnął tuż obok niego. Widział twarde oblicza strażników pod niskimi hełmami i roznamiętione twarze pędzącej za nimi gawiedzi. Ludzie pchali się pokrzykując i roztrącając się łokciami. Mali chłopcy, którzy starali się wybiec naprzód, gwizdali. Z przerażeniem zobaczył, że jeden z nich podniósł grudę ziemi i cisnął nią w więźnia.

Pochód oddalił się. Pod bramą nie było już nikogo, poza opartym na halabardzie strażnikiem i dwiema kobietami, które napiły więźnia, a teraz zbierały się do odejścia.

Podjechał ku nim i nie zsiadając, z konia zapytał tej, która trzymała dzbanek:

— Co to był za człowiek, matko?

Podniosła ku niemu wychudłą twarz. Nie była stara, ale na jej twarzy zdawał się leżeć cień przejmującego smutku.

— Więzień — odpowiedziała. — Wiozą go na Tyburn...

— I nie wiecie, kim on jest?

Potrząsnęła głową, a przy tym ruchu spod czepca wysunęły się kosmyki siwych włosów.

— Mówili, że znowu szpieg hiszpański — powiedziała druga. — Ale kto tam wie...?

— Więzień — powtórzyła pierwsza. — Człowiek cierpiący...

— Dałyście mu wody, widziałem... — zaczął.

— My ze szpitala St. Giles, nam wolno — powiedziała prędko. Obróciła się do towarzyszki.

Wezwała ją: — Chodź!

Wolno podjechał do bramy. Dygotał cały. Próżno usiłował ukryć swe przerażenie. Nasunął kapelusz na twarz i tylko nieznacznie, spod opuszczonego ronda patrzył na strażnika i dwóch ludzi, którzy pojawili się i teraz stali na słońcu oparci o mur w pozach zdradzających pewność siebie. Modlitwa, którą wciąż zaczynał, zastygła mu na ustach. Myślał tylko o jednym: Jeżeli zostanie schwytany, będą mnie tak samo wlekli w pyle, w błocie, wśród wyzwisk...

Ale tamci nie zaczepili go. Minał bramę. Za nią rozpoczynał się prawdziwy labirynt uliczek ciasnych, krętych i mrocznych, gdyż górne piętra domów wybrzuszały się i sterczały nad ulicą tworząc niby dach. Pod nim kłębiła się gęstwa ludzka, nad nim też unosił się gwar. Z otwartych drzwi jadłodajni, nawet ze zwykłych mieszkań buchały na ulicę rozmaite wonie, mieszając się z wilgotnym zapachem błota. Jadącemu konno Hughowi skrzypiały tuż nad głową blaszane szyldy zawieszane nad sklepami. Jechał prosto przed siebie, nie zastanawiając się, dokąd jedzie. Same uliczki zdawały się go prowadzić i teraz wyprowadziły go na plac, który otaczał katedrę. Tu musiało bić serce miasta. Wokół placu, na schodach katedry, a nawet w jej wnętrzu — co było widoczne przez otwarte szeroko podwoje — tłoczyły się niezliczone kramy kupieckie. Wszystko — plac i kościół — wydawało się jednym targowiskiem, pełnym gwaru, nawoływania, śmiechów i sporów. Między

kramami przelewał się tłum, jaskrawo i bogato przybrany. Hugh był zaskoczony wspaniałością widzianych ubiorów. Mężczyźni mieli na sobie nowomodne, krótkie stroje. Każdą twarz podpieriała wspaniała hiszpańska kreza, najczęściej żółtego koloru. Niemniej bogate i wystawne Dyły stroje kobiece. Błyskały koronki, pióra, kosztowne guzy i brosze, naszyjniki z pereł i złote łańcuchy. Przechodzący ludzie kłaniali się sobie wzajemnie.

Słysząc było pozdrowienia. Młodzi dżentelmeni hiszpańską modłą zamiatali przed damami ziemię kapeluszami.

U stóp schodów prowadzących do katedry kręcił się tłum obdartych chłopców, którzy podbiegali do każdego jeźdźca, proponując mu potrzymanie konia. Tych koni w pięknych, kosztownych rzędach stało już kilkadziesiąt. Po placu kręciły się także małe, jednokonne zaprzęgi i liczne lektyki, których używały eleganckie damy do swych spacerów po mieście.

Hugh na chwilę zatrzymał konia i patrzył na to barwne widowisko. Lecz zaraz odezwał się w nim niepokój. Wydało mu się, że kilku mężczyzn patrzy na niego czujnym wzrokiem.

Spiesznie pchnął konia i zjechał w wąską uliczkę, schodzącą stromo w dół. Za chwilę znalazł się na wybrzeżu. Po Tamizie pływały liczne łodzie, wiosłowe i żaglowe. Niektóre z nich ozdobione kwiatami i dywanami wiozły pięknie przybrane towarzystwo. Wesole głosy rozchodziły się szeroko po wodzie. Za łodziami leciały całymi stadami mewy: czujnie patrzyły, czy nie pada w wodę jakiś smaczny kęs — wtedy spadały gwałtownie na rozkołysaną powierzchnię rzeki i chwytają go na wyścigi.

Za chwilę zobaczył przed sobą most, łączący oba brzegi rzeki. Był długi, wsparty na wielu kamiennych łukach. Oblepiały go małe domki, których tyły, pozbawione okien, zwisały nad burą rzeką. Między domkami widać było także mały kościółek. Mimo mglistego powietrza dostrzec można było również drugą stronę rzeki. Na Southwark domy były rozrzucone z rzadka, wśród zieleni. Odbijającymi słońce szybami świecił wspaniały pałac biskupa

Winchester. Obok niego wznosiła się czworograniasta wieża kościoła St. Mary Overy, prawie taka sama, jak wieża katedry Świętego Pawła.

Zaraz za mostem wzdłuż londyńskiego wybrzeża ciągnął się nie mający końca port. Małe i duże okręty stały obok siebie. Na nich i wokoło nich panował ogromny ruch. Tłum półnagich tragarzy wnosił na pokłady lub znosił z nich paki, skrzynie, wory i beczki. Całe masy ludzkie kręciły się koło stosów towarów. Dokonywano tu także napraw ciesielskich. Dzwoniły młoty, stukały siekiery, rozlegał się ostry chrobot pił. W takt wykrzykiwanej śpiewnie komendy, gromada majtków usiłowała wciągnąć armatę na pokład jednego ze statków. W małej zatoce na palach stał nie spuszczonej jeszcze na wodę okręt. W ogromnych kotłach rozgrzewano smołę i smarowano nią jego pudło.

Hugh nie śmiał jechać między tę ciżbę. Powstrzymało go także to, że nad dachami zobaczył przed sobą grube mury Towru. Na chwilę przykuła jego wzrok charakterystyczna, stercząca ponad wszystkim baszta Cezara. Na nowo przebiegł go dreszcz. Zawrócił konia i skierował go w górę, ku miastu. Jadąc uprzytomnił sobie znowu, że powinien wreszcie zająć się znalezieniem dla siebie gospody. Podświadomie zwlekał z tym. Lękał się każdego spotkania z ludźmi. A jednak nie mógł zostać bez schronienia.

Postanowił przecież nie zostawać między murami miejskimi. Przede wszystkim jeszcze dziś powinien był *znaleźć* Po-pe'a. Tylko aktor mógł mu pomóc w znalezieniu kogoś w mieście. Według tego, co mu Pope mówił, trupa posiadała swój teatr za Bramą Biskupią. Zwrócił się z zapytaniem do jakiegoś przechodnia i dowiedział się od niego, że ulica, którą jechał, nosząca nazwę Gracious Street, prowadzi prosto do tej właśnie bramy. Za chwilę minął ją i znalazł się na drodze, wzdłuż której ciągnął się sznur małych domków, każdy otoczony ogródkiem. Między nimi zobaczył szyld oberży „Pod Czerwonym Koniem”. Choć serce biło mu niespokojnie, postanowił tu się zatrzymać. Gospoda robiła wrażenie skromnej,

lecz czystej i przyjemnej. Przed domem pod drzwiami stały stoły i ławki. Tutaj w czas pogodny podawano gościom posiłki.

Ułożywszy się z gospodarzem, oddał konia stajennemu i złożywszy swój tłumoczek w otrzymanej dla siebie izbie, zszedł na dół. Kazał podać sobie piwa, chleba i sera. Przy okazji zapytał gospodarza o teatr aktorów lorda Strange.

— To niedaleko stąd — powiedział oberżysta — w Shoreditch. — Wyjaśnił Hughowi, jak należy iść: — *Zaraz* jak się skończą pola Finsbury u stóp wzgórza zobaczy pan zrujnowany klasztor. Należał kiedyś do benedyktynek, ale to już duwne dzieje. W ogrodzie klasztornym urządzone są zabawy

ludowe. Tam także aktorzy postawili dwa teatry. Pewno, nie są one takie jak „Róża” mistrza Henslowe, u którego można obejrzeć słynnego Willa Tarleton. Jednak i tutaj ludzie mogą się pośmiać i popłakać. Ale dziś, o ile wiem, u mistrza Bur-bage nie ma przedstawienia.

— Czemu?

Gospodarz machnął ręką i zniżył głos.

— Z tymi aktorami nigdy nie wiadomo... — opowiadał półgłosem. — Parę tygodni temu schwytano papistowskiego księdza. Podejrzewają, że ukrywał się między nimi. Więc ich mają teraz na oku. Wystawili jakąś sztukę, która się nie podobała... Ja tam zresztą nic nie wiem! — mruknął nagle i począł z zapalem wycierać ścierką koniec stołu, przy którym siedział Hugh. Jakiś mężczyzna wszedł do ogrodu i usiadł przy sąsiednim stole. Gospodarz podbiegł zaraz do niego i kłaniając się nisko przyjmował zlecenia. Hugh dokończywszy je dzenia wstał i wyszedł na drogę.

Od bramy biegła szeroka droga ku leżącej wśród wzgórz gęstej zieleni wsi Shoreditch. Od razu ujrzał wyszczerbiony mur, spoza którego widać było ciężki, znajdujący się w ruinie budynek. Musiał to być ten klasztor, o którym wspominał oberżysta. Brama ogrodu przyklasztornego była szeroko otwarta. Obok niej stał wbity w ziemię słup, z którego zwisała chorągiew ze znakami lorda Strange. Po drugiej stronie drogi, na wprost wejścia do ogrodu wznosiła się szubienica. Wisiało na niej jakieś ciało, już w stanie kompletnego rozkładu. Zalatywało od niego dławiące słodkim odorem. Kiedy Hugh pojawił się przed bramą, stado wron, siedzące na szubienicy i na ramionach wisielca, poderwało się z ciężkim łopotem skrzy-, deł.

Przy bramie, na ławie siedział mężczyzna. Miał długiej opadające na ramiona włosy, wysokie buty i wytarty aksamitny kaftan. Pokryta nieporządnym zarostem twarz nie miała przyjemnego wyrazu. Człowiek bawił się długim, marynarskim kordelasem, który miał zawieszony u pasa. Przymrużonymi oczyma patrzył na stojącego niezdecydowanie przed bramą Hugh'a.

— Czego szukacie? — zapytał.

— Chciałbym pomówić z jednym z aktorów z trupy lorda Strange.

— Z którym?

— Z master Pope'm.

— Czego od niego chcecie?*

— Mam do niego osobisty interes...

Tamten wyduł grube wargi i nie przestawał patrzeć na Hugh'a. Nie mówił nic. Hughowi gwałtownie zaczęło bić serce. Ten człowiek wyglądał bardzo podejrzanie. Wrony, łopocząc skrzydłami, spadły znowu na szubienicę i na trupa. Kracząc nad głową wiszącego zdawały

się mu urągać. Lęk rósł; lecz jednocześnie rosła świadomość, że musi nad nim zapanować, aby się nie zdradzić. Przybrawszy jak najobojętniejszy wyraz twarzy odwrócił się od człowieka i ruszył w głąb ogrodu. Szedł bez pośpiechu, pilnie nasłuchując, czy tamten nie idzie za nim. Mężczyzna z nożem pozostał przy bramie.

Ogród pełen był pięknych starych drzew, ale trawa była w nim wszędzie wydeptana i zaśmiecona. Walały się wśród niej skorupy rozbitych garnków, butelki i gałgany. W jednym miejscu na łączce znajdował się ogrodzony deskami krąg, przeznaczony na pewno do walk kogutów. W innym widać było huśtawki. Niedaleko stamtąd napotkał słup, do którego przybite były dwie strzałki. Na tej, która wskazywała w lewo, napisane było: „do Teatru”, na drugiej: „do Kurtyny”. Przypomniawszy sobie wszystko, co mu mówił Pope, skierował się w prawo. Spośród gęstych krzewów wynurzył się drewniany budynek, w kształcie grubej baszty, lecz bez dachu. Na zewnątrz budynku znajdowały się schody. Ponad głównym wejściem wisiał napis: „Scena zwana Kurtyną, na której występuje trupa master Jakuba Burbage, znajdująca się pod opieką wielce czcigodnego lorda Strange”.

Nikogo nie było w pobliżu. Hugh podszedł do drzwi i uchylił je. Półkolistą widownia była pusta, jedynie przed samą sceną siedziało kilku mężczyzn. Na scenie znajdował się tylko jeden aktor. Z trzymanej w ręku kartki czytał, a jego męski głos rozbrzmiewał siłą:

Nie padła Anglia i nie padnie nigdy
u stóp zdobywcy, chyba wtenczas tylko,
jeżeli sama piersi swoje zrani.

Dzisiaj, gdy jej dzieci wszystkie w domu, niechaj
z trzech rogów świata przyjdą na nas wrogci

— damy im odpór! Nikt nas nie posłędzie, jeżeli Anglia wierną sobie będzie!

[Szekspir „Życie i śmierć króla Jana” akt V, przekład J. Korzeniowskiego.]

Aktor urwał i uczyniła się głęboka cisza. Potem dopiero wybuchnął gwar. Ci, którzy siedzieli na widowni, zerwali się teraz i szli ku schodom prowadzącym na scenę. Wykrzykiwali:

— Świetnie! Doskonale! Ależ napisał! Żeby się tylko Tilney nie przyczepił? Przecież to właśnie to, czego chcieli! Bra wo, brawo! Mówię wam, po takiej tyradzie tylko pchnąć ludzi, by się bili. Świetnie! Henslowe wścieknie się. Brawo Will!

Hugh stał wśród prostych ław. Gdy tamci weszli na scenę, widownia pozostała całkiem pusta. Mężczyźni otaczali tego, który wygłaszał wiersz, i drugiego jeszcze bardziej młodego, jasnowłosego człowieka o uśmiechniętej twarzy. Klepano ich po ramionach, całowano po policzkach. Nie przestawali mówić:

— Powiadam wam, położymy Henslowe'a. Ludzie będą skakać, kiedy Ryszard zaryczy głosem Fawconbridge'a. Tylko ten Pandulf...

— Historyczna postać.

— Historyczna, ale niebezpieczna. Trzeba go grać z umiarem...

— Wszystko będzie dobrze. Brawo Will!

Znowu któryś uderzył mocno w kark jasnowłosego mężczyznę. Inny wyrwał mu plik papierów, który tamten trzymał w ręku. Teraz pchali się jeden przez drugiego, wykradali sobie wzajemnie kartki, zaglądali do nich. Byli tak tym przejęci, że żaden z nich nie zauważył stojącego Palmera.

— Będzie dobrze, zobaczycie. — Gruby, siwowłosy mężczyzna pozbierał z rąk aktorów kartki i wziął plik pod pachę. — Dziś jeszcze zaniosę je Tilneyowi. Jeśli puści — roz poczynamy próby...

W tej samej chwili jeden z aktorów spostrzegł Hugh'a. Krzyknął wskazując na niego ręką:

— Patrzcie! Co robi tutaj ten człowiek?!

Wszyscy od razu obrócili się ku Hughowi. Na ich twarzach dopiero co rozpromienionych

pojawił się groźny wyraz. Dłonie chwyciły za rękojeści sztyletów i rapierów. Szli ławą, jakby chcieli przybysza rozerwać na sztuki.

Ale zanim zbiegli ze schodów, rozległ się okrzyk, rzucony przeraźliwym falsetem. Hugh poznał od razu głos Pope'a, którego przedtem nie zauważył między aktorami. Mały komediant wyskoczył przed kolegów z rękami podniesionymi w górę.

— Zatrzymajcie się! Ja znam tego dżentelmena! Stanęli, ale nie robili wrażenia uspokojonych.

— Znasz go? — spytał jeden nieufnie. — Kto to taki?

— Powiadam, że go znam.

— Ale co to za człowiek? Szpiedzy kręcą się wszędzie...

— Podśluchiwał! — zawołał inny.

— Nie! Nie! — krzyknął Pope. — To nie szpieg! Ten pan przyszedł do mnie. — Podbiegł do Hugh'a, wziął go za rękę. Obracając się do towarzyszy rzekł: — Pan, którego macie przed sobą, nazywa się master Rowe. Jest to czcigodny i bar dzo uczony doktor, trudniący się wyrobem maśejjpraz płynów zapewniających piękny wygląd skórze, włosom i zębom. Po znałem go w Danii i właśnie, jak wam mówiłem, dzięki jego uprzejmości mogłem stamtąd powrócić...

Teraz dopiero dłonie opadły z rękojeści rapierów. Twarze wolno odmieniały swój wyraz.

Aktorzy zaczęli się życzliwie uśmiechać.

— Jeżeli tak — powiedział któryś — witamy całym sercem doktora Rowe...

— Cieszymy się, że możemy poznać pana, doktorze — rzekł siwy aktor trzymający plik papierów. — Przyjaciel naszego przyjaciela jest naszym przyjacielem.

Pope z wylaniem ścisnął rękę Hugh'a.

— Szczęśliwy jestem, że pana nareszcie widzę w Londynie — mówił. — Już się

niepokoilem. — Dorzucił cicho: — Nikt tu nie wie, kim ojciec jest naprawdę...

Mrugnięciem dał znak, że rozumie. Inni aktorzy podchodzili i podawali mu rękę. Jeden z nich powiedział śmiejąc się:

— Mamy wobec pana dług, doktorze: przywiózł pan nam naszą gwiazdę. Bez niej nie mogliśmy dać sobie rady z kobiecy mi rolami.

— Jestem w takim razie szczerze zadowolony, że udało mi się pomóc master Pope'owi.

Jak mi się zdaje, gdy tu wsze dłem, zapoznawaliście się panowie właśnie z nową sztuką?

— Tak, napisał ją nasz towarzysz — Pope wskazał gestem młodego, jasnowłosego mężczyznę. — Wybawił nas z kłopotu. Zbliża się wojna i władze zażądały, abyśmy wystawili sztukę, w/ywającą do walki i do bohaterstwa. Żadnej takiej nie mieliśmy w repertuarze. Natomiast nasi konkurenci wystawili tragedię o królu Janie, która cieszy się wielkim powodzeniem. Wszyscy śpieszą do Parku Paryskiego. Lecz Will zabrał się do pracy i napisał sztukę na ten sam temat. Przy tym lepszą o wiele od tamtej! Szkoda tylko, że dla mnie jest w niej jedynie małeńka rólka...

Trzepał prędko po swojemu. Teraz nie przypominał tamtej nieszczęśliwej postaci schlastanego wodą, śmiertelnie przerażonego i dygoczącego z zimna rozbitka. Był ubrany z wyszukaną elegancją w „weneckie” spodnie nabite włosiem. Krezę miał tak wielką, że jego główka wyglądała na niej jak odcięta i leżąca na talerzu. Upierścienioną dłoń trzymał na rękojeści rapiera.

— Przyjechałem dopiero dzisiaj... — powiedział Hugh.

— A gdzie się pan, doktorze, zatrzymał?

— W gospodzie „Pod Czerwonym Koniem”. Tu zaraz przed Bramą Biskupią...

Hugh spostrzegł na twarzy Pope'a wyraz zakłopotania. Aktor drapał się niespokojnie po ułożonych misternie włosach.

— To niedobrze... — mruknął. — Niebezpiecznie. Gospody są strzeżone... Zupełnie poszaleli. Wszędzie nasyłają szpiegów...

— Lecz w takim razie, co mam uczynić? — głos Hugh'a lekko drżał.

Pope zastanawiał się czas jakiś.

— Proszę mi pozwolić naradzić się z Burbagem — powie-i dział. — Trudno, muszę mu powiedzieć... Niech ojciec będzie spokojny, tutaj nie ma zdrajców. Jakubowi można ufać.

Odszedł i odwołał na bok kierownika trupy. Gdy rozmawiali ze sobą, do Hugh'a podchodzili aktorzy i wypytywali go posiadane przez niego maści i specyfiki. Hugh'owi przy pomniało się, co mu mówił Kempe o tym, że aktorzy wchodzą nieraz w porozumienie z wytwórcami mikstur piękności

1 zręcznym słowem na scenie jedną im klientów. Może dla niepoznaki należało ich o to zagadnąć. Lecz on czuł się w tej chwili daleko od swej roli sprzedawcy maści i pomad. Był pełen niepokoju; zaledwie potrafił odpowiadać z sensem na stawiane pytania. Myślał tylko jedynie: a jeżeli już zostałem odkryty?

W tej chwili stał przed nim młody aktor, autor sztuki. Czuł utkwione w siebie jego jasnoblękitne oczy.

— Pan, doktorze — usłyszał pytanie — długo był w Danii?

— Nie, niedługo.

— Szkoda. Żałuję, że nie pojechałem do tego królestwa ra zem z kolegami...

— Chciałby pan poznać Danię?

— Chciałbym. Pragnę napisać pewną sztukę...

— Która dziać się będzie w Danii?

— Tak. Choć właściwie... — Nagle wzruszył ramionami, jakby do własnych myśli, i roześmiał się. — Właściwie nie była mi potrzebna ta jazda. Wystarczy mi Dania, którą znam...

— Widział pan ją już kiedyś?

—: Nie, nigdy. Ale wydaje mi się, że ją widzę... Wie pan, doktorze, często zdarza mi się, że budzi się we mnie pragnienie zobaczenia koniecznie jakiegoś dalekiego kraju. Wydaje mi się, że jeżeli go nie zobaczę, nie będę mógł o nim napisać. Ale kiedy przychodzi okazja, że mógłbym pojechać — zostaję... Bo wiem, że lepiej napiszę o kraju, którego nigdy nie widziałem...

— Jednak ludzie lubią podróże. Tyle nowych lądów zostało odkrytych.

— To prawda. Najciekawszy jest jednak ten, którego nikt jeszcze nie odkrył. Chyba zawsze znajdzie się gdzieś na morzach taka wyspa?

— Czy ja wiem? Tyle okrętów pływa...

Poczuł dłoń na ramieniu. Pope zbliżył się razem z siwym aktorem. Rzekł:

— Niech pan pozwoli, doktorze: Jakub Burbage, kierownik naszej trupy, prosi, aby pan zechciał udać się z nami do go spody i wypił za powodzenie nowej sztuki...

_ Tak jest. — Burbage zgiął się w niskim, scenicznym

ukłonie. — Czy zechce pan, doktorze, uczynić nam ten zaszczyt? — Schylony dorzucił cicho i prędko: — Do tamtej gospody wracać nie można, póki nie przekonamy się, czy nie grozi niebezpieczeństwo... Ale proszę się niczego nie lękać. Jest pan z przyjaciółmi...

— Jestem doprawdy zaszczycony tym zaproszeniem.

— A więc znakomicie. — Teraz dopiero siwy aktor wypro stował zgięty kark. — Panowie — zawołał zwracając się do kolegów . — idziemy do „Syreny”. Wypijemy za powodzenie sztuki Willa. Doktor Rowe przyjął moje zaproszenie i będzie naszym gościem...

— Świetnie! Brawo! Doskonale! — posypały się okrzyki i oklaski. Otoczony aktorami, trochę pocieszony zapewne niem Burbage'a, Hugh opuścił „Kurtynę”.

Hałaśliwą, rozgadaną gromadą opuścili ogród poklasztorny. Kiedy mijali bramę, Hugh rozejrzał się, ale nie spostrzegł nigdzie człowieka, który stał tu poprzednio. Nie szli wprost drogą ku Bramie Biskupiej, ale skręcili na przełaj przez pola Finsbury ku Moore Gate. Kiedy znaleźli się w ciasnych uliczkach miejskich, zostali poznani. Tłum nappełniający uliczki nagle rozstał się przed nimi. Kłaniano się im, uśmiechano do nich, pokazywano ich sobie wzajemnie palcami. Głośno wykrzykiwano ich imiona. Najczęściej słychać było imię Ryszarda Burbage. To był aktor, który czytał sztukę: tęgi i urodziwy mężczyzna o dźwięcznym głosie. Słyszając powtarzane swoje imię, rozpromienił się. Przestał rozmawiać z kolegami. Szedł na czubkach palców, z wypiętą piersią, z podniesioną głową. Tym, którzy mu się kłaniali, odpowiadał łaskawym gestem; kobietom, które usłyszawszy zgiełk na ulicy wychylały się z okien, przesyłał gestem pocałunki. To był teraz zupełnie inny człowiek niż ten, którego przedtem widział Hugh. Oczy mu błyszczały, oddychał szybko. Zdawał się być pijany powodzeniem. Zresztą i w innych aktorach nastąpiła taka sama zmiana. Gdy słyszeli wywoływane swoje imię lub widzieli klaszczących im ludzi, przybierali królewskie pozy i dziękowali za te oznaki sympatii szerokimi gestami. Ci, którzy zwykle grywali tragiczne role, zachowywali przy tym majestatyczną powagę; inni, znani z ról komicznych, usiłowali rozśmieszyć otaczających ich ludzi. Pope, który zawsze grywał w masce i dlatego był nie znany z twarzy, nie mogąc się doczekać, że ktoś wywoła jego imię, począł sam wykrzykiwać pozdrowienia najcieńszym, na jaki mógł się zdobyć, głosem. Naśladował przy tym sposób chodzenia kobiet tak długo, aż w końcu został poznany. I wokół niego wybuchła burza oklasków. Wtedy zatrzymał się i odśpiewał jedną zwrotkę piosenki, która należała do jednej z jego ról. Oklaski i okrzyki jeszcze się wzmogły. Inny z aktorów zaśpiewał także piosenkę. Podczas gdy tłum bił tamtemu brawa, uśmiechnięci wobec ludzi aktorzy obrócili się na moment

twarzą ku sobie i obrzucili się wściekłym spojrzeniem. Hugh spostrzegł także, że jeden z aktorów dokonując zamaszystego ukłonu nastąpił na nogę swego towarzysza. Tamten zgrzytnął zębami i z zapalczywości chwycił za rękojeść wiszącego u pasa pugiuału.

W ten sposób, otoczeni wciąż rosnącym tłumem wielbicieli, zatrzymując się co kilka kroEów i mizdrząc, doszli do budynku „Syreny”. Gospoda znajdowała się w drewnianym domu, który otwierał się głównym swym wejściem na Cheap-side. Hałas, jaki powstał na ulicy, wywołał gospodarza, który szybko zbiegł na dół. Zaraz też, idąc tyłem, wprowadził ich do izby na piętrze. Nadbiegła służba, która zabierała od aktorów płaszcze i kapelusze, podsuwając im ławy i stołki. Siadali dumni, zadowoleni z siebie.

— Piwo? — pytał z ukłonem gospodarz.

— Wina! — zawołał dumnie starszy Burbage. — I dobrego. Stawiam dziś wszystkim.

Gospodarz począł wydawać stosowne rozkazy. Służba w mig podała kubki i dzbany.

Pochylony nad Burbagiem gospodarz

pytał cicho:

— Jak tam idzie, master?

— Dobrze, Ed. Odbijemy się.

— Aż zapłata jak będzie?

— Nudny jesteś. Zapłacę ci, jak wystawimy nową sztukę. Mamy znakomitą tragedię.

Ludzie będą szaleć. Sam zresztą widziałeś, że nas wszyscy znają i cenią...

Pili prędko, jakby im zależało, aby wprowadzić się jak najszybciej w stan podniecenia.

Hałaśliwe rozmowy stały się jeszcze głośniejsze. Wykrzykiwali i przekrzykiwali się

wzajemnie. Jakub Burbage porwał się z ławy i podnosząc kubek

w górę zawołał:

— Zdrowie naszego poety! Zdrowie Willa Szekspira! Toast zabrzmiał na całą salę.

Aktorzy poczęli trącać swymi

kubkami o kubek jasnowłosego. Znowu klepali go po ramieniu.

— Zuch jesteś! — chwalili go. — Tylko tak pisz dalej!

Ale po toaście zrobiła się cisza, z kąta sali doleciał urągliwy śmiech. Przed chwilą zajęło tam miejsca kilku mężczyzn ubranych równie jak aktorzy z wyszukaną elegancją. W śmiechu brzmiała zaczepka. Aktorzy zwrócili głowy w tamtym kierunku. Tamci widocznie tylko na to czekali. Siedzący pośrodku mężczyzna o szczupłej twarzy zakończonej czerwoną bródką zawołał:

— Czyje to pijecie zdrowie? Co? Szekspira? Jeśli się nie mylę, miał pan, master Burbage, chłopca do trzymania koni o takim samym imieniu i nazwisku?

Aktorzy mruknęli coś gniewnie, ale milczeli. Żaden nie odpowiedział ani słowem.

Mężczyzna czuł swoją przewagę. Jego stół śmiał się złośliwie z zaczepki. Jeden tylko

Burbage powiedział spokojnie:

— Szekspir nie trzymał u nas nigdy koni, master Greene. Jest poetą, młodym, ale bardzo utalentowanym...

Stół w kącie sali zatrzęsł się od śmiechu.

— Poetą! Skonam!

— Na Jowisza! Ten Jack Factotum zna dużo zawodów!

— Co pociągnie szczotką po zadku konia, tworzy rym!

— A jakim wspaniałym językiem włada. Szczera gwara z Shoreditch!

— Albo parafiańszczyzna ze Stratfordu.

— Nie śmiejcie się, nauczy się jeszcze po ludzku.

— Dajcie mu spokój — powiedział Greene, mrużąc złośliwie oczy — już się trochę nauczył. Wiemy, że pilnie wyczy- tuje broszurki drukowane w Douay...

Aktorzy wciąż milczeli. Hugh tylko widział, jak zaciskają gniewnie usta i pięści. Nie mógł pojąć, dlaczego ci ludzie, tak pewni siebie jeszcze przed chwilą, teraz siedzieli przygłuszeni i onieśmieleni przez gromadę elegantów. To prawda, że Robert Greene miał opinię największego poety Anglii. Po ostatnim jego dowcipie na sali powiało chłodem. Także Hugh rzucił niespokojnym spojrzeniem wokoło. Stół Greene'a chichotał.

Znowu odezwał się Burbage, tym samym, co poprzednio, spokojnym głosem:

— Nie wiem, czemu master Greene, usiłuje pan obrazić naszego towarzysza. Chętnie grywamy sztuki wielkich pisarzy, jak pan i pańscy przyjaciele — skłonił się w stronę ludzi siedzących przy stole w kącie sali — i zawsze dumni będzie my mogąc je grać. Po to jesteśmy my, aktorzy. Ale wydaje się, że trzeba, aby było także miejsce dla młodszych... A co do broszurek, master Greene, to wiemy, że wielu jest takich, którzy szukają zakazanych książek pod ladą u księgarzy...

Stół Greene'a przyjął uśmiechem zręczną odpowiedź. Sam Greene powiedział:

— Zgoda, master Burbage. Ma pan rację, że powinniśmy trzymać się razem. Nie miałem was zresztą zamiaru obrażać, choć wolałbym, abyście byli tylko aktorami, którzy mówią ze sceny słowami prawdziwych poetów. Zdrowie wasze!

Uniósł kubek i z daleka przepił do aktorów, którzy z przymuszonym nieco uśmiechem także podnieśli w górę swoje kubki. Greene i jego przyjaciele zajęli się rozmową między sobą. Aktorzy powrócili również do jedzenia i picia. Ale humory pozostały zwarzone. Dawna hałaśliwa wesołość nie powróciła. Hugh miał wrażenie, że aktorzy unikają wzroku młodego poety, którego poza Burbagem żaden nie wziął w obronę. Gdy przepijano do siebie wzajemnie z tamtym stołem, jasnowłosey aktor nie ruszył swego kubka. Siedział blady, z mocno zaciśniętymi ustami, wpatrzony w stół. Na skroniach stały mu drobne kropelki potu, które wystąpiły, gdy tamci obrzucali go drwinami.

— Nie przejmuj się. — Hugh usłyszał, jak Burbage po wiedział do jasnowłosego. — Nie przeskoczysz ich teraz. Jeszcze są w łaskach. Ale bądź cierpliwy...

Po twarzy aktora przemknął grymas jakby gniewnej ironii, ale skinął potakująco głową. Tymczasem aktorzy poczęli na nowo rozmawiać o jego sztuce. Hughowi wydało się, że mówią teraz o niej z mniejszym niż poprzednio entuzjazmem. Można było sądzić, że utracili zapał i wiarę w powodzenie tragedii, którą tak poprzednio wychwalali. Tylko Jakub Burbage mówił nadal o sztuce z uznaniem.

Jedna z usługujących dziewcząt, z którą kierownik trupy poprzednio na boku rozmawiał, podeszła teraz do niego i powiedziała coś na ucho. Drgnął jakby zaskoczony otrzymaną nowiną. Chwilę namyślał się. Potem znowu odwołał dziewczynę i począł z nią szeptać. Hugh śledził z boku jasnowłosego aktora. Gdy jego koledzy rozmawiali, on popadł w milczenie i tylko nerwowo ugniatał w palcach gałki z chleba. Rzucony przez Greene'a żart o „broszurkach z Douay” kazał Hughowi zwrócić bacniejszą uwagę na młodego człowieka. Miał on twarz długą; twardo, po chłopsku zarysowaną szczękę i grube, zmysłowe wargi, które wciąż zagryzał lub krzywił. Przeciwnieństwem tych warg i tej szczęki były oczy marzące, jasnobłękitne, nad którymi trzepotały długie, złote rzęsy. Gdy tamci kpili z niego — oczy ściemniały i wydawały się całkiem czarne. Teraz odzyskały swą barwę.

Pochylając się ku aktorowi rzekł:

— Słyszałem, że to nie pierwsza pańska sztuka, master Szekspir. Powinszować talentu...

Tamten drgnął nagle wyrwany ze swych rozmyślań. Uśmiechnął się. Począł z widocznym zadowoleniem wyliczać sztuki, które napisał sam lub do spółki z innymi. Ale po chwili skrzywił się.

— Tak, coś niecoś napisało się — powiedział. — Ale to nie to, co bym chciał...

— Nie to?

— Nie. Mam już dość tych krwawych tragedii, które okla skuje gawiedź! Ale cóż? Tylko to się podoba! I tylko to przechodzi...

— Nie bardzo rozumiem...

— Jestem poetą, doktorze, więc pragnąłbym iść za najde likatniejszymi drganiami duszy ludzkiej. Sięgać w głąb czło wieka. Wypowiedzieć go całego, z całym bogactwem tego, co w nim jest. Zobaczyć cienie w szlachetnym i echo dobrego w złym... Niestety — westchnął.

— Najprzód mamy publicz ność, która domaga się mordów, gwałtów i okropności, a po tem cenzorów i szpiegów, którzy tylko nasłuchują, czy nie zabrzmiał coś, co by obrażało rząd królowej...

— Lecz słyszałem, że królowa jest łaskawa dla artystów.

— Owszem — mruknął — ale wpierw trzeba dać się po znać. Być jak ci — ruchem głowy wskazał w kącie. — Ta banda pilnuje jednak, aby nikt nowy nie wypłynął. Słyszał pan zresztą.

— Słyszałem.

— To prawda, że nie mam wykształcenia. Zakosztowałem biedy... Muszę dochodzić wszystkiego sam! — Zmarszczył brwi, zacisnął zęby. Oczy mu znowu ściemniały, a kanciasta szczęka zarysowała się mocniej. — Ale ja wiem — powiedział stłumionym głosem — czego chcę. — Poruszył w powietrzu zaciśniętą pięścią. — I wiem, że potrafię!

— Jest pan ambitny, master Szekspir.

Uczył głową niecierpliwy ruch, jakby chciał powiedzieć: każdy mi to mówi, ale taki jestem i takim zostanę!

— To piękna rzecz być artystą — podjął Hugh. — Artysta odtwarza człowieka, jak pan powiedział, z jego cnotami i grzechami. Ale także artysta powinien mu wytyczać drogę.

Artysta jest jak kapłan: gdy widzi, że człowiek tkwi w złem, musi mu to zło pokazać. Nie wolno mu uspokajać ludzkiego sumienia. Musi nim wstrząsnąć. Musi je niepokoić...

Szekspir dźwignął głowę, którą przedtem opuścił, gdyż znowu bawił się lepieniem kulek z chleba. Uniósł brwi, a fala zmarszczek pobiegła w górę, aż do miejsca, gdzie zaczynały się przerzedzone włosy. Spojrzał z boku na Hugh'a.

— Jak to pan rozumiej doktorze?

— Mówił pan, że chciałby pan porzucić pisanie krwawych tragedii. Takie tragedie są złe, gdyż budzą ukryte w czło wieku okrucieństwo. Ale przecież wokoło nas dokonują się mordy, krwawe gwałty... Przeciwno prawdzie...

Ruchliwe palce aktora uniosły się nagle gestem, który powstrzymywał. Szekspir rozejrzał się.

— Nie, nie — powiedział, jakby chciał się tym oderwać od słów Hugh'a. Chwilę siedział bez słowa bawiąc się swymi kulkami. Potem powiedział cicho, nie podnosząc głowy: — Aby przeżyło, co jest w człowieku, musi przeżyć człowiek...

Hugh chciał odpowiedzieć, lecz za ledwie otworzył usta, zamknął je. Czy miał prawo sprzeciwić się? Przypomniał sobie, co mu przyszło do głowy, gdy rozmawiał z Kempem: a jeżeli oni byli ostatnią twierdzą prawdy? Kto z nich musi się bardziej ukrywać: on czy ten aktor? Obaj milczeli. W końcu odezwał się Szekspir. Mówił wciąż półszepem, z oczami utkwionymi w stół:

— Był taki książę... Napisałem o nim tragedię, ale chciał bym ją napisać jeszcze raz.

Lepiej... Dlatego pytałem pana, (doktorze, czy pan poznał Danię. Ale mniejsza o ten kraj!

To się mogło dziać w każdym innym... Ten książę chciał ocalić swój plan. Więc udawał, że jest szaleńcem. Aby nie przestać być panem swego losu, zamknął się w tej grze jak ślimak w skorupie...

— I co się z nim stało?

— Zginął.

— Więc przegrał? Dlaczego?

— Miał tylko ludzkie serce. Chciał zemsty. Ale pragnął wyrzeć nie tylko życie. Także duszę...

W tej chwili Hugh poczuł czyjąś dłoń na swym ramieniu. Burbage pochylił się nad nim i powiedział:

— Chciałem z panem porozmawiać, doktorze. Wybacz, Will. To w sprawie tej pomady do rąk...

Przesiedli się na koniec stołu, gdzie było pusto. Aktorzy skupili się po przeciwnej stronie. Burbage nalał wina do dwóch kubków i przepił do Hugh'a. Gdy stukali się, powiedział:

— Proszę nie zdradzić wyrazem twarzy uczuć, gdy usłyszysz ojciec, co mam mu do powiedzenia... Wysłałem zaufanego chłopaka do „Czerwonego Konia”. Byli tam już searcherzy i prze szukiwali ojca tłumoczek... Czy ojciec miał coś kompromitu jącego?

— Miałem. Kielich, stulę, hostie... Także modlitwy dla tych, którzy chcą umierać w katolickiej wierze...

— Wobec tego ojciec nie może tam wracać. Proszę się nie lękać. Dziś zabierzemy ojca na noc ze sobą. Wprawdzie i my jesteśmy śledzeni, ale potrafimy znaleźć dla ojca bezpieczne ukrycie. A jutro wieczorem jedna z tutejszych pomywaczek zaprowadzi ojca do Southwark, do pewnego księdza...

Choć starał się panować nad sobą, siedział jak skamieniały. Ledwo wykrztusił:

— Jestem wdzięczny.

— Nie ma za co. Proszę starać się uśmiechać, gdy będę mówił. Są wśród nas tacy,

którzy pozostali wierni starej wiary. Ale ja, muszę przyznać się ojcu, nie mam żadnej...

— Więc dlaczego chce mi pan pomóc?

— Ponieważ nienawidzę purytanów. Księża katolicycy każą walczyć z grzechami. Ale godzą się z tym, że grzech jest... Dla was każdy ma prawo do wolnej woli nawet w postępowaniu złym. Lecz purytanie zaprzeczają człowiekowi grzeszącemu prawa do istnienia. Napijmy się jeszcze. Nie podoba mi się ten człowiek przy drzwiach... Gdyby purytanie zwyciężyli, zakazaliby wystawiania sztuk, a nas aktorów piętno waliłoby jak włóczągów rozpalonym żelazem...

— Lecz przecież oni nie rządzą w Anglii.

— Dziś nie rządzą, ale jutro mogą rządzić. Za zdrowie ojca. Są pewne prawa, które działają wśród ludzi. Dlatego tak cenię Willa, że on, choć nieuczony chłopak, czuje je...

— A on, kim jest?

— Chciałby ojciec wiedzieć, czy pozostał rzymskim katolikiem? Musiał uciec ze Stratfordu... Ale niech go ojciec zostawi, proszę. Niech go ojciec o nic nie pyta, do niczego nie namawia. Jestem pewien, że kiedyś przerośnie tamtych — ruchem głowy wskazał stół w kącie sali, znad którego unosiły się śmiechy i wesołe głosy. — Ale żeby to się stało, musi sam przeżyć życie swego duńskiego księcia...

Bracia nie czekali długo na przyjęcie. Za ledwie służący poszedł oznajmić swemu panu ich przybycie, gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich sam Walsingham. Kolejno brał każdego z nich w objęcia swych krótkich ramion. Potem skinieniem głowy wezwał ich, by przeszli z nim do jego gabinetu. Był to duży pokój, lecz zastawiony skromnymi meblami. Panował w nim nieporządek: na fotelach walała się odzież; wielki stół, a także podłoga wokół niego zasypana była stosem książek i papierów. Na wierzchu leżała otwarta gruba Biblia w skórzanej oprawie. Pod nią widać było wielkie, kolorowe mapy. Na bocznym stoliku, koło okna, również na stercie papierów leżał muszkiet dziwnego kształtu. Obok otwarta, lecz obrócona grzbietem do góry oprawna w safian książka z wytłoczonym złotem francuskim tytułem „Institution Chretienne”. Naprzeciwko biurka, na ścianie wisiał naturalnej wielkości portret Elżbiety. Królowa ubrana była wspaniale; w jednej ręce trzymała zwinięty wachlarz, w drugiej rękawiczki. Jej twarz zwrócona półprofilem patrzyła w przestrzeń z dziwną obojętnością.

Walsingham kazał im usiąść. Sam nie siadł — stał przed nimi, niska, gruba figura o kanciastych, podniesionych ramionach. Miał twarz pełną ciężkich fałd, niby pysk buldoga. Jego oczy przekrwione i podpuchłe zdradzały zmęczenie. Peruka przekrzywiła się i widać było pod nią łysą czaszkę.

— Cieszę się, że was widzę, chłopcy — powiedział. Głos jego wydawał się zachrypnięty. Wyciągnawszy gruby palec i wskazując nim kolejno braci pytał: — Ty jesteś John, prawda? A ty Roger? A ty Ryszard?

Młodzi Carysowie wstawali i przedstawiali się wujowi. Wysocy, rośli i opaleni, ubrani byli dostatnio, ale niezbyt modnie. Tylko najstarszy John bywał już przedtem w Londynie; młodszy bracia nigdy dotychczas nie opuszczali północy.

— Siadajcie — powiedział widząc, że nie śmieją siedzieć, gdy on stoi. — Nie zwracajcie uwagi na to, że jestem na nogach. Potrzebuję ruchu. Dobrze, żeście przyjechali. Jesteście moimi kuzynami i chciałbym się zająć waszą przyszłością. Ale tymczasem tę sprawę trzeba odłożyć na potem. Teraz mamy na karku wojnę.

Pochylił się, zdawał się napinać swój byczy kark.

— Nie chcę, abyście rozpowiadali o tym, co wam w tej chwili mówię, ale wojna jest już właściwie rozpoczęta. Książę Medina Sidonia — tak się nazywa wódz floty hiszpańskiej — otrzymał rozkaz wypłynięcia przeciwko nam i Armada przed kilkunastu dniami wyruszyła z Lizbony. Na szczęście szalejące tego roku sztormy zatrzymały ją przy brzegach hiszpańskich i częściowo rozproszyły. Wpłynęli do Coruny i tam się na nowo zbierają. Wiemy, czego możemy oczekiwać. Gdy zbiorą się, wypłyną znowu i poześlą ku naszym brzegom. Jej okręty są liczne. Nadziane wojskiem. Mają ze sobą stu osiemdziesięciu papistowskich mnichów. I oczywiście wszystkie papistowskie gusła: relikwie, figury, chorągwie...

Zadyszał się. Jego policzki uczyniły się sinofioletowe. Przysiadł na fotelu.

— Czy wuj może czuje się niedobrze? — zapytał najstarszy z braci. — Zawołam służbę! Potrząsnął swą wielką głową.

— Nie, nie trzeba... — Jeszcze przez chwilę zdawał się z trudem łapać oddech, potem jednak odetchnął lżej. — Dziękuję ci, John. Jestem po prostu zmęczony. Nie mam teraz czasu na odpoczynek. Gdy obronimy się — będziemy odpoczywali. A przynajmniej będą odpoczywali ci, co przeżyją... Już dobrze, chłopcy. Więc słuchajcie. — Wsparłszy się oburękami na stole, dźwignął się znowu na nogi. Stał chwiejąc się lekko — góra mięsa nad stertą papierów. Spomiędzy opadających na kark włosów wysunęły się uszy, duże, odstające, zwinięte w trąbkę. Sterczały ostro w górę, podobne do uszu zwierzęcych. — Napisałem do waszego ojca, abyście przyjechali. Jesteście moimi siostrzeńcami i dlatego musicie wziąć

udział w walce. Mogliście wprawdzie pełnić służbę obrony wybrzeża u was, na północy. Ale nie sądzę, aby Hiszpanie tam wylądowali. Będą chcieli wysadzić wojsko tu, na południu. Jak najbliżej Londynu. Jeżeli nie są szaleńcami, będą starali się przede wszystkim o zdobycie miasta. Gdyby zdobyli Londyn i zmusili królową do ucieczki, mieliby ułatwioną dalszą działalność. Mogliby ogłosić królową córkę Filipa. Mogliby sprowadzić tych wszystkich łotrów, którzy się teraz wieszają klamek Eskurialu. Mogliby przywieźć tego wściekłego Personsa i zrobić z niego drugiego Pole'a! Wiele by rzeczy mogli zrobić! Kto ma w rękę stolicę, ten spycha przeciwnika do roli buntownika. Tak zrobili papieści we Francji. To prawda, u nas jest inaczej. Ludność Londynu jest wierna królowej. Lecz tym bardziej gdyby została zwyciężona... Jeśli Hiszpanie mają choć trochę oleju w głowie, będą usiłowali wylądować tutaj!

Powiedzieli z zapalem:

— Będziemy walczyli, wuju! Pójdziemy bić się, gdzie ka żesz! Jesteśmy gotowi!

Przyjął ich zgłoszenie się życzliwym uśmiechem.

— Dobrze, chłopcy. Tego oczekiwałem. Doskonale. O resz cie pogadamy przy jedzeniu.

Ryszardzie, zadzwoń, proszę. — Wskazał haftowaną wstęgę, zakończoną złotą rączką.

Dwóch służących w bogatej liberii otworzyło drzwi. Położywszy swe grube dłonie na ramionach Johna i Rogera Wał-singham przeszedł razem z braćmi do jadalni. Sala była wielka i wspaniała. Służba poczęła zaraz obnosić zimne mięsa i ryby. Młodzi z apetytem zabrali się do jedzenia. Ale Walsingham jadł mało. Służący za jego krzesłem odpiął mu krezę i założył na szyję wielką serwetę. Każdy położony na swym talerzu kawałek mięsa sekretarz królowej zalewał ostrym, korzennym sosem. Każdy łyk popijał chciwie piwem. Czas jakiś milczał pozwalając, aby bracia nasycili pierwszy głód. Dopiero potem podjął:

— Będziemy się bronili ze wszystkich sił. Możemy zginąć, ale nie wolno nam przegrać.

Gdybyśmy przegrali, rozumiecie, to byYby koniec... Koniec wszystkiemu, co się zbudowało.

Ko niec naszemu bogactwu, naszej potędze. Koniec Anglii. Tamci wróciliby znowu.

Popadlibyśmy w hiszpańską niewolę. Zno wu by o wszystkim decydował ten krwawy

potwór, Filip! Nie wolno na to zezwolić. To, co zostało zbudowane — ja budo wałem. To

jest moje dzieło. Będę go bronił. I trzeba, abyście także wy tego bronili. Staliście się

bogatym, poważnym ro dem. Stoi przed wami przyszłość. Oczywiście — jeżeli zwy

ciężymy. Dlatego też teraz musicie być pierwszymi w walce. Najznakomitsze rycerstwo

zbiera się w Tilbury. Ale od was żądam więcej. Zanim Hiszpanie dopłyną, spróbujemy ich

zwy ciężyc na morzu. Nasza flota jest największą naszą siłą. Na okrętach oprócz

marynarzy musi być pewna liczba rycerzy i żołnierzy na wypadek walki wręcz.

Oczy młodych błysnęły. Przestali jeść — patrzyli na Wal-singhama.

— Czy chcesz, wuju — zapytał Roger — abyśmy wsiedli ria okręty?

— Tak. Chcę właśnie tego. Nie będziecie czekali, aż się zbierze rycerstwo. Widzę,

żeście mnie zrozumieli. To dobrze. Wiem, że wysyłając was na morze pozbawiam was

wielu przyjemności, jakie dać może pobyt w Londynie. Odbywają się tu zabawy, bale.

Sam zabiegałem o to, aby nie dopuścić do powstania atmosfery lęku. Jesteśmy śledzeni.

Niech hisz pańscy szpiedzy wiedzą, że nie boimy się. Lecz flota musi zawczasu

wypłynąć. Większość okrętów jest już na morzu. Inne kończą swe uzbrajanie w porcie.

Każdy z was zostanie przydzielony do innego okrętu. Mój sekretarz załatwi to.

— Kiedy chcesz, wuju, abyśmy odpłynęli? — tym razem odezwał się Ryszard.

— Kiedy... — przymrużonymi oczami patrzył na najmłodsze z braci. — W każdym

razie nie przed sobotą. W ten dzień królowa wydaje w Greenwich wspaniały bal i musicie

być na nim wszyscy trzej. Będziecie przedstawieni naszej władczyni. Ale potem trzeba,

abyście zaraz odpłynęli...

Służba wносиła potrawy za potrawami. Na deser podano półmisek kartofli w słodkiej przyprawie. Młodzi rycerze jedli po raz pierwszy w życiu ten zamorski przysmak. Próbując go, nieznacznie tręcali się łokciami. Przy deserze zastąpiono ich kubki srebrnymi kielichami, w które usługujący nalali wonną kurinię.

Walsingham przestał teraz mówić o wojnie. Wypytywał braci o zdrowie ich rodziców i ich własne plany życiowe. Obaj starsi byli już żonaci. Zapowiedział także, iż mają na balu wystąpić pięknie ubrani i w tym celu otrzyma każdy z nich po czterdzieści funtów. Dobre wino i łaskawość Walsinghama rozochociły młodych. John wznosił zdrowie wuja. Do jadalni wszedł cicho, prawie bez szelestu czarno ubrany sekretarz Walsinghama. Stał za krzesłem swego pana i coś szepnął mu do ucha. Tamten chwilę się namyślał, potem potakująco kiwnął głową. Zwrócił się do braci.

— Zostańcie przy stole i pijcie dalej. Nie mogę wam do trzymać dłużej towarzystwa.

Odrywają mnie ważne sprawy. Zobaczę się zresztą z wami w sobotę. Lecz z Ryszardem chciałbym jeszcze zamienić kilka słów. Przejdź, mój drogi, do poczekalni, a za chwilę zawołam cię.

. Kiwnął im głową i wyszedł z jadalni, a za nim wysunął się jego sekretarz, podobny do przemykającego bezszelestnie cienia.

Bracia rozmawiali jeszcze czas jakiś przy stole. Starsi byli trochę zdziwieni, czego wuj może chcieć od najmłodszego z nich. Z góry zazdrościli mu. Byli pewni, że obdarzony zostanie jakąś nową łaską.

— Kto wie, czy ci nie każe zostać na łodzi — rzekł Roger. Ryszard zmarszczył czoło. To nie była perspektywa, która

by go ucieszyła. Na morską wyprawę miał wielką ochotę. Gdzie łatwiej zdobyć sławę niż na morzu, zwłaszcza gdy flotą mają dowodzić Drake, Hawkins, Frobisher? Wprawdzie ten.

wyjazd narażał go na to, że nie będzie mógł teraz wziąć ślubu z Alex. Może się nawet zdarzyć, że jeżeli dziewczyna nie przyjedzie przed sobotą, wcale jej nie zobaczy. Lecz w ciągu tych kilku dni spędzonych w Londynie nastrój wojenny wziął w nim górę nad wszystkimi innymi uczuciami. Także słowa Walsinghama rozпалиły w nim pragnienie walki z najeźdźcami. Choć sam nie mógł pamiętać czasów królowej Marii, przekazano mu w dziedzictwie nienawiść do hiszpańskich rządów.

— Zobaczysz, że nie! — mówił. — Popłynę także! Posłuszny zleceniu wuja przeszedł do pokoju, w którym poprzednio czekali na przyjęcie. W kącie pokoju dwóch ludzi czekało także. Jeden z nich był młodym mężczyzną o wygolonych policzkach, skromnie ubranym. Siedział nieruchomo, mając splecione dłonie złożone na kolanach. Po jego szczupłej twarzy przemykały nerwowe skurcze. Oczy trzymał spuszczone i jeżeli na chwilę podnosił, zaraz opuszczał je z powrotem jak ktoś schwytyany na czymś niewłaściwym. Jego towarzysz wyglądał całkiem zwyczajnie: rosły chłop o gęstym zaroście. Spoza drzwi słychać było dwa głosy; jeden z nich był chrypliwym głosem Walsinghama. Potem drzwi otworzyły się: czarny sekretarz wyprowadził jakiegoś człowieka w długiej po kostki, staromodnej szacie, z teczką papierów pod pachą. Wyjrzał Walsingham. Powiedział do Ryszarda:

— Poczekaj jeszcze chwilę. Najpierw muszę ich załatwić.

Rozkazującym ruchem głowy wezwał do siebie tamtych dwóch. Pokornie, bez słowa weszli do gabinetu. Drzwi zamknęły się za nimi. Znudzony długim czekaniem Ryszard przymknął oczy. Szafkowy zegar chrzęścił metalicznie w kącie. Spoza drzwi dobiegały znowu czasami jakieś głosy: to chrypliwy Walsinghama, to cienki, jakby płaczliwy, pewno tego wygolonego chłopaka. Młody rycerz począł myśleć o wojnie. To by było nie do zniesienia, rozważał, gdyby wuj chciał go naprawdę zatrzymać na lądzie. Byłby powód do dumy,

gdyby zwyciężyli. Wprawdzie układali sobie z Alex... Lecz i ona, myślał, będzie dumna, gdy on wyruszy na wyprawę, na którą tylko nieliczni zostaną powołani.

Drzwi otworzyły się. Tamci dwaj wyszli. Z daleka usłyszał wołanie Walsinghama:

— Chodź!

Ci dwaj, mijając go, skłonili mu się nisko, domyśliwszy się widocznie, że jest kimś bliskim wszechwładnego sekretarza królowej. Młody mężczyzna wydał się Ryszardowi bledszy niż poprzednio. Jego twarz zdawała się jeszcze bardziej mienić i dygotać. Czoło miał zroszone potem. Szedł obok swego towarzysza z oczami wbitymi w ziemię.

Walsingham siedział przy swym biurku prawie całkiem zasłonięty stertą książek i papierów.

Teraz widać było po nim wyraźnie, że walczy ze zmęczeniem. Raz po raz ziewał.

Zanim odezwał się, tarł długo dłońmi twarz i oczy.

— Chcę z tobą porozmawiać szczerze — rzekł w końcu.

— Słucham cię, wuju.

— Twój ojciec pisał mi. Podobno chcesz się żenić?

— Tak...

— Z córką Francisa Nortona?

— Tak.

— On jest papistą.

— Jest papistą, wuju, to prawda. Ale nie takim jak inni! Przybywa do Londynu, by razem z lordem Browne oddać się do dyspozycji królowej. Chce walczyć z Hiszpanami. A Alex — kocha mnie...

Walsingham uczynił lekceważący ruch ręką.

— Z dziewczyną nie ma kłopotu. Gdyby została twoją żo-

ną, porzuciłaby rzymskie przesady. Ale wiem coś niecoś o jej ojcu. To twardy papista. Mąż

jego siostry zginął w rokoshu...

— To dawne sprawy, wuju...

— Nie ma dawnych spraw! Póki nie wymrze pokolenie „krwawej” Marii, nie można tamtym ufać. Ci papiści z pół nocy tylko marzą, by wbić nóż w plecy królestwu!

— Nasza szlachta jest rzeczywiście taka, wuju... Ale Nor ton... Nawet naraził się...

— Wiem... — przerwał. Znowu czas jakiś rozmasowywał sobie dłońmi omdlałą twarz. —

Zmęczony jestem — wyznał nieoczekiwanie. — Nie ma dnia, nie ma nocy. Wszystko na mnie... — Ale zaraz wyprostował się, wydał pierś. Grube dłonie oparł na stole. — Wiem o nim wszystko.

— Jest naprawdę, uczciwy... — zaczął Ryszard.

— Uczciwość? — Walsingham wzruszył ramionami, jakby usłyszał coś naiwnego.

Dźwignął się. Widocznie przemagał senność i zmęczenie ciągłym trzymaniem się na nogach. Wziął ze stołu jakiś papier.

— Twój Norton — rzekł — ma bratanka, jezuitę, nazwi skiem Palmer.

— Jestem przekonany, wuju, że nie utrzymuje z nim żadnych stosunków!

— To prawda, że nie przyłapaliśmy żadnych listów. Ale papiści są chytry. I ten jezuita został tu do nas wysłany...

— Jest w Anglii?

— Być może. Człowiek, który tu był przed chwilą u mnie, przebywał z nim razem w kolegium w Rzymie.

— W Rzymie? Ten z bladą twarzą? Co on tutaj robi?

— Nie rozumiesz? Został „spalony” i musiał wyjechać. Pa trzysz na mnie, jakbym ci opowiadał bajkę z tysiąca i jednej nocy. Ach, wy... Chcielibyście, aby wszystko robiło się samo. Po rycersku, co? Ja jednak muszę wiedzieć, co się tam dzieje. Jakie podstępny knują!

Za pieniądze można wszystko. Powiada, że ten Palmer wyjechał z Rzymu...

— Do Anglii?

— Wszystkich ich teraz przysyłają tutaj.

— Wuju, daję ci słowo, że nie widziałem tam żadnego je zuity!

— Oni potrafią się kryć. Są jak lisy. Tych dwóch, o kó rych wiemy, że znajdują się w Anglii, Topcliffe nie może w żaden sposób wykopać. A ten, kto wie, czy nie jest niebezpieczniejszy...

— Dlaczego?

— Właśnie dlatego, że jest siostrzeńcem Nortona. I kto wie, czy Norton właśnie dlatego...

Nie podoba mi się ta sprawa. Nie podoba mi się, że się chcesz z nimi wiązać.

— Wuju, jeśli on nawet przybył, nie zdoła przecież namó wić Nortona, by odrzucił wezwanie lorda Browne... Upewniam cię, wuju, że jestem zaciętym przeciwnikiem papistów. Ale Norton jest naprawdę inny...

— Co ty tam wiesz! — Walsingham rzucił z nagłą irytacją. Stał wciąż oparty o stół, posapując. Po chwili jednak uspo koił się. Zapytał na nowo swym zwykłym głosem. — Więc trwasz jednak przy tym, by ożenić się z córką Nortona?

— Kocham ją, wuju. I ona mnie. Nasi ojcowie dali zgodę... I daję ci słowo, wuju...

Przerwał mu pytaniem:

— Kiedy Norton przybędzie do Londynu?

— Powinien się zjawić lada dzień...

— W sobotę bal w pałacu. Oni będą tam także...

— Oni? Na balu u królowej?

— Tak. Królowa łaskawa dla Browne'a i dla tych, którzy są z nim. Dobrze. Zobaczymy się wtedy. Poznam go i powró cimy do tej sprawy... A teraz — bądź zdrów.

Przywołał go gestem do siebie i ucałował w oba policzki. Gdy Ryszard wychodził, zobaczył, że w pokoju obok czekało znowu kilku ludzi.

Ulice były ciemne, gęsta ciżba, która je wypełniała w ciągu dnia, rozproszyła się już.

Przemykali jeszcze pojedynczy przechodnie lub napotykało się gromadki, idące z latarniami lub z pochodniami. Ale przed „Syreną” paliły się światła i stały konie lub lektyki tych, którzy pili na górze. Znudzona czekaniem służba zabawiała się hałaśliwymi rozmowami.

Stosownie do tego, co mu powiedział Burbage, Hugh pojawił się wieczorem przed oberżą.

Minął główne wejście i zbliżył się do bramy otwierającej się na Friday Street. Służyła ona przede wszystkim służbie i dostawcom, bo tędy wchodziło się do wielkiej, zajmującej cały dół domu kuchni. Budynek był oddzielony od ulicy podwórzem, na którym leżały sagi drzewa i stały jakieś beczki. Hugh wszedłszy na podwórze zbliżył się do okratowanych okien kuchni. Buchały z nich mocne wonie piekących się mięs i korzennych sosów. Kilku biało ubranych kuchcików kręciło się przed paleniskiem, obracając rożny i mieszając w garnkach. Pośrodku kuchni stał główny kucharz, wielki mężczyzna z czerwoną twarzą.

Wydawał rozkazy swoim pomocnikom, wymachując energicznie potężną warząchwią. W głębi, w gęstych tumanach pary, pracowały pomywaczki. Stały wokół ogromnej niecki i zanurzwszy w niej obnażone aż po ramiona ręce, myły naczynia, a umyte podawały za siebie dwom starszym kobietom, które zajmowały się ich wycieraniem.

Hugh nie chciał wywoływać zainteresowania swoją osobą, toteż czekał, póki ktoś nie wyjdzie. Nie musiał czekać długo: jeden z kuchcików, kłapiąc drewnianymi chodakami, wyskoczył na dwór, by przynieść naręczce drzewa. Przywołał go syknięciem. Chłopak podbiegł do niego natychmiast.

— Czym mogę służyć czcigodnemu lordowi?

Pytał wesoło przechylając głowę jak wróbel. Nie był ani trochę spłoszony, musiał być nawykły do wypełniania zleceń gości.

— Jest tu wśród pomywaczek jedna, imieniem Małgo rzata...

— Jest! — pospieszył naprzeciw. — Ładna dziewczucha. Chce cie, panie, abym ją zawołał?

— Tak... — Był zaskoczony tym zapewnieniem: „ładna dziewczucha”. Chłopak nie ruszył się.

Patrzył wyczekująco na Palmera, uśmiechnięty wesoło. Hugh zrozumiał, że czeka na napiwek. Wcisnął mu w dłoń dwa farthingi. Chłopak nie wy dawał się zbytnio zachwycony otrzymaną kwotą. Ale powie dział:

— Idę, sir. Zaraz przyjdzie...

Kłapiąc chodakami wrócił do kuchni. Hugh zbliżył się znowu do okna. Czyżby — myślał — zaszła jakaś pomyłka? Zobaczył, jak chłopak przepycha się do pomywaczek. Mówił coś do jednej z nich, pochylonej nad niecką. Tamta strząsnęła ręce, wytarła je w fartuch.

Nieśmiało zbliżyła się do kucharza. Miała pulchną okrągłą figurkę. Spod chustki zawiązanej na głowie wyglądały włosy. Mówiła teraz do kucharza. Ten pochylił się nad nią, a potem uszczypnął ją swą wielką, czerwoną łapą w pośladek. Hugh widział, jak dziewczyna szczerzy wesoło zęby, wcale nie oburzona tą pieśszczotą. Znowu rozmawiali. Kucharz trząśł głową, dziewczyna zdawała się prosić. Wreszcie zrobił ręką gest, jakby mówił: tylko prędko! Wtedy zarzuciła na nagie ramiona czarną chustkę i skierowała się ku wyjściu. Za chwilę zobaczył ją w drzwiach.

— Chcieliście, panie, mówić ze mną? — zapytała.

— Tak. Nazywasz się Małgorzata?

— Od samego chrztu — poczęła chichotać.

— Znasz master Burbage'a z teatru? Przestała się śmiać. Zrobiła minę poważną.

— Znam. To o was, panie, mówił?

— O mnie. Podobno mogłabyś mnie zaprowadzić...

— Mogłabym, pewno... Ale widzicie — drapała się w ucho, zakłopotana. — Kucharz nie pozwala wyjść. Strasznie dużo dzisiaj gości naszło. Wielcy panowie... — Biło od niej ciepło, musiała być wyparzona stojąc godzinami nad niecką z gorącą wodą. Jej dłonie były nienaturalnie różowe. — Chyba gdy byście mu co dali...

— Dobrze — powiedział. Sięgnął do kieszeni, podał jej kilka pensów. Skinęła głową i odbiegła furkocząc spódnicą. Wiadział przez okno, jak rozmawia z kucharzem. Tamten położył jej łapę na biodrze. Nie broniła się, tylko chichotała i mi zdrzyła się. Nareszcie zobaczył, jak mu podaje pieniądze. Tamten oglądał każdy pens oddzielnie. W końcu kiwnął głową. Po chwili dziewczyna była z powrotem na podwórzu. Zamiast czarnej chustki, którą poprzednio była okryta, miała na sobie jubkę z rękawami, a na głowie ocieniający policzki kapturek. Zdażyła się też skropić wodą różaną lub innym pachnidłem domowego wyrobu. Nic nie mówiąc, dała mu znak głową, by szedł za nią. Zaledwie oddalili się od oberży, znaleźli się w mroku. Ale letnia noc była pogodna i kawałek księżycy na niebie świecił wystarczająco, że można było iść. Szli w dół Friday Street. Rzadko mijali zapóźnionego przechodnia.

— Dokąd mnie prowadzisz? — zapytał.

— Master Burbage mówił mi, że mam was, panie, zaprowadzić do księdza Edwarda...

— Tak. To daleko?

— Daleko, panie. Za rzeką.

Od Burbage'a, u którego spędził poprzednią noc, dowiedział się, że ów Edward jest starym „mariańskim” księdzem (to znaczy wyświęconym jeszcze za czasów królowej Marii). Aktor sądził, że u niego Hugh będzie mógł się schronić i od niego dowie się, gdzie może znaleźć swego superiora. Poza tym, jego zdaniem, po zniknięciu z oberży powinien był na jakiś czas opuścić miasto.

Z Friday Street skręcili w ulicę świętego Tomasza Apostoła.

— Wiesz, kim jestem? — zapytał.

— Wiem — powiedziała. — Master Burbage mówił...

— Mów mi: ojciec.

— Dobrze, ojciec.

— Jesteś katoliczką, prawda?

— Jestem.

— Czemu poszłaś pracować do tej oberży? Nie wydaje mi się, aby to było przyzwoite miejsce.

— Szukałam pracy i tam mnie wzięli. Muszę pracować. Mój ojciec nas porzucił...

— Dlaczego?

— Upijał się, bił matkę, nie chciał jej dawać pieniędzy na życie. A potem oskarżył matkę, że nie chce chodzić do kościoła...

— I co?

— Wezwali matkę do sędziego. Kazał zapłacić karę. Pięć szylingów! Trzeba było sprzedać, co było w domu, żeby za płacić. I jeszcze dokończyć. Teraz musimy chodzić na te ich nabożeństwa. Ale się nie modlimy. A ojciec wpadł do rzeki i utopił się. Na pewno Pan Bóg go ukarał...

— Jest was wiele w domu?

— Matka, ja i jeszcze troje młodszych. Matka szyje i piecze. A mnie przyjęli do pracy w gospodzie. Kucharz jest dla matki znajomym. On nie jest zły, tylko mu się trzeba opłacać...

— Opłacać?

— Tak. Bo z tego mycia naczyń to tyle ma człowiek co nic. Ale czasami coś spadnie. To

jemu trzeba zawsze dać po łowę.

Znowu skręcili. Uliczka, w którą teraz weszli, była wąska i tak zacieniona sterczącymi górnymi piętrami domów, że wydawała się studnią. Hugh, choć nie znał miasta, zdawał sobie sprawę, że zeszli w nadbrzeżną dzielnicę. Pod nogami chlu-potało błoto, w powietrzu unosił się zapach wilgoci i zgnilizny.

Dotychczas szli wśród ciszy. Nagle gdzieś w pobliżu rozległ się dziki wrzask, a potem słyhać było, jak ktoś ucieka wołając na całe gardło: „Ratunku! na pomoc!” Uciekającego gonili jacyś ludzie z krzykiem i klątwami. Dziewczyna błyskawicznie chwyciła Hugh'a za rękę i pociągnęła go pod mur. Przycisnęli się do drzwi domu, które znajdowały się w małej wnęce. Stali tak blisko siebie, słysząc wzajemne uderzenia swoich serc. Krzyk rozlegał się coraz bliżej w ciemności. Mogli usłyszeć także, jak ktoś biegł, człapiąc po błocie. Uciekający przestał wołać. Rzężąc z wysiłku, przebiegł tuż obok nich. Potem usłyszeli, jak biegną jego prześladowcy. Odgłosy poczęły się oddalać. W ciszy, jaka na nowo powróciła, zaskrzy piało otwierane nad ich głowami okno. Posłyszeli głos kobiety, który mówił

— Znowu kogoś mordują... Boże Wszechmogący...!

— Nie wtykaj nosa w cudze sprawy! — burknął głos męski. — Kładź się!

Okno znowu skrzypnęło; zamknęło się. Wyszli ze swego ukrycia. Zapytał cicho:

— Daleko jeszcze?

— Abyśmy doszli do mostu — odpowiedziała szeptem. — Na Southwarku spokojniej...

W głosie dziewczyny był niepokój, który natychmiast udzielił się i jemu. Od wczorajszego wieczoru, gdy dowiedział się, że został odkryty, strach dręczył go nieustannie. Na próżno usiłował o nim zapomnieć. Jeszcze póki przebywał wśród aktorów, łatwiej mu było zapanować nad nim. Byli gadatliwi, narzucali mu w rozmowie swoje sprawy. Lecz w miarę biegnących godzin coraz mocniej tłukło się w nim serce. Wszystkie jego myśli i uczucia były

niby łódeczka płynąca po potoku lęku. Uginając się pod brzemieniem przewidywań, czekał wieczoru.

Jeszcze zanim przyjechał do Londynu, słyszał po gospodach opowieści o tym, jak niebezpieczne są ulice londyńskie w porze nocnej. Miały już dawniej złą sławę. Teraz, gdy przez miasto przewalała się prawdziwa wędrówka ludów, stały się podobne, zaraz po zapadnięciu mroku, polom hulanki *rozmaitych* uzbrojonych band, które napadały na przechodniów, zabijały ich lub kaleczyły. Atakowały nawet poczty przejeżdżających dostojników. Strażnicy próbowali walczyć z awanturnikami, lecz na ogół bali się występować przeciwko liczniejszym bandom.

Burbage zapytany o to, jak rzecz wygląda, pokiwał tylko głową. „To wszystko prawda — przyznał. — Lecz mimo to ludzie chodzą nocą. Zwłaszcza ci, którym lepiej jest nie chodzić dniem... Nocą można spotkać się z bandytami, lecz rzadko z ludźmi Topcliffe'a...”

Jeśli tak, myślał, trzeba zaryzykować. Lecz gdy wychodził wieczorem na ulicę, czuł dreszcze na skórze. Jakże ten lęk był dokuczliwy! Lęk ciągłego przewidywania. Brzydził się nim i nienawidził go. A jednak zaledwie zbliżył się do niebezpieczeństwa, ono wykrzywiało ku niemu w sposób przerażający swoje oblicze. Najgorzej było pozostawać z tym niepokojem sam na sam. Nawet towarzystwo tej dziewczyny dodawało mu pewności siebie. Ale teraz, gdy pojął, że i ona się boi, strach zaczął go ponosić niby spłoszony wierzchowiec.

Po co zgodziłem się iść? Ogarnął go gniew na wszystkich, którzy go na tę nocną wyprawę wysłali: na tych, którzy mu kazali tu przyjechać, na Burbage'a, na tę dziewczynę... O niej myślał teraz z największą niechęcią. Łącząc w całość jej słowa i zachowanie począł sobie uświadamiać, z kim miał do czynienia. Wstrząsnął się i odruchowo odsunął od niej. W Rzymie natykał się nieraz na umalowane kurtyzany. Omijał je zawsze z daleka. Słyszał, że

mimo swego zawodu chodzą chętnie do kościoła i spowiadają się. On jednak unikał ich, nie chciał mieć z nimi nic do czynienia. Gotów był prawie uciekać na ich widok. A teraz on, zakonnik i misjonarz, szedł z jedną z nich! Zagryzł usta. Nie wiedział już, co w nim było silniejsze: wstręt do tej kobiety czy lęk przed niebezpieczeństwem.

Szli teraz ulicą równoległą do wytórzeża: przez przecznice widać było połyskującą w blasku księżycy szeroką równinę rzeki. Tamiza skrzyła się jak grzbiet ogromnej ryby.

— Daleko jeszcze? — zapytał.

— Już dochodzimy do mostu.

— Przejdziemy?

— Teraz bram na moście nie zamykają.

Właśnie minęli mały kościółek, stojący na środku ulicy, gdy tuż przed nimi błysnęło światło i rozległy się krzyki. Prosto na nich z głębi ulicy szła hałaśliwie gromada ludzi.

Rzucili się pod ścianę i przycisnęli do niej. Ale mur był gładki bez załomów. Uciekać w tył nie było czasu, tamci nadchodzili szybko. Zginęliśmy — pomyślał Hugh.

Poczuł, jak dziewczyna przyciska się mocno do jego boku. Musiała być także wystraszona. Nagle chwyciła jego rękę i okręciła się nią jak szalem. Mimo przerażenia usiłował ją odepchnąć. Trzymała go jednak mocno. Usłyszał jej szept:

— Niech ojciec tak mnie trzyma! Proszę mnie objąć... Jak by ojciec...

Nie rozumiał, czego od niego chce. Odpychał ją. Lecz już ogarnął ich blask niesionej pochodni. Tamci nadeszli. Było to może dziesięciu ludzi, wykrzykujących coś na cały głos.

Musieli być pijani. Jeden z nich niósł pochodnię. Ujrawszy szarpiącą się parę otoczyli ją półkręgiem wrzeszcząc niedźwiedzimi głosami. Nie można było zrozumieć, czego chcą.

Hugh miał pochodnię przed samą twarzą. Jej blask oślepił go. Dziewczyna wciąż opasywała go ramionami. Kurczowo tuliła się do niego. Znowu szarpnął się, odepchnął

ją. Gniew powrócił. Nagle zapaliła się w jego głowie myśl, że to wszystko musiało być ukartowane. Przygotowano na niego zasadzkę. Nie wystarczało im, że go złapią — chcieli go złapać w objęciach takiej...! Jak mógł jej zawierzyć? Z wściekłością odepchnął jej wyciągające się ku niemu ręce. Tamci wybuchnęli salwą śmiechu. Oślepiiony przez pochodnię nie widział ich. Słyszał tylko ich rechot. Także ich krzyki:

— Nie złość się!

— Nie wstydz!

— Pokażcie, jak się kochacie!

— Pocałujcie się! No, prędko! Pocałujcie się!

Nie słyszał tego, co wołają. Gniew rozpalił się w nim taki, że zapomniał całkiem o lęku.

Przebiegło mu przez głowę, że lepiej zginąć niż być schwytanym w takiej sytuacji.

Przypomniawszy sobie o rapierze. Ale za ledwie chwycił za jego rękojeść, dziewczyna objęła go znowu, unieruchamiając mu rękę. Wspięła się na palce i zbliżyła twarz do jego rozpalonej twarzy. Zanim zdołał krzyknąć, poczuł jej wargi na swoich ustach.

Napastnicy zanosili się wesołym rykiem.

— Dobra! Dzielna mała!

— Pokaż mu, jak się całuje!

— Jeszcze raz!

— A ty bierz się także!

Znowu poczuł na wargach jej usta. Wściekłość przełamała się w nim na chwilę w rozpacz. Poczł ,się zgubiony, zhańbiony. Przestał się bronić. Tamci ciągle wesoło rechotali. Potem nagle cofnęli się. Odstąpił także ten z pochodnią. Teraz mo zna ich było. zobaczyć, jak stali roześmiani, podparci pod boki. To byli marynarze. Ich śmiech z tej odległości wydał się jakby dobroduszny...

— Bawcie się dalej! — zawołał któryś.

— Bawcie się! Nie zamęcz jej!

— A ty, mała, pokaż, co umiesz!

— Nie będziemy wam przeszkadzali...

— Użyjcie sobie...

Wśród ciągłego śmiechu machali ku nim kapeluszami. Potem zaczęli coś śpiewać i ruszyli dalej w stronę, w którą przedtem szli. Nie śmiał wierzyć — oddalali się! Blask od pochodni padał teraz przed nich. Na tle czerwonego oparu widać było jeszcze przez chwilę sylwetki odchodzących. Potem blask znikł, głosy poczęły cichnąć. Byli znowu w ciemnościach, sami.

Stali nieruchomo. Jej dłoń leżała dalej na jego ramieniu.

Nagle mężczyzna wstrząsnął się, jakby obudzony ze snu. Chwycił dziewczynę gwałtownie za rękę i odepchnął ją od siebie z taką siłą, że aż upadła. Pochylony nad nią rzucił głosem zduszonym:

— Jak śmiałaś! Ty! Jak śmiałaś!

Nie odpowiedziała. Słyszał, jak w ciemności podnosi się z błota i jak szybko oddycha.

— Jak śmiałaś? — dławiał się gniewem. — Nie wiesz, kim jestem?

— Wiem...

Odruchowym gestem strzepnął ubranie. Chwilę kołysał się niezdecydowanie na nogach, potem ruszył przed siebie. Pozostała w tyle, ale zaraz poczęła za nim biec. Szedł prędko.

Dogoniwszy go usiłowała dotrzymać mu kroku. Wydało mu się, że dziewczyna kuleje.

Usłyszał jej szlochanie. Lecz nie spojrzał na nią. Był zbyt przejęty szarpiącymi go uczuciami.

Miał uczucie, że to nie ona, ale on został wepchnięty w błoto.

Ulica skręciła w prawo. Przed nimi była rzeka i most. Brama nie znajdowała się na

początku mostu, ale trochę dalej. Tak jak dziewczyna mówiła, nie była zamknięta.

Idąc między stojącymi na moście domami nie widzieli rzeki. Czuli jednak bijący od niej chłodny, wilgotny powiew. Księżyc, omotany przez podnoszącą się mgłę, zamienił się w rozmazaną plamę.

Wciąż cicho płakała. Choć starał się tego nie słyszeć — nie mógł.

Zapytał prędko:

— Czego płaczesz?

— Ojciec gniewa się...

— To dlaczego tak się zachowałeś? Zaniósł się łkaniem.

— Jakbym tak nie zrobiła... mogli... mogli... ojcu... Czasu mi... jak zobaczą... dają spokój...

Może ma rację? — przemknęło mu przez głowę. Może naprawdę ocaliła go? A jednak nie mógł się pogodzić z myślą, że został ocalony w taki sposób!

— Przestań! — rzucił.

— Ale ojciec — szlochała — gniewa się... a ja... pamięta łam... że ojciec... dla nas... dla nas... — Zaniósł się płaczem.

— Przestań! — powtórzył. — Nie gniewam się... Czy ci coś zrobiłem? — zapytał po chwili.

— Nie, nic... ale ojciec... dla nas...

— Dosyć! Już przestań!

Jeszcze zaniósł się parę razy szlochem. Potem ucichła i tylko od czasu do czasu pociągała płaczliwie nosem. Most skończył się. Na lewo ciągnęły się zabudowania, na prawo sterczała na tle przetkanego poświatą nieba wieża kościoła. Szedł wciąż prędko. Uczucia kłębiły się w nim. Wciąż była w nim świadomość jakiegoś poniżenia. Ale nagle w jego wyobraźni pojawiła się niby postać wędrownego linoskoczka. Człowiek szedł balansując biodrami i utrzymanym w ręku drągiem. Wstrząsnął głową, chciał odpędzić tę

wizję. Lecz ona nie przestawała mu tkwić w myśli. Tamten bujał się na linie, a jednak szedł...

Mur był stary, popękany. Na jego szczycie rosło zielsko. Znajdowała się w nim brama, a obok niska furtka, przy której na łańcuchu wisiała zardzewiała kołatka. Dziewczyna zastukała mocno. Długo czekali na otworzenie. Trzeba było jeszcze uderzyć drugi i trzeci raz, zanim usłyszeli za murem powolne, człapiące kroki.

Otworzyło się w furtce małe okienko i skrzypiący głos kobiety zapytał:

— Kto tam? Czego?

— To ja. Małgorzata od Fordów. Otwórzcie, Katarzyno.

— Ty? O tej porze? Oszalałaś?

— Otwórzcie. Nie jestem sama. Przyprowaździłam kogoś do master Edwarda.

— Mówię ci, że oszalałaś. Master już śpi.

— Otwórzcie. Ten pan, którego przyprowaździłam, musi się dziś jeszcze zobaczyć z master Edwardem.

Spoza okienka dochodziło starcze, niechętne fukanie. ,

— Już noc...

— Otwórzcie, Katarzyno...

Tamta wciąż stękała, sapała i chrząkała. W końcu usłyszeli zgrzyt zasuwki i furtka uchyliła się. Zaledwie weszli, stara zatrzasnęła za nimi furtkę i zarygłowała ją. Była to niska kobieta, owinięta z głową w poszarpaną chustkę. Spod niej sterczał wielki, krogulczy nos i zwisały strąki włosów. Wyglądała jak czarownica.

O ile Hugh mógł zobaczyć, znajdowali się na małym podwórku. Choć mrok zacierał szczegóły, wydało mu się ono bardzo nędzne. Pośrodku połyskiwała wielka kałuża.

Obok

leżał na boku wóz, pozbawiony jednego koła. Nad wszystkim unosiła się woń błota i

stęchliwy.

Spostrzegł, że stara przygląda mu się uważnie. Głośno, raz po raz pociągała nosem.

Powiedział:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Jego Matka Maryja...

— Na wieki... — odburknęła. Ciągle czuł niechęć w jej zachowaniu. Zebrała mocniej chustkę i owinęła się nią. Mruknęła: — No, chodźcie.

Poszła przodem obchodząc kałużę. Z mroku wysunął się pies. Był niewielki, brudny i strasznie chudy. Nie szczekał. Z daleka zwęszył przybyłych i sunął w pewnej odległości od ich nóg.

W głębi podwórza stał niski budynek. Miał czarne, jakby okopcone ściany. Wyglądał na kuźnię. Stara idąc przodem otworzyła drzwi. Za nimi była czarna sień. Hugh znalazłszy się w niej zawadził o coś ramieniem i natychmiast odskoczył do tyłu, otoczony gwałtownym trzepotem skrzydeł i przeraźliwym gdakaniem. Po chwili zrozumiał, że musiały to być śpiące na szczeblach drabiny kury. Teraz stał w ciemności nie wiedząc, w którą stronę postąpić.

Usłyszał głos starej, jak przemawiała uspokajająco do kur; potem załomotała w jakieś drzwi.

Odpowiedział jej senny głos męski:

— He?

— Obudź się. Do ciebie.

— Czego znowu?

— Nie wiem. Obudź się.

Słysząc było sapanie, podobne całkiem do sapania starej. Chrzęściła słoma, na której ktoś się przewracał, ale wciąż nie wstawał. Kobieta znowu zaczęła wołać:

— No, obudź się! Wstań!

— Głowa... ->- zamamrotał głos w ciemności. — Źle się czuję...

— Trudno, wstawaj...

Wreszcie człowiek dźwignął się z posłania. Tymczasem błysnęły iskry — kobieta krzesłała ogień. Zapaliła mały kaganek. Jego płomyk, w miarę jak rósł, zdawał się rozpychać ściany mroku. Wnętrze izby było małe i nagie. Stół, na nim prosty krzyż i jakieś garnki; dwa grubo ociosane stołki; niski tapczan. Pod nogami ubita ziemia pokryta tatarakiem.

Mężczyzna stał przy tapczanie w długiej i niezbyt czystej koszuli. Na głowie miał włóczkową czapkę, którą skołtunione włosy uniosły i osadziły na bakier, niby kapelusz błazna.

Starą, zrytą zmarszczkami twarz o ciemnej skórze pokrywał siwy zarost. Oczy człowieka były blade, miały wyraz jakby nieprzytomny. Z nie domkniętych ust spływała ślina.

— Czego? Czego? — bełkotał. - Kobieta wskazała ręką Hugh'a.

— Ten tu przyszedł.

Ksiądz utkwiał w Hughu swe blade, błędne oczy. Z jego ust bił nieprzyjemny zapach.

— Czego pan chce? Kto pan jest? Czy kto umiera? ,

— Nie, nikt nie umiera... — Hughowi zabrakło słów, tak bardzo zaskoczył go widok księdza. — Przyszedłem w innej sprawie...

— W jakiej?

— Jestem tak samo księdzem... — wypowiedział to z pełnym wahaniem. — Szukam ukrycia i pomocy...

Stary uczynił gwałtowny, odpychający gest.

— Niech pan stąd idzie! Niech pan idzie! Nie wiem o żadnych księżach! Nie znam pana!

Proszę stąd iść!

— Lecz, proszę ojca...

— Nie! Nie! Nie znam pana! Proszę iść! Proszę iść! — po wtargał to raz po raz, jakby był nakręconą pozytywką. Uniósł ręce nad głową. Trząsł się cały, z gniewu czy może z trwogi.

Wyglądał żałośnie w swej długiej koszuli, spod której wyglądały bosa stopy.

— Ojciec mnie wyrzuca?

— Niech pan idzie!

— Ojciec chce, aby mnie złapali? Szukają mnie... — W gło sie Hugh'a dzwonił także niepokój.

Tamten jeszcze raz powtórzył swoje: „proszę iść”, potem urwał w pół słowa. Chwilę stał z wciąż uniesionymi w górę rękami, z otwartymi ustami. Wreszcie wolno opuścił ręce. Coś burknął do starej, która poczłapała w kąt izby i przyniosła mu stamtąd okrycie. Gdy podawała mu je, a on usiłował trafić dłonią w rękawy, oboje sapali głośno. Wreszcie zawinął się w płaszcz, którego brzegi obszyte były zrudziałym i miejscami wytartym futrem. Schylił się i stękając odnalazł obok tapczana chodaki na drewnianych podeszwach. Teraz podszedł do stołu, wziął w rękę kaganek. Świecąc nim patrzył na Hugh'a.

— Niech pan odmówi prefację na Boże Narodzenie — za żądał. Gdy Hugh spełnił to życzenie, kazał mu jeszcze odmówić Ojciec nasz. — Dobrze — mruknął. Z kolei obrócił się ku dziewczynie. — A to kto? — zapytał kierując ku niej długi, kościsty palec.

Zamiast dziewczyny odezwała się stara:

— Znam ją... Machnął ręką.

— To ją zabieraj! Idźcie sobie! Czy ksiądz — zwrócił się do Hugh'a — chce coś zjeść?

Zanim zdołał odpowiedzieć, stara burknęła:

— Nic nie ma...

— Cicho bądź! — krzyknął na nią. — Więc jak? — powtórzył swe pytanie.

— Nie, dziękuję, proszę ojca. Nie jestem głodny. Gdyby można jedynie trochę wody...

— Przynieś wodę! — rozkazał. — I idźcie sobie! — powie działał do kobiet. Stał i trzymał

Hugh'a na stojąco, póki kobieta nie wróciła z garnczkiem wody. Hugh wypił kilka łyków,

choć pachniała kałużą.

Dopiero gdy drzwi zamknęły się za kobietami, ksiądz wskazał Hughowi jeden z koślawych stołków.

— Niech ojciec siada. Ksiądz jest księdzem z kontynentu?

— Tak.

— Zakonnikiem? Może jezuitą?

— Jezuitą.

Prychnął nosem, jakby to stwierdzenie obudziło w nim gniew. Choć Hugh usiadł, on stał dalej.

— Oczywiście! Przyjechał ojciec do Anglii. A kiedy zoba czył, że go ścigają, nie miał nic lepszego do roboty, jak szukać schronienia u mnie! Dlaczego ojciec nie udał się do swoich? My i wy nie mamy nic ze sobą.

Próbował się usprawiedliwić:

— Przyjechałem do Londynu dopiero wczoraj. Nie wie działałem, gdzie ich szukać.

Drwiąco podrzucił ramionami.

— Może ojciec myślał, że tu ich znajdzie? Trzeba było iść do pałacu, do lordów... W Rzymie nie dali ojcu żadnego adresu?

— Z Rzymu wyjechałem dawno.

— I ojca już szukają?

— Na pewno. Zatrzymałem się w oberży. Przyszli ludzie Topcliffe'a i przeszukali moje rzeczy. Ostrzeżono mnie, abym nie wracał...

Stary ksiądz musiał się zmęczyć staniem, bo usiadł. Teraz, gdy trzymał twarz blisko ognia, widać było, jak bardzo jest naznaczona goryczą. Wciąż sapał; to sapanie musiało być u niego oznaką gniewu, może zmęczenia. Mocniej, aż na uszy, naciągnął swoją czapkę.

— Jesteście jak dzieci... — powiedział. — Jak dzieci...A potem chcecie, żeby was ratować.

Ale jak? Czy ojciec myśli, że mam u siebie skrytkę w ścianie? I dlaczego ojciec do mnie!? — nagle nastroszył się. — Wy inaczej, ja inaczej...

/nowu sapał. W jego chaotycznych słowach zdawała się ciągle rwać myśl.

— Czy północ minęła? — zapytał nagle.

— Chyba jeszcze nie.., — Hugh odpowiedział niepewnie, zaskoczony tym pytaniem.

Siedział chwilę nieruchomo, jakby czegoś nasłuchiwał. Potem skinął głową.

— Tak — mruknął — jeszcze jej nie było... — Wstał, podszedł do tapczanu.

Schyliwszy się znowu z bolesnym stęknieniem wyjął zza niego gliniany dzbanek.

Przyniósł go do stołu i postawił na nim. — Napije się ojciec? — zapytał.

Nie czekając na odpowiedź wylał na ziemię resztę nie dopitej przez Hugh'a wody. Nalał z dzbanka do dwóch kubków. Hugh zaledwie umoczył wargi w napoju, odsunął kubek od ust. Była to mocna, paląca wódka. Ksiądz nie zachęcał go do picia. Jednym łykiem wychylił swój kubek. Chwilę siedział nieruchomo jakby czekając, aż palący płyn przemknie cały organizm. Na jego twarz wolno wypłynęła różowość; przygasłe oczy błysnęły żywiej. Od razu utraciły swój nieprzytomny wyraz.

— Nie pomagałem nigdy żadnemu jezuitcie — powiedział. — Mnie jezuitci także nie pomagali. Wszystkiego mogłem ocze kiwać, tylko nie tego, że ojciec tu przyjdzie. —

Wódka sprawiała, że mówił łatwiej. — Ojciec myślał, że skoro obaj jesteśmy księżmi, to między nami...? — Zaczął się śmiać. — Ojciec przyjechał i jest jak dziecko. Gdyby każdy z tych, co przyjeżdżają, szukał pomocy u mnie, już by mnie nie było. Wie ojciec, co by się ze mną stało? Zgniłbym w lochu! Rozu mnie ojciec? Z takim jak ja oni się nie bawią. Nie urządzą procesów. Nie mamy także pieniędzy, aby przekupywać strażników. Toteż po prostu zgładzają nas. Kiedy się was skażuje — uderza się tych, którzy

was wysyłają. Ale na takich jak ja nikomu nie zależy...

Wódka uczyniła go niespodziewanie wymownym. Kiedy Hugh otworzył usta, by coś powiedzieć, przerwał mu:

— Niech ojciec zaczeka! Trzeba było iść do pałaców na Holborn: do Trockmortonów, do panów Catesby i Fortescue... Jezuici tam się zwykle kryją. Gdy przyjdą tacy, co szukają, można im sypnąć złotem i namówić ich, by na chwilę za mknęli oczy... Ale u mnie nie znajdzie ojciec nawet złama nego pensa!

Znowu nalał sobie kubek i spiesznie wychylił go. Wódka rozgrzała go. Przestał się otulać w wytarty płaszcz. Przez rozchylony płaszcz i koszulę Hugh widział w blasku kaganka jego zwiotczałe ciało — cienką skórę, tworzącą fałdy na kościach.

— Cóż — podjął dalej — co innego oni, co innego ja... Wy jesteście uczeni. Umiecie dyskutować z tamtymi, umiecie im pokazać, że nie mają racji. Ja tego nie potrafię.

Niewiele mnie nauczyli, a co umiałem, zapomniałem przez te lata. Ła ciny to już całkiem nie rozumiem... Wypowiadam słowa, i nie wiem, co *znaczą*... Mogłem zostać na parafii. Ale pamięć tałem, jak uczyli, że trzeba być wiernym... Wyrzucono mnie. Nikt mnie nie myślał zabijać. Ale zostałem sam. Bez parafii, bez biskupa. Sam. Od lat sam...

Hugh nie wiedział, czy ksiądz zdaje sobie jeszcze z tego sprawę, do kogo przemawia.

Może zapomniał w ogóle o jego obecności? I tylko prowadził rozmowę z samym sobą?

— Czasami spotkam drugiego takiego samego jak ja. Kró lewscy uważają nas za głupców, powiadają: moglibyście się tak samo modlić, mieć parafię, utrzymanie... Czy ja wiem? Niektórzy z naszych zaczęli się przy dworach... Ale nie wielu... Panowie wolą takich jak wy: mądrych... Dla nas zo stała hałastrą. Sprzedawcy z targu, przewoźnicy, tragarze w porcie, komedianci... Choć i komedianci wolą teraz was... Każdy, który pozostał wierny, woli was... Pewno, mają ra cję.

Na moment głos staremu zamarł. Siedział z szeroko otwartymi oczami, w których na nowo ukazał się wyraz otępienia.

— Mają — mówił coraz wolniej. — Nie potrafimy jak wy... Tylko — co będzie z tymi tu? Bo wy traficie do tamtych. Nie mówię nic przeciwko. Oni są ważni... Ale ci... Nawet te dziewczyny... Mają duszę...

Słowa przeszły w bełkot. Człowiek zmagał się z ogarniającą go słabością. Drżącą ręką sięgnął po kubek. Ale w chwili, gdy unosił go do ust, gdzieś za domem rozległo się pianie koguta. Ręka zatrzymała się w pół drogi. Drżała coraz mocniej. Po chwili opadła z powrotem na stół.

— Północ minęła... — powiedział. Przysunął sobie dzbanek i usiłował zlać do niego zawartość kubka. Ale ręka tak mu się trzęsła, że wódka rozlała się po stole,

— Więc czego ojciec chce ode mnie? — zapytał.

— Proszę o pomoc w odnalezieniu moich konfratrów. I chwilowo o schronienie. Jeśli to naraża zbytnio ojca...

— Schronienie... Naraża... — powtarzał te słowa wolno.

Trząśł głową. — Będzie ojcu zimno, głodno... Ryzyko niewielkie... Kto będzie szukał u nędzarza jak ja...? A tamtych — znajdziemy...

— Niech ojcu Pan Jezus nagrodzi...

Nie odpowiedział. Płomyk kaganka począł nagle pełgać i drgać spazmatycznie. W jego dogasającym blasku ukazywała się raz po raz twarz księdza przypominająca żalostną maskę umierającego.

— Nie ma więcej oleju — powiedział. — Trzeba się kłaść. Korzystając z ostatnich drgnięć światła Hugh rozbierał

się. Gdy odpiął rapier i położył go na stole, ksiądz pochylił się nad bronią, niby nad nie

znanym sobie przedmiotem.

— Tym — zamamrotał — zabijają... Nosicie, żeby was nie poznali. Ale... — Przesunął palcem po oszytej aksamitem pochwie. Nie skończył tego, co chciał powiedzieć. Zdawał się, dogasać—: jak ten kaganek. Ale jeszcze po chwili podjął: — Jutro niech ojciec odprawi mszę. Nie mam dość wina... Przychodzi trochę ludzi... Niech ojciec do nich powie. Mnie już rozumu nie starcza... Ojciec wie, co trzeba... Ja...

Znowu nie skończył. Kaganek zgasł, izbę ogarnęła ciemność.

Noc była jasna i gorąca, nawet duszna. Bokami przesuwała się burza i nisko na horyzoncie mrugały błyskawice. Tego lata przelatywały ciągle. Rok, jak to zapowiadały niezliczone przepowiednie, pełen był burz, huraganów, ulewnych deszczów. W mętnych falach rzeki odbijały się światła jarzącego się rześście od góry do dołu pałacu. Królowa wydawała w Greenwich wielką zabawę. Działziniec pełen był powozów, lektyk i koni wierzchowych, które trzymała barwnie poubierana służba. W przystani stały postrojone barki; przybyła nimi część gości. Z okien pałacu wylewała się kaskadami muzyka do tańca, której przysłuchiwali się z otwartymi szeroko ustami okoliczni wieśniacy.

W największej z sal orkiestra zagrała właśnie wesołe ca-nari. Sama Elżbieta tańczyła w pierwszej parze. Jej partnerem był Essex. Chuda, czerwono włosą kobieta i czarująco piękny rycerz krążyli wokół siebie trzymając się za ręce. Potem mężczyzna odprowadzał tancerkę do jej fotela, a sam cofał się tanecznym krokiem. Odsunawszy się na całą długość sali na nowo powrócił do niej. Porwał ją i znowu obracali się w koło, spoglądając sobie w oczy, jakby prowadząc w ten sposób bezsłowną rozmowę.

Tłum dworaków i gości przyglądał się tańczącej parze. Wszystkie oczy były w nich wlepione. Na chwilę przed rozpoczęciem tańca przez salony przebiegał niespokojny szmer. Jacyś gońcy, w zapyłonych od długiej jazdy ubraniach, przepychający się bezwzględnie do gabinetu królowej, wywołali powszechne zaniepokojenie. Nikt nie mógł się dowiedzieć, co przywieźli. Królowa odeszła, by ich wysłuchać, lecz zaraz wróciła z powrotem na salę tańców. Wiele oczów śledziło jej twarz i zachowanie. Nic jednak nie zdołały zaobserwować. Elżbieta siedziała wesoła, otoczona gronem młodych mężczyzn. Walsingham przepchnął się do niej i coś jej szepnął do ucha. Odpowiedziała mu machnięciem wachlarza, które robiło wrażenie lekceważącego. „Niech zagrają canari” — poleciła. Zabrzmiały pierwsze tony

wesołego tańca. Gestem przywołała Essex. Podała mu rękę. Drobiąc nogami, twarzami obróceniu ku sobie odeszli na środek sali.

W tańcu wydawała się nieznużona. Na jej twarzy pokrytej grubą warstwą bielidła nie widać było potu. Misternie ułożone włosy nie potargały się nigdy. Najbliżsi, którzy wiedzieli, że cierpi na bóle w nogach, mogli tylko podziwiać lekkość jej stąpania. Gdy tańczyła, jej suknia szeleściła i długie sznury pereł dzwoniły. Czasami Essex mówił coś do niej. Wtedy wybuchała rżącym śmiechem, który słychać było w całym pałacu.

Oparty o poręcz fotela królowej Leicester śledził pogodnym wzrokiem tańczącą parę. Czuł się nieco lepiej. Słabość, jaka go ostatnio opanowała, ustępowała wieczorem. W gruncie rzeczy był zadowolony, że ukochany pasierb, dla którego wydziedziczył własnego syna, zastępuje go tak umiejętnie przy Elżbiecie. To ciągle nadszkakiwanie, którego domagała się, było już ponad jego siły. Obok Leicesterera poseł francuski wymieniał jakieś uwagi z posłem weneckim. Trochę dalej Wiliam Cecil, gładząc końcem palca swe blade wargi, szeptał coś do swego syna Roberta.

Z drugiej strony sali zbitą gromadą stali panowie katoliccy przybyli na wezwanie lorda Browne. Elżbieta kazała posłać im wszystkim zaproszenie na dzisiejszą zabawę. Kilku najbogatszych, którzy mieli swe domy w Londynie i którym zdarzało się bywać na dworze, czuło się na sali swobodnie. Ale mali squire'owie z dalekiej prowincji zupełnie nie wiedzieli, jak się mają zachować. Trzymali się razem, niespokojnymi oczami wodząc wokoło.

Ciągle nie byli pewni, czy nie popełnili śmiertelnego grzechu przychodząc tutaj. Ten pałac here tyckiej królowej z całą jego wspaniałością wydawał się im siedzibą diabelską. Każdy z ludzi, których tutaj spotykali, był na pewno zaciętym heretykiem. Kilku dworaków podeszło do nich, usiłowało wszcząć z nimi rozmowę. Na ich grzeczne pytania odpowiadali głosami wydobywającymi się z głębi gardła. Tamci wyglądali wprawdzie

na ludzi sympatycznych i mówili o takich samych sprawach, o jakich oni zwykli byli rozmawiać między sobą. Lecz kto wie, czy w każdym ich pytaniu nie kryła się jakaś pułapka? Odpowiadając spoglądali wzajemnie na siebie, trącali się łokciami. Czyż nie słyszeli wielokrotnie, że ci heretycy są diabelsko zręczni? „Nigdy nie wdawajcie się z nimi w dysputę!” — takie ostrzeżenie rzucało przez przybyszów z kontynentu, przesyłane stamtąd w broszurkach. Ba, lecz wszedłszy między nich nie można było stać jak pień! Więc może nie należało w ogóle przychodzić?

Jeszcze zanim zaczęła się zabawa, musieli przejść przez niepokojącą próbę. Królowa zjawiwszy się na sali wezwała do siebie lorda Browne i zażądała, aby przedstawił jej swoich przyjaciół. Podczas gdy siedziała na fotelu z wysokim oparciem, na którym płonęła barwami tarcza herbowa, pełna lilii i lwów, podchodzili kolejno. Montague wymieniał nazwisko każdego; szlachcic klękał i całował podaną sobie dłoń. Gdy podnosił oczy, widział nad sobą uśmiechniętą łaskawie twarz i kokieterjny uśmiech. Oczy królowej wydawały się błyszczeć dobrocią. Czy to jest ta sama istota, zadawali sobie w duchu pytanie, która kazała zamordować królową szkocką? Elżbieta dla każdego znalazła kilka miłych słów. Obdarzona znakomitą pamięcią z każdym nazwiskiem umiała coś połączyć. „Czy to wasz kuzyn, czy też wy sami, panie, odznaczyliście się takim bohaterstwem pod Zutphen?” — pytała. Albo mówiła: „Wiem, panie, że macie piękny dom. Gdy będę kiedy w waszych stronach, chciałabym go zobaczyć z bliska...” Cofali się — oszołomieni. Nie wiedzieli, co mają sądzić o tej kobiecie. Gdy już zostali przedstawieni, zwróciła się do nich wszystkich z krótką przemową. „Cieszę się z poznania was, panowie — mówiła. — Czujcie się, proszę, w moim pałacu jak u siebie i bawcie wesoło. Dumna jestem, że mam takich jak wy poddanych, którzy opuściwszy domy i rodziny pospieszyli służyć w potrzebie swojej królowej. Dziękuję wam za to. Nigdy wam tego, moi panowie,

nie zapomnę. Mogę wam tylko to powiedzieć: mieliście wielu mądrzejszych ode mnie wład-

ców, ale nie mieliście na pewno drugiego, który by was równie gorąco kochał i równie szczerze waszego dobra pragnął. Wierzcie mi: nie dzielę moich poddanych według wyznawanej przez nich wiary. Wszyscy są równie bliscy memu sercu, jeżeli tylko czczą szczerze Pana naszego Jezusa Chrystusa i są wierni królestwu. Nie żądam od was niczego, co byście uważali za sprzeczne z waszym sumieniem. Jeżeli kiedykolwiek musiałam wystąpić przeciwko wyznawcom rzymskiej wiary, to, bądźcie pewni, nie uczyniłam tego nigdy ze względu na ich wiarę. I wtedy nawet, gdy sprawiedliwość i prawo domagały się ukarania winnego, wylewałam nad nim łzy..."

Odeszli wstrząśnięci. Kimżeż była ta kobieta, którą sami nazywali nieraz „morderczynią Jezabel”? Póki żyła Maria Stuart — stali w duchu przy niej i uważali ją za prawdziwą swoją władczynię. Lecz od śmierci Marii, królową według wszelkich niezaprzeczalnych praw dziedziczenia była Elżbieta. Mieli ją uznać — czy nadal nie uznawać? Odpowiadając półgębkiem usiłującym ich wciągnąć w rozmowę dworzanom, wymieniali między sobą szybkie uwagi:

— Mnie powiedziała, że zna naszą rodzinę z dzielności i z prawości...

— A mnie, że słyszała od swego ojca o zasługach mego dziada. Pytała nawet, czy jeszcze żyje...

— Czy widzieliście, że kiedy nam dziękowała, miała łzy w oczach?

— Nie myślałem, że tak wygląda...

— Ani ja...

— Uważajcie! Czy wiecie, kto jest ten niski człowiek? To Topcliffe!

Zatrzęśli się niespokojnie i umilkli. Wiedli za nim wzrokiem. Topcliffe przechodził

między dworzanami bez uśmiechu. Wyglądał tak, jak należało sądzić, że będzie

wyglądał. Gdy zniknął w tłumie, wrócili do rozmowy:

— To człowiek Walsingham...

— Królowa, jestem pewien, jest w głębi serca przeciwko niemu.

— Ale Walsingham go broni...

— Przeklęty heretyk!

— Czemu ona go trzyma przy sobie?

— Może musi? Czy sądzicie, że królowie robią to tylko, co chcą?

— Rzecz jasna, że nie. Ale i Walsingham, i Topcliffe mogą się pewnego dnia potknąć...

— Dałby to Bóg!

— To oni buntują królową przeciwko katolikom. Ale teraz, kiedy zobaczyła, że jesteśmy jej wierni...

— Świętym obowiązkiem katolika jest wierność wobec swego władcy.

— A jednak — jeżeli nas wyklną...?

Ucichli. Na dworze była parna duchota, w salach panowało gorąco i wachlarze wszystkich dam poruszały się gwałtownie. Lecz oni mieli uczucie, że ich przewiał lodowaty chłód.

Ta obawa tkwiła w głębi serca każdego z nich. Poprzedniego dnia w pałacu Browne'a odbywała się narada. Na niej dopiero usłyszeli o wszystkich szczegółach projektowanej akcji. Mieli złożyć na ręce swego przywódcy przysięgę, że będą walczyć z Hiszpanami i pod żadnym pozorem nie opuszczą sprawy królowej, jak to zrobili w Holandii Stanley i York. W zamian za to mieli mieć powierzony sobie dla obrony kawałek wybrzeża. Uzbrojenia zobowiązywali się dostarczyć lordowie Browne i Tresham.

„Więc przysięgacie?” — zapytał Browne. Na jego pytanie odpowiedziało początkowo głuche milczenie. Zebrani spoglądali po sobie pytająco. Nikt nie śmiał odezwać się pierwszy.

Wiadomość o przysiędze była niespodzianką. Przysięga wydawała się czymś nad miarę wiążącym. Wielu rycerzy katolickich brało udział w ekspedycji holenderskiej. Walczyli tam przeciwko katolikom — to prawda. Mimo to ta wojna wydawała się zwyczajną wojną. Czym natomiast była naprawdę hiszpańska wyprawa na Anglię? Żaden z nich nie śmiał tego powiedzieć głośno, ale w sercu każdy chował uczucie, że może w ostatniej chwili wszystko się samo wyjaśni. Może Bóg dając zwycięstwo ukaże nim słuszność sprawy?

Pierwszy Norton rzekł: „Ja przysięgnę”. Jeden po drugim wstawali i szli za nim.

Przystępując do krzyża, na którym mieli przysiąc, czuli przecież ciągle brzemię powziętej decyzji. Już pozostało tylko małe grono wahających się, gdy nieoczekiwanie jakiś głos zawołał na całą salę: „Przez miłosierdzie Boże, wstrzymajcie się!”

Lord Filip Arundel od samego początku był przeciwny planowi Browne'a. Ten człowiek, który odszedł od katolicyzmu i od żony, by po kilku latach do wiary i do małżeństwa powrócić, był teraz wcieleniem żarliwości religijnej. Nosił na szyi wysadzany topazami krzyż, w którym były relikwie. U pasa — różaniec. Gdy mówił, głos miał nienaturalnie ściszony. Do pałacu na Holborn przybył dowiedziawszy się

o mającej się odbyć naradzie. Jako kuzyn Browne'a miał tu otwarte o każdej porze drzwi.

Teraz stał między nimi długonosy i czerwonoskóry, trzymając przed sobą w obu rękach zdarty z szyi krzyż. Zaczął mówić: „Bracia, zaklinam was, powstrzymajcie się! Nie czyńcie tego, coście postanowili uczynić! Nie składajcie przysięgi, k'tóra was wiąże z heretykami! Nie stawajcie do walki z mieczem Pańskim! Hiszpanie są wysłannikami Bożymi. Ta wojna jest wojną błogosławioną, która ma przynieść nam, przez krew i ogień, zbawienny ratunek.

Powstrzymajcie się od walki. Nie łączcie się ze sługami Antychrysta! Bóg nie pozwoli zwyciężyć wysłanników Jego Kościoła. Król Filip zwycięży! Przez jego zwycięstwo Kościół przyniesie wam ratunek

I przebaczenie. Wszyscy potrzebujemy przebaczenia. Każdy z nas upadł. Nie potrafiłszy być całkiem czysti. Nie potrafiłszy ustrzec się od kontaktu ze złem! Lecz przebaczenie jest już w drodze. Przyplynie do nas na okrętach hiszpańskich! Każdy, jeśli się tylko ukorzy, będzie mógł je otrzymać. Lecz na tych, którzy przeciwko wysłannikom Kościoła podniosą broń, Kościół będzie musiał rzucić klątwę! Czy chcecie być wyklęci? Czy chcecie być odcięci, odrzuceni od łaski Kościoła, skazani już tu, na ziemi, na wieczną zagładę? Niech nigdy tak się nie stanie! Dlatego wołam: zastanówcie się nad tym, co czynicie! zaklinam was..."

Zrobiła się śmiertelna cisza. Znowu patrzyli po sobie, przerażeni tym, co chcieli uczynić. Arundel stał pośrodku sali, z ramionami rozrzuconymi w krzyż, z czerwonym pasmem włosów, które spadło na czoło. Trwał w bezruchu, niby kamienna figura. Wzrok zebranych pobiegł od niego ku stojącemu na małym wzniesieniu Browne'owi. On także był wysoki, choć już nieco zgarbiony latami. Włosy i brodę miał niezdecydowanego koloru: przetykała je gęsta siwizna. Oparł dłoń na ramieniu stojącego obok wnuka. Zaciśnął usta. Na policzkach widać było drganie napiętych mięśni. Browne nie błysnął nigdy sławą wojskową, a przecież wiadano o nim powszechnie, że nigdy nie ustąpił słowem ze swej postawy. I nigdy nie skłamał.

Odpowiedział Arundelowi głosem spokojnym: „Mówisz, drogi kuzynie, że będziemy wyklęci. Nie wiem, skąd wiesz o tym, ale być może masz rację. Może rzeczywiście przyjdzie nam pokutować, błagać o przebaczenie... Lecz gdyby nawet tak się miało stać, nie wolno nam odstąpić dzisiaj od działania, które w naszym sumieniu uznaliśmy za słuszne. Trzeba mieć odwagę zaryzykować i to także... Nie wierzę, aby okręty króla Filipa niosły ocalenie naszej wierze. Niosą natomiast wojnę i zagładę naszemu królestwu. Musimy najpierw je obronić! — a potem dopominać się o swoje. Naszym obowiązkiem jest

przywrócić Anglię prawdziwej wierze. Będziemy musieli o to walczyć. Ale nie przy pomocy armat króla Filipa, drogi kuzynie, choćby, wydawać się mogło, że tak skuteczniej można to uczynić..."

Tylko dwóch spośród przybyłych cofnęło się, reszta złożyła przysięgę. Ale niepokój pozostał.

Znowu szukali wzrokiem wysokiej sylwetki Browne'a. Stał w pobliżu rozmawiając z czarnowłosym kapitanem straży królewskiej, Walterem Raleigh. Patrząc na niego odzyskiwali spokój.

— Dlaczego mielibyśmy być wyklęci? — szeptali.

— Nie możemy być wyklęci. Wiara nakazuje wierność władcy...

— Lord Browne mówił słusznie...

— Czy mogliby wykląć takiego jak on?

— Postąpiliśmy tak z jego namowy...

— Możemy mu wierzyć i musimy mu wierzyć...

— Komuś trzeba wierzyć!

— Lecz czy władza królowej jest władzą legalną?

Tss! — rozejrzeli się niespokojnie. — Bulla nie obowiązuje u nas.

— Lecz istnieje.

— Istnieje, ale nie dla nas!

— Więc dla kogo?

— Papież nie wie, jak jest u nas naprawdę.

— Duch Święty oświeca go.

— Ciszej! Walsingham patrzy w naszą stronę...

Wesoły canari ustąpił miejsca powolnemu tańcowi zwanemu Lady Carey's Dompe.

Królowa tańczyła także i teraz, tylko jej partnerem był Charles Blount, lord Mountjoy. Obok Es-sexa uchodził za jednego z najurodziwszych mężczyzn na dworze: wysoki, o czarnych włosach, krótkim i zapadniętym u nasady nosie. Tym razem królowa więcej oddana była tańcowi niż rozmowie. Obok nich okręcały się inne pary. Essex tańczył z młodziutką Frances, córką Walsinghama. Dziewczyna wyglądała na dziecko, choć była już wdową po Filipie Sidneyu. Nie była ładna, ale jej duże oczy o ciężkich powiekach i szerokie usta miały niepokojący wdzięk.

W sąsiedniej sali, pod wspaniałą makatą błękitnogrnatową, przetykaną srebrnymi nićmi, stali Ryszard i Alex.

Spotkali się dopiero tutaj. Choć oboje wiedzieli, że zobaczą się na zabawie, teraz spoglądali po sobie przez pewien czas zdumieni. Ale bo też wyglądali inaczej niż tam, u siebie, na północy. Lady Southampton zajęła się wyglądem i toaletą Alex. Dzięki staraniom hrabiny dziewczyna mogła błysnąć urodą i wyglądem. Młodziutki hrabia Southampton przetańczył z nią pierwszy taniec. Po tańcu jego partnerką zainteresował się tłum dworaków. Otoczono ją kręgiem. Ci i owi prosili ją, aby im pozwoliła przetańczyć ze sobą. Otoczona barwnym, błyskającym złotem tłumem, słyszała ze wszystkich stron miłe słowa i komplementy. Była zupełnie oszołomiona. Nagle między cisnącymi się ludźmi zobaczyła Ryszarda. Aż do tej chwili szukał jej po wszystkich salach. Jemu także pieniądze otrzymane od Walsinghama pozwoliły zmienić wygląd. Błękitny, haftowany złotem strój dodawał barwy jego oczom. Ale spostrzegła w nich gniewny błysk. Znała Ryszarda, wiedziała, że nieraz bywał o nią zazdrosny. Dlatego od razu, choć przyjemnie jej było słuchać komplementów, pozwoliła się wyprowadzić z koła dworaków. Przeszli do sąsiedniej sali. Było tu puściej. Wśród ustawionych w wielkich donicach palm spacerowało kilka par, zaś przy stole z zakąskami gromadka starszych panów, jedząc i pijąc, opowiadała sobie zabawne historie, wybuchając co chwila

hałaśliwym śmiechem.

— Jesteś nareszcie! — powiedział.

— Przyjechaliśmy przedwczoraj. Ale ten Londyn! Nie wy obrażałem sobie, że jest tak wielki! Tyle tu wspaniałych rzeczy. Można oczy zgubić. Wydaje mi się, jakbym śniła. —

Wzięła go za rękę i kołysząc się przed nim niby w tańcu zapytała: — Powiedz, jak wyglądam!

— Wiesz o tym sama. Albo ci już powiedzieli tamci.

— Wiem? Nic nie wiem — śmiała się. — A tamci...

— Patrzyli na ciebie, jakby cię chcieli połknąć!

— Naprawdę? Zdawało ci się. Ale to przyjemnie, gdy lu dzie się śmieją, gdy ich nic nie dzieli... Mnie jednak na ich zdaniu nie zależy. Chcę, abyś ty powiedział.

— Wyglądasz pięknie. Jak nigdy jeszcze. Żadna z tutej szych dam nie może się porównać z tobą.

Śmiała się mrużąc oczy.

— Co też ty mówisz? Chyba nie przypatrzyłeś się lady Rich?

— Tej, za którą ogląda się Blount? Wszyscy się nią za chwycają. Ale ja wolę ciebie.

Za oknami zaturkotał grzmot. Toczył się długo, wreszcie pękł, aż zadzwoniły szyby.

Śmiejąc się uderzyła go po rękę trzymanym wachlarzem.

— Nie dziwisz się temu, że mnie widzisz tutaj?

— Nie. Wiedziałem, że mieliście być zaproszeni.

— Ojciec był jednak zaskoczony...

— Królowa kazała zaprosić wszystkich, którzy na wezwa nie Browne'a przyjechali.

— I, wyobraź sobie, rozmawiała ze mną!

Po przedstawieniu panów katolickich lady Southampton przedstawiła Elżbiecie kilka

towarzyszących przybyłym dam. Gdy powiedziała: „To córka sir Francisa Nortona z Norton House, wasza królewska wysokość”, Alex przysiadła w niskim ukłonie. „Nortona? — Elżbieta uniosła brwi w górę, zdawała się szukać czegoś w pamięci. — Ach, już wiem! Zasłużona rodzina z północy. Jakże mam krótką pamięć. Przed chwilą przecież rozmawiałam z jej ojcem. Zbliź się, moje dziecko.” — Alex przyklękła i ucałowała długą, białą dłoń. W tej chwili przeleciały jej przez głowę wszystkie oskarżenia, jakimi, słyszała to nieraz, obrzucano królową. Na dworach na północy nie mówiono o niej inaczej jak tylko: „królowa Jezabel, szatański pomiot”. Nieśmiało podniosła oczy. Uderzyło ją, że oblicze, jakie widziała przed sobą, cechował niezwykle ludzki wyraz. Na portretach widywała długą twarz, pełną dumy i zimnej obojętności. Ale teraz miała przed sobą żywego człowieka, którego można było lubić lub nie lubić, kochać lub nie kochać. Była zanadto kobietą, aby nie dostrzec na policzkach, pod pokrywą różu i bielidła, zwiotczalej i zmęczonej skóry. Orzechowe oczy Elżbiety ujęte w siateczkę zmarszczek zdradzały cierpienie. Owiała ją silna woń perfum, jakimi Elżbieta była skropiona, od głowy ubranej w perły do stóp w safianowych pantofelkach, wysuwających się spod sztywno sterczącej sukni. „Jak się nazywasz, moja mała?” — usłyszała nad sobą mało przyjemny, skrzeczący głos. „Aleksandra, wasza królewska mość.” „To piękne imię. Bardzo piękne. Ale rzadkie wśród kobiet.” Alex wyjaśniła, że imię to przeszło na nią w dziedzictwie po prababce, Greczynce. „Ach, więc masz w sobie krew grecką? Zazdroszczę ci tego.”

Nieoczekiwanie

przeszła na obcy, nie znany dziewczynie język, ale widząc jej zaskoczoną minę, roześmiała się po swojemu hałaśliwie i wulgarnie. „Nie zrozumiałaś, co powiedziałam? Odezwałam się do ciebie po grecku. Myślałam, że dając ci imię prababki nauczono cię także jej języka. Powiedziałam: to wielkie szczęście być Greczynką. Naprawdę zazdroszczę ci tego. Oczywiście myślę o dawnych Grekach, mędrkach i artystach. Bo dla tych dzisiejszych, którzy jęczą w niewoli

tureckiej, możemy mieć tylko litość. — Końcem dwóch wyciągniętych palców uderzyła lekko w policzek dziewczyny. — Ładna jesteś — powiedziała. — Już widzę, jak zawrócisz w głowie wszystkim chłopcom na dworze. — Zwróciła się do lady Southampton. — Ale ja chcę ją tutaj widywać." Hrabina skłoniła się nisko na znak, że będzie pamiętała o rozkazie. Elżbieta z uśmiechem powiedziała znowu do Alex: „Idź, baw się...” Właśnie zaczęła grać muzyka i rozpoczynał się taniec. Królowa skinęła na Essex. Gdy młody rycerz szedł ku niej, dźwignęła się z fotela, opierając się na ramieniu Alex. Dziewczyna czuła przez moment na sobie dłoń i ciężar ciała, które wydawało się bezwładne. Ale już Elżbieta odeszła ze swym partnerem, krokiem lekkim jak biegnąca po łące nimfa.

— Musisz przyznać, że królowa jest nadzwyczajną istotą! — powiedział z zapałem.

Wolno, z namysłem skinęła głową. Właściwie myślała zupełnie inaczej, że ta wielka królowa jest kobietą jak inne i że to jednak stanowi jej największy wdzięk. Ale za trudno jej było to odkrycie tłumaczyć.

Mężczyzna zmienił ton. Przed chwilą mówił lekko. Teraz głos jego twardniał. Zacinał się na każdym słowie.

— Muszę ci coś powiedzieć, Alex...

Drgnęła zaskoczona tonem jego głosu. Zrobiła gest, jakby go chciała powstrzymać. Ale było już za późno. Ryszard mówił dalej:

— Widzisz... nasze plany muszą ulec zwłoce... Podniosła na niego szeroko otwarte oczy.

— O czym mówisz?

— Przecież chyba pamiętasz? Ułożyliśmy, że *zaraz*, gdy tyl ko zjedziemy się w Londynie, pobierzemy się. Zanim rozpocznie się wojna...

— Tak.

— Więc widzisz... To musi się odwlec... Wuj zadecydował, abyśmy ja i moi bracia odpłynęli na okrętach przeciwko Hiszpanom. Nasze okręty będą usiłowały zatrzymać Armadę...

— Ale... Ale dlaczego ty?

— To wielki zaszczyt, Alex. Będziemy pierwszymi, którzy zmierzą się z Hiszpanami.

Miała uczucie, że setki płonących w salach świec przygasło, a muzyka stała się mniej wesoła. Umiała zwalczać trudności, które stawały na jej drodze. Tej jednej nie potrafiła — gdy mówił o sławie. Zagryzła wargi, aby mu nie okazać, że drżą. On jednak dostrzegł, że pobladła. Chwycił jej dłonie i ścisnął mocno w swoich. Od paru dni żył wojennym zapalem. Lecz teraz przemówiło w nim znowu uczucie.

— To tylko zwłoka, Alex. Zwłoka, nic więcej... Wojna na pewno nie będzie długo trwała.

Zwyciężymy. Musimy zwyciężyć... Powrócę i zaraz będziemy się mogli pobrać...

Stała milcząc. „Powrócę — i zaraz” — dzwoniło jej w uszach. Nie, nie odezwały się w niej żadne złe przeczucia. To tylko odżyła świadomość oddalania się od czegoś, na co tak niecierpliwie czekała. On, nawet kochając ją — o czym nie wątpiła — nie znał tej niecierpliwości; tego lęku, że to, co się nie dokonało dziś, może nie dokonać się nigdy...

— Czemu nic nie mówisz? — zapytał. Odpowiedziała sucho:

— Cóż mam mówić? Skoro twierdzisz, że tak musi być... Odwróciła w bok głowę. Ale nie dlatego, aby ukryć łzy.

Nie była skłonna do płaczu. Nie chciała jedynie, by wyczytał z jej oczu zawód. Gdy klęczała przed Elżbietą, miała uczucie, że coś się zmieniło w jej losie. Teraz była pewna: wszystko pozostało po staremu...

— Tylko, milordzie, miedzianoskóre dziewczyny z Indii... — mówił podpity głos męski, przy stole z zakąskami.

— Czy to prawda, co mówią, że one mają po dwie pary piersi?

Reszta utonęła wśród gwaru, śmiechów i szczękania kubków. Alex poczuła, jak Ryszard bierze ją delikatnie za ramię.

— Nie myśl, że i mnie nie jest przykro. Widzisz, tu w Lon dynie, zrozumiałem lepiej, jak wielkie nam grozi niebezpieczeństwo. Ale skoro ich odeprzemy, zobaczysz, wszystko się ułoży. Tym, którzy zdobywają sławę w walce, wiele potem można...

Przekonywał ją gorąco. Ale jego słowa nie trafiały do niej. Przeciwnie — przypomniały jej, że wojna nie jest także ostatnią trudnością. Gdybyż mogła wierzyć, jak on wierzył, że po niej już wszystko będzie łatwe i proste! Bo wojnę i na-

jazd nietrudno jej było zrozumieć. Nie musiał jej przekonywać o ich grozie. Gdyby można od tego wszystkiego uciec? — stanęło nagle przed nią. Wszystko jedno gdzie, choćby do tych Indyj, o których się tyle teraz mówi. Innych ciągnęło tam bogactwo. Ją — myśl o spokoju. Ale to były próżne marzenia. Wiedziała: musi zostać i musi dalej znosić niecierpliwość...

Błyskało się coraz silniej. Przetaczały się grzmoty niby hurgot ciężko naładowanego wozu, staczającego się po kamieniami wyłożonej drodze. Czasami padał piorun krótki jak wystrzał z działa, a na niebie ukazywała się pulsująca wstęga podobna do strugi rozpalonego metalu. Czasami gwałtowny wiatr uderzał w okna, szarpał nimi, wdierał się do wnętrza pałacu, przelatując gwizdząc po korytarzach — i cichł. Wtedy na nowo wybuchała tysiącem dźwięków grająca do tańca orkiestra.

Zabawa trwała dalej. Tylko Elżbieta odeszła z roztańczonej sali-do swego gabinetu.

Zaledwie zamknęły się za nią drzwi, opadła z niej cała lekkość. Chwiejnym krokiem doszła do fotela. Trzymając się oparcia kazała garderobianej zdjąć z siebie sztywny, wykrochmalony kołnierz koronkowy, uciskający głowę diadem, sznury pereł, które zdawały się ważyć całe tony. Jak ktoś, kto się wreszcie pozbył nieznośnego ciężaru, upadła w wyłożony poduszkami fotel. Zsunęła z nóg pantofle, postawiła obolałe stopy na stołeczku. Zamknęła oczy. Czowała,

jak jej serce pracuje nierówno, a po ciele wędrują omdlewające bóle.

Ale nie odpoczywała długo. Posłyszała koło siebie ciche kroki. Nie odrywając głowy od poduszek otworzyła oczy. Ze zgiętym pokornie grubym karkiem stał obok jej fotela Walsingham. Powiedziała:

— To ty? Dobrze...

Wspierając się łokciem o poręczę fotela dźwignęła się w górę. Suknia cisnęła ją. Odpięła ją odkrywając głęboko zwiędłą pierś. Nisko wisiał na niej czerwony koral na czarnej wstążce.

Obecność Walsinghama nie krępowała jej. Wyciągnęła rękę, wzięła cukier z pudełeczka stojącego na małym stoliku obok.

— Co nowego? — zapytała.

— Nowina została potwierdzona. Wypłynęli.

— Więc wojna?

— Wojna.

Zapadła cisza, a w niej potoczył się piorun niby gładz staczający się w górskim żlebie.

Schrupała głośno pałeczkę cukru. Zapytała:

— Czy wszystko gotowe?

— Tak jest, wasza królewska wysokość.

— Jesteś tego pewny?

— Jestem.

— Pamiętaj! — ostrzegawczo uniosła długi palec. — Jeżeli się okaże inaczej, będę dla ciebie surowsza niż dla Davisona. To ty tej wojny chciałeś. Ty pchałeś mnie do niej. Ty judzi łoś. Gdyby nie ty i twoje rady byłabym wstrzymała Drake'a, gdy płynął na Kadyks...

— Biorę to na siebie — powiedział.

— Gdyby nie ty, nie pospieszono by się z wykonaniem wyroku na Marię...

— I to także niech obciąża moje sumienie.

— Gdyby Maria żyła, Filip nie zaatakowałby nas. Wolał jednak mnie na tronie niż ją...

— Lecz gdyby ona żyła, wasza królewska mość nie byłaby nigdy dość bezpieczna przed zamachami papistów...

— Głupi jesteś! Mam talizman, który mnie broni — poło żyła dłoń na zawieszonym na szyi koralu. — Nie znoszę cię, Francis. Zmęczyłeś mnie swoją nienawiścią. Gdybym w cokolwiek zdolna była wierzyć, sądziłabym, że jesteś opętany. Czuję się niezdrowa, chora.

A zamiast odpoczywać, muszę myśleć o wojnie. Wiesz, że nie znoszę wojen!

— Nigdy nie wiadomo, co wasza królewska mość pochwali, a z czego będzie niezadowolona. Zawsze ma dwa zdania...

— Narzekasz na mnie? — zapytała z wyzwaniem w głosie.

— Nie — zgiął się nisko. — Wasza królewska mość jest moją władczynią, moją panią, moją dobrodziejką. Mój honor i moje życie należą do waszej królewskiej mości. Niczego nie pragnę, jak tylko móc jej służyć...

Skinęła głową ułagodzona. Uśmiechnęła się. Jeszcze bardziej wyprostowała się na fotelu.

Głębokie zmarszczki, które nadawały jej twarzy wyraz starości, wygładziły się — stały się ledwo widoczne. Przywołała stojącą przy drzwiach, gotową na usługi dziewczynę. Gestem palca kazała jej podać leżącą na gotowalni mapę.

— Pokaż — zwróciła się do Walsinghama — gdzie znajdu je się nasza flota.

— Howard i Drake są w Plymouth z głównymi siłami — objaśniał. — Może już zresztą wypłynęli, gdy dowiedzieli się

o Hiszpanach. Seymour i Wynter pozostali przy ujściu Tamizy

1 pilnują zaopatrzenia...

— Znasz siły Hiszpanów?

— Znam. Nie ukrywają tego. Rozgłosili na cały świat, ile mają ludzi, ile dział, ile kuł!

— Kto ma przewagę?

— My mamy więcej okrętów i więcej dział. Dzięki Hawkinsowi i Wynterowi mamy szybsze okręty. Ale oni mają większe. Także większe działa, więcej ludzi. Więcej doświadczenia...

— Wielkie doświadczenie zwalnia nieraz od myślenia. Howard i Drake muszą mieć łby na karkach.

— Za Drake'a ręczę.

— Wiem, to twój pupilek. Osobisty wróg Filipa i papieża — parsknęła krótkim śmiechem.

Zamyśliła się. Zapadło milczenie. Kilka błyskawic, zapalających się jedna po drugiej, oświetliło pokój sinym blaskiem. Grzmot odezwał się spóźniony i głuchy niby podziemna eksplozja.

— Słuchaj, byku — teraz mówiła swoim zwykłym głosem, patrząc na płomień świecy, który drgał, trącany podmuchami powietrza. — Powiedz raz jeszcze, co twoim zdaniem Hiszpanie będą chcieli uczynić.

— Będą, wasza królewska mość, starali się wysadzić jak najszybciej wojsko na ląd i przewieźć tu do nas księcia Parmy. Farnese jest człowiekiem wielkich umiejętności. To nie krwawy głupiec jak Alba. Umie być żołnierzem i politykiem. Będzie starał się zwąchać z naszymi papistami...

— A jeżeli im się to uda?

— Nasza flota zrobi wszystko, by nie dopuścić do lądowania.

— A jeśli mimo to dopuści? Kogo przeciwstawimy Farnesemu?

— Jeśli wylądują — wszyscy będziemy się bili. Na wybrzeżu i w głębi kraju! Przy każdym

domu! Przy każdym płocie! Bóg nas nie opuści w walce z Antychrystem!

Zamknęła oczy. Siedziała czas jakiś nieruchomo.

— Nie chciałam śmierci Marii... — powiedziała cicho.

— Jej śmierć — mruknął — podzieliła katolików. Przy niej staliby wszyscy, przy Filipie — nie...

Otworzyła oczy. Patrzyła na niego drwiąco.

— Nie chwal się! To nie był twój pomysł. Tak rozumować umie tylko Cecil. Ty potrafisz jedynie nienawidzić. Czego chcesz od tego Nortona? Podobała mi się jego dziewczyna...

— Jej ojciec jest niebezpieczny.

— Wszędzie coś węszysz.

— Węszę, bo im nie ufam.

— Głupi jesteś. Przybył na wezwanie Browne'a, sam je den z tej zażartej północy.

A ta mała... Nie chcę, abyś ją skrzywdził. Takie rzeczy mszczą się. Pamiętaj: sam masz córkę...

— Mam. I kocham ją. Ale wolałbym ją widzieć umarłą, niż gdyby miała wyjść za papistę. O córce Nortona pozwolę sobie jeszcze w swoim czasie powiedzieć coś waszej królewskiej mości. Tymczasem mam w ręku dowody zdrady jej ojca.

— Masz dowody? Jakież?

— Jego siostrzeniec, ten jezuita, przybył do Anglii. Jest w Londynie. Zdołał się nam wprawdzie wyśliznąć z rąk, ale Topcliffe szuka go i znajdzie...

— Po co tu przybył?

— Podejrzewam wielką grę. Od roku nikogo nie przysyłali. Uważali niewątpliwie, że skoro Hiszpanie zdecydowali się wyruszyć, misjonarze mogą poczekać. Ale jego wysłali. Jestem pewien: z rozkazami do papistów!

— Nie wysyłałiby zakonnika. O to samo oskarżaliście Campiona.

— Campionowi nie wyszło. Ale na pewno przewidziane by ło jego współdziałanie z Shelleyem...

Bez przekonania potrząsnęła głową. Na nowo sięgnęła do pudełeczka z cukrami.

Wolno wkładała do ust żółtą pałeczkę.

— A ja ci mówię — powiedziała — że Campion o tym nie myślał...

Przymknęła oczy. Usiłowała sobie przypomnieć twarz tamtego człowieka. Pamiętała dobrze jego oczy. Niedawno wydało się jej, że stanęły znowu przed nią... Wtedy przywieziono go w nocy z więzienia na rozmowę. Pozwoliła mu usiąść — stał tak, że wydawało się, iż za chwilę upadnie. Właściwie żałowała go. Kiedyś jako młody, wspaniale się zapowiadający profesor Oxfordu witał ją na progu tej uczelni cudownie utoczonymi, łacińskimi zdaniami. Była czuła na pochwały ludzi nauki. Teraz jednak stał przed nią z twarzą szarozółtą, której każdy drgający nerw mówił o wycierpianym bólu. Powiedziała do niego łaskawie: „Jesteś najmądrzejszym z angielskich księży. Wszyscy znają twoje talenty. Podziwiają twoją wiedzę. Mógłbyś zrobić wiele dobrego. Przejdź do nas, zrobię cię pierwszym w moim kościele”. Spojrzał na nią i uśmiechnął się łagodnie jakby rozśmieszony jej propozycją. Potrząsnął

głową. Odpowiedział: „Lepiej, wasza królewska mość, bądźmy oboje ostatnimi w Jezusowym...” Musiała pozwolić, aby go skazali. Znadto nalegali. Ale nie przestała go żałować. Potem, po latach, wydało jej się, że zobaczyła te same oczy. U Essexu...

— Jeżeli Campion nie myślał, ten myśli na pewno — mó wił Walsingham. — Wiem, sprawdzałem: wyjechał bardzo dawno z Rzymu. Kto wie, z kim po drodze rozmawiał? Z kim się kontaktował?

— Dobrze, lecz co to ma wspólnego z Nortonem?

— Jest jego siostrzeńcem.

— Bywają nawet bracia, którzy myślą inaczej.

— Czy jednak nie zastanawia waszą królewską mość to, że jeden jedyny Norton przybył z północy?

— To ładnie świadczy o nim...

— Albo świadczy, że przybył tu nie po to, aby walczyć...

— Ach, byku! Jesteś doprawdy opętany! Cóż •— badaj, śledź. Lecz póki nic nie wykryjesz, nie wolno ci podnosić na niego ręki. A jego córka zostanie pod moją opieką. Podobała mi się. Zawsze ci mówię: mam słabość do papistów...

— W tej chwili jednak, wasza królewska mość, rozpocząmy z nimi wojnę.

— Nie z nimi. Z moim czcigodnym kuzynem Filipem, którego dobrze znam. Nawet ubrany w habit mnisi jest takim samym dobrym papistą jak ja... — Zaczęła się śmiać.

— On zresztą święcie wierzy, że jest znakomitym katolikiem! Ba, nawet ściskając Annę d'Eboli uważa się za drugą głowę Kościoła.

— Lecz papież, Allen, Persons...! — wybuchnął. — Czyż nie przysyłają nam bez przerwy spiskowców, buntowników, jezuitów! Na miejsce każdego zabitego wyrasta dziesięciu no wych! Trzeba utrzymywać całą armię ludzi, aby ich śledzić i odszukiwać!

— Ale wiersze tego Southwella są bardzo piękne... — po wiedziała patrząc zmrużonymi oczami w opalizujący krąg blasku wokoło świecy.

Uderzył wiatr, jakby ogromny ptak skrzydłem. Gdzieś posypały się wybite szyby.

Zabawa jednak trwała. Elżbieta wróciła na salę tańca. Muzyka ucichła. Czekano, co królowa rozkaże grać. Zażądała majestatycznej pawany. Tym razem wzięła sobie za partnera Cecila. Zwrócona ku niemu twarzą, uśmiechała się zalotnie. Ale sunąc tanecznym krokiem myślała: Gdyby tamci zwyciężyli, on zdradzi mnie natychmiast-

pierwszy pośpieszy ofiarować swe służby córce Filipa Przeszył ją nagły ból. Pomyślała:
Ona jest młoda — więc może *i* Essex...? Piorun uderzył w rzekę i zatrzęsł murami pałacu
Do sali wdarł się mocny powiew i położył na chwilę płomienie świec. Muszę wygrać —
stanęło przed nią — aby nie być zdradzoną...

INTERLUDIUM II

Sierpniowy wieczór nadciągał powoli. Zachodzące słońce obrzucało czerwonym blaskiem miasto na wybrzeżu. Potężna twierdza górowała nad portem, a nad nią poruszała się ciężko w słabym wietrze błękitna, usiana liliami chorągiew. W zatoce Calais, doskonale widoczna w słońcu, stała zgromadzona gęstym lasem masztów hiszpańska flota. La felicissima Armada — zwana jednak częściej Niezwyciężoną Armadą.

Zdumiewała swoim ogromem. Lecz bardziej jeszcze niż ogromem zaskoczyła ich swoją wspaniałą sprawnością. Wydawała się jedną olbrzymią maszyną bojową, której wszystkie części działają zgodnie. Gdy przed dziewięciu dniami zmierzyli się z nią po raz pierwszy koło Plymouth, pojęli, że mimo większej szybkości swoich okrętów i większej nośności swoich dział niewiele potrafią jej zaszkodzić. Na sygnał przybierała natychmiast nie dający się rozszczepić półksiężycowy szyk. Rzucali się na nią — i odskakiwali. Chwilami zmuszali ją do zatrzymania się. Lecz, gdy potężne galeony portugalskie lub neapolitańskie galeassy zapraszająco ruszały im naprzeciw, nie przyjmowali walki. Więc Armada płynęła dalej, ciągle na zachód, a oni płynęli za nią, niby sfora psów, które gonią za potężnym turem, lecz nie śmiały zaatakować go od czoła. Cóż z tego, że Drake zdobył — zresztą bez walki — pozostawiony na morzu, uszkodzony galeon andaluzyjski „Nue-stra Senora del Rosario”? Rzuciwszy się na łatwą zdobycz o mało nie spowodował klęski kilku najpotężniejszych okrętów angielskich, które, zagubivszy się w mglistej nocy, znalazły się nieoczekiwanie między hiszpańskimi. Po raz pierwszy dowódcy zuchwałej, ale zwykłej walczyć chaotycznie floty angielskiej zrozumieli, że wspaniałej dyscyplinie Armady trzeba przeciwstawić organizację. Korsarze jak Drake, John Hawkins, Frobisher musieli objąć dowództwo nad przydzielonymi im eskadrami. Sunąc za potężnym przeciwnikiem, który wciąż nie zatrzymany płynął dalej ku wyznaczonemu sobie celowi, wielki admirał lord Howard of Effingham czuł rosnący niepokój. Co będzie — myślał

— jeśli Armada dopłynie wreszcie do miejsca, gdzie czeka na nią flota i armia księcia Parmy? Jeśli teraz nie potrafią jej zwyciężyć, jak potrafią to uczynić wtedy, gdy będzie jeszcze potężniejsza?

Tymczasem Hiszpanie, poprzedniego dnia pod wieczór, zatrzymali się w Calais. To wcale nie mogło Howarda uspokoić. Francuzi byli cichymi sojusznikami Hiszpanów. Admirał królowej zatrzymał swoje cztery eskadry w odległości strzału działowego od Armady. Zaatakowanie tamtych w porcie wydawało się lekkomyślnością — kto wie, czy nie odezwałyby się wtedy działa francuskiej cytadeli? Z pokładu swego „Ark Royal” Howard widział, jak między hiszpańskimi okrętami a wybrzeżem portowym krąży łódzie, ozdobione proporcami i tarczami herbowymi. Także z admiralskiego „San Martin” spuszczone łódź. Popłynęła ona ku brzegowi i można było przez lunetę zobaczyć kolorowo ubranych wysłanników, jak siadają na przysłane im konie i jak jadą w stronę zamku gubernatora. Medina-Sidonia prowadził na pewno jakieś konszachty z Francuzami! Niepokój Howarda rósł. Czyż Elżbieta nie powiedziała mu wyraźnie, że żąda od niego niedopuszczenia do połączenia się Armady z wojskami Farneseego? A tymczasem, dzięki pomocy francuskiej, to połączenie mogło się dokonać lada chwila.

W nocy obudzono admirała. Wśród jego floty panował ruch. Za chwilę dowiedział się, że przyplłynęły okręty, które pod wodzą lorda Seymour-i Wyntera stanowiły poprzednio osłonę ujścia Tamizy. Było jasne, że jeżeli Elżbieta pozwoliła im przyłączyć się do floty Howarda, znaczyło to, iż w Londynie uważa się sytuację za bardzo groźną. Zaraz o świcie admirał wezwał na swój okręt przybyłych, a także dowódców własnych eskadr. Choć przybycie nowych okrętów — wśród nich potężnych „Rainbow” i „Yanguard” — sprawiło, że flota Howarda jeszcze bardziej przewyższała liczebnością flotę hiszpańską, nikt z zebranych nie był spokojny. Seymour i Wyn-ter, którzy po raz pierwszy ujrzeli Armadę, byli przytłoczeni jej

wielkością. Narada przeciągała się. Minęło południe — oni wciąż siedzieli w kajucie admirała nic nie zdecydowawszy.

— Radźcie coś wreszcie, panowie — mówił Howard. — Przyszła ostatnia chwila, aby coś postanowić. Jeśli teraz nie poweźmiemy decyzji — jutro może być za późno na każdą! Nie śpieszyli się z odpowiedzią. Okrągłogłowy o jasnym zarostie Drake i czarnowłosa, ponury Frobisher spoglądali po sobie, jak zawsze, z gniewem. Wiedzieli, że cokolwiek jeden z nich powie, drugi będzie się jego projektowi sprzeciwiał. Hawkins siedział z daleko wyciągniętymi przed siebie

nogami i w zamyśleniu obracał na palcu rycerski pierścień -7-pierścień, który miał prawo nosić dopiero od dwóch dni, W końcu powoli, odmierzając słowa, rzekł:

— Myślę, że zostają tylko brandery...

Powiał silniejszy wiatr i chorągiew poczęła łopotać. Między okrętami hiszpańskimi a portem wciąż kursowały łodzie. Coraz niżej obsuwające się słońce zapalało nagłe błyski na okrętach Armady.

Dość daleko przed flotą hiszpańską leżał na wodzie, niby łańcuch pikiet, sznur małych pinek. „Falcon” był tak od nich blisko, że na jego pokładzie słyszało się wyraźnie głosy hiszpańskich marynarzy. Drażniło to tak Ryszarda, że wzięwszy nabity muszkiet stanął na dziobie fregaty. Odległość była mała, kula mogła donieść. Ale kiedy oparłszy lufę o burtę począł starannie mierzyć, posłyszał za sobą głos kapitana:

— Niech pan nie strzela, sir.

— Dlaczego?

— Jest rozkaz, aby nie otwierać ognia bez komendy. Z niechęcią odstawił muszkiet.

— Więc kiedy wreszcie będziemy się bili?

Bardolf zaśmiał się. Przyszedł tutaj z fajką w zębach. Pykając z niej usiadł obok

Ryszarda na stosie lin.

— Nie pana jednego to niecierpliwi, sir — powiedział. — Ale widział pan, jacy oni są twardzi do ugryzienia? W końcu jednak trzeba im będzie skoczyć do gardła, choćby nie wiem co. Coś chyba nasi wymyślą. Od rana radzą.

— Czy znowu bitwa będzie wyglądała w ten sposób, że wielkie okręty będą się ostrzeliwały z daleka?

— Na tym, sir, polega sztuka, którą wymyślili Hawkins i Drake. Przedtem inaczej się walczyło. Ale Hiszpanie mają więcej ludzi i nie byłoby łatwo walczyć z nimi wręcz.

Wykrzyknął z gniewem:

— W takim razie nie wiem, po co tu jestem! Chciałem się bić z Hiszpanami, a nie pływać na okręciku jak „Falcon”, który podwozi tylko amunicję większym!

Bardolf przymrużył oczy i milczał. Czuł się dotknięty tą uwagą, zwłaszcza że ją w duchu podzielał. Ta wojna była starciem olbrzymów morskich. Pinki i fregaty woziły jedynie wieści, dostarczały amunicji i piwa. Zanim wybuchła wojna, „Falcon” pełnił służbę wywiadowczą między wysepkami Scilly a wyspą Ushant. Już było wiadomo, że Hiszpanie nadpływają. Inne okręty ściągały do Plymouth. Lecz Bardolf chciał się przekonać, czy Armada wygląda rzeczywiście tak strasznie, jak mówił o niej kapitan Fleming, który pierwszy ją zobaczył. Koło przylądka Lizard czekał na ukazanie się napastników. Wreszcie zamajaczyły przed nim ogromne, podobne do wież karaki, płynące w przedniej straży. Z takimi olbrzymami rzeczywiście nigdy jeszcze nie walczył. Mimo to wypłynął wprost na najbliższego olbrzyma. Plunął w niego z bliska ze swych armatek. Obrócił się — plunął znowu. Karaka nazywała się „Rata Coronata”. Jej załoga z rozbawionym zdumieniem patrzyła na małą fregatę, która zasypywała ich kulami, niewiele mogącymi zaszkodzić karace. Potem ryknęła salwa dział hiszpańskich. Pokład „Falcona” zalały fontanny wody. Lecz puszkarze hiszpańscy przenieśli i

okręt ocalał. Zdołał umknąć, płynąc ile mocy w żaglach.

Ryszard nie był jeszcze w tym czasie na pokładzie fregaty. Wsiadł na nią w kilka dni

później, gdy „Falcon” zawinął do Dover po ładunek amunicji. Potem rzeczywiście nie mieli okazji do walki.

— Taka jest wojna na morzu — powiedział Bardolf wystu kując fajkę za burtę. — Mimo to zdarzało nam się już nieraz walczyć, zatapiać lub zdobywać inne okręty, nawet większe od siebie. Biliśmy się ze Szwedami, z Duńczykami, z Polakami. I teraz, jeśli tylko pryśnie ten przeklęty sztyk, znajdziemy dla siebie przeciwnika.

— Dlaczego w takim razie nie atakujemy? Od wczoraj stoi my na kotwicach!

— Hiszpanie stoją pod osłoną dział francuskiej twierdzy.

— Więc uderzmy na jednych i na drugich!

Bardolf począł się śmiać. Ten chłopak, mimo wszystko, podobał mu się.

— Do czego pan się tak rwie, sir Cary? Pragnie pan sławy wojennej?

— Chcę sławy — przyznał. Usiadł obok Bardolfa na stosie lin. — Ale nie tylko dla niej samej. Widzi pan, kapitanie, mój wuj, lord Walsingham, nie chce mi pozwolić ożenić się z dziewczyną, którą kocham... Jeśli zyskam sławę, nikt mi niczego nie będzie mógł zabronić.

— To racja — zgodził się. — Ale czemu lord Walsingham sprzeciwia się pana małżeństwu z tą dziewczyną?

Niechętnie uderzał obcasem buta o pokład.

— Pochodzi z rodziny papistowskiej...

— Rozumiem — Bardolf kiwnął głową. — Lord Walsingham jest pewno taki sam jak

Drake. Bo dla Drake'a każdy papista to sługa szatana. Ale ja myślę, sir, że i wśród papistów są dzielni ludzie. Ci Hiszpanie, choćby... Przed paru

miesiącami poznałem także pewnego kapitana polskiego statku. Chciałoby się, aby tacy byli

zawsze z nami. Ten Polak wiózł na swym statku przebranego papistowskiego księdza.

— Dokąd go wiózł?

— Przywiózł go do Danii i chciał mnie namówić, abym go wziął do Anglii. Nie mówił naturalnie, że to ksiądz. Ale ja to od razu wywąchałem. Oczywiście nie zgodziłem się, choć Bogiem a prawdą, gdyby nie wojna i surowe zakazy, byłbym go przywiózł.

— Szpiega?

— Dam sobie rękę uciąć, że to nie był żaden szpieg. Zwyczajny ich ksiądz. Jechał do Anglii, choć wiedział na pewno, czym to grozi. Dzielny chłop. Ocalił mnie, gdy rzucił się na mnie duński majtek. Ważny jest człowiek, sir, a nie to, co na niego mówią.

Nagle usłyszeli na tyle okrętu krzyk czuwającego majtka. Bardolf wstał i wyciągając szyję usiłował coś zobaczyć. Do „Falcona” podpłynęła szalupa. Była teraz pod burtą i nie było jej widać. Ale na pokładzie zadudniły stopy biegnących majtków. Rozległ się świst ciskanej linki i stuknięcie łodzi o bok okrętu. Bardolf wyjrzał przez burtę. Ale zaledwie rzucił okiem, począł wołać na swoich, by pomogli wspiąć się przybyłym na pokład. Sam także skoczył i podał rękę wchodzącemu po drabince mężczyźnie. Ten jednak nie potrzebował pomocy. Drapał się lekko jak kot.

— Witaj James! — zawołał.

— Witaj, Francis!

Choć mówił mu po imieniu, skłonił się z kurtuazją. Ale Drake uderzył mocno po przyjacielsku dłonią w dłoń Bardolfa, tak samo, jak zwykł był witać się z nim niegdyś. Marynarze stali pełni podziwu i uszanowania. Wiedzieli, że ich kapitan i Drake byli kiedyś bliskimi towarzyszami. Jako młodzi chłopcy wypłynęli razem z Hawkinsem w daleki świat i udało im się razem uciec od Hiszpanów w barce „Judyta”. Ale potem Drake począł rosnąć w znaczenie i w sławę. Bardolf wrócił, by być małym piratem na Bałtyku — Drake'a

zatrzymały dalekie morza. Opłynął świat, stał się właścicielem wielu okrętów. Został szlachcicem. Teraz był wiceadmirałem floty. Jego imię znane było w całej Europie.

Powiedział:

— Chodź, chłopie, gdzieś na bok. Mam do ciebie ważną sprawę.

— Uczyniłeś mi zaszczyt wchodząc na mój okręt. Zejdź, proszę, do mojej kajuty i pozwól, że cię poczęstuję najlepszym kseresem, jaki posiadam.

— Dobrze, napiję się. Byle szybko. Sprawa pilna.

Z szacunkiem szedł przodem, z atencją prowadząc dawnego towarzysza do kajuty.

Pośpiesznie zmiótł wszystko, co leżało na stole. Jeden z marynarzy przyniósł worek z kozłowej skóry. Bardolf sam nalał z niego wina do pozłacanego pucharka, który postawił przed Drakem.

— Twoje zdrowie, Francis!

— Twoje, James. Dobre wino. Skąd je masz?

— To jeszcze z zeszłego roku. Zdobyte w Kadyksie.

— Udało się wtedy.

— Takiemu jak ty — powiedział przypoehlebnie — zawsze się udaje.

Drakę zaśmiał się z zadowoleniem. Ale potem skrzywił się.

— Nie zawsze się udaje. Są tacy, którzy mi usiłują szko dzić. Pamiętasz Lagos?

— Spieszyliśmy się i było za gorąco. Ale później zaraz zdo byłeś Sagres. A w parę dni później schwytałeś „San Filipe”!

— Tak, to była zdobycz. Nie zapomniałem, że inni uciekli i tylko ty zostałeś ze mną.

Dostałeś wtedy swoją część?

— Dostałem. Ale większy był honor, że walczyłem obok ciebie.

Drakę śmiał się, aż mu zęby błyskały spod żółtych wąsów. Lubił, kiedy go podziwiano.

Najwięcej cieszył się, gdy mu mówiono, że Hiszpanie wierzą, iż ma w kajucie lusterko, w którym w każdej chwili może zobaczyć, gdzie znajduje się każdy hiszpański okręt. Ale po chwili przestał się śmiać. Poważnie przywołał do siebie Bardolfa i położył mu rękę na ramieniu.

— Kiedyś — rzekł — będziemy się bawili wspomnieniami. Ale teraz nie ma na to czasu.

Muszę ci coś powiedzieć. Na staw dobrze uszu. Hiszpanie ukryli się u Francuzów. Papiści u papistów. Widziałeś, jak łodzie krążyły cały dzień między okrętami a portem? Na pewno zażądali od tamtych wody, żarcia i amunicji. Najgorzej z amunicją. Była im na pewno potrzebna. Zauważyłeś, że podczas ostatniej walki odpowia dali słabo.

— Zauważyłem.

— Już im na pewno brakło. A teraz mogli im Francuzi dać. A może dopiero muszą im dowieźć? Tak czy owak będą od nich mieli. A poza tym przez nich umawiają się na spotkanie z Parmą. Jeśli tu dłużej pobędą, wyruszą z nowymi siłami. Uradziliśmy, że nie możemy na to pozwolić! — Uderzył pięścią w stół.

— Słusznie.

— Trzeba ich zmusić do wypłynięcia z portu. Jeżeli nie mają dobrych pilotów, prąd ich zniesie na mielizny. A jeśli wypłyną na pełne morze, odbiją się od Parmy...

— Dobra myśl. Lecz dlaczego admirał zwlekał cały dzień z uderzeniem?

-r- Uderzymy w nocy!

— W nocy? Jak?

— Branderami, James! Okazja jak nigdy. Oczy Bardolfa zaiskrzyły się dziką radością.

— Jeżeli się to uda...

— Musi się udać!

— Macie brandery?

— Nie.

— Więc skąd je weźmiecie?

— Powiedziałem Howardowi: dostanie ode mnie osiem okrętów zamienionych na brandery!

Bardolf cofnął się. Zmarszczył brwi. Patrzył podejrzliwie na Drake'a. Wreszcie zapytał głosem zduszonym:

— Z tym przyplłynąłeś do mnie? Chcesz wziąć „Falcona”?

— Tak.

Gwałtownie zerwał się na nogi. Skrywająca zwykle wszelkie uczucia twarz Bardolfa była teraz skrzywiona gniewem.

— Nie zgadzam się! To mój okręt!

— Siadaj! — Drake powiedział rozkazująco. Tyle było w tym głosie siły, że Bardolf usiadł.

Ale warknął raz jeszcze:

— To mój okręt!

— Twój. Zgoda. Ale sprawa jest wspólna. Nasza — rozu miesz? Mógłbym ci zabrać okręt siłą. Nie chcę jednak. Byłeś mi towarzyszem w wielu wyprawach. Chcę, abyś pojął. Tylko tak możemy ich zwyciężyć. Dałem mego „Thomasa”. Hawkins i Howard dali po jednym...

— Nie dam „Falcona”!

Drake położył obie ręce na ramionach Bardolfa. Potrząsnął nim mocno. Mówił przez zęby:

— Chłopie! Nie mamy czasu. Jutro może być za późno!

— „Falcon” był w Kadyksie!

— „Thomas” był także.

— Dlaczego nie dasz — wybuchnął — „Golden Hind”?!

— Wiesz, że okręt kupiła królowa.

— Ale byś go nie oddał! Prawda? Opłynąłś na nim świat. I nie oddałbyś go...!

— Słuchaj, chłopie. — Twarz Drake'a stężała. Był jak ktoś, kto decyduje się na najbardziej szaleńcze posunięcie. Tak wy glądał, gdy rzucił spokojną przystań koło przylądka Yincen, by pognać poprzez wzburzone morze z nie zaopatrzonymi okrętami naprzeciw „San Filipe”.

— Wierz mi lub nie wierz... Ale powiadam ci, że oddałbym...

— Oddałbyś?

— Oddałbym! Od tego zależy wszystko. Jeśli ich wygnamy z portu, wygramy! Czy ty rozumiesz, co to znaczy? Kąsaliś my ich. Podsmalaliśmy Filipowi brodę. Teraz możemy im wyrwać zęby...!

— Daj słowo, że oddałbyś!

Drakę wstał. Z powagą wyciągnął rękę do Bardolfa. Mocno uchwycił jego dłoń.

Powiedział:

— Słowo!

Stali w milczeniu, trzymając dłoń w dłoni. Bardolf powoli schylił głowę. Drakę dorzucił:

— Moja głowa, że królowa wynagrodzi ci wszystko, co stracisz...

Bardolf zrobił niechętny, odpychający gest.

— Ale ja sam go podpale! — powiedział.

— Zgoda.

— Co można zabrać z okrętu?

— Tyle, co na łodziach, i tyle, co zdążycie. Nie ma czasu. Trzeba przemienić okręt w brandera. Musisz zaraz popłynąć do tyłu i ukryć się za „Revenge'a”. Żeby tamci nie zauważyli, co się święci. Ciebie i twoich ludzi biorę na swój pokład. Bę dziecie mieli udział w tym, co „Revenge” zdobędzie.

Bardolf uczynił znowu ten sam odpychający gest.

— Idę wydać rozkazy.

— Poczekaj. W imieniu królowej dziękuję ci. Potem ona ci sama podziękuje...

— Nie zależy mi. Robię, co chcę! Co sam chcę!

— Wiedziałem, że jesteś taki. Teraz odpływam. A wy — spieszcie się.

Opuścili kajutę i wyszli na pokład. Odprowadził Drake'a do łodzi, lecz bez czołobitności, jaką mu okazywał przedtem. Za to marynarze krzyknęli odpływającemu: „Niech żyje!”

Zaledwie łódź odbiła — Bardolf kazał się zebrać całej załodze. Wydawał komendy głosem suchym, matowym. Nie było wiatru, więc kazał spuścić łodzie i wziąć fregatę na hol. Za chwilę przepływali obok „Revenge'u”, którego bokznaczony był, tu i tam, szczerbami od kul hiszpańskich. Załoga czyściła działa i machała wesoło rękami do marynarzy „Falcona”.

Stanęli z tyłu za wielkim galeonem. Bardolf polecił spuścić kotwicę i znowu przywołał wszystkich marynarzy. Począł wydawać dalsze rozkazy. Po chwili zrozumieli, o co idzie.

Nad zebraną gromadą majtków przeleciał niespokojny szmer. Uciszył go groźnym warknięciem. W ciszy, jaka zapanowała, słychać było przyśpieszony oddech załogi. Większość tych ludzi spędziła całe lata na pokładzie „Falcona”. Brali udział w ryzykanckich rejsach do Rewia i w wyprawie do Kadyksu. Tworzyli z okrętem całość. Wiedzieli, że może kiedyś przyjdzie im razem z nim iść pod wodę. Ale oddawać go dobrowolnie na zagładę? Mimo to, gdy kapitan skończył mówić, ruszyli spełnić wydane rozkazy. Nie było wesołych okrzyków ani podśpiewywań. W milczeniu ciągnęli za liny, rąbali siekierami, tłukli młotami.

Bardolf stał na mostku, z nogą opartą na balustradzie. Bez słowa przyglądał się robocie majtków. Wytaczali na pokład beczki i skrzynie, rąbali je, oblewali drzewo smołą. Inni gromadzili na stos łatwopalne materiały. Wywleczono z samego dna kilka pak bawełny. Pod okiem bosmana posypywali żółte kłaki prochem.

Kapitan zeszedł z mostku i udał się pod pokład. Puszkarze ładowali działa podwójnym

ładunkiem. Zrywano ambrazury armatnie, aby było jak najwięcej przewiewu. Bardolf potrzęsnał głową. Przywołał cieślę okrętowego i kazał mu wyrąbać otwory w ścianach grodzi. Teraz dopiero poczęło naprawdę ciągnąć.

Wrócił na mostek. Słońce już zaszło i na morzu leżały czarne plamy mroku. Na okrętach hiszpańskich zapalono latarnie. Z pokładu któregoś z nich podniosła się pobożna pieśń śpiewana przez setki męskich głosów. Słuchał jej zamyślony. Nie czuł gniewu do tamtych. Miał ochotę zapalić fajkę, ale powstrzymał się od tego: w tym stanie, w jakim się znajdował obecnie okręt, jedna iskra mogła go zamienić w płonąca pochodnię. Oparł łokcie na barierze mostku i wsparłszy brodę na dłoniach patrzył z góry na swoją fregatę. Wciąż to był ten sam okręt, z którego tak był dumny. Lecz mrok skrywał coraz bardziej pokład. Marynarze kończyli pracę. Stawali jedni koło drugich i w milczeniu patrzył^ także.

Posłyszał kroki na schodach. Obrócił się do wchodzącego Ryszarda.

— Moi żołnierze, kapitanie — powiedział Cary — już od płynęli.

— To dobrze. Niech pan także odpływa.

— Myślę, kapitanie, że żał panu okrętu. Mnie samemu, choć tak krótko na nim pływałem...

— Rozumiem — przerwał. — Żegnam pana, sir. Miło było mieć pana na pokładzie.

Powodzenia.

Wyciągnął rękę do Ryszarda.

— Lecz przecież zobaczymy się ha „Revenge'u”.

— Może...

— Dlaczego może?

— Ktoś musi zapalić okręt i sterować nim. Jeśli ma spłónać, niech się spali tak, aby

sobą podpalił tamte...

Ryszard zmarszczył czoło.

— Lecz człowiek, który będzie sterować, zginie!?

— Niekoniecznie. Zostanie łódka. W ostatniej chwili można skoczyć w wodę i dopłynąć do łodzi.

— I pan chce zostać sam na pokładzie?

— To mój okręt. Zresztą może jeszcze zostawię kogoś z za łogi. Ktoś powinien stać na przedzie i pilnować, aby tamci nie ściągnęli okrętu w bok.

Ryszard chwycił go za rękę.

— Niech pan pozwoli, kapitanie, abym to ja został!

— Pan, sir? — Bardolf patrzył na młodego rycerza, choć w mroku ledwo mógł widzieć jego twarz. — Pan? To nie bezpieczne... bardzo niebezpieczne...

— Mówił pan, że łódka...

— Łódka będzie. Ale okrętu nie można opuścić, póki nie przebije się między pinkami, które zasłaniają Armadę. A nie wiadomo, kiedy ogień dojdzie do prochów i kiedy nastąpi wybuch... Można już nie móc uciec.

— Mimo to. Proszę mi pozwolić...

— Sir Cary, sławę można zdobyć nie narażając się aż tak bardzo.

— Proszę pana, kapitanie...

Bardolf stał z pochyloną głową. Namyslał się, podczas gdy jego palce bawiły się głównią zatkniętego za pas pistoletu. W końcu powiedział:

— Niech pan zostanie, sir...

Było już dobrze po północy, kiedy z pokładu „Ark Royal” zagrzmiął strzał z muszkietu. Na ten sygnał załoga pośpiesznie rozpięła wszystkie żagle. Fregata ruszyła natychmiast, niby

zniecierpliwiony długim stanem koń. Rozpoczynający się przyływ i silna bryza ciągnęły okręt w stronę portu.

— Uciekajcie! Prędko! — krzyczał Bardolf naciskając ca łym ciałem na koło sterowe, by wyprowadzić okręt spoza wiec admirałskiego galeonu. Marynarze przez moment stali zniechęceni, jakby nie słyszeli rozkazu. Ale potem poderwali się. Jeden przez drugiego skakali z burty. Łódź, która ich zabierała, pozostała w tyle. Wiatr z hukiem rozdymał żagle. Mijając czub „Revenge'u” Bardolf zobaczył na nim sylwetkę Drake'a. Ale już musiał przerzucić koło w drugą stronę. „Fal-con” leciał, jakby naprawdę miał skrzydła. W tej chwili z prawej strony na powierzchni wody rozlała się plama purpurowego blasku. Rosła błyskawicznie. To stanął w płomieniach płynący na skraju brander. Potem zapalił się drugi, trzeci...

— Ognia! — krzyknął.

Ryszard, który stał gotowy z pistoletem w dłoni, wypalił w kłęb nasyconej bawełny. Jasny płomień buchnął natychmiast w górę. Pędził po pokładzie wzdłuż usypanych z prochu ścieżek. Wspiął się ku wydętym żaglom.

Osiem palących się okrętów tworzyło teraz ognistą ławę, która z niesłychaną szybkością zbliżała się do linii strzegących Armady okręcików. Gdyby nie huk ognia, ludzie, którzy znajdowali się na branderach, byłiby usłyszeli dobywający się z tysięcy ust krzyk. Na pokładach hiszpańskich okrętów powstało zamieszanie. Zahuczał strzał działowy i wrzeszczały się trąbki. Brandery już dopływały linii pinek. Na nich stali ludzie z hakami abordażowymi w ręku. Usiłowali schwytać ogarnięty płomieniami okręt i odwlec go w bok, na mieliznę. Udało im się to uczynić z dwoma branderami znajdującymi się na skrzydłach. Ale pozostałych sześć sunęło dalej, prosto na flotę. Płynęły nieco wolniej, gdyż bijące w górę płomienie zdarły dolne żagle. Lekkie pinki starały się zabiec im drogę.

Brandery płonęły jednym wielkim słupem ognia. W jego blasku widać było zamęt, jaki ogarnął flotę hiszpańską. Ludzie biegali po pokładach, rąbali liny kotwiczne, podnosili żagle. Okręty jeden przez drugiego starały się wyrwać z ciżby. Tu i tam nastąpiło zderzenie...

Ryszard stał na burcie na czubie „Falcona” z długim drągiem w rękach. Płomienie buchające za jego plecami oświetlały przed nim, niby na wielkiej półkolistej scenie, splątana flotę. Na rozfalowanym morzu leżał jego własny ogromny cień. Z boku podpłynął mały okręcik. Tamci usiłowali pochwycić hakami za burtę „Falcona”. Uderzeniami drąga odtrącał haki. Wtedy tamci zaczęli strzelać. W straszliwym rozgwarze nie słyszał huku muszkietów, czuł tylko porywające koło głowy kule. Obejrzał się na Bardolfa. Ale tam, gdzie był mostek kapitański, stał teraz słup ognia. Nie wiedział, czy już czas na spróbowanie ucieczki. Nagle straszliwy wybuch szarpnął fregatę. To wypaliły działa. Wstrząs był tak silny, że Ryszard stracił równowagę. Spadł w wodę. Gdy wydobył głowę nad powierzchnię, brandery były daleko. Parły niepowstrzymanie w sam środek floty. Jedna z olbrzymich galeass widać utknęła na mieliźnie, gdyż jej wiosła, niby niezliczone macki potwora, z rozpaczliwą gwałtownością biły w wodę. Z wnętrza okrętu dochodził przeraźliwy krzyk, przypominający skowyt — to musieli wyć galernicy. Nad pokładem trzepotała się olbrzymia, wielobarwna chorągiew.

CZEŚĆ TRZECIA

Z bardzo daleka, stamtąd, gdzie połyskująca i jakby wydęta tafla morza stykała się z błękitnoszarym, sierpniowym niebem, dochodził od czasu do czasu głuchy huk bijących dział.

Walka toczyła się od świtu i musiała być zażarta. Tu na lądzie wszystkie odgłosy przycichły; można by pomyśleć, że cała wyspa przysłuchuje się dalekiej strzelaninie.

Browne objechawszy rozległy szmat wybrzeża powierzonego jego opiece wsiadł do łodzi i kazał się przewieźć na drugą stronę wrzynającej się głęboko w ląd zatoki. Kiedy zgłosił się przed kilku dniami do Leicestera po rozkazy, dowiedział się, że jemu i jego ludziom została powierzona obrona małego skalnego cypla. Na północ i na południe od jego odcinka miały stać inne oddziały. Ale przybywszy na wskazane miejsce przekonał się, że ani z jednej, ani z drugiej strony nie ma nikogo. Wybrzeże było puste, jakby mu nie groził żaden wróg.

Następnego dnia odwiedził ich sir John Norris, dowódca obrony wybrzeża. Doświadczony w kilkuletniej kampanii holenderskiej wódz trząśł się z gniewu. „Leice-ster — wyrzekął — siedzi w Tilbury i wyobraża sobie, że wojnę prowadzi się wykreśleniem odcinków obrony na mapie! Ale gdzie są ludzie, którzy mają tych odcinków bronić? Niech się pan nie ogranicza do czuwania nad tym cyplem, milordzie. Całe wybrzeże, po tej i po tamtej stronie zatoki, musi być bronione...”

Siły, które przywiódł Browne, nie były wielkie: oprócz zebranej szlachty i jej służby, stanowiła je kompania piechoty zaciężnej wyekwipowana kosztem pana na Cowdray. Byli to żołnierze wyszkoleni, n.a których można było liczyć.

Bo jeżeli chodziło o szlachtę, to po parodniowym pobycie na wybrzeżu Browne przekonał się, że nie będzie miał z niej żadnej pociechy. Zebrani squire'owie nie mieli doświadczenia wojennego. Żaden z nich nie był nigdy w polu. Początkowo wydawali się pełni gorliwości. Ale po dwóch dniach bezczynnego czekania na wybrzeżu zatęsknili do domowych wygod.

Swoją służbę, zamiast oddać do sypania szańców, rozsyłali w różne strony w poszukiwaniu prowiantu lub kazali jej urządzać sobie kwatery w okolicznych domach, wybierając jak najwygodniejsze. Zwołanie rozsypanych po kwaterach ochotników nie było rzeczą łatwą. Poza tym, w ciągu paru dni zmienili się ogromnie: ludzie, którzy tak niedawno byli pełni niepewności, czy postępują słusznie, teraz wciąż tylko zastanawiali się, jaką za gotowość otrzymają nagrodę od królowej. Żądali dla siebie wszystkich przywilejów walczącego wojska: byli pierwsi do rekwirowania domów, żywności, siana, wozów czy koni. Natomiast wykręcali się, jak mogli, od pełnienia służby.

Do ubezpieczenia ogromnego odcinka wybrzeża pozostawała piechota. Na północ od zatoki teren był wyższy i łatwiej go było strzec. Po drugiej jednak stronie tworzył błotnistą łąkę, przechodzącą w zalewaną przez morze plażę. Na małej wydmie stało tu kilka nędznych lepianek, należących do rybaków, którzy trzymali swoje łodzie w głębi zatoki. Po rozmowie z Norrisem Browne postanowił wysłać na drugą stronę trzydziestu żołnierzy z porucznikiem. Zastanawiał się przez pewien czas, komu powierzyć dowództwo całego tamtego obszaru, i zdecydował się w końcu oddać je Nortonowi.

Do Nortona poczuł od pierwszej chwili sympatię. Stary squire był pierwszym, który zdecydował się złożyć przysięgę. Ale co więcej — Browne, choć niewiele miał okazji do rozmawiania z Nortonem, czuł podświadomie, że jest to jedyny między przybyłymi człowiek, który myśli tak samo jak on.

Dwa dni temu wieczorem oddział wzmocniony przez gromadkę służby Nortona odpłynął na przeciwległe wybrzeże. W nocy i kilka razy w ciągu dnia zrywał się drobny, ale dokuczliwy deszcz. Browne myślał, że tamtym niełatwo jest wytrwać na, i bez tego deszczu, mokrym terenie. Tego poranka o świcie wszystko było spowite w mgłę. Ale słońce poczęło się wcześniej spoza mgły przebijać. Ledwo ją rozproszyło — już morze w dali

zahuczało wystrzałami. To było oczywiste: Hiszpanie przepłynęli kanał. Byli po drugiej jego stronie, przy wybrzeżu flandryjskim. Może już połączyli się z Parmą? Może gotowali się do lądowania?

Wyskoczył z łodzi na ziemię pokrytą miękkim, napęczniałym wodą mchem. Zobaczył zbliżającego się Nortona. Podali sobie dłonie.

— Witam pana, milordzie. Tam — wskazał ręką dudniący strzałami horyzont — decyduje się...

— Tak.

— Czy nie otrzymał pan, milordzie, jakichś wiadomości?

— Owszem. Przed godziną przyjechał goniec z Londynu. Według tego, co tam wiedzą, w czwartek toczyła się walka naprzeciwko wyspy Wright. Była krwawa i zawzięta. Wyglądało początkowo, jakby Hiszpanie chcieli lądować, nasi więc atakowali. W końcu Hiszpanie przerwali walkę i popłynęli dalej na zachód. W samą porę — okazało się, że nasza flota nie miała już amunicji. Przez cały piątek okręty starały się o załadowanie w portach kuł i prochu. Tymczasem Hiszpanie wpłynęli w kanał i zakotwiczyli się w Calais... Tak wyglądała sytuacja w piątek wieczorem.

— Obecnie są już po drugiej stronie kanału.

— Tak. I jeżeli będą próbowali lądowania — to teraz.

— Będziemy się bili, milordzie.

— Dobrze, że pan tak mówi. Bo jeśli wylądują, będziemy sami.

— Postaramy się wytrwać, póki nie przyjdzie pomoc.

— Niech pan się nie łudzi. Zanim Leicester zbierze jakieś wojsko i przybędzie z nim tutaj, dawno będziemy wybici do nogi...

Norton bez słowa kiwnął głową. Zapanowało długie milczenie. Potem obaj podnieśli głowy i

spojrzeli na siebie. Uśmiechnęli się. Wtedy powiedział Norton:

•— Żołnierze wyglądają na dzielnych, milordzie.

— Myślę, że na nich się nie zawiedziemy. Jak jednak za chowa się nasza szlachta — nie wiem. Tymczasem nasłu chują wystrzałów i rozglądają się, gdzie są żołnierze królowej. Muszę skrywać przed nimi prawdę. Och, wolałbym, aby ich tu nie było. A jednak oni tu powinni być!

Słońce wspinało się szybko w górę i przypiekało coraz mocniej. Mgła rozproszyła się całkiem i wzrok mógł sięgnąć daleko w morze. Żołnierze, którzy poprzednio chodzili po wybrzeżu, tupiąc i zacierając ręce, aby strząsnąć z siebie nocny chłód, teraz z wielkim krzykiem popędzili na plażę. Przykładając dłonie do czoła patrzyli w dal.

— Co się tam stało? — zaniepokoił się Browne.

Udali się także nad wodę. Żołnierze rozstępowali się z szacunkiem przed nimi. Stojąc na kamieniach lizanych przez wodę wytężali, jak mogli, zacienione dłońmi oczy. Daleko, daleko widać było żagle okrętów, czasami pojawiał się błysk. Czasami płomienie buchnęły mocniej. Dopiero po dłuższym czasie przychodził spóźniony huk.

Patrzyli czas jakiś, potem zostawili na plaży zapatrzonych w daleką bitwę żołnierzy, sami zaś wrócili na wybrzeże.

— Zbliża się południe — zauważył Browne.

— Tak.

— Wrócę już...

— Czy nie zrobiłby mi pan, milordzie, zaszczytu wypicia na mojej kwaterze kieliszka wina?

— Wypiję i chętnie porozmawiam z panem, sir. Od dawna, chciałem z panem porozmawiać. Przypadł mi pan do serca

— Wielki to honor dla mnie, milordzie.

— Niech pan tak nie mówi — położył dłoń na ramieniu Nortona. — Chciałbym rozmawiać z panem jak równy z równym.

— Jestem tylko małym szlachetką, milordzie.

— Jesteśmy w jednej służbie i jedna nagroda nas czeka. Norton zaprowadził Browne'a do małego domku, w którym

miał swoją kwaterę. Była to lepianka z desek i z gliny, przykryta zbutwiałą słomą. Wnętrze było ciemne — w domku nie było okien: światło dostawało się jedynie przez drzwi i otwór w dachu. Choć właściciel zabrał z izby swój sprzęt rybacki, pozostał po nim słony zapach morza. Siedli na kulawych stołkach przy równie kulawym stole, na którym paliła się świeca. Stary John nakrył stół serwetą. Podał kielichy i butelkę wina.

— Niestety, nie wiem, czy dobre — tłumaczył się Norton. — Wojna przerwała dostawy.

— Będzie dobre — powiedział Browne z uśmiechem. Rozejrzył się. — Nie ma pan tutaj zbyt wygodnego pomieszczenia — zauważył. — Tamci — skinął głową w kierunku drugiego brzegu zatoki — urządzili się lepiej.

Norton wzruszył ramionami.

— Nie trzeba mi lepiej. U mnie w domu także skromnie.

— Grzywnami niszczą was? — zapytał Browne.

— Wolę je płacić i otwarcie wyznawać swoją wiarę, niż kryć się z nią.

— Tak i ja sędzę. Tylko że ja mogę płacić długo.

— Dłużej, krócej... Gorzej, że są tacy, którzy nie mogą już płacić.

Na chwilę zamilkli.

— Pańskie zdrowie, milordzie — powiedział Norton.

— Dziękuję. Czy pan wie, sir, dlaczego właśnie panu od dałem dowództwo tego

wybrzeża?

— Nawet nie domyślani się.

— Pan nie zawahał się, gdy lord Arundel wzywał, byśmy odstąpili od naszych zamierzeń.

— Powiedziałem sobie: człowiek jak pan nie może się mylić.

— Ja? Dlaczego?

— Istnieje związek między życiem człowieka a jego de cyzjami.

— Niech pan tak nie mówi! Czym innym są sprawy, któ rym chcemy służyć, a czym innym jesteśmy my sami. Pan Bóg pozwolił, że byłem zawsze szczerze przywiązany do naszej wiary. Myślę, że jej nigdy nie zdradziłem. Ale niech pan nie sądzi, sir, że nie ulegam wątpliwościom. Ulegam im... Od paru dni, gdy patrzę na naszą szlachtę... Właśnie dlatego przyjechałem dzisiaj do pana. Pan ma w sobie tyle spokoju!

— Mój spokój... — zaczął i zaraz urwał. Czy mógł zaprze czyć? To, co się w nim dokonało, było wielką niespodzianką. Przemiana była tak gwałtowna, że wciąż czuł się nią zaskoczony. Ten spokój, którego tak długo nie znał, a który nagle w nim zapanował, był niby kruche naczynie, budzące lęk, gdy się je trzyma w palcach. — Jeśli go trochę w sobie odna lażem — powiedział — to nie moja zasługa. Bóg dał i niech będzie Mu za to chwała. Przedtem było inaczej — uniósł rękę, jakby chciał wyrazić tym gestem okropność tego, co było dawniej.

— Bóg panu w tej chwili dał — mnie cofnął. W żaden spo sób nie zdobędziemy tego, czego On odmawia.

— Gdyby można Go było mieć między nami! Czy nie mógł byś milordzie, wystarać się dla naszego oddziału o jakiegoś kapelana?

— Od samego początku staram się o to. Ale w ostatnich dniach taka zapanowała atmosfera wrogości wobec katolików, że nawet księża „mariańscy" gdzieś się poukrywali.

Do żadnego z nich nie mogli moi ludzie dotrzeć. Zresztą oni są stary i po prawdzie mało już zdolni. Dwa dni temu zdecydowałem się: posłałem list do lorda Arundela. Nie wątpię, że on jest w kontakcie z jezuitami...

— Byłoby znakomicie, gdyby któryś z nich przybył. Czy jednak zechcą przybyć?

— Nie wiem. Jesteśmy jednak ludźmi, którzy jutro mogą już nie żyć. Oni są przeciwnikami naszej decyzji, lecz to są wspaniali misjonarze...

— Wiem — skinął głową.

W domku, mimo lichych ścian, nie było słychać dalekiej kanonady. Czasami tylko, gdy rozmowa cichła, poprzez otwarte drzwi wpadał na chwilę pomruk niby daleko obracających się żaren.

— Nasz los rozstrzyga się — powiedział Browne. — Najdalej jutro powinno się rozpocząć lądowanie. Będziemy mieli wojnę w kraju. Ludzie z otoczenia królowej obawiają się powstania katolików. Wielu spośród szlachty zostało uwięzionych. Po dworach katolickich skonfiskowano broń i konie. A przecież, jeśli powstanie wybuchnie — to nie ci, którzy otwarcie pozostali przy wierze, podejmą je. Zrobią je tacy, którzy dziś służą Elżbiecie, a jutro będą chcieli ofiarować swe służby Filipowi. Którzy dziś wyznają anglikanizm, a jutro będą starali się pokazać, jak są gorliwymi katolikami! Ci, którzy pilnują dworów katolickich, lecz nie przyszli tu, na wybrzeże, by go bronić... Czy myśli pan tak samo, sir?

— Chyba tak, milordzie.

— To, przyznaję, odbiera odwagę — westchnął. — Niech mi pan odpowie, sir: co się stanie, jeśli się nam uda wygrać? — Podniósł wzrok i patrzył uważnie w twarz Nortona.

W oczach Browne'a było tyle doświadczenia życiowego, taka znajomość świata i człowieka, praw i polityki. A jednak w tej chwili to on oczekiwał potwierdzenia swych myśli od starego Squire'a.

— *Zacznie się na nowo przeciwko nam...*

— Myślę tak samo. Ocalając królestwo, nie ocalimy siebie. Jak to dobrze, że przynajmniej my dwaj rozumiemy się!

Dopił wino z kielicha i wstał. Powiedział:

— Trzeba mi wracać. Gdy rozsyłałem wezwanie, miałem więcej nadziei. Wydawało mi się, że wystarczy, abyśmy przy byli. Dziś myślę: czy ocalimy katolicyzm ocalając go wśród kilku rodzin szlacheckich? Czy wystarczy, że ich dwory pozo staną wyspami w morzu herezji?

— A jednak — odpowiedział — chyba i o to trzeba walzyć...

— Dziękuję panu, sir. Dziękuję ci, towarzyszu... — Głos Browne'a załamał się. Był wzruszony. Objął Nortona i ucałował w oba policzki.

Gdy podeszli do drzwi, wydało im się, że strzelanina ucichła. Z morza przez pewien czas nie dolatywał żaden dźwięk. Po chwili jednak odezwało się znowu dudnienie. Ale intensywność strzelaniny słabła. Rozlegały się salwy a potem, na dłuższy czas, zapadała cisza. Browne nasłuchiwał czas jakiś.

— Walka jest już zdecydowana — powiedział. — Jedna strona nie odpowiada. —

Spojrzał na niebo, na które wypełzła czarna chmura. — Idzie deszcz. Dziś już nie będą próbowali

lądowania. Gdy rano zobaczymy hiszpańskie okręty przy brzegu, będziemy wiedzieli, co się stało...

Szli wolno obok siebie do miejsca, gdzie na Browne'a czekała łódź. Żołnierze, którym wieczorem nie wolno było palić ognisk, aby ogień nie służył za wskazówkę dla floty nieprzyjacielskiej, teraz gotowali sobie strawę. Kilku położyło się i starało się odespać bezsenłą noc. Większość jednak wciąż stała na plaży wpatrzona w daleki horyzont. Kiedy

zobaczyli, że Browne odjeżdża, pośpieszyli, by się z nim pożegnać. Otoczyli go kołem. Był lubiany. Uśmiechnięty rozmawiał z nimi. Zapytał przygotowujących obiad, co mają w kotle, i kazał sobie podać na spróbowanie gotującej się zupy. Gdy powiedział, że łódź, która go miała odwiedzić, powróci i przywiezie im beczułkę piwa, wybuchnął wesoły okrzyk: „Niech żyje wicehrabia Montague”!

Browne położył rękę na ramieniu młodego żołnierza o twarzy porastającej pierwszym zarostem. Tamten błysnął dużymi oczami i zaraz je spuścił jakby zawstydzony. Twarz żołnierza była młoda, ale skurczona. Wyglądała na zziębniętą. Duże usta drżały.,

— Ten chłopak — Browne powiedział do Nortona — przy szedł do mnie w Londynie i prosił mnie gorąco, abym go przyjął do swego oddziału. Nie wiedziałem, czy się zgodzić. Wydaje się delikatny jak dziewczyna...

— Zauważyłem to już wczoraj, milordzie. Trząśł się tak na służbie, że musiałem go odesłać do chaty, aby się ogrzał.

Browne poklepał żołnierza po ramieniu. Gdy odeszli, pos wiedział:

— Nie byłbym go przyjął, ale ochotników nie było zbyt wielu. Poza tym to katolik.

Pragnąłem także wśród żołnierzy, mieć przede wszystkim katolików. Opowiadał mi o sobie.

Niech pan sobie wyobrazi, sir, chłopak był na kontynencie} Rodzina posłała go na naukę do Francji. Ale musiał wrócić, gdyż rodzice poumierali i nie miał kto za naukę płacić. Po

wiedziałem mu, że jeśli się będzie dobrze sprawował, pomyślę o nim później... — Browne

zamyślił się. — Niczego bym wię cej nie pragnął, jak tylko przekonać królową, by

zezwoiła na wysyłanie młodych do seminariów za granicę i na wpusz-t czanie ich z

powrotem do kraju jako księży! Bo kiedy ostatni „mariańscy” wymrą — co potrafimy zdziałać bez księży?

— Nic! Nic bez mszy, bez spowiedzi^ bez Komunii świętej. j. — Gdybym to przynajmniej

mógł wytargować!

— Królowa rozmawia z panem łaskawie, milordzie.

— Tylko kiedy ona jest naprawdę szczerą? Bo ona lubi grać i gra ze wszystkimi.

Czasami wydaje mi się, że nie jest dla nas nieżyczliwa, a czasami znowu... *Czczą ją*, podziwiam — ale nie rozumiem...!

Jeszcze raz podali sobie dłonie. Potem Browne wsiadł do łodzi, która natychmiast odbiła od brzegu. Żołnierze wznosili pożegnalne okrzyki i machali hełmami. Norton patrzył długo za odjeżdżającym. Z morza dochodziły strzały, coraz rzadsze.

Tak jak przewidywał Browne, spadł gwałtowny deszcz. Szare ściany wody otoczyły ich ze wszystkich stron. Morze ściemniało. Pod wpływem tego deszczu wybrzeże zamieniło się w rozczłapane bagno. Kiedy wreszcie deszcz przeszedł, wyrzało znowu słońce, purpurowe niby świeża krew. Norton wyszedł na plażę, aby popatrzeć na morze. Było szare, rozkołysane i puste. Przez pewien czas nasłuchiwał. Ale nie usłyszał nic. Ten deszcz skończył ostatecznie walkę.

Słońce błysnąwszy zapadło za czarne złoża chmur, niby za spiętrzone na horyzoncie belki.

Wieczorna ćma rozpościerała się szybko. Zerwał się ostry wiatr uderzający to z tej, to z tamtej strony. Spokojne w ciągu dnia morze poczęło groźnie wzbierać.

Idąc z powrotem w stronę wybrzeża natknął się na porucznika, który doglądał zmiany straży.

— Tych, co zmokli — powiedział — odesłałem, aby się osuszyli. Dziś wystawiłem więcej wartowników i będę ich częściej zmieniał.

— Słusznie, poruczniku. Niech mają oczy szeroko otwarte. Gdyby spostrzegli zbliżające się do brzegu okręty muszą na tychmiast podnieść alarm. A z pierwszym świtem trzeba postawić na nogi wszystkich. Muszą być gotowi do natychmiastowej walki.

— Stanie się według pańskiego rozkazu, sir.

— Przygotujcie grzanego piwa, aby dać się ludziom napić. Walka może się rozpocząć w każdej chwili. Będzie ciężka...

— Jeśli tu wylądują, zmiotą nas od razu.

— Musimy, poruczniku, walczyć jak najdłużej. Tak długo, póki nie zaalarmujemy całego wybrzeża. Niech pan wyzna czy człowieka, który w chwili decydującej podpali te chaty.

Lord Browne przeznaczył pieniądze, aby wynagrodzić biedaków.

— Wszystko zostanie spełnione, sir. Lord jest człowiekiem naprawdę bardzo łaskawym.

— Ma pan dziwny akcent, poruczniku. Skąd pan pochodzi?

— Jestem Irlandczykiem, sir. Pochodzę z Munster. Jestem szlachcicem z rodu Geraldinów.

— Co pan robi w Anglii?

— Służę. U nas kraj biedny, trzeba szukać zarobku na obczyźnie.

— Podobno w Irlandii nienawidzą Anglików?

— Gubernator Fitzwiliam uciska ludność. Wciąż wybuchają bunty. Odkąd Anglia wyrzekła się religii rzymskiej, jest ich 'każdego roku więcej. Wielu oczekuje, że Hiszpanie wyzwolą kraj...

— A jednak pan, poruczniku, staje do walki z Hiszpanami?

— Jestem żołnierzem zaciężnym i złożyłem przysięgę lordowi. Ale kiedy skończy się czas zaciągu, będę szukał sobie służby u katolickiego władcy na kontynencie. Podobno w Polsce potrzebują żołnierzy najemnych...

— Nie chcesz zostać w Anglii?

— Chcę móc być katolikiem.

Zamilkli i tylko patrzyli w mroczną przestrzeń. Mrok zapadł i morze huczało coraz głośniejsze. Wiatr dął i kręcił.

— Ludzie mieli rację — powiedział porucznik — kiedy opowiadali, że ten rok będzie niezwykły. Ciągłe burze, wichury, deszcze. O tej porze morze bywa zwykle spokojne. W tym roku jakby oszalało. Może to prawda o tej tablicy, którą miano *znaleźć* w Glastonbury...

— O jakiej tablicy?

— Opowiadał mi kiedyś pewien człowiek, że w ruinach tamtejszego opactwa obsunęła

się ziemia i ludzie znaleźli starą, rzymską tablicę, na której wypisane były przepowiednie.

Nie wiadomo czyje, ale bardzo stare. Chyba jeszcze z czasów przedchrystusowych. Mówiły, że w tysiąc pięćset osiemdziesiąt osiem lat od chwili, gdy Dziewica porodzi Syna, albo świat się całkiem skończy, albo przynajmniej zadrży.

— Wszystko w ręku Boga, panie poruczniku.

— Wszystko. Ale Pan Bóg może ostrzegać. Podobno w ruinach kaplicy Matki Bożej w Walsingham ukazała się Najświętsza Panna i kazała ludziom płakać... A znowu w Essex ktoś widział pewnej nocy wielki ogień...

— Ludzie lubią opowiadać.

— Ale gdy wszyscy o czymś mówią, zawsze coś w tym jest prawdy...

Rozstali się przed chatą, w której kwaterował Norton. Jeszcze zanim się rozeszli, sir Francis powiedział:

— Trochę się teraz zdrzemnę, ale każę się obudzić przed północą. Potem niech pan się trochę prześpi.

Stary John czekał na swego pana z przygotowanym na słomie posłaniem. Norton nie rozbierał się. Zawinął się tylko w płaszcz i wyciągnął. Próbował zasnąć.

Ale sen nie nadchodził. W ciągu ostatnich dni żył w wirze przygotowań. Nie było już czasu na rozważanie, czy słuszna, czy też niesłuszna była powzięta decyzja. Dopiero dziś rozmowa z Brownem kazała mu na nowo do tych wątpliwości powrócić. Ze zdumieniem odkrył, że nie obudziła w nim ona żadnego niepokoju. Wątpliwości nie odezwały się — nie odezwały się od tamtej nocy, podczas której czekał na pierwszą, po tak długim czasie, odprawioną w swoim domu mszę...

To podczas niej wszystko zniknęło. Lęki, niepokoje, wątpliwości. Zniknęły — czy jednak odeszły całkiem? Spokój, w którym obecnie żył, miał coś ze snu. Czuł go, a

jednocześnie obawiał się, że pewnego dnia obudzi się i już go nie znajdzie.

W głowie kołatała myśl: czyżby ten spokój był znakiem,

o który kazał mu się Hugh modlić? Jaka szkoda, że nie miał Hugh'a blisko siebie. Może on umiałby to wyjaśnić. Ale może

i on nie wiedziałby, co odpowiedzieć na jego pytania? Czy rzeczywiście jakiś jezuita przybędzie tu do nich? — przy pomniał sobie słowa Browne'a. Tak ogromnie chciałby móc znowu wysłuchać mszy, przyjąć Komunię. Lecz jeśli nie przy był dotąd, nie przybędzie i jutro. A jutro wylądują Hiszpanie. Jutro będzie już za późno. Jeśli wylądują — trzeba będzie zginąć. Był zanadto dojrzałym człowiekiem, aby łudzić się, że mogłoby się stać inaczej. Przecież byli na wybrzeżu sami. Gromadka ludzi wobec tysięcy.

Zamiast wzdychać do przyjazdu księdza, który na pewno nie zdoła zdążyć na czas, trzeba się przygotować samemu na śmierć.

Hugh zostawił mu ulotkę z wydrukowaną na niej modlitwą, będącą przygotowaniem na śmierć katolika, który nie może dostąpić sakramentu Ostatniego Namaszczenia. Norton umiał ją na pamięć, nie musiał sięgać do papierka zaszytego w dublet. Nie podnosząc się z posłania, aby nie budzić śpiącego obok Johna, odmawiał jej słowa.

Pomodliwszy się począł myśleć. Stały przed nim dwie istoty, które kochał najbardziej: Alex i Hugh. Choć siostrzeńcowi groziło wiele niebezpieczeństw, mniej lękał się o niego. Cóż mogli mu zrobić? Zataić? Śmierć w tej chwili nie wydawała się czymś zbytnio strasznym.

Ten spokój pochłonął wszystkie trwogi.

Tylko gdy myślał o Alex, niepokój odzywał się ostatnim echem. Ale nawet i wtedy nie miał dawnej siły. Równocześnie z uspokojeniem pojawiła się w nim ufność, ogromna, nie znająca prawie granic.

Wreszcie zasnął. Przyśniła mu się Alex. Widział córkę, jak idzie przez wielką łąkę, pełną

kwiatów. Pochyliła się i zbierała całe ich naręcza. Chciał ją zawołać, ale powstrzymał się.

Myślał: nie będę jej przeszkadzał. Wystarczy, że ją kocham i mogę na nią patrzeć.

Nagle koło dziewczyny pojawił się jakiś mężczyzna. Ale to nie był młody Cary. Nortonowi wydało się, że jest to ten porucznik Irlandczyk...

Obudził się poczuwszy dotknięcie. Stary John stał nad nim ze świecą w ręku.

— Już północ?

— Tak. I ten oficer przyszedł. Podniósł się.

— Co takiego, poruczniku?

— Nic, sir. Przyszedłem obudzić pana, tak jak pan chciał. Na morzu nie widać żadnych świateł.

— Mogli wybrać inne miejsce do lądowania. Albo po prostu stoją z dala od wybrzeża.

Napiwszy się grzanego piwa wyszli na dwór. Noc była ciemna, bezgwiezdna. Wiatr kręcił ciągle. Norton odesłał oficera, aby się teraz przespał. Otuliwszy się w płaszcz chodził po wybrzeżu. Odmówił różaniec. Potem zeszedł na plażę. Natknął się na żołnierza wspartego na halabardzie. Mimo mroku poznał w nim młodego ochotnika, o którym tak życzliwie mówił Browne.

— Nic nie widać? — zapytał go. — Nic, sir.

— Hiszpanie mogli zatrzymać się dalej od brzegu i dopiero gdy się rozjaśni, podpłyną.

Czuwasz?

— Czuwam, sir.

— Nie męczy cię senność?

— Trochę.

— Mówił mi lord Browne, że uczyłeś się w szkole we

Francji?

— Tak, sir.

— Miałeś zostać księdzem?

— Tak.

— Lecz musiałeś wrócić?

— Musiałem...

— Jaka szkoda, że nie jesteś księdzem! Móc dokonywać Przemiany i dawać ludziom Boga... Potrzebne by to było przed walką, jaka nas czeka.

— Może przyjedzie ten ksiądz, po którego posyłał lord Browne.

— Wiesz o tym?

— Lord mnie wysyłał z listem.

— Dobrze by było, aby przyjechał!

— U lorda Arundel bywają jezuici. Ten, co układa wier sze, ojciec Southwell i taki jeden, który niedawno przyplynał, ojciec Hugh...

— Znasz go?

— Nie. Słyszałem tylko...

Umilkli. Wiatr świszczwał i morze wpadało z hukiem na plażę. A jednak ciemność przerzedziła się nieco.

— *Zbliża się przedświt* — rzekł Norton. — Co zobaczymy przed sobą, kiedy noc otworzy swoje drzwi...?

Żołnierz nie odpowiedział. Może nie zrozumiał użytych przez Nortona słów. Jemu zaś przypomniał się wiersz, pobożny wiersz niewiadomego autora, który w odpisach krążył między katolikami. Tam właśnie były słowa: „Pozwól, o Panie, by kiedy otworzą się przed nami drzwi nocy, stało za nimi słońce Twego miłosierdzia...”

Szarzało coraz bardziej. Morze mocnymi chłaśnięciami smagało plażę. Na próżno jednak

wyteżał wzrok. Drzwi były ciągle zamknięte.

— Za godzinę — powiedział — będzie dość jasno. Dowiemy się, czy się będziemy bili...

— Chciałbym zginąć — powiedział nagle dziwnym głosem żołnierz.

Podszedł do niego bliżej.

— Co za desperat z ciebie! Masz jakieś zmartwienia?

— Chciałbym zginąć... — powtórzył tamten ponuro.

— To może nie być trudne, chłopcze, jeżeli Hiszpanie wy lądują. Ale przecież nie o to chodzi...

— Dla mnie o to!

— Dlaczego?

— Dla mnie innego wyjścia nie ma!

— Ale dlaczego?

Morze wlewało się coraz dłuższymi jęzorami na plażę. Rozjaśniło się już na tyle, że widać było, jak na jasnym żwirze woda zostawia ciemne smugi. Nagle coś zawirowało w kłębie piany i ciemny przedmiot osiadł na plaży o parę kroków od nich. Oderwali się od rozmowy i podbiegli obaj do niego. Był to wielki kawał wygiętej i pomalowanej belki. Jeszcze nie zdążyli mu się przyjrzeć, gdy spostrzegli, że fale wloką coś długiego i ciężkiego. Szumiały wściekle wciągając na plażę przyniesioną rzecz, lecz potem zabierały ją z powrotem. W końcu jednak wyrzuciły ją daleko na brzeg, a same spłynęły. Był to kawał strzaskanego masztu oplatany linami. W sznurach uwięzło ciało ludzkie. Woda zdarła z niego odzież, tylko na głowie został hiszpański hełm z czarno szmelcowanej blachy!

Stali nad utopionym, kiedy rozległ się ostry dźwięk piszczałki. To porucznik budził swoich. Noc nie wiadomo kiedy ustąpiła szaremu przedświtowi. Za chwilę żołnierze pojawili się na plaży. Z krzykiem otoczyli przyniesionego przez fale trupa. Ale gdy rozbiegli się po wybrzeżu, okazało

się, że morze naznosiło więcej jeszcze przedmiotów. Każda fala wyrzucała coś nowego.

Najczęściej były to kawały opalonych belek okrętowych, resztki rej i masztów, beczki i skrzynie.

Było także dużo trupów. Niektóre zachowały odzież, a nawet można było znaleźć przy nich

rzeczy cenne. Na plaży pojawili się okoliczni rybacy. Z chciwością, na wyścigi z żołnierzami,

rzucali się na każdy przyniesiony przez wodę przedmiot.

— Sami Hiszpanie — zauważył porucznik.

To była prawda. Zabici, których Norton kazał żołnierzom kłaść obok siebie na brzegu, mieli

wszyscy czarne włosy południowców. Nie były to ciała porąbanych w walce wręcz: wyglądali po

prostu na utopionych.

Byli tak zajęci zbieraniem szczątków, że nie spostrzegli, kiedy nagle, daleko przed nimi,

ukazała się jasna pręga. Od niej wyciągnęły się zaraz na niebie różowozłote palce

wychylającego się z morza słońca. Dzień wstawał pogodny i wielkim gestem spędzał z nieba

ostatnie szare cienie. Od razu świat cały zagrał barwami.

Przysłaniając oczy od drgającego na powierzchni blasku patrzyli przed siebie. Ale morze,

jak okiem sięgnąć, było puste. Tylko jego powierzchnia była usiana szczątkami, które fale

niosły wciąż i wciąż do brzegu.

Było już dobrze po południu i Norton, siedząc przed zajmowaną przez siebie lepianką, pisał

list do Alex. Napięcie ostatnich dni mijało. Na jego miejsce pojawiła się wielka, paląca

tęsknota za córką. Choć wiedział, że odchodzi od niego, dotychczas była przecież chociaż

zewnątrznie blisko. Ale w tej chwili wydawała mu się dziwnie daleka. Właśnie teraz, gdy w

jego sercu zapanował spokój. Nagle przyszło mu do głowy, że w ostatnich miesiącach

patrzył na Alex jakby przez szkła własnego niepokoju. Lękał się o nią — myśląc o sobie.

Ciągle widział ją odchodzącą, aż wreszcie przestał jej ufać. A przecież, myślał teraz, ona

szała za swoim sercem. Tak musiało być. Tak musi być. Dzieci odchodzą. Potem często chcą

wrócić. Zwykle za późno dla tych, którzy na ten powrót czekali. Mniejsza o to. Oby nie za późno dla nich samych!

„Droga Alex — pisał. — Tak wygląda, że Hiszpanie zostali odparci i wojna, której tak obawialiśmy się, nie nastąpi. Dzięki Bogu, że tak się stało. Wszystko wróci do starego. Jeśli będziesz chciała wyjść za Ryszarda — nie cofam swej zgody. Pobierzcie się. Ufam...”

Ogromny krzyk na wybrzeżu oderwał go od pisania. Odłożył pióro. Od gromady, która stała wciąż na plaży i przyglądała się wyrzucanym przez wodę szczątkom, przybiegł zadyszany żołnierz.

— Łódź na morzu, sir!

Pozostawił pisanie i podążył na brzeg. Rzeczywiście podrzucana przez fale płynęła łódź.

Musiała być chyba pusta, gdyż poruszała się bez wiosł i bez steru. Bałwany to niosły ją

ku brzegowi, to znowu odrzucały. Ale rybacy zepchnęli szybko na wodę jedną ze swoich

łodzi i popłynęli ku tamtej. Za chwilę schwytali ją i poczęli na linie ciągnąć do brzegu.

Patrzący stawali na palce z ciekawości, zwłaszcza że rybacy krzyczeli coś, pokazując na

łódź. Była ona duż&j miała na burcie wypisan& nazw& okr&tu „San Mateo”. Za chwil&

rybacy zeskoczywszy do wody wciągnęli ją na brzeg. Teraz wszyscy mogli dostrzec, że na

dnie łodzi leży człowiek.

— Zobaczcie, czy żyje — rozkazywał Norton. Porucznik wskoczył do łodzi i pochylił

się nad leż&ym.

— Oddycha, sir.

Człowiek, któremu podniesiono głow&, otworzył oczy. Miał oliwkow& cer&, czarny, prawie

błękitny zarost. Kaftan, w który był ubrany, połyskiwał drogimi guzikami. Na szyi na złotym

łańcuchu miał krzyż zakonu Calatrava. Coś powiedział, ale widać było, że nie ma sił, aby

powstać. Norton kazał żołnierzom wydobyć człowieka z łodzi i na płaszczu zanieść do chaty,

w której mieszkał. Rozejrzał się między żołnierzami,

gestem przywołał młodego ochotnika, który w nocy pełnił straż na plaży.

— Znasz hiszpański? — zapytał.

— Znam włoski, sir.

— W takim razie chodź. Może przydasz się jako tłumacz.

Dzwony biły we wszystkich kościołach, biły tak samo mocno jak wtedy, gdy nadeszła z Fotheringhay wiadomość o śmierci królowej. Dzwonom towarzyszyły salwy z działek Towru. Tłumy ubranych odświętnie londyńczyków wyległy na ulice. Nikt nie pozostał w domu. Ludzie spacerowali gromadami hałaśliwie wymieniając między sobą posiadane nowiny.

Hugh żałował, że zamiast wziąć łódź i popłynąć nią do przystani Tempie, wybrał się w drogę pieszo. Utknąwszy w zatłoczonych ulicach posuwał się naprzód jedynie krok za krokiem. Gdy chciał iść spieszniej i począł się przepychać między ludźmi, wybuchnęły wokół niego krzyki i sprzeciwy. Wołano na niego, aby się nie spieszył, bo nie ma do czego: Hiszpanie zostali pobici i dzień dzisiejszy jest dniem świątecznym. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi poddał się z rezygnacją wolnemu nurtowi. Mimo to nie zostawiono go w spokoju. Jakaś jasnowłosa i czerwona na policzkach dziewczyna uczepiła się jego ramienia. Wymachiwała mu przed nosem bukietem kwiatów i krzyczała na cały głos: „Cieszymy się! Hiszpanie pobici! Niech żyje królowa!” Nie wiedział, jak się jej pozbyć. Zgubił ją dopiero, gdy w tłum wjechał konno jakiś rycerz, a ciżba rzuciła się ku niemu, otoczyła go zwartym kołem, obsypując kwiatami i wrzeszcząc na jego cześć. Przesuwał się wzdłuż murów, ocierając się o okiennice pozamykanych świątecznie sklepów. Ale na najbliższym rogu musiał się zatrzymać. Ulicę tarasowała wielka beczka. Dwóch ludzi w fartuchach nalewało z niej piwo do kubków i ofiarowywało przechodzącym. „Pijcie — zapraszali. — Za zdrowie Drake'a, który pobił Hiszpanów. Pijcie.” „Niech żyje Drake!” — krzyczeli pijący. Hugh nie śmiał odmówić przyjęcia podanego kubka. „Za zdrowie Drake'a!” — zachęcał go czło- wiek w fartuchu. „Za naszą flotę” — powiedział Palmer. „Niech żyje!” — wrzasnęło kilka głosów. Ale komuś to się nie spodobało. „E, co tam flota? — powiedział. — Zęby nie Drake, nie byliby zwyciężyli. Niech

„żyje Drake!” „I lord Ho-ward!” — zawołał inny. „Nie! Nie! Tylko Drake!” — upierał się pierwszy.

„Racja! Racja!” — przytwierdziło wiele głosów. „Jak Samson rozgromił Filistynów oślą szczęką” — powiedział, podnosząc palec w górę mężczyzna o wyglądzie duchownego.

Korzystając z zamieszania wywołanego sporem Hugh poszedł dalej. Choć unikał głównych ulic, gdzie zgiełk był największy, nawet bocznymi tylko bardzo wolno mógł się posuwać w stronę Ludgate. Dłuższy czas musiał stać, aby przeczekać pochód rzemieślników, którzy śpiewając i krzycząc szli do przystani. Mieli stamtąd łodziami udać się do pałacu i pod jego bramą krzyczeć na cześć królowej. Już teraz wołali: „Niech żyje nasza Bess!” Inni krzyczeli: „Niech żyje Drake!” Te dwa imiona były na ustach wszystkich. Przysłoniły sobą wszystkie inne. Dla ulicy tylko tych dwoje odniosło zwycięstwo. W orędziu Lorda Mayora odczytanym dziś rano przez heroldów było powiedziane, że flota nieprzyjacielska wycofała się, poniósłszy wielkie straty. Nie mówiło się jednak nic o jej całkowitym zniszczeniu. Mimo to dla ulicy zwycięstwo było już ostateczne. Gdy raz Hiszpanie zostali pobici — prysł otaczający ich nimb grozy.

Po obu stronach Ludgate stał ogromny tłum ludzi. Tłoczyli się przybysze z Westminsteru i z osiedli podmiejskich. Ponad ciżbą wybuchały raz po raz gromkie okrzyki. Gapiono się na ludzi, którzy ubierali zielenią, kwiatami i wstążkami podobiznę królowej, umieszczoną na bramie. O kilka kroków od bramy, pod murem miejskim, stał na beczce obrośnięty człowiek w marynarskiej odzieży i zachrypniętym głosem coś opowiadał otaczającej go gromadzie. Czasami głos mu całkowicie zamierał, wtedy z tłumu podawano mu kubek z piwem. Wychylał go, ocierał wąsy wierzchem dłoni i mówił dalej. Hugh zatrzymał się, aby posłuchać. Tamten prawił: „...wtedy Drake powiedział: w takim razie niech pokażą, co umieją. Zaczęli strzelać. Ale żadna kula — zapał — nie mogła trafić w nasz okręt! Żadna kula, powiadam wam...” Nad gromadą słuchających przeleciał szmer zachwyty. Potem

zaczęto krzyczeć: „Niech żyje Drake!”

Dopiero za Fleet Street, koło Świętego Dunstana, zrobiło się przestronniej i Hughowi wydało się, że teraz będzie mógł iść szybciej. Ale były to złudne nadzieje. Wzdłuż drogi ciągnęły się małe, dostatnie domki. Ich mieszkańcy wylegli gromadami przed furtki, czyhając na przechodniów idących z miasta. Zatrzymywali ich, częstując piwem lub winem, żądając powtórzenia rozgłaszanych po mieście nowin. Wiedzieli już o odniesionym zwycięstwie, ale pragnęli coś o nim usłyszeć bliższego. Nie sposób było im odmówić. Hugh, zanim doszedł do Holborn, musiał wiele razy opowiedzieć wszystko, cokolwiek mu się w mieście obito o uszy.

Na Holborn nie było prostackiej cizby, jechały natomiast, jeden za drugim, bogate powozy, otoczone przez służbę. W powozach widać było postrojonych mężczyzn i kobiety. Słońce błyskało odbijając się w cennych koliach i spinkach. Przejechał także oddział konnych ochotników, których dowódca rozpytywał starannie napotykanych ludzi o drogę do Tilbury. Pałac Arundelów był zamknięty. Otaczająca go głucha cisza odbijała od panującego wszędzie rozgwaru. Tak jak mu powiedziano, podszedł do bocznej furtki i zastukał. Wyjrzał człowiek ubrany w czarną odzież.

— Chciałbym się widzieć z master Greyem — powiedział Hugh.

— W jakiej sprawie?

— W sprawie białego sokoła...

Tamten skinął głową i otworzył furtkę. Chwilę patrzył uważnie na Hugh'a, potem dał mu znak, aby szedł za nim. Weszli do pałacu bocznym wejściem. Wewnątrz budynku panowała ta sama głucha cisza. Służący, który ich minął na korytarzu, szedł na palcach. Był tak samo jak odźwierny ubrany w czerń. Ich czarne postacie i aż dzwoniąca w uszach cisza nadawały pałacowi wygląd domu żałoby.

— Proszę poczekać — rzekł odźwierny wprowadzając Hu gha do jednej z komnat. —

Master Grey zaraz przyjdzie.

To powiedziawszy wyszedł. Hugh, którego zmęczyła długa droga, usiadł wygodnie.

Komnata, w której się znajdował, była niewielka, lecz zastawiona pięknymi meblami. Nad kominkiem wisały portrety królowej Marii Tudor i Marii Stuart, oba spowite w czerń. Między portretami spływał jasną smugą krucyfiks z kości słoniowej. Złożywszy głowę na rzeźbionym oparciu fotela Hugh na próżno usiłował pochwycić jakiś dźwięk. Cisza panowała zupełna. Co robili ludzie, którzy żyli w pałacu? Ale szybko przestał się nad tym zastanawiać. Myśl jego wróciła do wielkiej nowiny, która spadła dziś rano na miasto.

Flota hiszpańska zwyciężona? Jemu, który pamiętał, co o Armadzie mówiło się w Europie, było w to trudniej uwierzyć niż ludziom tutejszym. Miał właśnie odprawiać mszę, kiedy nadbiegli chłopcy i otoczywszy go jazgotliwym kołem poczęli mu jeden przez drugiego opowiadać o obwieszczeniu rozgłoszonym przez heroldów i o tym, co pletli ludzie na podstawie nie wiadomo przez kogo przywiezionych nowin. Słuchał tego oszołomiony. Armada rozgromiona? Niezwyciężona Armada!?

Gdyby ta wieść przychwyciła go wtedy, gdy płynął dopiero do Anglii, byłby nią po prostu zmiażdżony. Spędzone w kraju dni uodporniły go nieco. Nie do tego jednak stopnia, aby uchronić go od wstrząsu. Co myśleć o tym zdumiewającym wydarzeniu? Więc jednak Browne i wuj Francis mieli słuszość!

Po chłopcach przyszli dorośli. Ci mówili mu o wieściach, jakie przywiozły małe okręciki, które nadpłynęły z pola walki i zakotwiczyły się rano przy moście. Czekał z rozpoczęciem mszy, aż usłyszy wszystko.

Choć ważne było to, o czym opowiadali, ważny wydał mu się także ton, jakim do niego mówili. Ten ton pozwolił mu słuchać inaczej otrzymanej nowiny. Hugh spędził w South-wark

kilka dni i nie żałował, że się tutaj znalazł. Doświadczył rzeczy nowych, nie znanych mu poprzednio. Wokół księdza Edwarda skupiła się gromadka katolików. Była to największa nędza wśród tej, jaka zamieszkiwała południowy brzeg rzeki: mali przewoźnicy, tragarze portowi, praczki i sprzątaczkę wynajmujące się do dostatniejszych kupieckich domów, drobni sprzedawcy z targowisk, domokrażcy, robotnicy z huty szklanej, robotnice z tkalni. Co tych ludzi trzymało przy mszy odprawianej w cuchnącej zgnilizną szopie, przy schorowanym księdzu, który tylko pijąc odzyskiwał nieco energii? — nie umiał sobie na to pytanie odpowiedzieć. Ludzi tych łączyło chyba to jedno, że byli wśród biednych najbiedniejsi. Nie potrafili nawet utrzymać swego pasterza. Ksiądz Edward musiał pracować jak każdy z nich. Odprawiwszy mszę szedł na wybrzeże, gdzie rankami był targ na wynajmujących się na dzienną pracę robotników. Znano go tutaj. Gzasami nic nie mógł dostać, ale czasami przywoływano go okrzykiem: „Hej ty, papista, chcesz zarobić dwa farthingi? Chodź, dam ci robotę...” Nie przebierał, brał każdą pracę, jaką mu dawano.

Odkrywszy to następnego ranka po przybyciu, Hugh nie wiedział, jak ma postąpić. Miał przy sobie trochę pieniędzy, które mu ofiarował na odjeźdźnym Norton. Wszystko to dał starej gospodyni, prosząc tylko, by z tych pieniędzy kupiła butelkę mszalnego wina i trochę mąki pszennej na opłatki.

Ale pieniędzy było niewiele i po trzech dniach nie zostało z nich nic. Wtedy zaproponował księdzu Edwardowi, że także pójdzie pracować. Ten jednak sprzeciwił się kategorycznie tej propozycji. „Ojcu — zapowiedział — nie wolno nawet wytknąć nosa z domu. Ładnie byśmy wszyscy wyglądali — zadrwił — gdyby ojciec poszedł szukać pracy z tymi białymi, jezuickimi rękami! Poznaliby ojca od razu!” „Lecz w takim razie nie mogę jeść z tego, co ojciec zarobi!” — oburzył się. Stary ksiądz kiwał głową. „Nie ma o czym mówić. Niewiele się zresztą ojciec pożywi. Czym innym niech się ojciec zajmie. Moimi, ot co... Niech

ich ojciec naucza, spowiada. Wieczorem proszę mnie czasami wyręczyć w pójściu do chorych i umierających. Ja wiem, to jest moja robota. Ale całkiem już je stem do niczego..."

Oczywiście — wziął się za tę robotę. Ludzie byli życzliwi i garnęli się chętnie. Nie musiał ich szukać, to oni go szukali. Ale to, co znalazł, wydało mu się przerażające. Jeśli ksiądz Edward nie pamiętał łaciny — to jego trzódka nie znała wcale prawd wiary. Nauczono ich tylko dwóch rzeczy: mieli się modlić za papieża i czcić Matkę Bożą. Pierwszą wskazówkę wykonywali bez zapału. Za to wypełnianie drugiej przychodziło im z łatwością. Niszczenie figur i kaplic Maryi *przez* purytanów budziło powszechne oburzenie, także wśród anglikanów. Lecz zaprzysiężeni proboszczowie nie śmieli powracać do kultu maryjnego, bojąc się, że zostaną oskarżeni o papizm. Tylko tu — w szopie na South war ku — Maryja była czczona jak dawniej. Przynoszono, ukrytą zwykle w słomie, starą, nadłuszczoną figurę i odmawiano przed nią długie modlitwy. Ubierano posąg kwiatami. Chętnie by śpiewano, gdyby ludzie nie bali się, że śpiewaniem zwrócą na siebie uwagę tych, którzy i tak niechętnym okiem patrzyli na trzódkę księdza Edwarda.

Wzruszający sam w sobie kult wzbudził przecież niepokój Hugh'a, gdy mu się bliżej przyjrzał. Przekonał się, że Matka Boża w oczach ludzi urosła do znaczenia jakiegoś Bóstwa. Kiedy jednak zaczął głosić nauki, które miały przywrócić , właściwą hierarchię spraw, wyczuł ze strony słuchaczy nagły chłód. Tacy przyjaźni na początku, odsunęli się teraz od niego. Nie śmieli mu się sprzeciwić, ale oddalili się. Nie prosili go o rady, zwracali się o spowiedź do księdza Edwarda. Hugh odwołał się do proboszcza. Stary ksiądz od dwóch dni leżał, gdyż czuł się chory. Miał oczy bardziej błędne niż kiedykolwiek. Podniósł na Hugh'a twarz, zagubioną w bujnym siwym zaroście. „Ojciec ma niewątpliwie rację — powiedział. — Na pewno... Tylko, co nam zostanie, gdy Ją zabierzecie?" Hugh długo tłumaczył mu, że nie chodzi wcale o zabranie Maryi. „Wszak cały Kościół — przekonywał — czci Ją i kocha. Lecz

czci Ją jako ludzką Matkę Boga-Człowieka. Tę, która dała naszemu Zbawcy ciało, aby On mógł je ofiarować za nas. Dzięki uczestniczeniu w cierpieniach swego Syna Maryja stała się naszą współodkupicielką. Oczywiście nie przez dodanie czegoś do i tak wystarczającej Ofiary, ale przez połączenie się z nią. Maryja jest naszą Drogą do Jezusa. Drogą dostępną, gdyż całkiem ludzką..." „Ojciec mówi pięknie — mruczał ksiądz. — I to na pewno jest tak, jak naucza Kościół i papież... Ale oni, proszę ojca, muszą mieć coś, przy czym będą mogli trwać. Coś łatwego. Coś, co jest bliskie serca... Ale ja im powiem..." Choć ledwo trzymał się na nogach, zwłókł się z posłania i poszedł do stodoły. Trzęsącym się głosem powiedział: „Moi drodzy... Wierzcie wszystkiemu, co mówi ojciec Hugh... On widział papieża... On wie... Wierzcie mu... gdybym umarł — wierzcie..."

Po tym przemówieniu osłabł tak, że trzeba go było zanieść do mieszkania.

Po tym wystąpieniu księdza ludzie na nowo zbliżyli się do Hugh'a. Ale czuł, że robią to raczej dla swego proboszcza niż z własnego przekonania. Nie byli łatwi do zdobycia. Na nowo począł im tłumaczyć, jak powinna wyglądać cześć dla Matki Bożej. Mówił ostrożnie, wciąż pamiętając o słowach księdza Edwarda. Nie wiedział, co teraz o nim myślą, ale przecież przychodzili.

Gdy dzisiejszego dnia otoczywszy go kręgiem opowiadali mu o klęsce Armady, nagle jeden z mężczyzn zapytał: „I co będzie teraz?" Hugh poczuł na sobie wzrok wszystkich. Pojął, że odpowiedź na to pytanie zadecyduje o jego wpływie na tych ludzi. „Będzie, jak było — zaczął — Hiszpanie... — zawahał się — od Hiszpanów nie oczekiwaliśmy niczego dobrego..." Milczeli, jakby spodziewali się czegoś więcej. „Hiszpanie — podjął — są katolikami. Ale płynąc do nas, kto wie, czego pragnęli więcej: zwycięstwa nad Anglią, czy zwycięstwa katolicyzmu... Choćby jednak nawet zwyciężyli, Anglia nie stałaby się katolicka. Bo, aby była katolicka, ludzie muszą żyć po katolicku... Będzie taka, gdy staną się lepsi,

sprawiedliwsi, miłosierniejsi... A takimi stać się możemy bez Hiszpanów. Sami u siebie... Jeśli będziemy zawsze szli do Jezusa tak, jak nas prowadzi Ona, Jego Matka..."

I nagle wydało mu się, że w oczach ludzi, którzy go otaczali, zapalił się błysk życzliwości takiej, z jaką go witali na

początku. „Jak to dobrze — powiedział ten sam mężczyzna — że ojciec nie jest z

Hiszpanami..." „Chodźcie, pomodlimy się..." — zawołał na nich. Była w nim radość z odnalezionej nareszcie bliskości.

Tkwił tak mocno w tych wspomnieniach, że nie zauważył, gdy cicho, bez szmeru, uchyliły się drzwi. Czyjeś oczy przypatrywały mu się chwilę z ukrycia. Potem drzwi otworzyły się szeroko. Człowiek, który w nich stanął, zawołał głosem pełnym zdumienia:

— Hugh?! Więc to ty?

— Bob!

I padli sobie w objęcia.

Oddalili się na chwilę od siebie na odległość wyciągniętych rąk, jakby chcąc się sobie lepiej przyjrzeć — a potem objęli się na nowo. Southwell był szczuplejszy i drobniejszy. Zawsze miał wygląd chłopca. Przyczyniał się do tego jego wzrok płonący nie gasnącym nigdy zapalem. Hugh pamiętał go za- , wsze marzącego o ofierze z życia, o dalekich lądach, które trzeba zdobyć dla Jezusa, o uczuciach, które pragnął wypowiedzieć. Przez te dwa lata nie zmienił się. Wydawał się tak samo chłopięcy. Oczy pałały mu tylko jeszcze silniej.

— No, wiesz — mówił — ani mi przez głowę nie przeszło, że to o ciebie chodzi. Nie przyjeżdżałeś tak długo, że pomy śleliśmy, iż widocznie zatrzymano cię. Wiem, że były waha nia w sprawie wysłania ciebie...

— Były. Ale przyjechałem.

— Kiedy przyjechałeś?

— Już dość dawno. Ale zanim dotarłem do Londynu i was odnalazłem. Gdzie ojciec Garnett?

— Nie ma go w Londynie. Ostatnie tygodnie były ciężkie. Poleciał, aby nikt bez koniecznej potrzeby nie ruszał się z miej sca, póki się coś nie wyjaśni...

— Dziś wyjaśniło się!

— Wiesz coś bliżej?

— Słyszałem od takich, co znowu słyszeli to od marynarzy z okrętów, które zawinęły dzisiaj rano: Hiszpanie zostali zmuszeni ogniem do opuszczenia portu Calais. Kiedy wypłynęli rozproszeni, nasi zaatakowali ich. Hiszpanie podobno słabo bronili się. Ponieśli klęskę. Gdyby nie ulewa, jaka się zerwała, Armada mogła być całkowicie zniszczona. Zdołała jednak wycofać się...

— Z księciem Parmą nie połączyli się?

— Z tego wynika, że nie.

— Pozwól, że te wiadomości przekażę lordowi. Oni tu wie dzą tylko ogólnie o klęsce...

Wyszli na korytarz, którego ściany zdobiły ogromne, naturalnej wielkości portrety i wzdłuż którego stały zbroje rycerskie niby czujni wartownicy.

— Mieszkasz tutaj? — zapytał Hugh. — Jesteś kapelanem lorda?

— Nie. Książę ma innego kapelana. Ale nasz superior po zwolił mi tu przebywać od czasu do czasu, ze względu na lady Arundel i z innego jeszcze powodu... Opowiem ci wszystko.

Otworzył wspaniałe, pokryte rzeźbami i złoceniami drzwi. Przeszli przez małą, pustą komnatę. Za nią były drzwi jeszcze piękniejsze, okryte płaskorzeźbami.

Southwell położył palec na ustach, po czym otworzył. Wionęło ciszą, zapachem wosku i spalonego kadzidła.

To była kaplica. Panował w niej półmrok, ponieważ wąskie, wypełnione witrażami okna były częściowo przysłonięte płatami kiru. Ołtarz, nad którym wisiała kopia graecowskiego El Espolio, tonął w mroku. Za ledwie widać było Chrystusa w czerwonej szacie i pochylonego człowieka, wiercącego otwór w krzyżu. Przed ołtarzem na podłodze stała trumna przykryta płatem czarnej materii, lecz bez żadnych ozdób i herbów. Otaczały ją palące się świece. Przed trumną leżał na nagiej posadzce człowiek z rękami rozrzuconymi na krzyż, twarzą do ziemi. Nie drgnął, choć skrzypnęły drzwi. Obaj zakonnicy zatrzymali się w progu. Blisko pod ścianą w klęczniku widać było kobietę. Wielka kreza podnosiła zarzucony na głowę czarny szal. Ozdobione pierścieniami dłonie trzymały książkę do modlitwy. Southwell na palcach podszedł do kobiety. Pochyliwszy się nad nią, coś chwilę szeptał. Wysłuchawszy go skinęła głową. Gdy chciał odejść, zatrzymała go gestem. Teraz ona, uniósłszy szal końcami palców, mówiła do niego. Coś mu podała, co wyglądało na list, który Southwell wsunął w rękaw. Również na palcach wrócił do Hugh'a. Przyklękli, a potem

wyszli z kaplicy.

Na korytarzu zapytał:

— Czy kto umarł księciu?

Southwell skinął głową.

— Nadzieja na zwycięstwo Hiszpanii.

Hugh chciał coś jeszcze powiedzieć, ale Southwell dał mu znak, aby teraz milczał. Wracali cicho między zbrojami a postaciami przodków księcia. Na chwilę Southwell zatrzymał Hugh'a przed portretem bogato ubranego mężczyzny wspartego na starodawnym mieczu. Obraz okryty był czernią. Sze-» pnął:

— Książę Norfolk, ojciec lorda Arundel.

Chwilę patrzyli na tragiczną postać wodza buntu, potem, ciągle w milczeniu, poszli dalej.

Za jakimiś drzwiami znaleźli się w wąskim, pozbawionym ozdób korytarzu. Kończył się kamiennymi schodkami, schodzącymi kretko w dół. Na półpiętrze stała szafa. Southwell otworzył ją, rozsunął wiszące okrycia. Tylne ściana szafy stanowiła także drzwi. Przeszli przez nie i znaleźli się w dużym pokoju. Z jednej strony miał on niszę, która stanowiła część mieszkalną. Znajdowały się tu: posłanie, stół, skrzynia i klęcznik. Reszta pokoju tworzyła, rodzaj warsztatu. Pod ścianą stała wielka, płaska kasetka podzielona na małe przegródki. Na środku — niski stół z prasą. Obok niego kubek z czarną, mocno woniejącą cieczą. W skrzynce pędzle, deseczki i drewniane wałki. Te sprzęty-i zapach przypomniały Hughowi od razu Douay.

— Masz tu drukarnię?

— Tak. Właśnie dlatego ojciec superior pozwala mi od czasu do czasu przebywać w domu lorda.

— Drukujesz? Czy może wiersze?

— Zgadłeś.

— Prawda! Słyszałem o nich. Podobno krążą między ludź-, mi? Są czytane, śpiewane?

— Tak się istotnie dzieje. Nie wiem, co to sprawiło. Gdy byliśmy jeszcze w kolegium na via Monserrato, uważałem, pisanie wierszy za słabość...

— I wtedy chwalono je.

— To mnie tym bardziej niepokoiło. Postanowiłem wre-, szcie zerwać z gisaniem. Nie dlatego, abym pisanie uważał za rzecz grzeszną. Ale myślałem: żyjemy w czasach, gdy muzy powinny milczeć. Jednak nasz ojciec duchowny kazał mi wrócić do pisania. Powiedział: „Dla ciebie pisanie wierszy to tak jak modlitwa...” To prawda. Najlepiej modłę się, gdy to, co chcę powiedzieć Bogu — mówię wierszem. Zresztą sądzi-, łem: gdy pojedę na misje, zapomnę o rymach. Stało się ina czej. Kilka moich wierszy trafiło między ludzi. I okazało się, że potrafią pobudzić w nich wiarę, wzmocnić nadzieję... Skoro mam już pisać, wolałbym pisać traktaty jak Campion. Obalać herezję argumentami. A zamiast tego piszę wiersze. I ludzie je czytają. Idą one do wszystkich, nawet do heretyków...

— Co piszesz teraz?

— Wiersz, który jest listem do królowej. Słyszałem, że podobno nawet do niej dotarły moje książki... Chcę jej powie dzieć, że my, katolicy, modlimy się za nią, choć nas ona prze śladuje.

— Więc ty także?

— Co?

— Wiem, że są tacy, którzy stanęli przy niej.

— Aha — przypomniaf~sobie. — Będę ci mógł zaraz coś o nich powiedzieć. — Sięgnął za mankiet, gdzie włożył otrzy many od lady Arundel list. — Ale powiedz mi wpierw, co się dzieje z tobą?

— Niewiele mam do opowiadania. Przyjechałem do Lon dynu i z miejsca zostałem odkryty. Udało mi się uciec na Southwark. Ukrywam się tam u pewnego „mariańskiego” księdza...

— Mógłbyś tymczasem przeprowadzić się do mnie. Księżę zgodzi się chętnie, zwłaszcza jeżeli księżna poprosi go o to. Dla niej zrobi wszystko. Tu względnie bezpiecznie: lord oku puje się przed rewizjami. Zresztą, gdyby nawet przyszli — nie znajdą.

Potrząsnął głową.

— Nie, Bob, dziękuję ci. Wolę pozostać tam, gdzie jestem.

— U tego księdza?

— Tak. Posłali mnie do niego, bo nie miałem gdzie się ukryć. To stary, schorowany człowiek. Zacząłem mu poma gać... Ludzi niewiele, a jednak roboty mnóstwo. Zwyczajne prostactwo. Dawniej w Rzymie odpychało mnie coś od takich. Ale kiedy znalazłem się między nimi, zrozumiałem, że oni potrzebują. Może więcej niż ci... — uczynił kolisty gest.

— Spotkałem się już z tym — rzekł Southwell. — Mówi się nawet, że my, jezuici, wysługujemy się bogaczom, a nie chcemy nic wiedzieć o pospółstwie. Cóż poradzić na złe ję zyki? Nie wyrzekliśmy się ślubów ubóstwa. Ale tu musimy być. Jest nas mało. Nie możemy zdobyć wszystkich. Musimy mieć więc wpływ na tych, od których zależą losy całego kraju. Czy tego nie powtarzał wiele razy nasz święty zało życiel?

— Powtarzał. Ale... Może czasy się zmieniły? Czy ja wiem?

Odkąd tam jestem, ciągle budzi się we mnie myśl: cóż z tego, że jednych zdobywamy, kiedy drugich tracimy?

— Myślisz tak?

— Pójdź ze mną, a zobaczysz.

Zamilkli. Southwell zwiesił głowę. Jego twarz utraciła nagle wyraz chłopięcego zapału.

— Wprawiasz mnie w rozterkę, Hugh — powiedział. — Nie mieszkam tu stale. Zwykle, zgodnie z życzeniem ojca superiora, odwiedzani różne domy katolickie. Dostatnie domy, to prawda... Tu przychodzę tylko wtedy, gdy piszę i drukuję... Ale ty może masz rację: może wybrałem sobie bezpieczne schronienie po to, by móc pisać. Znowu patrzę na te moje wiersze...

— Ach, nie! Nie! — przerwał mu. Znał pełną skrupułów naturę przyjaciela. Southwell żył pragnieniem tego, czego on sam nie umiał pragnąć: ofiary krwi. Pragnął jej tak szczerze i gorąco, że gdyby uwierzył, iż jakaś tarcza osłania go przed nią — odrzuciłby ją. „Kto tak pragnie — powiedział kiedyś przy Hughu ojciec Agazario, superior kolegium rzymskiego — ten w końcu otrzymuje...” Może dlatego i on zachęcał często Roberta do pisania? — Nie, Bob, nie! — powtarzał. — To zu pełnie co innego. Każdy ma swoje zadania. Ty musisz pisać. Twoje wiersze są potrzebne!

— Mówisz szczerze?

— Jak na j szczerze j!

— Bo gdyby one miały oddalić mnie od jednej potrzebu jącej duszy...

— Pamiętasz, co mówił ojciec Persons? Nie temu człowie kowi mamy pomagać, któremu nam się pomagać zamarzyło, ale temu, którego Bóg stawia na naszej drodze.

— Dziękuję, że mi to przypomniałeś. Ojciec Persons... Dla niego ta klęska musi być czymś strasznym!

— Tak. Dla niego i dla kardynała. A jednak, Bob, co ty myślisz o tym, co się stało? I miałeś mi powiedzieć coś o tam tych...

— Właśnie! Najpierw o nich. Udali się na wybrzeże, aby je bronić. Są jedynymi katolikami w Anglii, którym pozwo lono zachować broń. Lecz okazało się, że nie mają

kapelana. Nie wiem, co się stało z kapelanem lorda Browne. Napisał jednak do lorda Arundela, prosząc, aby im przysłał którego z nas...

— Do Arundela?

— Tak. Lord Arundel nie chciał początkowo spełnić tej prośby. Ale dziś rano obudziły się w nim skrupuły. Oddał list żonie, a ona oddała go mnie.

— I co?

— Myślę, że teraz już nic. Gdybym ten list dostał wczoraj, byłbym już tam, na wybrzeżu.

To prawda, ojciec Garnett za kazał kontaktu z tamtymi...

— *Zakazał?*

— Dziwisz się? Jesteśmy przecież jak wojsko. Naszym za daniem jest ratowanie dusz.

Świeckim wolno wybierać różne drogi działania. My musimy trwać przy tym, co jest naszą sprawą. Odmówiliśmy Arundelowi odprawiania nabożeństwa na intencję zwycięstwa Hiszpanów, nie poszliśmy także z Brownem... Zresztą trzeba powiedzieć, z nim poszła zaledwie garstka. Olbrzymia większość katolików odmówiła mu poparcia. Musimy być z większością, Hugh.

— Nawet gdyby ta większość błędziła?

— Trzeba nam być z ludźmi, zawsze z ludźmi. Lecz, po wiadom ci, gdybym był wczoraj dostał ten list, byłbym poje chał. Bo tam miała się toczyć walka, mieli być ranni i zabici. Dla jednej duszy w niebezpieczeństwie trzeba rzucić wszy stko, prawda? Teraz jednak Hiszpanie są pobici. Tamtym nie potrzeba w tej chwili księdza. Za parę dni lord Browne znaj dzie sobie kapelana.

— Nie odpowiedziałeś mi jednak, Bob, na drugie pytanie. Co myślisz o tym, co się stało?

— Odpowiedz mi wpierw ty: czy spodziewałeś się, że w ra zie zwycięstwa Hiszpanów katolicyzm powróciłby do Anglii?

— Póki byłem na kontynencie, wierzyłem w to. Teraz wiem, że tak by się nie stało. Dziś jeszcze uświadomiłem to sobie... Przychodzi mi na myśl pewien list naszego założyciela, który nam kiedyś czytano w kolegium.

— Wiem, o co ci chodzi. List do nuncjusza Muzarellio? O tym, że bardziej szkodzi zły przykład katolików niż nauki heretyckie?

— Tak. Dobry katolicyzm nie znika pewnego dnia.

— Nie znika. Ani też nie odnajduje się na nowo. Trzeba go wydobyć z wiary, z miłości. Nie z wierszy...!

— Także z wierszy, Bob. Tylko to długa droga.

Nagle zapukano w ścianę. Obaj zakonnicy podnieśli głowy. Nasłuchiwali. Pukanie powtórzyło się. Southwell rzekł:

— To nic groźnego. Ktoś chce się ze mną zobaczyć. Proszę, abyś poszedł na górę.

Poczekaj chwilę, zaraz wrócę.

— Rozumiem cię, moja mała. I sprzyjam ci...

Alex pochyliła się i ucałowała dłoń Elżbiety. Im częściej rozmawiała z tą kobietą, tym trudniej jej było zdać sobie sprawę ze swych uczuć dla niej. Kim była: dobrotliwą władczynią, którą uwielbiały tłumy, czy podstępną intrygantką, która prowadząc nieustannie swoją grę, tylko wtedy mówiła prawdę, gdy nie mogła skłamać? W królowej wszystko było takie pomieszane.

W parę dni po zabawie w pałacu Elżbieta wezwała Alex do siebie i kazała opowiedzieć sobie o Ryszardzie. Słuchała słów dziewczyny łaskawie uśmiechnięta.

— Powinniście się pobrać — powiedziała, gdy dziewczyna skończyła. — Te spory kiedyś się wreszcie skończą. Nie mia łąbym nic przeciwko papistom, gdyby tylko zrezygnowali ze swych nie kończących się żądań. Ale oni są tacy sami jak purytanie! Niczego im nie jest dosyć! Chcieliby wszystkiego! Mój kościół ma być kościołem umiarkowania. Aby istniał ład, lu dzie powinni wierzyć i czcić Boga, lecz w sposób jak najmniej fatygujący siebie i innych... Okropny jest ten wasz papistowski celibat księży! A znowu purytanie gotowi są obedrzeć kościoły ze wszystkiego, co je czyni pięknymi! Nie znoszę przesady! Ale wy powinniście się pobrać. Wypytywałam sir Walsinghama o tego chłopca. Podobno popłynął z flotą przeciwko Armadzie? To bardzo pięknie. Jeśli zdołają zatrzymać Hiszpanów, oddam ostatni złoty guzik, by im ich bohaterstwo wynagrodzić! O żadnym nie zapomnę. Wiesz pewno, że Walsingham nie jest za waszym małżeństwem. Ale ja potrafię go skłonić do zmiany zdania.

Teraz już wiadomo było, że zwyciężyli. Flota hiszpańska odpłynęła na północ. Howard i Drake płynęli za nią, gotowi zaatakować, gdyby próbowała zawrócić, lecz wciąż nie dość pewni swych sił, by uderzyć na nią z własnej inicjatywy.

Wódz naczelny królestwa, Leicester, przysłał królowej zaproszenie, by zechciała przybyć do Tilbury i zlustrować zgromadzone na wybrzeżu wojska, którym wprawdzie nie dane było walczyć z wrogiem, lecz które z taką ofiarnością stanęły na posterunku.

Elżbieta zwlekała z przyjęciem zaproszenia. Najprzód chciała wiedzieć, czy Armada rzeczywiście odpłynęła. Poza tym, wcześniej jeszcze inną drogą otrzymała od Norrisa alarmujący raport, w którym wódz powiadamia ją, że na wybrzeże nikt się nie zgłosił i że na wypadek lądowania Hiszpanów jest ono całkowicie pozbawione obrońców. Ale Hiszpanie nie wylądowali — i teraz dopiero nadciągały nie dość energicznie zwołane wojska. Ach, ten Robin! Wiedziała, że jako na wodza nie może na niego liczyć. Nie popisał się ani pod Sluys, ani teraz. Zresztą w innych sprawach miał jeszcze mniej zalet. Chociaż ta Letycja...? Wydawała się całkiem z niego zadowolona. To była zagadka, która nieraz drażniła Elżbietę. Czyżby to znaczyło, że to tylko ja nie potrafię? — zadała sobie kiedyś pytanie. Ale odrzuciła je natychmiast. Letycja jest kwoką, której wystarczy nawet kapłon! Robin nie był i nie jest na jej miarę. Gdyby był jak ten jego pasierb! W jaki sposób poczęła go ta gęś? To prawda: ona jest jednak wnuczką siostry Anny Boleyn. To znaczy, że on mógłby być moim wnukiem... — Elżbieta mówiła do siebie patrząc w lustro. Nagle zerwała z głowy perukę, która wydała się jej spłowiała, i cisnęła ją ze złością na ziemię. Zamknęła oczy: nie mogła znieść widoku swej nagiej czaszki. Krzyknęła na pokojówkę, by podała jej inną perukę, nową, jeszcze czerwiejszą. Opuściwszy pukle na policzki uspokoiła się. Myślała: To dlatego mam dla niego tyle słabości. Miły chłopak... On także jest teraz w Til-bury. Mogłabym go zobaczyć. Chyba to wojsko zebrało się wreszcie? Nie mogę przecież jechać na puste wybrzeże! Podpatrzyliby i rozbębniłi na całą Europę, że Anglia ocalała tylko przypadkiem. Wprawdzie to by dowodziło, że Bóg jest z nami, jak twierdzi Walsingham — ale to by zachęciło Filipa do spróbowania, czy tymczasem w niebie

nie zmieniono zdania... Wyznaczyła wyprawę do Tilbury na dzień następnny. Dwór miał popłynąć cały — barkami. Wiele możliwych rodzin zostało zaproszonych do towarzyszenia królowej. Gdy nadszedł słoneczny dzień ósmy sierpnia („Nie zmienię kalendarza! — zaklinała się Elżbieta — na złość papieżowi nie zmienię!”) długa kawalkada ustrojonych barek stała przed przystanią w Green-wich. Elżbieta ulegając nagłemu kaprysowi przeznaczyła do swojej łodzi same młode dziewczęta. Wśród tych miała być Alex, Frances, córka Walsinghama, i kilka innych. Szła do przystani otoczona dziewczętami, wesoło żartując: „Wyglądam jak babcia z wnuczkami”. Ale one gwałtownie zaprzeczyły, „Gdyby mi wolno było powiedzieć, wasza królewska mość — odezwała się któraś rezolutniejsza — to powiedziałabym, że wasza królewska wysokość wygląda na naszą siostrę...” „Ach, ty smarkata!” — powiedziała Elżbieta i uszczypnęła dziewczynę w policzek, tak mocno, że tamtej pozostała na skórze czerwona plama. Zobaczywszy to królowa przywołała garderobianą, kazała sobie przynieść puder i sama zapudrowała twarz dziewczyny. „Jesteś znowu ładna” — powiedziała. Zdjęła z palca pierścionek, jakby go chciała dać dziewczynie. Ale po chwili namysłu wsunęła go z powrotem na palec.

Łodzie podpływały, zabierały po kilkanaście osób i zaraz kierowały się na środek rzeki za barką królowej. Zgromadzone na obu brzegach tłumy oklaskiwały płynące łodzie. Wznoszono okrzyki. Elżbieta odpowiadała powiewaniem uniesionej w górę ręki.

To tutaj, siedząc na łodzi, w kole rozchichotanych dziewcząt, powiedziała do Alex:

— Sprzyjam ci... I wiesz — pochyliła się ku niej — mam ci coś miłego do powiedzenia.

Alex ucałowawszy dłoń królowej podniosła w górę swe jasne oczy. Dziewczęta siedziały na niskich ławeczkach wokoło, Elżbieta w środku w wygodnym fotelu, mającym kształt tronu. Siedząc wysoko, była widoczna dla wszystkich, którzy patrzyli z brzegu. Okrywająca jej fotel

purpurowa materia zsuwała się po obu stronach łodzi. Królowa ubrana była w białą suknię, lecz piersi miała przykryte leciutkim, srebrnym pancerzem, z wyrytymi na nim mitologicznymi scenami. Srebrny hełm z pióropuszem, złocista buława i wielki miecz leżały na białych poduszkach na dziobie łodzi pod opieką księcia Ormonde i czterech paziów.

— Może nie chcesz wiedzieć? — przekomarzała się. — No, dobrze, dobrze, powiem ci.

Słuchaj. Miałam wczoraj wizytę lorda Seymour, który, jak pewno wiesz, wrócił z częścią floty z pogoni za Hiszpanami. Przywiózł mi listy. Także od Drake'a. Rekin — takie imię nosił wiceadmirał w zwierzynku Elżbiety — opisuje, jak wojowali. Lubi się przechwalać i wciąż powołuje się na opiekę boską, zupełnie jakby był luterskim pastorem. Za to styl jego nie przypomina stylu Greene'a czy Nasha... Ale mniejsza. Dzielny chłop. W liście wspomina o młodym rycerzu Cary, który okrył się w bitwie wielką chwałą. Czy nie znasz przypadkiem takiego?

— Ryszard ma dwóch braci, wasza królewska mość, którzy także popłynęli z flotą.

— Imienia nie napisał rzeczywiście. Drake opowiada, że aby wypędzić Hiszpanów z Calais, trzeba było zamienić kilka okrętów na brandery. Teraz chce, abym właścicielom zapła ciła za poniesioną stratę. Szalencie! Wyobraża sobie chyba, że kopię złoto! Rycerz, o którym wspomina, był na jednym z tych okrętów i do ostatniej chwili kierował nim...

— Czy nic mu się nie stało, wasza królewska mość? — za pytała niespokojnie.

— Gdyby był zginął, ten wariat zażądałby na pewno, abym znowu coś płaciła. Dla niego tylko płacić... Ale nic o tym nie pisze.

Odetchnęła.

— Myślę, wasza królewska mość, że to był Ryszard...

— Myślisz? Znasz go? Zaczerwieniłaś się... To dobrze. Dziewczęta powinny się czerwienić, nawet gdyby nie wiem czego już zaznały. W Tilbury można będzie dowiedzieć się więcej.

Ale, ale. W Tilbury będziesz mogła zobaczyć ojca.

— Spodziewałam się tego, wasza królewska mość.

— Kochasz go?

— Kocham, wasza królewska mość.

— Czy to prawda, że macie kuzyna, księdza papistowskiego i jezuitę?

Zawahała się, zanim szepnęła:

— Tak...

— Nie będę cię pytała o niego. Nie chcę kłamstw! Lubię cię... Mam nadzieję, że ten jezuita nie pojawi się nigdy w Anglii. Bo gdyby się pojawił, byłby złapany, a ja bym musiała go skazać. Nie znoszę skazywania. Niech nie przyjeżdża. — Pochyliła się niżej i ściszyła głos. Mówiła tak, jakby się lękała, że zostanie podsłuchana. — Gdybyście pisali, napiszcie mu to... A gdyby przyjechał, niech zaraz wyjeżdża! *Zarazi* Rozumiesz? Nie chcę ciągle skazywać...

Powiedziawszy to odwróciła się w drugą stronę i poczęła rozmawiać z małą Frances. Elżbieta lubiła także jedynaczkę swego sekretarza. Wiedziała, że ojciec chce ją, po tak wczesnym owdowieniu, wydać znowu za męża. Ale kandydaci, których wysuwał, nie znajdowali jej uznania. Bystre oko królowej umiało dostrzec, jak pozornie senny wzrok dziewczyny sunął zawsze na balach i zabawach za postacią Essexa. Stanowiliby wcale udaną parę — myślała Elżbieta. — Ale mój byk nie znosi Roberta, a Robert — dla Essexa nie miała dotąd żadnej zwierzęcej nazwy — nie znosi Walsinghama i w ogóle purytanów. Nienawidzi ich. Kto wie, może to prawda, co donoszono jej o nim, że jest ukrytym papistą? Nie pytała go o to nigdy. Nie chciała pytać. Wiedziała, że w swej zuchwałości odpowiedziałby jej szczerze. Nie wiedziałaby wtedy, jak postąpić. Po co komplikować i tak skomplikowaną sytuację? Ale to by była zabawa, gdyby ta mała została

kiedyś papistką! Byk oszalałby chyba... Walsingham, myślała, wywołał tę wojnę i wygrał ją. Ludzie mogą sobie gadać, ile chcą, że to Drake. Gdyby nie upór Walsinghama, nie byłaby się nigdy zgodziła na budowę tyłu okrętów, i to takich kosztownych; na wielkie działa; na te niezliczone wydatki, na które ją namówił. Nie lubiła wydawać. Ale on przeparał jej wahania. I wygrał. Powinnam mu być wdzięczna — myślała. Ale zamiast wdzięczności czuła, że budzi się w niej chęć dokuczenia swemu sekretarzowi.

Łodzie płynęły. Wszędzie na brzegach widać było ludzi, którzy powiewali rękami i chusteczkami do królowej i wznosili okrzyki na jej cześć. Tak dopłynęli do Tilbury. Na wybrzeżu zgromadzone były szeregi wojska. Oddziały, których na próżno oczekiwano w chwili krytycznej, teraz tworzyły wielki czworobok, połyskujący pod blask słońca pancierzami i bronią. Zagrały trąby i piszczałki, załomotały bębny, huknęły działa. Łódź królowej dotknęła pomostu przystani. Już czekał tu na nią biały jak śnieg koń pod kapiącym złotem rzędem. Dwóch ludzi wyciągnęło ręce, by jej pomóc przy wysiadaniu: Robert Dudley książę Leicester i jego pasierb Robert Devereux hrabia Essex. Obaj byli w zbrojach, lecz z odkrytymi głowami. Podprowadzili Elżbietę do konia, po czym, gdy siadła, oni także dosiedli wierzchowców i stanęli po obu jej stronach. Leicester rozpierał się wygodnie w siodle. Patrząc z góry na plac pełen żołnierzy gładził swą rozdwojoną brodę i długie wąsy. Musiał czuć się tego dnia dobrze, gdyż miał minę zdradzającą wielkie zadowolenie. Jest na pewno przekonany, że wygrał wojnę — myślała. Miała ochotę parsknąć śmiechem. Ale zachowała powagę. Drwiła nieraz z Walsinghama — nigdy nie drwiła z Leicesterera. Wobec niego zawsze chciała zachować pozory. Dlatego pochyliwszy się w jego stronę, wsparła się na jego ramieniu gestem, który przez patrzących mógł być poczytany za znak wielkiej zażyłości. Ale kiedy zobaczyła w tłumie brzydką twarz Norrisa, przesłała mu czarujący uśmiech. Biedak!

Namęczył się reperując, co zepsuł Robin! Tylko nieznacznie, spod nasuniętych rzęs spoglądała na jadącego po drugiej stronie Wielkiego Koniuszego Dworu. Nie mogła oderwać oczu od tej pięknej twarzy, bujnych — własnych! — włosów, gorących oczu, jedwabistej, wijącej się brody, kapryśnych, chłopięcych ust... Przyszło jej na myśl, że byłaby szczęśliwa, gdyby ten chłopiec stał się był bohaterem tej wojny. On — a nie Drake, za którym w cieniu krył się Walsingham. Z jaką radością wkładałaby mu na szyję łańcuch zwycięzcy i ofiarowywała wszelkie tytuły, jakich by tylko zapragnął. Tytuły i... Nie, nie, tylko tytuły — myślała. Nawet dla wykroju tych ust nie ustąpiłaby prawa dysponowania stanowiskami państwowymi.

Wśród nie cichnących wiwatów objeżdżała zebrane oddziały. Zbliżała się do każdego, nawet najmniejszego. Każdy pochwaliła, każdemu dowódcy powiedziała miłe słowo. Potem wjechała w środek czworoboku i wygłosiła do zebranych wojsk przemówienie. Nie mówiła o zwycięstwie — ale o gotowości do dalszej walki. „Choć mam tylko ciało słabej kobiety — mówiła — posiadam także serce i żołądek króla, i to króla Anglii. I gdyby ktoś znowu ośmielił się zagrozić napadem na królestwo, sama chwycę za broń i stanę na waszym czele. Sama będę waszym wodzem. Znam bowiem wasze bohaterstwo i ofiarność. I daję wam słowo, słowo waszej królowej, że każda zasługa dla korony zostanie sownie wynagrodzona...”

W pobliskim dworze, gdzie Elżbieta miała przenocować, odbyło się wieczorem ogromne przyjęcie. Żołnierze ucztowali na dworze, dwór i dowódcy w wielkim hallu. Siedząc i teraz między Leicesterem i Essexem, Elżbieta wysłuchiwała bez znudzenia mów na swoją cześć. Chociaż wciąż ją porównywano do Judyty, Debory, Estery, Diany i Minerwy, nigdy nie było jej dość tych porównań. Raz po raz wznoszono jej zdrowie. Poza Howardem i Drakem — którzy wciąż trzymali się Hiszpanów — byli tu wszyscy wielcy królestwa. Uśmiechając się

niecو złośliwie, powiedziała przez stół do Cecila:

— A jednak lepiej, że tak się stało, nie sądzisz, milordzie? Bourghley schylił pokornie głowę. Powiedział z przymilnym uśmiechem:

— Nie śmiem nawet mierzyć się ze znajomością *rzeczy*, jaką posiada wasza królewska mość...

Mrugnęła na niego życzliwie, a on rozpromienił się. Zresztą jeżeli jeszcze przed paru dniami gryzł się świadomością zwycięstwa Walsinghama, teraz był już spokojny. On najlepiej znał Elżbietę: wiedział, że jeżeli Walsingham wygrał wojnę — to znaczyło, że przegrał w radzie królewskiej...

Wzrok Elżbiety obiegnął wielki, ustawiony w podkowę stół. Odnalazł wodza floty, której zadaniem było pilnowanie ujścia Tamizy — lorda Seymour. Jej dziewczęta usługiwały jej.

Przed chwilą mignęła jej twarz Alex i Elżbieta przypomniała sobie sprawę dziewczyny.

— Czy nie wiesz, milordzie — zapytała — jakie imię nosi ten młody rycerz Cary, który podobno wsławił się bohaterstwem podczas bitwy morskiej w Calais?

— Imienia nie znam, wasza królewska mość. Słyszałem tylko, że dokonał wielkiego czynu. Z własnej woli popłynął na płonącym okręcie między flotę hiszpańską. Tylko on zdołał ocaleć z tych, którzy prowadzili brandery. Lecz przypomi nam sobie, że mówiono, iż jest to najmłodszy z trzech braci, którzy ochotniczo zgłosili się do floty...

— Dziękuję, milordzie. Nie zdołam nigdy, choćbym chciała, wynagrodzić wszystkich, którzy zasłużyli się w tej rozprawie. Ale o tym młodym człowieku nie zapomnę... Nie zapomnę, o nim — powtórzyła patrząc wyzywająco w niebieskie oczy Walsinghama. Obróciła się do Alex, powiedziała cicho:

— Więc widzisz, mała, że to był ten twój.

— Nie wiem, jak mam dziękować waszej królewskiej mości. *i*, — Bądź wesoła. Będzie dobrze. Czy widziałaś ojca?

— Nie, wasza królewska mość. Nie ma go tu.

Jeszcze raz rozejrzała się po twarzach siedzących przy stole ludzi. Potem pochyliła się ku Leicesterowi. Spytała cicho:

— Dlaczego, Rób, nie widzę tutaj lorda Browne? Gładząc brodę odpowiedział równie cicho:

— Odprawiliśmy tych papistów. Ostatecznie niczego nie dokonali, nie było powodu ich fetować. Zresztą ta szlachta rozjechała się sama, jak tylko przekonała się, że nikt nie będzie jej zasług wynagradzać złotem.

' — Ale Browne?

Powiedział jeszcze ciszej:

— Tam zdarzyła się na wybrzeżu pewna historia...

— Co za historia?

— Pozwól, Bess, że ci potem o niej opowiem.

— Powiedz teraz.

— W takim razie odpraw tę dzierlatkę, co stoi za twoim krzesłem. To córka tego papisty z północy, Nortona, prawda? Nie chcę, aby słyszała...

Człowiek wydobyty z łodzi po odzyskaniu na chwilę przytomności zaraz ją na nowo utracił. Nie był ranny, ale wielki siniec nad okiem oraz opuchnięte czoło zdawały się mówić, że otrzymał potężne uderzenie w głowę, które go oszołomiło. Poza tym widać było, że jest śmiertelnie wyczerpany.

Musiał to być jakiś grand hiszpański, o czym świadczyły i bogaty ubiór, i oznaki przynależności do rycerskiego zakonu Calatrava. Norton kazał go zanieść do swojej chaty i położyć na posłanie. Zdjęto z rozbitka zdobny kosztownymi guzami kaftan, odpięto od boku szpadę z pięknie kutą głownią i wyjęto zatknięty za pasem dwulufowy pistolet o rękojeści nabijanej masą perłową. Jeden z doświadczonych żołnierzy zalecił, aby Hiszpana okryć ciepło, położyć mu zimny kompres na głowę i poić od czasu do czasu grzonym winem. Zajęły się tym żony rybaków, którzy schwyтали rzucaną przez morze łódź. Wszystkie te zabiegi sprawiły, że rozbitek znowu otworzył oczy, coś powiedział i zaraz potem mocno zasnął. Norton polecił młodemu żołnierzowi, aby pozostał w izbie i starał się rozmówić z Hiszpanem, gdy tylko tamten obudzi się. Sam wyszedł na dwór.

Znowu przeleciał krótki deszcz, ale słońce zaraz powróciło na niebo i płynęło chwilami zakrywane przez białoszare obłoki. Wiatr ustał, zrobiło się ciepło. Uspokajające się z wolna morze połyskiwało złotozielonkawą barwą. Żołnierze znudzili się wreszcie zbieraniem wyrzucanych przez fale przedmiotów. Porozkładali się na suchej trawie i drzemali. Na plaży został tylko wartownik, który miał polecenie wciąż śledzić horyzont i cały tłum rybaków, dla których nadpływające szczątki były prawdziwą manną z nieba. Norton wysłał jednego z żołnierzy na drugi brzeg zatoki z wiadomością do Browne'a

0 znalezionym w łodzi rozbitku. Żołnierz powróciwszy przywiózł od lorda krótki liścik.

Montague pisał:

„Dziękuję ci, drogi przyjacielu, za nadesłane wiadomości. Rozbitka należy traktować jako jeńca. Gdy odzyska zdrowie

i siły, odeślemy go do Tilbury. Jeśli jest człowiekiem boga tym, będzie można *zaządać*, by zapłacił za siebie okup, który by przypadł rybakom. Niech ci biedni ludzie zyskają coś na tej wojnie. Według wieści, jakie przed chwilą otrzymałem, flota hiszpańska poniosła ciężką klęskę. Mówi się o zatopieniu ich największych okrętów, nawet okrętu admirała. Nie jestem pewny, czy wieści nie są przesadzone. W każdym razie to wy daje się pewnym, że Anglia wyszła cało ze śmiertelnego niebezpieczeństwa. Niech Bóg miłosierny, który chroni człowieka przed doświadczeniami nad siły, strzeże także w przyszłości królową i nas wszystkich”.

Ma słuszość — myślał Norton — zwycięstwo Hiszpanów byłoby dla nas doświadczeniem nad siły. Nie wiem, co o tej klęsce będzie się mówiło w Rzymie czy w Hiszpanii, ale dla nas stała się ona ratunkiem przed największą z klęsk, jakie spaść mogą na kraj — przed bratobójczą walką. Bo je dnak, gdyby byli wylądowali, do tej walki byłoby doszło. Browne miał rację: to nie katolicy byliby ją podjęli, ale ci, którzy szukaliby łask Filipa...

Postanowił wrócić do listu, jaki zaczął pisać do Alex. Ale zaledwie usiadł i wziął pióro, gwałtowny napływ myśli

i uczuć, niby uderzenie wiatru, oderwał go od pisania. Serce poczęło bić mocno. Nie mógł wysiedzieć: wstał i począł cho dzić. Na próżno usiłował narzucić sobie spokój.

Ta wielka cisza, jaka zapanowała w nim od tamtej mszy — nagle skończyła się. To było tak, jakby pękła szyba, która pozwałała mu pozostawać w ciszy, i fala dźwięków ogarnęła go całego. Albo jakby zapora, która przez dłuższy czas powstrzymywała spiętrzoną rzekę — ustąpiła. Rozszalały pęd miotał nim jak liściem.

Na nowo odezwała się w nim tęsknota za córką. Lecz tym razem była to tęsknota rozpaczliwa. Wydało mu się, że widzi Alex, jak się widzi kogoś odpływającego na okręcie — oddalającego się, malejącego, na próżno wyciągającego ku nam ręce. Miał takie wrażenie, że usłyszał obok siebie głos: straciłeś ją! Chciał ten głos zagłuszyć, ale on nie przestawał się w nim rozlegać. To, co *zaczął* pisać do córki o zaufaniu, zabrzmiało jak drwina — drwina z samego siebie. Wtedy, w tamtą noc wszystko ułożyło się. Wszystko znalazło swój sens. Wszystko stało się proste. Tyle w nim było wdzięczności. Pamiętał, jak leżąc krzyżem, powtarzał: „Panie, to, że on do mnie przyjechał i u mnie odprawił Twoją Ofiarę, jest łaską, jakiej nie oczekiwałem. Co Ci mogę dać w zamian, ja, który sam nie wiem, czy nie występuję przeciwko Tobie? Nie wiem, czy to, co czuję, jest służeniem Tobie, choć jednego tylko pragnę, by Tobie służyć! Lecz za ten blask światła w nocy gotów jestem powrócić znowu w noc... Gdybym mógł dla Ciebie walczyć, ginałbym szczęśliwy widząc, że ginę w Twojej sprawie. Ale jeżeli trzeba, jeżeli chcesz — niech znowu nie wiem..”

Tak się modlił, chociaż gdy przestawał się modlić, przejmował go dreszcz przerażenia na myśl, co będzie, jeśli zostanie wysłuchany. Lecz wtedy zaczynał się modlić na nowo z jeszcze większą żarliwością. Chciał wytrwać w geście — póki zdoła...

Lecz zamiast niepokoju przyszła cisza. Może dlatego, że wypowiedział tamto, nie śmiał wierzyć w jej rzeczywistość. Żył w zawieszeniu. W oczekiwaniu, że ona się skończy; pryśnie jak bańka z weneckiego szkła.

I rzeczywiście — skończyła się. Teraz. Nagle, od razu niepokój i wątpliwości powróciły. Spadły podobne piorunowi, z czystego nieba. Był znowu na dnie rozpacz i lęku. Znowu myślał: zdradziłem sprawę, straciłem córkę... Tamten błysk wydał mu się teraz złudzeniem, któremu tak łatwo uległ. Wydawało mi się — myślał — że to ten znak, o którym mówił Hugh.

Ale to nie był znak. Znak miał być w przyszłości. I czy pojawi się w ogóle? Czy Bóg zechce odpowiedzieć takiemu jak ja!

Z niechęcią zwinął nie skończony list i włożył go do kieszeni. Dalej chodził tam i z powrotem. Tylko szybki ruch pozwalał mu znieść szalejącą w myślach burzę. Wybuchnęła ona jak podpalona beczka prochu. Jej gwałtowność zapierała oddech. Podszedł do miejsca, gdzie piasek zalewały fale. Morze było puste; tylko na coraz łagodniej kołyszących się płatach wody nadal unosiły się szczątki klęski. Nagle uświadomił sobie: Zazdroszczę im! Przegrali walcząc o coś, co uważali za sprawę najważniejszą. Jeśli nawet mylili się, Bóg będzie dla nich miłosierny. Ja — myślał — przegrałem i słusność, i siebie... Posłyszał za sobą kroki. Kiedy odwrócił się, zobaczył przed sobą młodego żołnierza.

— Ten Hiszpan obudził się — powiedział. — Chce rozmawiać z panem, sir...

Patrzył na niego, jakby nie rozumiał usłyszanych słów. Wydało mu się, że teraz dopiero zobaczył po raz pierwszy twarz żołnierza. Prawdziwą twarz. Przedtem wydawała mu się" miłą, prawie dziewczęcą, twarzą chłopca. Co się z nią teraz stało? Nie mógł pojąć. Twarz zmieniła się. Malowało się na niej coś przerażającego... Coś, czego przedtem nie było albo co pozostawało głęboko ukryte. Pod dotknięciem rozgorączkowanego wzroku Nortona żołnierz spuścił oczy. Stał blady, z dygoczącymi ustami, z napiętymi muskularni policzków. Norton wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego chłopak, dla którego jeszcze dziś w nocy odczuwał tyle życzliwości, teraz po prostu odpychał go od siebie.

— Czego chcesz? — zapytał. Choć starał się zapanować nad swymi uczuciami, głos zabrzmiał szorstko.

— Ten Hiszpan chce mówić z panem, sir — powtórzył żołnierz, i Teraz zrozumiał. Skinął głową.

— Dobrze. Chodźmy. Rozmawiałeś z nim?

— .Rozmawiałem, sir. Mówi po włosku i po francusku...

Nawet głos tamtego zdawał się brzmieć inaczej. A może to tylko on go inaczej słyszał? Idąc położył dłoń na czole, ścisnął mocno skronie. Dzieje się ze mną coś niedobrego — myślał. —• Jestem starym człowiekiem. Nie chorowałem nigdy. Podobno, gdy na takich ludzi przyjdzie choroba, zwała ich od razu z nóg. Po tych dwóch nocach spędzonych na wilgotnym wybrzeżu... Zawzięcie szukał zwyczajnego wytłumaczenia dla tego, co od kilku chwil przeżywał. Znowu jakby chcąc się upewnić, że wszystko, co widział, było tylko złudzeniem, podniósł wzrok na żołnierza. Ale dalej widział go takim, jak przedtem — budzącym wstręt i obawę.

— Jeżeli mówi po francusku — rzekł — nie będziesz mi potrzebny. Sam potrafię się z nim rozmówić. Idź sobie. — Po prostu nie chciał go mieć koło siebie.

Po niebie przewalały się ciemne obłoki. Raz po raz gasiły słońce. Kiedy jednak podchodził do chaty, złoty blask spłynął po nisko zwisającej, pozieleniałej strzesze.

Hiszpan stał w głębi izby. Był bardzo wysoki. Jego mała głowa na długiej szyi sięgała aż pod pułap. Błada, lekko oliwkowa cera odbijała mocno od czarnego zarostu. Czoło miał obwiązane i czarne oczy spoglądały spod nasuniętej na nie chustki. Na widok Nortona uczynił lekki powitalny gest.

— Cabaliero — rzekł po francusku — mam nadzieję, że je stem w rękach szlachcica?

Norton skłonił się także. Odpowiedział w tym samym języku.

— Nazywam się Francis Norton. Jestem rycerzem. Hiszpan powtórzył swój ukłon, tym razem z większą rewerencją.

— Masz pan przed sobą, senior, rycerza kastylijskiego don Juana Ramirez Alba markiza de Tormes... — urwał, ale uczynił ręką gest, jakby chciał nim dać do zrozumienia, że

za nazwiskiem idzie długi szereg przynależnych tytułów, on ich jednak nie wymienia. —

Zmienne losy wojny — podjął — uczyniły mnie pańskim jeńcem. — Sięgnął po leżącą na stole szpadę i podał ją Nortonowi rękojeścią naprzód. — Oto moja broń, którą proszę zatrzymać. Na zawsze. Stal toledańska, głównie rzeźbił nasz słynny płatnerz Pedro Robolledo z Al- cazaru. Niech stanie się pańską własnością na pamiątkę na szego spotkania.

— Dziękuję panu, markizie. Ta szpada jest pięknym da rem. Jest pan jeńcem, ale także moim gościem. Proszę usiąść. Niestety tu, na kwaterze wojskowej, nie mamy żadnych wygód...

— Rozumiem, proszę się nie tłumaczyć. Czy zechce mi pan powiedzieć, senor, co stanie się ze mną dalej?

— Należę do oddziału, którym dowodzi lord Browne hra bia Montague. Przez niego zostanie pan odesłany — oczywi ście, gdy już pan odzyska siły — do kwatery wodza naczel nego wojsk królowej, księcia Leicester...

— Wydaje mi się to właściwym i honorowym załatwieniem sprawy — rzekł don Juan. W jego głosie i gestach duma splatała się z uprzedzającą grzecznością. — Jestem zadowolony, że po walce, którą nie wiem, czy mogę nazwać rycerską, znalazłem się w rękach przeciwników zachowujących rycerskie obyczaje...

Norton zmarszczył czoło.

— Dlaczego mówi pan, markizie, że nie wie pan, czy walkę, w której Armada została zwyciężona, można nazwać rycerską?

Don Juan skrzywił swe wąskie, piękne usta

— O zwycięstwie na morzu decydowała zawsze stal, a nie proch i kule — powiedział. — W ten sposób mój ojciec i stryj walczyli pod Lepanto i odnosili triumf nad niewiernymi.

Lecz flota angielska unikała walki wręcz. Nawet gdyśmy jej tę walkę proponowali — nie chciała jej przyjąć. Z daleka strzelała z dział...

— Nie jestem doświadczony w sprawach morza...

— Ani ja, senor. Wróciłem zresztą dopiero co z Nowej Hiszpanii za oceanem. Czyżby w Europie dokonały się w ciągu ostatnich lat tak wielkie zmiany? Widziałem jednak, że gdy nasze okręty wystrzelały całą posiadaną amunicję, okręty angielskie ostrzeliwały je nadal. Gdy mój przeciwnik w starciu traci konia, zsiadam z wierzchowca i walczę dalej pieszo. Oczywiście w spotkaniu rycerskim. Tak każe obyczaj kastylijski.

— Obyczaje hiszpańskie są znane i podziwiane w całą świat.

— Cieszy mnie, że mimo wszystko, co nas dzieli, umie pan, senor, znaleźć dla nich słowa uznania. Anglicy, jak mi mówiono, są ludźmi odważnymi. Niestety w walce z wami nie zawsze wiadomo, na kogo się trafi: na rycerza czy na prostaka. Ten wasz Drake...

— Królowa nadała mu szlachectwo.

— Słyszałem o tym. Młode szlachectwo, to prawda, lecz dobrze, że choć takie. Trzeba mu przyznać, że przeciwnikiem jest groźnym. Po jego zeszłorocznej wyprawie na nasze wybrzeże nasi admirałowie i kapitanowie pałali chęcią zmierzenia się z nim. A jednak to on wziął do niewoli Petra de Val-des. Szkoda, że stosuje tak dziwną metodę walki.

— Metody walki zmieniają się.

— Myślę, że nie tyle metody, co obyczaje... Zgłosiłem się ochotniczo na pokład „San Marcos de Portugal”, lecz spodziewałem się, że przyjdzie mi walczyć na lądzie lub przy abordażu. Zamiast tego trzeba mi było stać bezczynnie pod ogniem dział. Wreszcie zostałem jakimś odłamkiem uderzony w głowę. Musiałem zemdleć, nie wiem, co się ze mną działo potem. Gdy się ocknąłem, byłem sam w łodzi...

— Tak właśnie znaleźliśmy pana, senor.

— Byłem zdecydowany dopłynąwszy do lądu rzucić się na was i walczyć. Siły mnie zawiodły...

— Byłoby szaleństwem walczyć przeciwko wielu.

— Nie zwykłem liczyć swoich przeciwników. Gdy w Me ksyku wybuchło powstanie, rzuciliśmy się pojedynczo na całe tłumy Indian.

— Na brzegu angielskim mógł pan jednak oczekiwać spotkania z chrześcijanami, nie z dzikusami.

— Ale nie z katolikami! Tak jak powiedziałem: takie me tody, jakie obyczaje. Bóg zrządził inaczej — pozbawił mnie sił. Chciał mnie doświadczyć, jak doświadczył nas wszystkich...

— Bóg nieraz doświadcza ludzi, panie markizie.

— To znana rzecz: doświadcza tych, z którymi jest.

— Trudno powiedzieć, markizie, z kim Bóg jest. Czy może: z kim Bóg nie jest...

— Nie sądzi pan chyba, senor, że dając wam to chwilowe zwycięstwo był z wami?

— Cóż wiemy o woli Bożej?

— Choć jestem jeńcem, nikt mnie nie zrusi do przyznania, że Bóg nie jest z tymi, którzy wyruszają na świętą krucjatę!

— Jeśli wyprawa Armady była krucjatą...

— Wątpi pan, senor? Wyruszyliśmy dla ocalenia prawdziwej wiary. Tak samo, jak rycerze, którzy podążali niegdyś do Ziemi Świętej. Bywały krucjaty, które, choć prowadzone przez świątobliwych władców, kończyły się niepowodzeniem. Bóg żąda wielkiej godności od tych, którzy wyruszają na świętą wojnę. Ale jeśli nawet nie wszyscy potrafili być dość czysti, Bóg nie odjął od nas swej ręki. Byliśmy i pozostaliśmy Jego mieczem! Płynąc flota modliła się. Nasz wódz polecił strzec pilnie obyczajności...

Don Juan był podniecony własnymi słowami. Norton, zauważywszy to, usiłował zmienić temat rozmowy:

— Słyszałem, że jest wielkim i dzielnym wodzem?

— Don Alonso de Guzman el Bueno, książę Medina Sidonia jest znakomitym rycerzem i żarliwym katolikiem. Znam go dobrze i cieszę się jego przyjaźnią. Jestem dumny z tego, że służyłem pod takim wodzem. To drugi święty Ludwik!

— Szkoda, że taki człowiek stanął na czele wyprawy... ,

— Najbardziej katolicki z władców król Filip powierzył mu to szczytne zadanie!

— Czy król hiszpański, który ma tyle ziemi, że na niej, jak mówią, nie zachodzi słońce, potrzebował jeszcze ziemi angielskiej?

— Anglia nie była i nie jest potrzebna królowi. Zwrócił na nią oczy, słysząc jęki uciemiężonej wiary...

— Są przecież w świecie władcy innej wiary.

— Przyjdzie czas, że wszyscy uznają prawdziwą wiarę lub zostaną zwyciężeni i będą musieli ją przyjąć!

— Co warta wiara, do której człowiek jest przymuszony?

— Cóż warta wiara, która jest fałszem!?

— Więc dlatego gotów był pan, markizie, oddać życie?

— Naturalnie! Po to zgłosiłem się do udziału w wyprawie. Po to chciałem walczyć, gdy łódź, na której się znalazłem, dobiła do brzegu. Po to także, gdy czekałem na przyjęcie pana, senior, zrobiłem rycerskie postanowienie, że gotów jestem ponieść męczeństwo, a nie ulec! Przecież nie wiedziałem, w czyich znalazłem się rękach. Wiem, że lutrzy w Holandii przykładają jeńcom nóż do gardła grożąc śmiercią, jeżeli nie będą bluźnili Matce Najświętszej!

— A czy nie pomyślał pan, senor, czyniąc tak godne po stanowienia, że mógłby pan tutaj na wybrzeżu trafić na ta kich jak pan katolików?

— Wiem, że są powstańcy...

— Nie ma powstańców, markizie. Ale są katolicy. Jestem jednym z nich.

— Pan?! — krzyknął. — Katolikiem? Rzymskim?

— Odmawiam codziennie to samo credo, co i pan, markizie

— Więc co pan tu robi?

— Służę królowej.

— Królowej? Heretyckiej?

— Królowej Anglii. I nie ja jeden. Wszyscy tutaj jesteśmy katolikami.

— Zdrajcy! — krzyknął. Spomiędzy czarnego zarostu były snęły zęby. Don Juan zerwał się na nogi, odepchnął stołek, na którym siedział. Zerwał z czoła bandaż. Zdawało się, że się rzuci na Nortona. — Zaprzańcy! Judasze! — zawołał.

— Licz się, markizie, ze słowami! — głos Nortona stał się także groźny. Stary sąuire podniósł się ze stołka. — Choć jesteś jeńcem, nie wolno ci znieważać...

— Możecie mnie zabić, lecz nie przestanę wam mówić, kim jesteście!

— Życie to niewiele...

— Więc dodajcie morderstwo do zdrady!

Nagle obaj postąpili ku sobie. Pochyleni mierzyli się pałającymi spojrzeniami. Hiszpan miotał się. Norton był spokojniejszy — ale tylko na zewnątrz. W nim także palił się gniew, który zburzył wrodzoną równowagę. Mocno aż do krwi zaciął wargę. Przez głowę przelatywały mu myśli niby błyskawice: Mam mu przyznać rację? Nie! To sprzeciwia się wszystkiemu we mnie... Nie! Uniósł zaciśnięte pięści i przycisnął je do skroni. O Boże, mówił sobie, czy miałoby być tak, jak on mówi? Boże, Boże, Boże...! Więc nigdy mi nie

odpowiesz?!

Przymknął oczy i uczynił jeszcze krok ku Hiszpanowi. Szedł jak we śnie lub jak ktoś, kto rzuca się sobą na zagradzającą drogę zaporę. Jego przeciwnik przykurczył się.

Jeszcze raz krzyknął prosto w twarz Nortona:

— Zdrajcy!

Dzielił ich tylko narożnik stołu. Obaj oparli się o niego. Nagle dłoń Hiszpana natrafiła na leżący pistolet. Gwałtownie chwycił go, odciągnął kurki.

— Niech cię piekło...! —zawołał.

Wystrzały z dwóch luf zlały się w jedno. Norton zrobił jeszcze krok i padł twarzą na ziemię.

Czekając na powrót Southwella Hugh patrzył na leżące na stole już wydrukowane stronicie. Był tu wiersz o narodzonym Dzieciątku Jezus, które przyszło na świat wśród blasku i płomieni. Wyciągało dłonie do ludzi, prosiło: „Dajcie mi swe dusze! Chcę je obmyć w mojej krwi z wszelkiego zła, pyłu i brudu...” Na klęczniku, obok posłania, leżała kartka, zapisana świeżym, ledwo czytelnym pismem. Słowa wydawały się jak poszarpane, czasami pozbawione większości liter. Southwell musiał je pisać w jakimś niezwykłym porywie. Hugh odszyfrował: „Życie, dlaczego nie pozwalasz mi umrzeć? Śmierci, dlaczego omijasz swój łup? Czas mego bojowania ukończony. Chcę odpocząć... Przyjdź śmierci, przyjdź i weź mnie!”

Odłożył kartkę z uczuciem gorzkiej zazdrości. Jak on tego pragnie! — myślał. — Dlaczego nie potrafię chcieć tego równie mocno? Dziś moja śmierć mogłaby być tryumfem. Moją głąbą być czymś więcej niż tylko odejściem, które oczekuje każdego. Ludzie boją się jej. Lecz gdy obiecuje tak wiele, strach powinien ustąpić. Powinien! A jednak on czuł go wciąż. Boję się — myślał. A przecież nie ciągnęło go już nic z tam tych spraw, które tak niedawno wydawały się najważniejsze. Wiedział, że nie wróci nigdy do starożytnych mędrców, takich wszystkowiedzących, a w swej mądrości takich pogodnych. Już nie napastowały go pokusy powrotu. Odnalazł gorzki smak w życiu, na jakie skazał go rozkaz przełożonych. Tam na Southwark odzyskał równowagę. Odkrył uczucie, że jest potrzebny; odnalazł ludzi, którym mógł służyć. A mimo to — bał się...

Drzwi otworzyły się, stanął w nich Southwell.

— Sprawa ważna — powiedział — muszę zaraz jechać.

— Dokąd?

— Na wybrzeże. Do ludzi lorda Browne.

— Dlaczego?

— Zdarzyło się tam, że oddział schwytał jeńca, rozbitka z zatopionego statku. Lecz on ciężko zranił pewnego szlach cica. Ten człowiek umiera. Trzeba mu natychmiast księdza...

— Czy nie wiesz, Bob, jak się nazywa zraniony?

— Owszem, wiem. To szlachcic z północy, niejaki Norton... Gwałtownie chwycił przyjaciela za obie dłonie.

— Norton?

— Tak.

— W takim razie pozwól, że ja pojedę!

— Ty?

— To mój wuj!

— Twój wuj?

— Tak. Ja powinienem jechać do niego. Ja powinienem być przy nim. Wujowi Francisowi wszystko zawdzięczam...

— Jeżeli tak, to jedź... Ale... Czy wiesz, że to może być niebezpieczne?

— A ty chciałeś jechać?

— Chciałem... Ale ja zwykle mało jestem narażony. Więc może byłoby lepiej, abym ja...?

— Nie! Nie! Ja pojedę! Proszę cię...

— Nie mogę się sprzeciwić. Jedź. W przedsionku czeka człowiek, który cię zaprowadzi. Już siodłają konia...

— Dziękuję ci.

— Wolałbym sam jechać. I, Hugh... Jeszcze jedno...

— Mów?

— Nie wiem, co powie ojciec superior na to, że jeden z nas pojedzie do oddziału

Browne'a...

— Chodzi o człowieka, który umiera, sam mówiłeś...

— Mówiłem. I gdybyś ty nie jechał, ja pojechałbym. My ślę, że ojciec Garnett, gdyby tu był, pojechałby także. Chodzi o człowieka. To ryzyko trzeba wziąć. Ale ten czyn może mieć następstwa...

— Jakie?

— Nosimy mundur jak żołnierze. Jeśli się wyda, że jeden z nas był z tamtymi, jeżeli to zostanie przesłane do Rzymu...

— Cokolwiek by miało się stać, muszę jechać do niego!

— Masz rację. Musisz. Musimy...

— Proszę cię, daj znać na Southwark.

— Zawiadomię ich! Jedź! Niech cię prowadzi Paniienka Najświętsza. Niech cię broni i osłania...

Na krótką chwilę padli sobie w objęcia. Potem spiesznie opuścili pokój. Szli znowu przez długie korytarze pełne żałobnej ciszy, między portretami przodków księcia Arundel i stojącymi pod ścianami zbrojami. Po drodze wstąpili do kaplicy. Była jak przedtem pogrążona w ciszy. Rozkrzyżowany człowiek leżał dalej przed pustą trumną. Southwell zawinął szybko w pakiet stułę i oleje święte.

— Nie mam konsekrowanej Hostii — powiedział.

— Daj niekonsekrowaną. Jeśli dożyje ranka, odprawię mszę...

W mrocznej sieni czekało na nich dwóch ubranych w czerń służących oraz żołnierz w hełmie wciśniętym mocno na czoło i w barwnym kolecie.

— Nie ja pojedę, ale ojciec Hugh — powiedział Southwell do żołnierza. Tamten skłonił się

tylko bez słowa. Southwell zwrócił się do Hugh'a: — To żołnierz z oddziału lorda Browne.

Przywiózł od niego list.

— Koń czeka — rzekł jeden ze służących.

— Więc jedźcie. Sądzę, że jutro wrócisz?

— Być może... Nie zapomnij dać im znać. Wyszli na podwórze. Konie stały gotowe.

— Musimy ominąć miasto — powiedział Hugh do żołnierza. — Tam taki tłok i ścisk, że ani przejechać...

Żołnierz podniósł głowę i rzucił szybkim spojrzeniem na zakonnika. Wydawało się, że chce coś powiedzieć. Zmilczał jednak. Otworzono bramę. Wypadli na drogę i od razu pomknęli galopem.

Choć podążali okrężną drogą przez Charter House, Saint Giles, Saint Battolphes, dzięki temu, że drogi, którymi jechali, nie były zapchane świętującym tłumem, znaleźli się dość szybko za Towrem. Początkowo gnali spiesznie i nie mówili nic do siebie. Hugh jechał pierwszy, żołnierz trzymał się nieco z tyłu.

Ale konie okryły się potem i trzeba było przejść do stępa. Hugh gestem dał znak żołnierzowi, by zrównał się z nim. Zapytał:

— Jak się to stało?

— Nie wiemy dokładnie... Sir Norton kazał zanieść Hisz pana na swoją kwaterę. Potem, gdy tamten odzyskał przytomność, zaczęli rozmawiać ze sobą. Bez świadków. Nagle usłyszeliśmy strzał. Gdy wbiegliśmy, sir Norton leżał na ziemi, we krwi...

Głos żołnierza był zduszony, jakby przytłumiony. Mimo to wydał się Hughowi dziwnie znajomy. Słuchając słów tamtego szukał odruchowo w pamięci, skąd ten głos zna. Lecz niepokój o wuja był zbyt gorący, aby mógł się długo nad tym zastanawiać. Pytał znowu:

— W jakim stanie znaleźliście sir Nortona?

— Otrzymał dwie kule w samą pierś. Lord Browne spro wadził lekarza. On jednak nie robił nadziei.

— Przytomny?

— Czasami ją traci.

— Chciał księdza?

— Chciał...

Znowu w mózg Hugh'a poczęła się wkręcać świadomość, że ten głos nie jest mu obcy. Popatrzył uważnie na żołnierza. Tamtemu hełm skrywał twarz tak, że widać było tylko nos i policzki pokryte rzadkim jasnym zarostem. A jednak ta twarz, choć tak mało widoczna, wydawała się również znajoma. Mocno ściągnął brwi i z wysiłkiem szukał w pamięci. Wciąż powracający niepokój, czy znajdzie jeszcze wuja żywego, nie pozwalał mu się skupić. To jedno było pewne: i ta twarz, i ten głos nie kojarzyły się z żadnym złym wspomnieniem. Przeciwnie, zdawały się tkwić w spokojnej dali. Czyżby? Ależ nie, to przecież niemożliwe!

— Słuchaj — zapytał żołnierza — czy myśmy już kiedyś nie rozmawiali ze sobą?

Tamten podniósł głowę i obrzucił Hugh'a szybkim spojrzeniem. Oczy, które mu stale uciekały w dół, na moment spotkały się ze wzrokiem Palmera. Ta chwila wystarczyła, aby podejrzenia Hugh'a umocniły się. Obrazy ubiegłych lat odżywały jeden za drugim. W pamięci odezwał się nosowy głos ojca Yioli: „Zakonnik obowiązany jest strzec wzroku, przez oczy bowiem najłatwiej wślizguje się w serce pokusa... Tak... hm, hm... Piszcie: gdy znajduje się w świecie, hm, hm, winien trzymać oczy zawsze spuszczone...” Wybiegłszy z sali zajęć na rekreację młodzi studenci rozsypali się po podwórzu. Po godzinie nudnego ślęczenia

rozsadzała ich chęć do żartowania. „Słuchajcie, fratres — mówił któryś — najlepiej chodzić o tak...” Zrobił minę wniebowziętą, spuścił oczy i szedł niby to na ślepo, prosto na drzewo. Zaśmiewali się z tego wesoło. „Ech — zachichotał inny — popatrzcie tylko, jak trzyma oczy Tomasz. Zawsze w kieszeni! Z niego będzie zakonnik!” Zanosząc się od śmiechu patrzyli na bladego kolegę, który stał z oczami wbitymi w ziemię. Próbował je podnieść i zaraz na nowo spuszczał, jakby to było dla niego czynem nad siły...

Znowu zapytał:

— Mam uczucie, że się znamy...

— Owszem — bąknął tamten, -- Przypomnij mi, skąd? Rzucił jakby

niechętnie:

— Z Rzymu...

— No, naturalnie! — Wszystko od razu stało się jasne. — Jesteś Tomasz Dodwell?

— Tak.

Pochylił się i położył rękę na rękę żołnierza. Tamten drgnął, ale nie cofnął swojej.

— Dlaczego nie powiedziałeś tego od razu, Tom? Przysłali cię?

— Nie. Sam wróciłem.

— Dlaczego?

— Opuściłem kolegium. — Przymusił się na chwilę do podniesienia głowy. Począł się

śmiać, jakby chciał tym śmie- ' chem dodać sobie tupetu. — Byłem zaskoczony, że to ty

je dziesz ze mną. I rozumiesz chyba, że nie było mi przyjemnie mówić ci o tamtym.

Myślałem, że mnie nie poznasz. Zaraz po twoim odjeździe zachorowałem. Wiesz, ile oni przywiązują znaczenia do zdrowia? Generał Aquaviva wezwał mnie do siebie. Mówił niby serdecznie, ale sens był taki, że chcieliby, abym opuścił Towarzystwo. Proponował, że polecą mnie do innego zakonu...

— A ty wolałeś wrócić?

— Rzym mnie zmęczył. Miałem tam ciągle bóle głowy i żołądka... Nie lubiano mnie.

— Nie, Tom! Trzymałeś się sam trochę na uboczu. Może dlatego żartowano z ciebie, to prawda. Ale z dobrego serca...

— Byli dla mnie niesprawiedliwi!

— I tego, Tom, nie zauważyłem.

— Ty niczego nie widziałeś. Zawsze siedziałeś z głową w książkach!

— Opiekowałem się tobą.

— Za to ci jestem wdzięczny.

— Szkoda, że przynajmniej nie skończyłeś seminarium.

— Mówię ci, że się czułem źle.

— A teraz co robisz?

— Zgłosiłem się na ochotnika do oddziału lorda Browne'a... Przesunął dłonią po czole. Co za zdumiewające spotkanie!

Dodwell był jego młodszym kolegą w rzymskim kolegium. Nie miał jeszcze święceń. Starsi studenci, będący już księżmi, roztaczali nieraz opiekę nad młodszymi. Z Dodwella rzeczywiście koledzy trochę wyśmiewali się i Hugh spostrzegłszy to kiedyś wziął go pod swoje skrzydła. Chciał zainteresować chłopaka pasjonującymi jego samego studiami nad starożytnością. Ale Dodwella to nie pociągało. Porywało go życie rzymskie, interesowały go wielkie problemy polityki kościelnej. Gdy do Rzymu przyjeżdżał ojciec Persons, Dodwell chodził za nim i zadawał mu bez końca rozmaite pytania.

— Chciałeś walczyć z Hiszpanami? — zapytał Hugh. Dodwell znowu błysnął wzrokiem.

— Naturalnie, że nie! Skądże? Spodziewałem się, że kiedy wylądują, lord Browne z

całym swym oddziałem przejdzie do nich.

— Spodziewałeś się? — Był tak zaskoczony otrzymaną od powiezią, że aż ściągnął wodze konia. Ale natychmiast po puścił je znowu. Powtórzył: — Tak myślałeś?

— A jak miałem myśleć? Przecież nie przypuszczasz, że byłoby inaczej? Lord Browne jest mądrym człowiekiem.

— Po cóż więc zgłaszał się do królowej? Dodwell zaśmiał się nerwowo, hałaśliwie.

— To chyba jasne! Aby uspić podejrzenia; aby nie być aresztowanym; aby móc mieć uzbrojonych ludzi... Gdyby przeszedł do Hiszpanów ze zbrojnym oddziałem, musiałby być uznany za sojusznika, a nie za kogoś, kto ma tamtym wszystko do zawdzięczenia...

Nie odpowiedział. Jadąc myślał: Ten chłopak przywiózł z Rzymu wiedzę, o jakiej nie mam pojęcia. Czuję się wobec niego naiwny jak dziecko. Słyszałem spowiedź wuja i pamiętam to, co mi mówił pierwszej nocy — wiem więc, że to jest nieprawda. Ale gdybym był nawet tego wszystkiego nie słyszał, nigdy by mi nie przyszło do głowy podejrzewać tamtych o taką intrygę.

— A kiedy się stało tak, jak się stało — dorzucił tamten — wyszli na bohaterów i domagają się nagrody. To była kapi talna gra!

Potrząsnął głową. Przyszło mu do głowy: ludzie wyobrażają sobie sprawy życia jako bardziej skomplikowane, niż one są naprawdę. Ale nie próbował dyskutować z Dodwellem. Znowu odezwał się w nim lęk o życie wuja. Zęby chociaż zastać go żywego! — westchnął w duchu. Pamiętał wzruszenie Nortona, gdy mu powiedział, że odprawi mszę, będzie spowiadał i dawał Komunię świętą. Jak on tego wszystkiego pragnął! Jak on musi pragnąć teraz!

Połąskotał ostrogą konia, który ociągał się w kłusie.

— Lekarz — zapytał — mówił, że nie ma nadziei?

— Pytasz o Nortona? Żadnej. Obawiał się, czy dożyje do wieczora.

— On jest moim wujem... — powiedział.

— Wujem? Naprawdę?

— Nie wiedziałeś o tym?

— Skąd mogłem wiedzieć? Przez ostatnie dni byłem pod jego komendą. To godny pan...

— Tak, on jest człowiekiem... — zaczął, ale nie skończył. Od pierwszej chwili spotkania Hugh miał dla wuja wiele serdecznych uczuć. Poznawszy go bliżej — pokochał go głęboko. Ale odkąd opuścił Norton House, do miłości przyłączył się także podziw, — Ja — myślał — mogę być sobie naiwnym zakonnikiem, który nie zna wielkich spraw polityki. Ale on nie jest na pewno człowiekiem naiwnym. Wie, co robi. To, co wziął na siebie — wziął z całym przekonaniem. Nie dla tego, że tak musiał; nie dlatego, że był to wybór korzystny w każdej sytuacji. Świadomie zdecydował się na drogę najtrudniejszą. Ofiarował życie. I to życie zostało przyjęte...

— Czy jeszcze daleko? — zapytał.

— Nie, już niedaleko.

— W takim razie jedźmy prędzej!

Ujechali znów kawałek drogi bez słowa. Kiedy na nowo zwolnili, Dodwell powiedział:

— On ma córkę...

— Prawda, Alex! — Hugh uprzytomnił sobie, że dotychczas nie myślał o dziewczynie. — Czy posłano po nią?

— Ja miałem ją zawiadomić. Ale nie ma jej w Londynie. Pojechała z dworem królowej do Tilbury.

Przytrzymał konia.

— Ona musi przyjechać — powiedział. — Ona musi znać się przy nim, póki on jeszcze żyje.

— Gdy odwiozę ciebie, pojedę po nią. Albo słuchaj: jedź dalej sam. A ja skoczę do Tilbury. Tu zaraz rozchodzą się drogi.

— Dobrze — rzekł. — Powiedz mi tylko, jak ich znajdę. Dodwell począł wyjaśniać. Zanim skończył, natrafili na zapowiedziany rozjazd.

— Szukaj jej — mówił Hugh — i sprowadź koniecznie! Ona musi przyjechać, zanim on zamknie oczy. I on tego pragnie, i ona...

— Znajdę ją i sprowadzę. Ale ty nie odjedziesz, póki my nie przybędziemy?

— Nie, nie odjadę. Spieszcie się.

— Będziemy się spieszyli. Tylko nie odjedź! Na pewno poczekaasz?

— Nie odjadę — zapewnił powtórnie.

Uderzyli konie ostrogami i pomknęli znowu ile sił w końskich nogach w dwie różne strony.

Walsingham wyszedł z uczty zmęczony i niezadowolony. Komnata, w której miał spać, znajdowała się na końcu długiego korytarza w bocznym skrzydle wielkiego pałacu, którego środek zajęła królowa ze swoim dworem. Do drzwi towarzyszyło mu dwóch służących z zapalonymi świecznikami. Przed drzwiami sypialni czekało dwóch innych, którzy odebrali od tamtych świeczniki. Ci należeli do osobistej służby Walsinghama i wraz z nim przybyli z Londynu. Gdy wszedł do pokoju, znalazł tu czekającego na siebie osobistego sekretarza. Poślanie było rozesłane, Walsingham chciał się jednak w pierw dowiedzieć, co ma mu sekretarz do zakomunikowania.

Odesłał służących i podniósł na małego człowieczka oczy o przekrwionych białkach.

Chwilę ciężko dyszał, zanim zapytał:

— Gdzie Topcliffe?

— Dwa razy przychodził, aby się zobaczyć z waszą lordowską mością.

— Idź, zawołaj go. Chcę z nim zaraz mówić.

Sekretarz wyszedł. Walsingham pozostał sam. Wsparł głowę o wysokie oparcie fotela i wyciągnął przed siebie swe krótkie nogi o grubych łydkach. Męczący oddech stawał się z wolna lżejszy. Ostatnio coraz częściej chwytala go duszność. Czuł także czasami ostre klucie w lewym boku. Przymknął oczy. Nadpłynęła myśl, którą głośno i w duchu wypowiadał wiele razy w ciągu ostatnich dni: Przepracowałem się; ale teraz odpocznę... Miał prawo do odpoczynku. Zbyt wiele było nieprzespanych nocy, nie kończących się narad, mozolnych wyliczeń, w napięciu układanych planów. Teraz na czas jakiś można o tym zapomnieć. Zanim Hiszpanie zdecydują się na ponowne uderzenie, upłynie co najmniej rok. Rok to dużo. Ale czy naprawdę tak dużo? Walsingham był jak koń, który chodzi tak długo w kieracie, że wyprężony z niego chwieje się na nogach. Myślał: Skoro mamy uprzedzić Hiszpanów,

trzeba zacząć działać, i to jak najprędzej. Twardo i energicznie. We Francji Henryk wymknął się z opanowanego przez księcia de Guise Paryża do Chartres i jak donosili szpiedzy, choć na pozór oddał całą władzę w ręce wodza katolików francuskich, po cichu nawiązał kontakt z królem Nawarry. Walsingham nienawidził Walezjuszów i pogardzał nimi. Uważał, że są zdolni do każdej podłości. Lecz w tej chwili wrogiem był de Guise, zaciekły papista, kreatura Filipa. Trzeba, coraz jaśniej stawało to przed nim, poprzeć porozumienie tamtych dwóch. Gdyby się przeciągnęło Henryka do obozu hugonotów, Francja zostałaby wyrwana z rąk papistów. Wtedy Parma byłby odcięty i zagrożony od tyłu. Wojna w Holandii musiałaby się skończyć... Koniecznie trzeba wpływać na królową, by nie szczydziła pieniędzy dla dworu nawar-skiego. Tylko że Elżbieta nieskora jest do płacenia. Wczoraj jeszcze zakrzyczała go i nie dała sobie nawet wspomnieć o wydatkach, jakie pociągnąć za sobą musi utrzymanie na stopie bojowej zwycięskiej i z takim wysiłkiem, w ostatnim momencie, wystawionej floty. Od paru dni Walsingham wyczuł dziwną zmianę w jej zachowaniu się wobec siebie. Wydała kilka decyzji nie powiadamiając go zawczasu o nich. Nie mówiła mu wcale „byku”. Robiła wrażenie, jakby była na niego rozgniewana. Takie okresy zdarzały się już i dawniej. Zawsze wtedy, gdy zbyt uporczywie domagał się czegoś od niej. Walsingham wiedział, że Elżbieta nie lubi ustępować. Kiedy musiała ustąpić — była wściekła. Na wszelkie sposoby okazywała swój gniew. Znosił go cierpliwie i spokojnie, gdyż wiedział, że kiedy się przekona o słuszności jego rady, powróci do dawnej brutalnej serdeczności. Ale tym razem nie mógł zrozumieć jej zachowania. Zaledwie wspomniał o konieczności nowych wydatków, kazała mu milczeć. Wdzięczyła się do Cecila, Walsingha-ma zdawała się nie dostrzegać. A przecież wojna była wygrana, a ten wielki triumf miała do zawdzięczenia jemu, nie Cecilowi! Czuł się jak wierny pies z niezrozumiałego powodu odepchnięty przez swego pana. Gryzło go spojrzenie, jakim obrzuciła go w czasie uczyty. Ale choć cierpiał boleśnie,

nie miał do niej żalu. Obudziło się w nim jedynie podejrzenie, że ktoś nastraja królową wrogo przeciw niemu. Miał wielu wrogów, ale to były małe pieski. Kto to może robić? — zastanawiał się. Cecil? Ten kopał pod nim dołki od dawna. Walsingham wiedział o tym dobrze. Wyczekiwał na chwilę, kiedy sekretarz królowej potknie się, a wtedy on wepchnie swego syna na jego stanowisko. Niedo-czekanie! Cecila nie bał się. Czuł, że jest od niego młodszy, twardszy i bezwzględniejszy. A poza tym wiedział o słabościach i dawnych przewinach starego dworaka. Leicester? Ach, nie! Ten jest zachwycony uważając się za zwycięskiego wodza. Zapomniał o wszystkich swoich chorobach. Essex? Walsingham nienawidził go. Coraz częściej przychodziło mu do głowy, że jeśli młody rycerz nie zostanie w czas poskromiony, stać się może kiedyś niebezpiecznym rywalem. Miał tyle energii, tyle sił. I był o tyle młodszy. Gdyby wystarczała mu rola faworyta Elżbiety, Walsingham nie miałby nic przeciwko niemu. Nigdy nie oczekiwał od swej władczyni innego uczucia poza zaufaniem, innych uprawnień poza prawem służenia -jej. Ale Essex to nie tylko gładki i dziko odważny chłopak. Za nim — Walsingham miał na to dane — kryła się grupa ludzi, którzy dzięki niemu mogli wejść na dwór. Młodzi arystokraci, błyskotliwi rycerze, rozkochani w sztukach eleganci, obdarzający swą protekcją poetów i komediantów. Związek z tym światkiem niepokoił Walsingha -ma. Jako szczerzy purytanin, jako człowiek głębokiej, fanatycznej wiary, gardził sztuką. Bogu, wierzył w to mocno, służy się w surowej prostocie, gardząc blichtrzem. To tylko pa-piści pozwalają sobie na bluźniercze wyobrażenie Boga w rzeźbie i w malowidłach, na pisanie o Nim wierszami, na układanie widowisk. Szpiedzy Walsinghama nie odkryli u Essexa żadnych praktyk papistowskich i Walsingham był przekonany, że wbrew temu, co się szeptało na dworze, rycerz nie był utajonym papistą. Był na to za młody, za lekki, zbyt kapryśny. Ale w kole ludzi, którzy go otaczali i uważali się za jego przyjaciół, znajdowała się cała gromada

papistów: Cates-by, Southampton, Danvers, Tresham, West... Póki katolicyzm stara się powrócić na hiszpańskich okrętach — myślał Walsingham — nie jest niebezpieczny. Nie jest także niebezpieczny dlatego, że na północy są dwa hrabstwa zamieszkałe przez zawziętych papistów, nie ukrywających swej nienawiści do królowej. Można by ich zgnieść. Ale po co? Swoim istnieniem — stanowią ciągłą groźbę nowego buntu. Ich istnienie łączy purytanów, anglikanów, zwolenników nauki Lutera. Lepiej nawet, że istnieją. Ale byłoby niebezpiecznie, gdyby ludzie z koła przyjaciół Essexu znaleźli się pewnego dnia w najbliższym otoczeniu królowej. A Essex jest w coraz większych łaskach! I ta jego młodość...

Rozmyślania Walsinghama przerwało ciche pukanie do drzwi. Powiedział:

— Wejść!

Do pokoju weszli Topcliffe i sekretarz. Gestem kazał im obu usiąść. Zapytał:

— Co miałeś mi do powiedzenia?

Topcliffe zamrugał lewym okiem. To mruganie powtarzało się u niego zawsze, gdy był z czegoś zadowolony. Poza tym był to człowiek o wyglądzie ponurym i groźnym.

Nieokreślonego koloru włosy schodziły mu nisko na czoło.

— Mamy go! — powiedział.

— Palmera?

— Nie, Southwella.

— Wolałbym tamtego.

— Znajdziemy go także, milordzie. Southwell siedzi w pałacu Arundela.

— Posłałeś ludzi?

— Stało się coś lepszego. Ten zwariowany Hiszpan swoim strzałem oddał nam wielką usługę. Norton kona i Browne wysłał człowieka, aby Southwell przyjechał do tamtego...

— A on?

— Pojechano po niego i pewno jest już w drodze. Ludzi mam przygotowanych. Kiedy tylko dostaną wiadomość, że ten wierszokleta jest już na miejscu, wyruszą. Nakryjemy ptaszka! I to gdzie? W kwaterze katolików wiernych królowej! — Znowu zamrugał pełen zadowolenia.

— Czy to nie zanadto koronkowa robota? — zapytał nie ufnie Walsingham.

— Zawsze mi pan mówił, milordzie, że nie chce pan brudnego działania.

— To prawda. Zwłaszcza w tej chwili... Czy jednak zła piecie go?

— Ręczę głową za powodzenie.

— W takim razie dobrze. Po złapaniu zawiadomicie mnie. Ten Hiszpan przysłużył się nam. Trzeba go wziąć do pierwszej wymiany jeńców. A teraz idźcie. Jestem zmęczony...

Był tak wyczerpany, że choć wyszli i mógł się już rozebrać i położyć, nie mógł się po prostu zdobyć na wysiłek zawołania garderobianego. Siedział dalej w fotelu. Myślał:

Muszę mieć siły do dalszej walki! Ale jakby w odpowiedzi na to wezwanie poczuł w lewej piersi przeszywający ból. Skurczył się, prawie zwinął w kłębek. Z trudem łapał oddech. Ból do-sięgnął dna i począł mijać. Ale serce pracowało ciężko. Walsingham dyszał jakby po przebiegnięciu długiej przestrzeni.

W końcu wyciągnął rękę, by wezwać służącego, lecz w tej samej chwili rozległo się pukanie. Gniewnie rzucił:

— Wejść!

Wsunął się służący. Kłaniając się nisko powiedział:

— Sir Ryszard Cary pyta, czy wasza lordowska mość ze chce go przyjąć.

— Niech wejdzie.

Nie podnosząc się z fotela patrzył na stojącego przed nim siostrzeńca. Przez policzek Ryszarda biegła czerwona, nie do-gojona szrama.

— Co ty tu robisz? Skąd się wziąłeś? Młody rycerz schylił się do jego ręki.

— Dziś rano „Revenge” wpłynął do portu. Wiceadmirał Drake zezwolił mi przyjechać.. Dał mi nawet list do wuja. Oto on...

Walsingham wziął list, ale nie otworzył go; położył obok siebie. Zapytał:

— Więc flota wróciła? Co Hiszpanie?

— Popłynęli z burzą. Są pobici i już nie wrócą. Ich okręty toną bez walki. Admirałowie zdecydowali, że nie warto ich dalej ścigać. O tym właśnie jest w liście...

Błysk radości oświetlił zszarzałą twarz Walsinghama.

— A więc wygraliśmy. Wygraliście... — poprawił się.

Z uśmiechem patrzył na Ryszarda. — Siadaj. Masz tam butelkę i kubek, nalej sobie wina. Nie chcę wołać służby...

— Dziękuję. Czy mogę nalać wujowi? Potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Czuję się źle, a wino mi szkodzi.

— Wuj się źle czuje? Co jest wujowi?

— Nic. Zmęczony jestem. Po to, abyście mogli byli zwy ciężyc, trzeba było to zwycięstwo przygotować... Ale dumny jestem z tego, co się stało. Dumny jestem z ciebie. Drake pisał o tobie do królowej, a ona sama wspominała o tobie. Jeszcze dziś, podczas uczy.

Zapowiedziała wobec wszystkich, że otrzymasz nagrodę.

Ryszard poderwał się z fotela rozpromieniony.

— To wujowi zawdzięczam...

— Zostaw te podziękowania! Siadaj. Nalej mi odrobinę. Wystarczy. — Podniósł kubek. —

Twoje zdrowie, Dick!

— Dziękuję, wuju.

— Nie wiem, o czym królowa myślała mówiąc o nagrodzie. Może ci ofiaruje jakieś

stanowisko na dworze? Cieszyłbym się z tego.

— Ja również.

— Stoi przed tobą przyszłość. Wielka przyszłość. Ocaliliście królestwo. Ocaliliście to wszystko, co zostało zbudowane- w ciągu lat panowania naszej wielkiej władczyni. Anglia stała się potęgą. I pozostanie nią. Bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że jest w tym moja część wcale niemała. Ale czuję się stary...

— Wuj? Skądże znowu!

— Czuję to. Ale mniejsza... Inni będą musieli wziąć na barki ciężar, który dotychczas dźwigałem. Oczekuję od ciebie wiele, Dick.

— Jestem zaszczycony słowami wuja. Chciałbym naprawdę zasłużyć na nie.

— To nie tylko słowa. Oczekuję naprawdę... Choć zwyciężyliście, jest jeszcze wiele do zrobienia. Wiele... Napij się.

— Dziękuję.

— To dobrze, że przyszedłeś od razu i nie czekałeś ranka. Byłem jakiś zmęczony i smutny. Ale twoje przyjście pocie szyło mnie. Zobaczyłem przyszłość... Byłeś ranny?

— Głupstwo, wuju. Uderzyła mnie paląca się deska...

— Zostanie ci blizna. Co twoi bracia?

— Cali i zdrowi. Jutro przybędą pokłonić się wujowi.

— A ty pośpieszyłeś się, aby przyjechać jeszcze dziś?

— Tak...

Zapadło milczenie. Cisza napełniała także stare mury dworu, w którym przebywali.

Otoczenie królowej zmęczone uroczystościami i ciągnącą się długo kolacją musiało już spać. Ryszard odchrząknął. Wyprostował się. Był zdecydowany wypowiedzieć to, z czym tak spieszenie jechał.

— Chciałem szybciej przyjechać — zaczął — aby uprosić wuja o łaskę...

Walsingham zrobił gest ręką, którym przerwał zaczęte słowa.

— Domyślam się, o czym chcesz mówić — powiedział. Ci chy, przygaszony głos, jakim

Walsingham mówił tego wie czoru, odzyskał dawny, chrapliwy ton, przypominający dźwiękiem głos rogu. — Nie, Dick, nie... Zostaw to. Nie prosź. Nie zgodę się...

— Wuju...

— Nie! — przerwał mu znowu. — Słyszałeś przecież, co ci mówiłem o przyszłości, jaka cię czeka. Łaska królowej sprawi, że zostaniesz na dworze i będziesz mógł się stać moim pomocnikiem. Nie mam syna. Nauczę cię wszystkiego, wprowadzę... Z czasem będę ci mógł przekazać całą moją pracę. To wszystko, co zacząłem. Sprawy wielkie, największe... Sprawy królestwa. Siedzę nad nimi dzień i noc! Nie prosiłem nigdy o żadną nagrodę. Ale jestem zmęczony. Pragnę mieć kogoś, komu oddam to wszystko. Rozumiesz mnie? Tym kimś możesz być ty... Dlatego nie chcę, abyś był mężem byle dziewczyny ' z małego rodu...

— Nortonowie, wuju, to stara szlachta! Niecierpliwie machnął dłonią.

— Liczy się przyszłość nie przeszłość!

— Jesteśmy zaręczeni.

— Zaręczyny można zerwać.

— Ale ja kocham Alex!

— Kochanie to choroba, która nachodzi człowieka parę razy w ciągu życia!

— Wuju...

— Nie spieraj się ze mną! Chcę twego dobra. Twojej przyszłości. Ta dziewczyna jest papistką...

— Jej ojciec stanął do walki z Hiszpanami.

— Stanął... Ale czy biłby się naprawdę? Zresztą to nie ważne. On nie żyje...

Ryszard zerwał się na równe nogi. Podbiegł do Walsingha-ma.

— Nie żyje? Ojciec Alex? Kto go zabił?

— Jakiś wyłowiony z morza Hiszpan. Zresztą może jeszcze żyje... Ale umrze...

— Gdzie jest Alex?

— Czy ja wiem? Może u Southamptonów? Może przy nim? Nie stój tak. Siądź i słuchaj.

Ona jest naprawdę nie dla ciebie. Papiści... Zatruli chrześcijaństwo! Zamiast Wszechmocnego w niebie czczą złotego cielca!

— Nie jestem papistą, wuju!

— Gdybyś nim został albo gdyby nią została Frances, prze kląłbym was! — Znowu począł ciężko dyszeć.

Zapadło milczenie.

— Alex — Ryszard podjął na nowo — nie jest tak przywiązana do wiary swego ojca, aby nie mogła od niej odejść.

— Może. Mówiłeś mi o tym... Ale bywa także inaczej, że mąż, który zbyt wiele okazuje miłości żonie, daje się jej po tem wodzić za nos. Jak Arundel...

— Królowa wie o naszych zaręczynach... Ze złością tupnął nogą.

— Nie płacz w to królowej! — Przez chwilę burczał coś niezrozumiale półgłosem. Po chwili zaczął na nowo spokojniejszym tonem: — Królowa w każdej sprawie pyta o moją radę, rozumiesz? I postępuje tak, jak ja jej radzę. Wie, że jest zbyt dobra, zbyt łaskawa dla ludzi, którzy nie są tego godni... A w królestwie jest tyle jeszcze do zrobienia. Wołasz tę dziewczynę, niż służyć królowej i królestwu?

— Nie zerwę z nią! — powiedział stanowczo. Znowu po wstał.

— Nie zerwiesz? — wybuchnął. Twarz Walsinghama skurzyła się jak pysk psa, który gotów jest kąsać. Jego głos stał się jeszcze bardziej chrapliwy. — Jak śmiesz tak mówić

do mnie?!

— Wuju — Ryszard złożył ręce jak do modlitwy — wuju. Znam łaskawość wuja. Jestem wdzięczny za wszystkie jego dobrodziejstwa. Za pamięć o mojej przyszłości. Ale, wuju kocham ją! Nie mogę jej opuścić. Jesteśmy zaręczeni. Jej ojciec zginął z ręki wroga królestwa. Pokazał, że papiści po trafiają także być wiernymi...

— Skąd wiesz, dlaczego zginął?! — przerwał. Oczy Wal singhama w ciężkich workach powiek zaczęły się skrzyć.

Uderzył dłonią w poręcz fotela. — Jeszcze zobaczymy, jakie ich spiski wyjdą na jaw! Jeszcze dziś dowiemy się!

— Spiski?

— Przekonasz się! Wszyscy przekonają się!

— Wuju, mylisz się...

— Ja się myślę? Nie! Ja wiem, że oni chcieli zguby królestwa. I chcą jej. Jeszcze dziś w nocy u tego twojego Nor- tona przychwycimy szpiega...

— Szpiega?

— Zobaczysz! Nie, Dick, przestań! Słuchaj mnie. Nie opie raj się! Nie...

Nagle zabrakło mu głosu. Ciężkie sapanie przeszło w rżenie. Ciało wyprężyło się ogarnięte bolesnym skurczem. Szeroko otwartymi ustami chwycił prędko powietrze.

Jedna z dłoni konwulsyjnie darła krezę pod gardłem. Ryszard podbiegł do wuja przerażony, ale nie wiedział, jak ma postąpić. Kiedy jednak zdecydował się otworzyć drzwi i wołać o pomoc, atak *zaczął* mijać. Znowu rżenie przeszło w sapanie, wytrzeszczone oczy ukryły się pod powiekami. Kurcz zelżał, ciało opadło w fotel.

— Wuju... wuju... — mówił Ryszard wylamując w zakłopotaniu palce. — Czy wołać służbę? Doktora?

Walsingham potrzęsnał głową. Zamarłym głosem wyszeptał:

— Nie... nikogo... Daj tylko ten flakon... — Oczami wska zał flakon z czerwonego, weneckiego szkła. — Wpuść krople... do wody... trzydzieści... nie, czterdzieści...

Trzęsącymi się dłońmi odmierzał krople.

— Wuj jest chory... Trzeba lekarza...

— Nie... nie... Daj te krople... — Ryszard musiał dźwignąć jego głowę, aby Walsingham mógł wypić lekarstwo. — Już teraz... będzie dobrze... Już mi lepiej... żadnego lekarza... Nie chcę... Oni tylko czekają... abym... Ale to nic... Nie... Zmęczy łem się tylko...

— Wuj powinien się położyć, odpocząć...

— Położę się... Już zaraz...

— Proszę mi pozwolić czuwać przy wuju.

— Nie, nie. Ty idź. Nic mi nie trzeba. Tylko pamiętaj... Nie opieraj mi się... Nie próbuj...

Zrób, jak ci mówię...

— Wuju...

— Nie zaczynaj! Cokolwiek myślisz, milcz! Milcz teraz... Zobaczysz... Idź. Niech Pan zastępów, Pan Izaaków i Jaku bów... będzie z tobą... Idź...

Ryszard pochylił się, pocałował grubą, lecz sflaczałą dłoń Walsinghama i wyszedł.

Na korytarzu czuwało dwóch służących. Powiedział do nich:

— Lord czuje się chory. Nasłuchujcie uważnie, czy nie bę dzie was potrzebował.

Odpowiedzieli mu niskim ukłonem. Jeden z nich wziął kandelabr i poszedł z Ryszardem, aby go sprowadzić na podwórze. Idąc rzekł:

— Nasz pan zanadto przemęczony, sir. Tak pracować jak on nie można. Wszystko na jego głowie.

Zeszli na podwórze i pachołek podprowadził właśnie Ryszardowi jego konia, gdy nagle rozległ się tętent i z mroku na dziedziniec wpadło dwóch jeźdźców. Strażnicy przy bramie musieli tamtych znać, gdyż tylko unieśli powitalnie halabardy. Tuż obok Ryszarda pierwszy z przybyłych zeskoczył z konia. W blasku trzymanej pochodni Ryszard poznał człowieka, którego pokazano mu na balu u królowej. To był Topcliffe. Ponury przywódca straży rzucił wodze w rękę pachołka. Powiedział rozkazująco do swego towarzysza:

— Czekaj i bądź gotowy zaraz jechać.

— Wedle rozkazu, sir — powiedział tamten.

Ryszard spojrzał na niego. Wyglądał na żołnierza. Miał na głowie hełm. Podniósł głowę, którą trzymał opuszczoną, i Ryszard poznał w nim od razu człowieka, którego widział w poczekalni wuja: ta sama ciągle jakby rozdygotana wewnętrzzną gorączką twarz, uciekające do ziemi oczy, duże, rozchylone usta.

Topcliffe udał się do wnętrza pałacu w towarzystwie służącego, który odprowadzał Ryszarda. Szedł spiesznie, a jego ciemny płaszcz polatywał za nim niby skrzydła wielkiego ptaka. Ryszard pchnął konia i wyjechał za bramę wolnym stępem.

Kiedy przyjechał tutaj, stwierdził, że dwór zajął wszystkie domy w okolicy i jeśli chce spędzić tę noc pod dachem, musi pojechać do pobliskiego miasteczka, gdzie, jak mu mówiono,

znajdowała się oberża. Do miasteczka było kilka mil, noc była jednak ciepła i pogodna, a rozmowa z wujem obudziła w nim wiele myśli, które odpędzały od niego senność. Jadąc począł przypominać sobie rozmowę. Nie oczekiwał, że potoczy się ona w ten sposób. We flocie mówiono z podziwem o jego czynie i Ryszard sądził, że sława, którą zyskał i o której wieści musiały już dojść do wuja, nastroją go życzliwie do jego prośby. Gwałtowny opór, z którym się spotkał, był dla niego niespodzianką. Począł myśleć, że wybrał się źle ze swą prośbą. Walsingham jest przemęczony, może nawet chory. Trzeba było, myślał, wyczekać na chwilę dobrego humoru. Ten sprzeciw jest przecież zrozumiały. Wuj od pierwszej chwili okazał mu tyle serdeczności. I teraz mimo sprzeciwu, jaki usłyszał, nie mógł myśleć bez czułości o tym człowieku o twarzy buldoga. Popełniłem głupstwo spiesząc się — robił sobie wyrzuty. — Gdybym był przybył w dzień, otrzymałbym na pewno zgodę. Wprawdzie wszyscy mówią, że on nienawidzi papistów. Uważa ich za wcielonych szatanów. Tak samo jak Drake. Dla Ryszarda to gwałtowne uczucie było całkiem niezrozumiałe. Nawet nie dlatego, że Alex i jej ojciec byli papistami. Przedtem ulegał ogólnemu nastrojowi. W katolikach widział zdrajców i buntowników. Ale do żadnego buntu nie doszło, a część katolików stanęła wiernie przy królowej. Także katolicyzm wydawał się wrogiem, póki Hiszpanie byli nadciągającą grozą. W walce jednak okazali się dzielnymi i rycerskimi przeciwnikami. Nie mógł ich nienawidzić, gdy widział, jak odważnie stawiali im czoło. Zapamiętał sobie także to, co mu mówił Bardolf, wtedy, przed uderzeniem na hiszpańską flotę, o tym jakimś papistowskim księdzu, który mu uratował życie. Zaskoczyło go to, co mu mówił kapitan „Falcona”, że papieści bywają różni. Wuj myli się — myślał. — Na pewno nie wszyscy są wrogami królestwa. Choćby Norton. Dla ojca Alex Ryszard miał wiele sympatii. Myśl Ryszarda zatrzymała się przy Nortonie. Więc zginął? A może jednak żyje? Wuj

powiedział, że jeszcze żył... Jak to przyjęła Alex? Gdzie ona jest? Przyjechawszy z Dovru do Londynu, dowiedział się w pałacu Southamptonów, że dziewczyna pojechała rażeni z królewskim dworem do Tilbury. Mimo nocy przyznał tutaj. Spodziewał się, że jutro ją zobaczy. Lecz jak ma teraz postąpić wobec sprzeciwu wuja?

Wuj nie może mi zakazać ożenienia się z nią — myślał. — Ojciec zgodził się. Ale znał go, wiedział, że cofnie swoją zgodę, gdy się tylko dowie o sprzeciwie potężnego kuzyna. Ryszard był pewny, że tak uczyni. Ojciec często im powtarzał, że wszystko, czym byli i co posiadali, zawdzięczają Wal-singhamowi. Tylko dzięki niemu rodzina kupców z Sheffield została uszlachcona i otrzymała majątek. Wuj wysłał go na morze, umożliwił zdobycie sławy, która pozwoli mu także otrzymać nagrodę z rąk królowej. Przedtem dał mu pieniądze na zakupienie odzieży. Wszystko wuj... Może to także dla niego królowa wzięła Alex na swój dwór?

Być może uczyniła to z życzliwości dla panów katolickich, którzy ofiarowali jej swoje służby, ale mogła to była zrobić dlatego, iż dziewczyna była narzeczoną siostrzeńca jej sekretarza. W każdym razie, jeśli wuj szepnie królowej, że nie chce tego małżeństwa, jej łaska dla Alex skończy się od razu. Czy potrafi ożenić się z Alex wbrew królowej, wbrew wujowi, wbrew ojcu? Chyba jeśli uciekną na północ, z dala od dwo ru. Lecz Ryszard myślał z niechęcią o możliwości powrotu w wiejską pustkę. Co tam robić, siedząc między zawziętymi papistowskimi squire'ami? Tutaj zaś czekała na niego łaska królowej, wielka przyszłość, o jakiej mówił wuj. Więc wyrzec się Alex? Nigdy!

Tego, wiedział, nie uczyni nigdy. Nie opuszczę jej — zarzekał się. — Zwłaszcza teraz! Muszę ją odnaleźć i pocieszyć. Trzeba dowiedzieć się, czy jej ojciec żyje. Zaraz rankiem pojedę tam, na wybrzeże...

Nagle zmarszczył czoło. Z chaosu porywczej rozmowy, jaką toczył z wujem, powracały

echem pewne słowa i teraz dopiero przypominały o sobie. Jak to wuj powiedział? Że dziś jeszcze dowiem się...? Że dziś jeszcze w nocy zostanie u Nortona schwytyany szpieg?

Podniósł wzrok w górę i patrząc w niebo, na którym blade gwiazdy kryły się pod zasłoną obłoków, zastanawiał się. Dziś jeszcze w nocy...? Co to znaczy? Ktoś ma odnaleźć u niego szpiega? Jakiego szpiega? Kto? Nagle zatrzymał konia, tak wstrząsającego dokonał odkrycia. Topcliffe i ten człowiek! Od razu stanęło przed Ryszardem to, co o tamtym mówił wtedy Walsingham. Że był w Rzymie... Posłany... I teraz ten człowiek ma schwytać szpiega?

Niespokojnie przesunął dłonią po twarzy, aż uraził się w rozcięty policzek. Lecz ból pozwolił mu skupić myśli. Pracowicie wiązał słowa ze słowami, wspomnienie ze wspomnieniem. Wreszcie wydało mu się, że rozumie: miał przed sobą zastawioną zasadzkę!

Natychmiast pomyślał o Alex. Ona była najważniejsza! Jeśli jest u ojca, w takim razie i ona zostanie schwytana. A może właśnie o to chodziło? Podejrzenia Ryszarda raz puszczane, niby wyżeł na trop, szły coraz dalej. A może właśnie chodziło o to, aby uniemożliwić ich związek? Bo przecież, jeśli Norton umiera lub nie żyje, to nie o niego chodzi. Nie o niego — więc o kogo?

Ryszard miał dla wuja miłość i wiele szacunku. Podziwiał go. Dzięki rozmowom z Drake'em, na którego okręcie znajdował się po spaleniu się „Falcona”, wiedział o tym, ile Walsingham uczynił dla zwycięstwa. Ale słyszał także nieraz o jego twardości i bezwzględności. Tylko taki człowiek, mój wiono, mógł tego wszystkiego dokonać. Jeszcze przed chwilą słyszał zawziętość, bijącą z jego słów. Wuj, nie wątpił, mógł uknuć taki plan. Mógł chcieć takiego rozwiązania. Lecz choć celem tej zasadzki było pragnienie zapewnienia przyszłości Ryszardowi — on czuł tylko jedno: że ukochanej dziewczynie groziło

niebezpieczeństwo.

Pierwszą myślą było wrócić, rzucić się wujowi do kolan, błagać go, by zaniechał swego zamiaru. Pod wpływem tej myśli zawrócił konia. Ale zaledwie ujechał kilkadziesiąt kroków, znowu go wstrzymał. Nie — powiedział sobie — wuj śpi. Nie puszczą mnie do niego.

Zaś rozkazy mogą być już wydane. Sam słyszałem, jak Topcliffe mówił tamtemu, że *zaraz* pojedzie. Noc biegnie i jest już bliżej ranka niż wieczoru. Nie, muszę ratować Alex inaczej!

Gdy tak stał na drodze zastanawiając się, jak ma postąpić, usłyszał za sobą stąpanie wielu kopyt końskich. Pchnięty nagłą decyzją zjechał z drogi i stanął w gąszczu krzewów. Chciał zobaczyć, kto jedzie. Z ciemności wynurzył się oddział zbrojnych. Było ich może ze trzydziestu. Ciągnęli dwoma szeregami, brzegami drogi. Środkiem jechał pojedynczy jeździec. To musiał być dowódca.

Zaledwie minęli miejsce, gdzie stał Ryszard, kiedy człowiek w środku wydał komendę:

— W prawo! I w las!

Natychmiast skręcili między chaszczę. Przesunęli się zaledwie o kilka kroków od Ryszarda. Za rosnącymi na skraju drogi krzewami zaczynał się zagajnik. Słyszał, jak zatrzymali się tam. Dochodziły cicho wydawane komendy. Dowódca kazał zsiąść ludziom z koni. Jednego wysłał nad drogę, polecając mu patrzeć i nasłuchiwać.

Wartownik stał tak blisko Ryszarda, że ten, poprzez gałęzie krzewów, mimo stężonego mroku mógł widzieć jego sylwetkę. Młody rycerz nie wiedział, jak ma teraz postąpić. *Znalazł* się w dziwnej sytuacji. Ukrywszy się nie mógł obecnie zdradzić swojej obecności bez narażenia się na konflikt z ludźmi, którzy robili wrażenie ukrywających się. Z gniewem począł sobie robić wyrzuty, że nierozsądnym zachowaniem wplątał się w tę historię. Zbrojni nie wiadomo na kogo czekali. Mogło to nie mieć nic wspólnego z Nortonem i z Alex. On

natomiast unieruchomiony tutaj nie mógł żadnej pomocy udzielić dziewczynie.

Ale choć targany niepokojem o to, co się dzieje z Alex, choć nie przestawał wymyślać sobie od głupców, stał dalej bez ruchu. Na szczęście jego wierzchowiec, zmęczony dzisiejszą jazdą z Dovru, nie zdradzał chęci porozumiewania się rzeniem z innymi końmi. Zgiąwszy lekko tylną nogę podrzemywał. Ryszard wsparty na przednim łęku nie przestawał zastanawiać się, jak ma postąpić. A gdyby tak wspiąć konia, myślał, i próbować uciec? Nim się tamci zorientują, będzie daleko. Ale tamci mogą się rzucić za nim w pogoń. Mając konie wypoczęte gotowi go doścignąć. Jeśli go dopadną, zostanie zatrzymany. Zanim doprowadzą go do jakiegoś oficera, któremu zdoła wszystko wytłumaczyć, noc minie na pewno. A poza tym nie mógł się pozbyć podejrzenia, że ta zasadzka wiąże się przecież z tamtą. Trudno uwierzyć, by tutaj pod bokiem królewskiego dworu i zgromadzonych w Tilbury wojsk ktoś inny poza wszechwładnym sekretarzem królowej, mógł dokonywać podobnych manewrów.

Czas mijał. Niebo zaczęło się przejaśniać. Coraz wyraźniej widać było kontury drzew, które zdawały się występować z tła nocy. Ludzie w oddziale zachowywali się cicho, tylko czasami doleciał Ryszarda jakiś głos ludzki, lub zatrzęsł się koń i zadzwonił rżędem. Wartownik przy drodze, którego widać męczyła senność, nie stał na miejscu, ale chodził tam i z powrotem. Ryszard był zaniepokojony, gdyż tamten zdawał się za każdym razem podchodzić bliżej kępy krzaków, między którymi rycerz był ukryty. Ale żołnierzowi znudziło się w końcu chodzenie. Pomrukując coś pod nosem usiadł na trawie i wsparł się plecami o pień drzewa. Nie ruszał się i Ryszard podejrzewał, że zasnął.

Znowu odezwała się w nim chęć działania. A może teraz odjechać? — myślał. Niepokój o Alex targał mocniej jego serce. — Sterczę tu jak głupiec — przemawiał do siebie — a ona tymczasem znajduje się w niebezpieczeństwie! Lecz kiedy już zaczął zbierać wodze, by

rzucić swego konia w nagły galop, powróciła do niego myśl, że jeśli jednak ta zasadzka jest tą samą zasadzką, o której mówił Walsingham, lepiej jest, że znajduje się tutaj.

Ciągle rozwidniało się. Szarozimny przedświt sływał na drogę, na las i na wartownika siedzącego z opuszczoną na piersi głową.

Nagle Ryszard posłyszał tętent. Koni nie było wiele, ale szły pełnym galopem. Potrójny rytm uderzających o ziemię kopyt rozbrzmiewał w ciszy przedrania niby werbel. Za chwilę jeźdźcy wypadli spoza zakrętu. Było ich trzech: dwaj w przedzie, trzeci nieco w tyle. Było dość widno, aby ich zobaczyć i poznać. Alex jechała, jak zwykła była jeździć u siebie — ubrana po męsku, z nie nakrytą głową. Pęd rozrzucił dziewczynie włosy. Miała wysuniętą do przodu twarz jakby poddaną na uderzenia wiatru. Obok niej galopował żołnierz, którego Ryszard widział towarzyszącego Topcliffe'owi. Człowiek z tyłu musiał być służącym.

Przelecieli — i już ich nie widział. Stukot kopyt oddalał się. Ryszard zobaczył, jak wartownik zerwał się na nogi i pobiegł w głąb lasu. Za chwilę zrobił się tam ruch. Posłyszał głos dowódcy, klątwy ludzi, przytupywanie koni, którym widać podciągano poprzęgi. Potem żołnierze zaczęli wyprowadzać konie na drogę i siadać na nie.

Teraz już miał pewność, że jego podejrzenia okazały się prawdziwe.

Oddział uformowawszy się w dwa szeregi ruszył kłusem w stronę, w którą odjechała Alex. Zaledwie zniknęli z oczu, Ryszard wyjechał także spomiędzy krzaków.

Wiedział, że aby uratować Alex, musi przegonić żołnierzy i dogonić ją wcześniej niż oni.

Nie było to rzeczą prostą. Nie mógł jechać wprost drogą. Tamci byliby go na pewno zatrzymali. Musiał wyprzedzić ich okrążając.

Skręcił z powrotem w las. Wbił ostrogi w boki konia, który rzucił się od razu w galop. Pędzili między drzewami, pod nisko zwisającymi gałęziami, które strąciły Ryszardowi kapelusz i raz po raz smagały go po głowie i po zranionej twarzy.

Las jednak zaraz się skończył. Jeździec wypadł na łąkę. Pochyliwszy się nad końskim karkiem rozpuścił wierzchowca. Lecąc w ten sposób byłby w parę chwil przed żołnierzami.

Lecz koń nagle przysiadł na zadzie. Począł podskakiwać w miejscu. Przy każdym podskoku rozlegało się niepokojące cmokanie. Niespokojnie chrapał. Łąka musiała skrywać bagno. Ryszard zawrócił. Rozejrzał się, czy nie zobaczy jakiej ścieżki. Bieliła się rzeczywiście o kilka kroków, ale oddalała go jeszcze bardziej od drogi. Nie miał jednak wyboru. Wjechał na nią. Koń, poczuwszy znowu pod nogami twardą ziemię, nawet nie popędzany ruszył od razu ostrym cwałem. Lecz przeleciawszy tak może z milę począł zwalniać. To nie był zły wierzchowiec. Ryszard kupił go poprzedniego ranka w Dover, płacąc za niego wcale dużą cenę. Sprzedawca zaklinał się, że koń pochodzi ze szlachej hodowli. Ale on odbył na nim wczoraj długą drogę, a całą prawie noc przesiedział na jego grzbiecie. Koń musiał być zmęczony. Ryszard pomyślał z przerażeniem, że może nie starczyć mu sił na długi i tak forsowny bieg.

Ale lęk o Alex nie pozwolił mu litować się nad koniem. Wściekłymi uderzeniami ostróg popędzał go dalej i zmuszał do szaleńczego galopu. Pod każdym uderzeniem koń

przyspieszał, lecz po kilku susach zaczął się na nowo ociągać.

Ścieżka wyprowadziła Ryszarda na drogę. Były przy niej jakieś zabudowania. Gdy wpadł między nie, zatrzymało go stado krów wychodzące właśnie spomiędzy opłotków. Wyrwał z pochwy rapier i jego uderzeniami torował sobie drogę. Kiedy udało mu się wreszcie wyrwać spomiędzy zwierząt i wzniesionego przez nie tumanu, zobaczył starszego człowieka, może pastucha, który z przerażeniem patrzył na szarżującego na krowy jeźdźca. Ryszard zdarł przed człowiekiem konia. Zapytał:

— Czy tą drogą dojadę do tamtej? — Rapierem wskazał w dali kierunek drogi, którą podążali żołnierze.

Ale pastuch widząc przed sobą tańczącego konia i jeźdźca wymachującego mu nad głową obnażonym rapierem stał śmiertelnie wystraszony, niezdolny do wypowiedzenia słowa.

Ryszard powtórzył swoje pytanie drugi i trzeci raz. Widząc przerażenie chłopca wysupłał z sakiewki jakąś monetę i rzucił mu. To poskutkowało: pastuch odzyskał mowę.

— Dojedziecie, panie. Ale musicie jeszcze jechać dalej.

— Daleko?

— Ano, kawałek drogi, panie...

— A potem drogi połączą się?

— Przy oberży, panie. Nazywa się „Pod Niebieskim Jeleniem”.

Uderzył konia rapierem po zadzie i popędził dalej. Myślał z rozpaczą, że jeżeli żołnierze jadą szybko, nigdy nie zdoła wysforować się przed nich. Lecz może, pocieszał się, zechcą dać czas tamtym odskoczyć? Kto wie, czy nie jest ich planem pozwolić Alex dojechać do ojca, aby móc ją dopiero tam przychwycić razem z tym szpiegiem? Zamiary goniących dziewczynę ludzi były teraz dla Ryszarda całkiem jasne. Chcieli jednym zamachem schwytać szpiega oraz skompromitować Nortona i jego córkę. Może nawet Norton nie był wcale ranny, a

chodziło tylko o to, aby sprowadzić do niego Alex? Ryszard zgrzytnął zębami na tę myśl.

Nie zastanawiał się nad tym, kto mógł być autorem tego planu. Wiedział jedno: choćby miał walczyć z całym światem, musi uratować Alex.

Koń potknął się. O mało nie upadł. Szarpnięciem wodzy Ryszard postawił go na nogi. I zaraz wcisnął na nowo w bok ostrogi. Koń chrapnął i pochyliwszy głowę rzucił się naprzód.

Ale jeździec wyczuwał coraz większy opór całego ciała zwierzęcia. Pochylony nad grzywą widział zlaną potem pierś konia. Z pyska rwały się kawały piany i padały na kolano Ryszarda. Rzuciwszy szybkim spojrzeniem na swój but zobaczył bok wierzchowca, a na nim krwawą, szeroko rozlaną plamę. Koń nie przestawał chrapać. Ryszard był pewien, że dobywa z siebie ostatnich sił. Jeszcze chwilę a padnie. Byłe do tej oberży! — myślał z rozpaczą. Może tam znajdę jakiego wierzchowca!

Znowu zobaczył przed sobą jakieś zabudowania. Ale koń potknął się znowu... Poderwał go, a równocześnie, rozpaczliwym podrzutem obu nóg, wbił mu nowe ostrogi. Koń wydał bolesny kwik. Chrapiąc dał kilka susów. Potem runął na kolana. Ryszard zdołał zeskoczyć z siodła, ale pęd rzucił go o kolczasty krzew. Gdy wyrwał się z niego, był cały podrapany, a ubranie zwisało z niego w strzępach. Podbiegł do konia. Zwierzę nie próbowało się podnieść. Leżało ciężko dysząc. Oczy zachodziły mu mgłą. Z chrap spływało pasemko krwi, barwiąc na różowo uczepioną u pyska brodę z piany.

Rzucił się biegiem w stronę zabudowań. W biegu zdarł z szyi krezę, która zdawała się go dławić. Droga jednak wydłużała się, domy, które wyglądały takie bliskie, były wciąż przed nim. Brakło mu tchu. Płuca bolały go, pot zalewał oczy. Mimo to nie przestał biec. W końcu nogi poczęły mu słabnąć. Poruszał nimi jakby czymś obcym. Potykał się. Ale już był między zabudowaniami.

Nagle spostrzegł przed sobą żywoplot, otaczający półkolem plac, na którym stały ławki i

stoły. Wielki kolorowy szyld wisiał na słupie. To musiała być oberża. Już nie biegł, tylko szedł. Zalane potem oczy paliły go — nic prawie nie widział. Jak przez mgłę spostrzegł jakichś ludzi, którzy zbliżali się ku niemu. Chciał mówić, wołać o konia, ale nie mógł wydać z siebie głosu. Dyszenie rozrywało mu piersi. Naszło go zamroczenie, jakby miał zemdleć. Nogi trzęsły się pod nim. Ale ktoś go chwycił wpół, podtrzymał. Usłyszał nad sobą: — To pan, sir Cary? Dokąd pan tak biegnie?

Posadzono go na ławce, podtrzymywano. Wciąż jeszcze nie mógł mówić. Dyszał. Falami nachodziło na niego zamroczenie.

Ze zdumieniem patrzył na dwóch obdartusów, którzy kręcili się koło niego życzliwie uśmiechnięci. Ich twarze nie były mu obce. O kilka kroków dalej stał oberżysta w fartuchu. Ten patrzył bez zaufania i raczej niechętnie na Ryszarda.

— Kto jesteście? — wyjąkał wreszcie.

— Pan nie poznaje nas, sir Cary? — zapytał jeden z obdartych ludzi. — My z „Falcona”.

Prawda! To byli majtkowie ze spalonej fregaty. Wyższy, z chustką po piracku zawiązaną na głowie i z wytatuowaną pierśią, wychylającą się z czerwonej koszuli, był na niej bosmanem. Obok niego stał mały majtek na kabłąkowatych nogach i uśmiechał się głupkowato.

— Co tu robicie?

— Tułamy się — powiedział bosman. — Wysadzili nas. „Falcona” nie ma. Pieniądzy nie dali... Co można robić na ziemi? — w słowach majtka zadźwięczała pogarda. — Dobrze, żeśmy spotkali pana, sir. Bo już... — rzucił okiem na oberżę stę wciąż niechętnie skrzywionego. — Ale co z panem, sir? Wygląda pan jak wtedy, gdyśmy pana wyłowili z wody... Bez konia...

— Padł mi! — zawołał. — Czyście nie widzieli, czy przejeżdżali tędy trzej konni: kobieta i dwóch mężczyzn?

— Lecieli — powiedział bosman.

— A czy przejeżdżał za nimi oddział żołnierzy? Marynarze spojrzeli po sobie i potrzęsnęli głowami.

— Żołnierzy? — zapytał bosman. Spojrzał znowu koso na gospodarza. — Bóg strzegł od takich...

Ryszard zerwał się z ławki. Zwrócił się do gospodarza:

— Słuchaj, człowieku, muszę mieć zaraz konia. Prędko, za nim ci żołnierze nadjadą!

Rozumiesz?

— Nie — odburknął tamten.

— Co nie? — Ryszard nie pojął jego odpowiedzi.

— Nie mam konia!

— Muszę mieć konia! Prędko!

— A ja nie mam konia dla takich...!

— Zapłacę ci każdą cenę!

— Ale! Obdartusy, co piją, żrą i nie płacą... Jeszcze jeden taki... Idźcie precz wszyscy trzej! Bo jak nie ;— oddam was tym żołnierzom.

— Muszę mieć konia! — krzyknął Ryszard. Nie pojmował zachowania gospodarza. Nie zdawał sobie z tego sprawy, że obdarty i podrapany wygląda nie lepiej niż obaj majtkowie.

— Uważaj, żebyś za koniem nie musiał biec — powiedział gospodarz.

W tej chwili bosman skoczył na równe nogi.

— Ej, chłopie! — wrzasnął. — Zamknij świński swój pysk, bo ci go zamkniemy.

Słyszałeś, co kazał szlachetny rycerz? Podawaj konie natychmiast.

— Co za rycerz? Nie mam koni... — oberżysta próbował się stawiać. Ale bosman wrzasnął na towarzysza:

— Bili! Przyłóż mu nóż do żeber i pchaj, jakby próbował się sprzeciwić. Ach, ty gnojku! — mówił teraz do przerażonego karczmarza. — Ty wywłoko! Jak śmiałeś tak mówić do szlachetnego rycerza? Masz! — trzasnął z rozmachem w tłustą twarz oberżysty.

— Sam pogonisz za koniem aż ci łody będą latały. Wiesz, kogo obraziłeś? Szlachetny rycerz odniósł największe zwycięstwo nad Hiszpanami! Dawaj konia natychmiast!

Oberżysta nie śmiał się sprzeciwić, zwłaszcza że mały marynarz trzymał mu nóż przytknięty do boku. W towarzystwie obu majtków poszedł w stronę stajni. Ryszard znowu usiadł. Na nowo ogarnęła go słabość. Ale nagła myśl przywróciła mu siły. Zerwał się, wybiegł na drogę. Wytężywszy oczy patrzył przed siebie. Nikogo nie zobaczył. Odetchnął.

Tamci zwijali się szybko, bo za chwilę pojawił się znowu oberżysta, prowadząc trzy konie. Obaj marynarze szli obok niego z dobytymi kordelasami. Karczmarz, choć trząsał się cały z wściekłości, tym razem pokornie powiedział do Ryszarda:

— Dałem konie, panie. Ale zapłaćcie. I za tych, za to wszy stko, co zjedli i wypili...

Na widok koni Ryszard od razu odzyskał siły. Jednym skokiem znalazł się na siodle.

Marynarze zrobili to samo, choć niezbyt zręcznie — można było przypuścić, że żaden z nich nigdy przedtem nie siedział na koniu. Oberżysta stojąc przed nimi skomlał:

— Ale zapłaćcie, panie. To byłby rozbój... Nie mogłem po znać pana, sir. A tych karmiłem, bo obiecywali... A teraz ko nie...

— Masz! — zawołał Ryszard. Wyciągnął sakiewkę i rzucił ją karczmarzowi. Nie zastanawiał się nawet, ile mu daje. — Jedźmy! — krzyknął niecierpliwie. — Prędeż! — Nie oglądając się za siebie ruszył od razu tęgim galopem w stronę bramy. Nie widział, jak bosman najechawszy na oberżystę wydarł mu z ręki sakiewkę.

— Ratunku! — wrzasnął karczmarz. — Bandydzi!

— Dostaniesz swoje, jak będą płacili za spalone okręty —

odkrzyknął marynarz uczepiony siodła, niby pokazująca sztuki małpa.

Wskoczyli na drogę. W chwili kiedy na nią wyjeżdżali, ujrzeli nadciągającą z drugiej strony kolumnę jezdnych. Ryszard od razu poznał, że to są tamci żołnierze.

— W konie! — krzyknął. Puścił wierzchowca cwałem. Za sobą postłyszał jakieś okrzyki.

Nie myślał się jednak zatrzymywać. Koń był świeży i gnał jak wichur. Obaj marynarze pędzili tuż za nim, leżąc prawie na siodłach i czyniąc rozpaczliwe wysiłki, aby z nich nie zlecieć.

Hugh oderwał się od modlitwy. Podniósł głowę. Był już w pełni dzień. Słońce długim płomiennym językiem sięgało w głąb pokoju, leżało kraciastą plamą na rzeźbionej skrzyni.

Dzień wlewał się tysiącem zmieszanych dźwięków: głosami ludzi, skrzypem jadących wozów i rytmicznym hukiem przelewającego się morza.

Powstał z klęczek. Raz jeszcze spojrzął na leżące na pościeli nieruchome ciało. Zmarły miał oczy zamknięte, dłonie splecione na piersiach. Postąpił krok ku leżącemu, spojrzął, jakby nie dowierzając swojej pamięci, w jego twarz. Spokój jednak pozostał na niej i jakby łagodny półśmiech.

Kiedy przyjechał, znalazł wuja miotającego się w malignie. Przy rannym uwijał się lekarz i jego pomocnicy. Kładli na głowę Nortona chłodne okłady, wlewali do ust jakieś lekarstwa.

Pod wpływem tych zabiegów ranny uspokajał się. Siedząc z boku na skrzyni Hugh patrzył na wuja. Cicho modlił się o to, aby Norton odzyskał choć na chwilę przytomność. Tak

bardzo chciał udzielić umierającemu ostatniej pociechy, tak bardzo chciał go uspokoić...

Często do izby zaglądał Browne. Nortona, zaraz po postrzeleniu, przewieziono na jego kwaterę i stary lord osobiście doglądał, aby zrobiono wszystko, co w ludzkiej mocy, dla

ratowania rannego. Musiał jednak raz po raz wychodzić, aby żegnać się z odjeżdżającą szlachtą. Gdy stało się jasne, że żaden z nich nie zostanie zaproszony do Tilbury —

zniechęceni squire'owie poczęli się rozjeżdżać. Część pocztów odjechała wieczorem, inne odjechać miały rano. Browne zdecydował się zostać przy Nortonie, ale polecił swemu

wnukowi, aby o świcie wyruszył z żołnierzami do Cowdray.

W końcu nadeszła noc. Ranny zapadł w gorączkowy sen. Z izby, w której leżał, wyszli

wszyscy, pozostał tylko Hugh. Póki mógł, modlił się. Potem, siedząc na skrzyni, zaczął się

kiwać sennie. Było już po północy, kiedy obudził się z nagłym wstrząsem. Otworzywszy

oczy, ujrzał utkwiony w siebie wzrok. Natychmiast otrzeźwiał. Spojrzenie Nortona wydawało się całkiem przytomne. Podniósł się, podszedł do posłania.

— Wuj nie śpi? — zapytał.

Czekał chwilę na odpowiedź. Potem usłyszał szept:

— To ty, Hugh...? To naprawdę ty...? Pochylił się nad rannym.

— To ja.

— Skąd się wzięłeś...?

— Lord Browne wysłał po księdza, a jego wysłannik trafił na mnie. .

Norton zamknął oczy. Zdawał się przetrawiać otrzymaną wiadomość. Było cicho. W sąsiedniej izbie czuwał Browne, ale musiał zadrzemać, gdyż spoza drzwi nie dochodził żaden szmer. Tylko morze uderzało z zaciekłością o brzeg.

Ranny otworzył oczy.

— Czy Alex...? — zaczął bardzo słabym głosem.

— Posłano po nią, wuju. Tylko patrzeć, jak przyjedzie. Oczy znowu zamknęły się. Norton leżał cicho tak długi czas,

że wydawało się, iż zasnął. Hugh chciał już wrócić na swoje miejsce, gdy znowu usłyszał:

— Czy... tobie... nic... nie grozi...?

— Nic, wuju. Tu sami ludzie lorda. Pewni.

— Przyjechałeś... przygotować.... mnie...?

— Po to przyjechałem. Wszystko gotowe — wskazał stolik, na którym stały świece i oleje święte. — Wypowiadam wuja, udzielę ostatniego namaszczenia. A potem odprawię mszę i dam Komunię świętą.

Lekkim drgnieniem powiek dał znak, że usłyszał i że chce tego wszystkiego. Hugh włożył stulę i siadł na skraju posłania. Norton wsparł się na łokciu i chciał się podźwignąć. Ale ten

wysiłek musiał mu zaszkodzić. Z rżeniem opadł na poduszki. Na wargach ukazała się ślina zmieszana z krwią.

— Niech wuj tego nie robi — powiedział. Czekał, aż oddech rannego uspokoi się.

Potem ukląkł, przybliżył ucho do twarzy umierającego. Norton nie mówił nic, czasami tylko mocno nabierał powietrza w płuca, jakby zbierał siły. Hugh począł odmawiać półgłosem: „Z głębokości wołam do Ciebie,

Panie. Panie, wysłuchaj prośby mojej...” Lekkie drżenie warg leżącego zdawało się mówić, że Norton towarzyszy słowom modlitwy. Gdy Hugh powiedział: „Bo Pan jest pełen przebaczenia i nie zna miary w odkupieniu...”, oczy umierającego otworzyły się i błysnęły — pełne łez. Hugh skończył odmawianie psalmu. Znowu nastawił ucha. Ale choć usta Nortona znowu poruszały się, nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Ranny oddychał ciężko. Było jasne, że nie może mówić, choć robi wysiłki, aby coś powiedzieć. Hugh rzekł uspokajająco:

— Niech wuj nie męczy się. Bóg słyszy bez słów. Proszę tylko żałować.

Udzielił rozgrzeszenia. Potem wstał, zapalił na stoliku świece. Uchylił drzwi do sąsiedniego pokoju. Browne nie spał. Siedział z głową wspartą na rękach, wpatrzony w żarzące się na kominku główne.

— Co tam, ojczy? — zapytał.

— Wuj jest przytomny, ale nie może mówić. Chcę mu udzielić ostatniego namaszczenia.

Browne wstał, przeszedł do izby, w której leżał ranny. Hugh zawołał także kilku służących, którzy czuwali w pobliżu. Między nimi był stary John, który ujrzawszy swego pana zaczął głośno szlochać. Browne stał przy pościeli. Zagryzając wargi patrzył na Nortona.

— Za późno poznaliśmy się — rzekł. — Odchodzisz, przy jacielu, a ja zostaję sam. A byłbyś mi teraz taki potrzebny...

Lecz twarz Nortona pozostała jasna. Patrząc w oczy Browne^ zdawał się lekko uśmiechać. Ile jest w nim spokoju! — myślał Hugh. Co się z nim stało? Jadąc tutaj wyobrażał sobie, że znajdzie wuja ogarniętego nową falą wątpliwości, wzmożonych jeszcze niepokojem o córkę. Ilekroć widział umierających, zawsze pełni byli troski; zawsze odchodzili w żalonym poczuciu zaskoczenia. Spowiadając się wyznawali, że całe życie chcieli się do czegoś przygotować, na coś czekali — a tymczasem przyszła śmierć. Wyrzucał sobie: Obiecałem mu znak. Kazałem mu się o niego modlić. To prawda — tak bardzo wtedy chciałem mu dać spokój. Nie wiedziałem, co powiedzieć. To były słowa, które same pojawiły mi się na ustach... Gorąco modlił się, o to, aby ranny odzyskał przytomność. Układał sobie, jak mu będzie mówił, że Bóg nie musi odpowiadać na nasze prośby jasnym gestem. Może zachować ten gest na potem, na chwilę spotkania. Gdy godziny nocy bieły i Alex nie nadjeżdżała — niepokój Hugh'a rósł. Nawet jej nie będzie miał koło siebie! — myślał. Dziewczyny wciąż nie było — mimo to twarz Nortona była taka pogodna. A przecież jego oczy wydawały się całkiem przytomne. Nie mówił, lecz musiał sobie zdawać ze wszystkiego sprawę.

„Asperges me, Domine, hyssopo et mundabor — modlił się. — Lavabis me et super nivem dealbabor...” Ponad śnieg. I niczym innym, tylko dotknięciem Twojej łaski. Jeżeli naprawdę, wbrew wszystkiemu, wbrew moim nierozsądnym zapewnieniom, dałeś mi Twój spokój, Panie, dzięki Ci! Nie dajemy nic od siebie, tylko to, co Ty wiozysz nam w ręce. Modliłem się, abyś zdjął z niego ciężar rozpacz. Tak często modlimy się nie uświadamiając sobie, że Ty słuchasz każdego naszego słowa. I każde z tych słów bierzesz poważnie. Gdy szarpiemy się w niepokoj, ponieważ nie widzimy Ciebie, Ty jesteś pomiędzy nami. Przychodzisz, kiedy jesteś najpotrzebniejszy. Obiecujesz naszymi ustami i dajesz naszymi rękami. Zawsze mylimy się jako ludzie i nigdy nie mylimy się, gdy odwołujemy się do Ciebie. O Jezu, wskaż i mnie drogę, abym dopłynął do portu Twojej ciszy! Cokolwiek tam

mnie czeka... Teraz pojmuję: cokolwiek nas czeka, Ty uprzedzasz nasz los Twoją łaską...

Stary John nie przestawał zanosić się szlochami. Po dokonaniu namaszczeń Hugh przyłożył do warg wuja swój mały krucyfiks. Kiedyś dawano mu go ze słowami założyciela: „Abyś był w swym posłuszeństwie jak ten mały krzyż, który daje się przenosić, bez trudności, z miejsca na miejsce”. Z tym wspomnieniem pojawiło się w nim dziwne uczucie, jakby wszystkie modlitwy, które od lat odmawiał, potoczyły się powracającym nurtem i spłynęły na niego jak deszcz. Jakby zostały mu zwrócone, niby pożyczony, a potem oddany skarb. Daleko nad morzem pojawiło się pierwsze różowe pasmo dnia, kiedy na stoliku obok posłania umierającego rozpoczął odprawianie cichej mszy. Musiał rozerwać Hostię, by dać każdemu część, będącą Całością. Ale kiedy pochylił się nad Nor-tonem — on był już martwy. Miał oczy zamknięte, a twarz pełną ciszy i spokoju.

Wbiegła i zatrzymała się na progu. Stała znieruchomiała patrząc z daleka na ciało ojca. Dopiero po chwili zbliżyła się do postania. Szła cicho, na palcach. Wyciągnęła rękę i nieśmiało dotknęła koniuszkami palców zimnej ręki umarłego.

Nie płakała. Choć tyle w niej tej nocy dokonało się zmian, pozostała, kim była: dziewczyną, która nie zwykła płakać. Ojciec odszedł, umarł. Nie zdążyła go nawet zobaczyć przed śmiercią. Ale patrząc na tę twarz miała wciąż tę samą świadomość, jaką miewała dawniej, gdy uczyniła coś niezgodnego z pragnieniami ojca: że on wszystko jej przebaczy; że ona nawet nie zdąży wyrazić żalu, a już wszystko będzie miała wybaczone.

Stała wciąż z palcami na dłoni zmarłego. Myślała: tym swoim nieustannym przebaczeniem — wiązał ją. Odchodziła od niego, szła za swoją miłością i bardziej jeszcze za pragnieniem oderwania się od niepokoju, niepewności, ciągłej walki. Ale musiała wracać. Wiedziała, że on czeka, by odpowiedzieć najserdeczniejszym z uśmiechów na jej pierwszy uśmiech. Teraz nie mogła oderwać oczu od łagodnego półuśmiechu, jaki leżał na twarzy ojca. Ten uśmiech zdawał się przywoływać.

Podniosła oczy na Hugh'a. Zaczęła mówić prędko, jakby tłumaczyła się:

— Nie mogłam zdążyć wcześniej. Zanim ten żołnierz dotarł do mnie, zanim mnie obudzono... Spałam z innymi dziewczętami tuż przy sypialni królowej. Służba bała się hałasować, aby jej nie obudzić... — Urwała. Spuściła oczy, przeniosła wzrok znowu na ojca. Ten uśmiech, który pozostał niezatarty na jego twarzy — coś mówił. Zapytała:

— Czy on... pytał o mnie...?

— Pytał. Ale nie martw się, Alex. Umarł spokojnie.

— I nie myślisz, że miał żal do mnie?

— Przecież go znałaś...

— Tak — skinęła głową. Nie odrywała wzroku od twarzy ojca. — Znałam go... Ale czy znałam go dosyć?

— Masz słuszność — powiedział, zbliżając się i stając obok dziewczyny. — Mnie także wydało się, że go poznałem, a te- *raz przekonuję się, że nie znałem go dosyć...

Milczeli.

Alex myślała: Pamiętałam zawsze, że jest i że przebaczy. Ale wydawało mi się, że to przebaczenie daje mi tym większą wolność. Dlaczego jej nie czuję teraz? Dlaczego ten uśmiech umarłego wiąże mocniej niż wszystkie uśmiechy żyjącego?

Hugh myślał: Wydawało mi się, że zostałem przysłany do niego, aby jemu pomóc. Ale naprawdę to spotkanie było chyba potrzebne dla mnie...

Zsunęła palce z dłoni ojca. Cofnęła się. Usiadła na skrzyni, na której przedtem siedział Hugh.

— Zmęczona jestem — powiedziała. '

— Odpocznij.

Usiadł obok niej. Trwali w ciszy, z daleka tylko patrząc na zmarłego. Morze wciąż z ciężkim łomotem uderzało o *brzeg*. Wciąż ciskało szczątkami zwyciężonej floty. Nad toczącymi się falami mewy unosiły się z kwileniem. Wstający dzień coraz mocniej wyzłacał nadbrzeżne skały.

— Był przytomny? — zapytała.

— Tak. Tylko nie mógł mówić.

— Nic ci nie powiedział?

— Słowami nie...

Skinęła głową, jakby chciała powiedzieć, że go rozumie. Po chwili zapytała znowu:

— Czy myślisz... że on...?

Teraz on odgadł, co znaczyły nie dopowiedziane słowa.

— Bóg, Alex, patrzy w serce i widzi, czego my nie widzimy.

Zamknęła oczy. Była zmęczona nocną jazdą i czuła się jak ktoś, kto wie, że musi się zgodzić na to, co długo odrzucał.

— Zostaniesz w Anglii? — zapytała.

— Tu mnie przysłali moi zwierzchnicy. Chyba — przypomniał sobie o słowach Southwella — chyba gdyby oni zdecydowali inaczej...

— Gdzie będziesz?

— Pracuję obecnie wśród biedoty na Southwark. I jeśli mój superior na to pozwoli, chciałbym przy tej pracy pozostać.

— Pragnęłabym kiedyś zobaczyć ciebie, Hugh...

— Powiem ci, jak będziesz mogła mnie znaleźć. Dopóki nie zostanę odkryty... '

Zrobiła ruch dłonią, jakby chciała odpędzić te słowa. Ale ten gest był żaloszny. Czy mogła odsunąć to wszystko, co wracało?

Drzwi otworzyły się i usłyszeli głos Browne'a, który powiedział:

— Ojczy, miss Alex, chodźcie tutaj...

Pośrodku pokoju stał Ryszard. Był pokryty pyłem i zaschłą krwią. Włosy miał wzburzone, a ubranie podarte. Alex zatrzymała się przed nim bez słowa. Nie krzyknęła, nie wyciągnęła do niego ręki. Zresztą on także nie witał się z nią. Mówił prędko, gorączkowo:

— Milordzie, zaledwie udało mi się ich wyprzedzić. Tutaj jest człowiek, którego oni szukają.

Szpieg...

Browne odpowiedział spokojnie:

— Tutaj nie ma szpiega, sir. To tylko ksiądz katolicki, który przybył do umierającego.

— Lecz oni uważają go za szpiega! I zaraz nadjadą! Stary John, który siedział skulony przy kominku, podniósł się. Powiedział:

— Milordzie, żołnierze jeszcze nie odeszli. Czy mam pobiec po ich dowódcę?

Potrząsnął głową.

— Nie. — Zwrócił się do Hugh'a. — Ojciec musi uciekać. Natychmiast. Proszę wziąć ze sobą człowieka, który przywiózł ojca, a teraz miss Alex...

— Strzeżcie się tego człowieka! — zawołał Ryszard. — To zdrajca!

— Skąd pan wie o tym, sir? — zapytał Browne.

— Mniejsza z tym, skąd... Nie ma czasu na zwlekanie. Proszę jechać! — zwrócił się do Hugh'a.

— Konie, na których przyjechałem, jeszcze dość świeże...

— Prędko! Niech ojciec idzie i ucieka! — zdecydował Browne.

— John! — krzyknęła Alex. — Jedź z nim!

— Jeśli panienka pozwoli...

— Spiesz się!

Nie dano mu się nawet pożegnać. Za chwilę dwóch jeźdźców wypadło galopem z podwórza.

Troje ludzi stojąc przy oknie patrzyło w milczeniu za odjeżdżającymi.

— Oddał pan nam wielką przysługę, sir — rzekł Browne, gdy tamci zniknęli już z oczu. —

Rozumiem, co panem kierowało. Lecz chciałbym, aby pan wiedział, że ocalając swą przyszłą żonę, ocalił pan niewinnego człowieka. Swoim honorem zapewniam pana: to nie był szpieg.

Ryszard skłonił się.

— Wierzę panu, milordzie.

— A teraz — podjął znowu Browne — chciałbym powiedzieć o czymś innym. Miss Alex jest sierotą. Jeśli zgodzi się na to, mój dom jest dla niej otwarty. Jestem starym człowiekiem, moje dziecko — mówił teraz wprost do dziewczyny — i pragnę, abyś uważała mnie za swego opiekuna. Twój ojciec stał mi się przyjacielem... Niestety, przez czas zbyt krótki... Pokochałem go. Obym mógł opieką nad tobą wypłacić mu za to, co zrobił dla mnie...

— Dziękuję, milordzie — szepnęła. Jasne oczy Alex ciągle jeszcze utkwione były w zielonej przestrzeni. Jakby z wysiłkiem cofnęła spojrzenie. Popatrzyła na stojącego obok niej Ryszarda. Na jej twarzy odbiło się nagle przerażenie. Teraz dopiero spostrzegła jego rozcięty policzek i wygląd.

— Dick! — powiedziała. Zrobiła gest, jakby chciała objąć go za szyję. Ale nie uczyniła tego. Patrzyła tylko wciąż na stojącego przed nią rycerza. Kochała go — czuła to — ciągle tak samo. Może nawet więcej niż kiedykolwiek. Za jej miło ścią nie kryło się już pragnienie ucieczki. Kochała go zapo minając o wszystkim innym. Delikatnie dotknęła palcem rozkrwawionego na nowo policzka Ryszarda. — Dick... — powtórzyła.

— Czy chcesz być moją żoną? — zapytał. Oparła dłonie na jego poszarpanym dublecie.

— Czy zgodzisz się wziąć za żonę papistkę? — odpowiedziała pytaniem. — Zawziętą papistkę?

— Kocham cię — rzekł poważnie.

Rozległ się warkot bębnow i piszczałek. To kompania piechoty wyruszała w drogę. Chorąży niośł sztandar ze znakami lorda Browne. Barwna kolumna znalazła się na drodze właśnie w chwili, gdy z drugiej strony nadjechała gromadka zbrojnych jeźdźców. Gdy oddziały mijały się, żołnierze spoglądali na siebie z zaciekawieniem. Idący na końcu piechur obrócił się i zawołał w stronę jezdnych:

— Hej, chłopcy, spóźniliście się! Wojna się już skończyła!

Koniec